

## Peter S. Beagle Kryształ czasu

Przekład Maria Duch  
THE FOLK OF THE AIR © 1977

Dla Colleen J. McElroy, bez której wsparcia, rady, słów otuchy, kakao o północy i irytującej odmowy zrozumienia, iż pewne książki po prostu się nie kończą, ta książka nigdy nie została ukończona.

1.

Farrell przyjechał do Avicenny o czwartej trzydzięci nad ranem bardzo starym mikrobusem volkswagenem, zwanym Madame Schumann-Heink. Deszcz właśnie przestał padać. Przy Gonzales, dwie przecznice od zjazdu z autostrady, zatrzymał się przy krawężniku i oparł łokcie na kierownicy. Jego pasażer ocknął się z cichym jękiem i chwycił się za kolano.

- W porządku - powiedział Farrell. - Jesteśmy na miejscu.

- Na miejscu? - zapytał pasażer. Nadal nieprzytomnie spoglądał w dal na tory kolejowe i wagony. Miał około dwudziestki. Ciemnowłosa, z różowymi policzkami, sprawiał równie sympatyczne wrażenie, jak świeża porcja lodów. Farrell zabrał go w Arizonie, w pobliżu Pimy, uznając, że pulower, tabaczkowe spodnie i biała wiatrówka autostopowicza podróżującego przez indiański rezerwat San Carlos stanowią niekwestionowany znak niebios. Po dwóch dniach i nocach niemal nieprzerwanej jazdy chłopak nie był ani trochę bardziej spocony czy brudniejszy niż poprzednio, zaś Farrell nadal nie mógł spamiętać czy nazywał się Pierce Harlow czy Harlow Pierce. Z niewzruszoną uprzejmością zwracał się do Farrella mister i ze szczerą powagą wypytywał go, jak to było, gdy słuchał po raz pierwszy "Eleanor Rigby" i "Day Tripper".

- Avicenna, Kalifornia - oznajmił mu Farrell z uśmiechem. - Muzeum mojej pokrętej młodości, grobowiec najdroższych i najbardziej niemiłych wspomnień. - Opuścił szybę w oknie i ziewnął z radością. - Powąchaj, jak miło cuchnie, to zatoka. Musi być odpływ.

Pierce/Harlow zgodnie z instrukcją wciągnął powietrze nosem.

- Aha. Tak, czuję. Naprawdę miły. - Przeciągnął dłońmi po włosach, które z miejsca zespoliły się ponownie w jedną gładką bryłę. - Mówisz, że ile to już jest?

- Dziewięć lat - odparł Farrell. - Prawie dziesięć, od kiedy zakończyłem naukę. Nie mam pojęcia, o czym, do diabła, myślałem tamtego ranka. Pewnie po prostu byłem roztargniony. Chłopak zachichotał uprzejmie, odwracając się, aby pogmerać w plecaku.

- Mam tu gdzieś adres, pod który powinienem się udać. To w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego. Mogę po prostu zaczekać. - W przyćmionym świetle wczesnego poranka jego kark wydawał się dziecięco wiotki i kruchy.

Niebo koloru rtęci przypominało skłębioną watę.

- Zwykle widać stąd cały teren uniwersytetu, dzwonnice i resztę. Nie pamiętam, by bywało tak mgliście - powiedział Farrell. Przeciągnął się aż do bólu, splatając dłonie za głowę i czując jak zeszywniałe mięśnie trzeszczą, wzdychają i mruczą. - Nie mogę jeszcze obudzić kumpla, jest dużo za wcześnie. Trzeba pomyśleć o śniadaniu. Przy Gould była jadłodajnia czynna całą dobę. - Jedynie iskierka bólu pozostała, gdy rozluźnił mięśnie i spojrzął w dół na Pierce'a/Harlowa, który z nieśmiałym uśmiechem trzymał ostrze sprężynowego noża przy jego boku, tuż powyżej paska.

- Doprawdy przykro mi, sir - powiedział Pierce/Harlow. - Proszę nie robić niczego głupiego. Farrell wpatrywał się w niego tak długo i obojętnie, że chłopak zaczął się denerwować, sztywniał za każdym razem, gdy ze świstem mijali ich jakiś samochód.

- Niech pan położy portfel na siedzeniu i wysiądzie. Nie chcę żadnych kłopotów.

- Zdaje się, że nie wybierasz się do Exeter - rzekł w końcu Farrell. Pierce/Harlow pokręcił głową. - Chyba nie ma sensu mówić o pracy trenera.

- Panie Farrell - odparł Pierce/Harlow stanowczym, przyciszonym głosem - pan myśli, że w rzeczywistości nie chcę pana skrzywdzić. Niech pan tak nie sądzi. - Przy ostatnim słowie nóż mocniej wbił się w bok Farrella, wkręcając się w jego koszulę.

Farrell westchnął i wyciągnął nogi, z jedną ręką nadal na kierownicy, i sięgnął powoli po portfel.

- Cholera, to żenujące. Wiesz, nigdy przedtem mnie nie obrobiono. Przez te wszystkie lata w Nowym Jorku łąziłem po nocach wszędzie, jeździłem metrem i nigdy mnie nie obrobiono. W każdym razie nie w Nowym Jorku i nie zrobił tego amator, który nie wie nawet, gdzie powinien przyłożyć nóż. - Odetchnął, jak mógł najgłębiej i najciszej.

Pierce/Harlow uśmiechnął się ponownie, kiwając z wdziękiem wolną ręką.

- No cóż, a więc chyba się to panu należało? To tylko ryzyko zawodowe, nic wielkiego. Farrell wyciągnął już portfel. Odwrócił się do chłopaka, czując, że nacisk noża nieco zelżał.

- Trzeba było zwędzić go już w Arizonie. Miałem wtedy więcej forsy. Nie musiałem jeszcze kupować zarcia dla dwóch osób.

- Nie znoszę obrabiania w czasie jazdy - odparł wesoło Pierce/Harlow. - Daj spokój, kupiłem kilka razy benzynę.

- Za siedem doków w Flagstaff - prychnął Farrell. - Lepiej milcz, złotko.

- Niech pan przestanie, niech się pan na mnie nie złości. - Pierce/Harlow nagle zaczął się trząść niepokojąco, czerwieniąc się w półmroku, jękając i połykając sylaby.

- A co z tą benzyną, którą kupiłem w Barstow? Co z nią?

Z naprzeciwiaka nadbiegała ku nim para młodych ludzi. Idealnie do siebie pasowali w swej radośnie podskakującej pulchności, zielonych dresach i miarowym dyszeniu.

- Nie, nie kupięś. Barstow? Jesteś pewny? - powiedział Farrell. - Czy to sprytny plan? Co będzie, jeśli to nie jest sprytny plan?

- Pewnie, do cholery - warknął Pierce/Harlow. Wyprostował się, nóż młócił zygzakowato powietrze pomiędzy nimi. Farrell obejrzał się przez ramię. Miał nadzieję zwrócić uwagę kobiety, nie rozdrażniając go już bardziej. Mijając ich, rzeczywiście odwróciła głowę i nawet zatrzymała się, chwytając ramię swego towarzysza. Farrell wytrzeszczył oczy i dyskretnie nadał nozdrza, usilnie starając się wyglądać na śmiertelnie przerażonego. Biegacze spojrzeli na siebie i dysząc minęli mikrobus. Tylko na chwilę stracili krok.

- A we Flagstaff było dziewięć osiemdziesiąt trzy. Żeby to było jasne, panie Farrell - powiedział Pierce/Harlow. Pstryknął palcami, spoglądając na portfel.

Farrell wzruszył z rezygnacją ramionami.

- O co tu się kłócić. - O Boże, no to do dzieła. Rzucił portfel tak, że odbił się od prawego kolana Pierce'a/Harlowa i spadł pomiędzy fotel i drzwi. Chłopak odruchowo po niego sięgnął i w tym momencie Farrell uderzył. To określenie wolał w każdym razie pamiętać, choć rzucić się, chapnąć i drzeć pazurami też by tu pasowało. Celowo w nadgarstek dłoni trzymającej nóż, ale zamiast tego trafił na dłoń cofającego się Pierce'a/Harlowa, zgniatając mu palce o kościaną rękojeść noża. Pierce/Harlow z trudem złapał oddech, warknął i kopnął Farrella w goleń, wyszarpując dłoń z jego uścisku. Farrell puścił go, gdy tylko poczuł chłód ostrza przesuwającego się pomiędzy palcami, a potem usłyszał jak rozdziera mu rękaw koszuli. Nie było bólu, krwi, jedynie chłód i zamykające się i otwierające usta Pierce'a/Harlowa. To nie był sprytny plan.

Niestety, był jedyny. Jego naturalny dar wymigiwania się z sytuacji bez wyjścia nigdy nie ujawniał się przed siódmą rano. O tej porze mógł jedynie pomyśleć o uchyleniu się przed przeraźliwie błyskającym nożem Pierce'a/Harlowa i wrzuceniu biegu Madame Schumann-Heink z mglistą wizją wjechania nią w całodobową pralnię samoobsługową na rogu. Pod wpływem nagłego impulsu wrzasnął również co tchu w płucach "Kree-gaaahh!", po raz pierwszy od czasu, gdy jako jedenastolatek skakał z łóżka rodziców, które było brzegiem rzeki Limpopo, na swą kuzynkę Mary Margaret Louise, która była krokodylem.

Pierwszym, co wydarzyło się zaraz potem, było ześlizgnięcie się jego znoszonego trampka ze sprzęgła. Drugim było to, że wsteczne lusterko spadło mu na kolana, gdy Madame Schumann-Heink stanęła dęba na tylnych kołach i zatańczyła niezgrabnie na środku Alei Gonzalesa, nim uderzyła o ziemię z impetem, który cisnął Pierce'a/Harlowa tak, że uderzył o tablicę rozdzielczą. Sprężynowiec przekrzywił się w jego palcach.

Farrell nie miał szansy skorzystać z okazji. Sam był na wpół oszołomiony, a Madame Schumann-Heink skoczyła na drugim biegu ku lewemu krawężnikowi, celując prosto w zaparkowany tam mikrobus z pięknie wymalowanym na bokach napisem "Mobile Immense Grace UFO Ministry". Farrell skręcił desperacko kierownicę i stwierdził, że leci prosto pod nos śmieciarki, która toczyła się na niego z błyskającymi światłami i rykiem klaksonu, niczym prom we mgle. Madame Schumann-Heink zdumiewająco zwinnie zawróciła i popędziła przed ciężarówką, huśtając się ułomnie na padniętych amortyzatorach, z rurą wydechową rozsadaną pryknięciami i czymś, o czym Farrell wolał nie myśleć, wleczonym za przednią osią. Walnął w klakson i nie przestawał trąbić.

Obok niego Pierce/Harlow, błąd jak kreda z szoku i wściekłości, tarł na oślep usta pięścią, plując krwią.

- Ugryzłem się w język - wymamrotał. - Chryste, ugryzłem się w język.

- Ja też się kiedyś ugryzłem - powiedział ze współczuciem Farrell, nie odwracając się. - Trudne do zniesienia, co? Spróbuj odchylić trochę głowę do tyłu.

Jego dłoń zaczęła nieśmiało wędrować w kierunku noża leżącego na kolanach Pierce'a/Harlowa. Ale jego umiejętność patrzeniem kątem oka również spała tego ranka. Gdy spróbował drugi raz, Pierce/Harlow głośno wciągnął powietrze, schwycił nóż i jedynie o centymetry chybił celu, trafiając w obicie fotela. Farrell skręcił ostro w lewo, tuż przed nosem trąbiącej półciężarówki i kołyszając się, Madame Schumann-Heink pognała boczną ulicą wzdłuż szeregu hurtowni mebli i firm pośredniczących w handlu artykułami gospodarstwa domowego. Usłyszał, jak wszystkie leżące z tyłu luźno rzeczy zaczęły obijać się o ściany mikrobusu i pomyślał: słodki Jezu, lutnia, kurcze pieczone. Nowe zmartwienie sprawiło, że dopiero po minięciu dwóch przecznic zauważył, że cały ruch był z naprzeciwiaka.

- Cholera - powiedział ponuro Farrell. - Skąd mogłem wiedzieć?

Pierce/Harlow skulił się na fotelu i wymachując nedorzecznie łokciami, usiłował ucześcić się czegokolwiek, nie wyłączając Farrella.

- Zatrzymaj się albo cię dźgnę. Natychmiast, bo zrobię to. - Krzyczał, policzki poczerwieniały mu groteskowo.

Kamper wielkości polnego lotniska wypełnił przednią szybę. Farrell jęknął cicho pod nosem. Zarzucając tyłem na mokrym bruku, skręcił w prawo i skierował Madame Schumann-Heink w górę wjazdu na parking. Na szczycie podjazdu wydarzyły się dwie istotne rzeczy: Pierce/Harlow schwycił go za szyję, a Madame Schumann-Heink pogodnie wyskoczył bieg - jej najstarsza sztuczka, zawsze używana w najrozsądniejszym momencie - i mikrobus zaczął toczyć się do tyłu. Farrell ugryzł Pierce'a/Harlowa w przedramię. Zaciskając zęby, zdołał jeszcze jakoś silnym szarpnięciem wrzucić wsteczny bieg i postać volkswagena na oślep z powrotem na ulicę, tuż za kamperem, ale prosto w barykadę z drewnianych koźłów, osłaniającą wyboje. Lutnia, błagam, niech to licho. Tylne światło rozprysło się, a Pierce/Harlow i Farrell z krzykiem zwolnili uścisk. Madame Schumann-Heink ponownie wskoczyła na luz. Farrell odepchnął Pierce'a/Harlowa, szperał przez chwilę dźwignią w poszukiwaniu drugiego biegu, który nigdy nie był dokładnie tam, gdzie powinien i wduśił gaz.

Madame Schumann-Heink, która normalnie potrzebowała wiatru w ogon i dwóch dni uprzedzenia, by rozpedzić się do pięćdziesięciu mil na godzinę, tym razem mknęła sześćdziesiątką, nim jeszcze dotarli do Gonzales. Pierce/Harlow wybrał ten właśnie moment na ponowny atak, co okazało się niefortunne, ponieważ Farrell wszedł właśnie na pełnym gazie w zakręt, pokonując go na dwóch kołach. Pierce/Harlow wylądował na kolanach Farrella z nożem osobiście wtulonym pod pachę.

- Lepiej, żebyś przyjął tę pracę przy komputerach - powiedział Farrell. Pędzili Gonzales z powrotem, w kierunku autostrady. Pierce/Harlow wyplątał się, otarł krwawiące usta i skierował nóż we właściwą stronę.

- Dźgnę cię - powiedział zdesperowany. - Przysięgam na Boga. Farrell nieco zwolnił.

- Widzisz ten filar, ten z tablicą? - zapytał, wskazując na zbliżający się rozjazd. - Tak? Zastanawiałem się właśnie, czy zdołałbyś wyrzucić nóż przez okno, nim w niego uderzę? - Uśmiechnął się przez zaciśnięte usta w nadziei, że przypomina syfilityka odbierającego prognozę pogody z Alfa Centauri swoją protezę zębową i dodał pogodnie: - Jej opony są łyse, hamulce zapowietrzone, a z ciebie zaraz zostanie mokra plama na siedzeniu.

Nóż odbił się od filaru, gdy Farrell skręcił w bok. Kierownica trzęsała się i drżała w jego dłoniach niczym złowiona ryba, tylne opony wydały przejmujący pisk. Przy braku wstecznego lusterka pojawienie się starego zielonego kabrioletu, który skręcając szaleńczo, usiłował trzymać się drogi, było jak nagły cios maczugą. Samochód ślizgał się w kierunku mikrobusu niczym asteroid powoli przyciągany przez niemiłosierną masę większej planety. Był taki moment, że dla Farrella nie istniało nic poza podwodną ociężałością ruchów twarzy kierowcy, marszczącej się bezgłośnie z przerażenia pod wielkim puszkowatym hełmem, ciężkimi złotymi łańcuchami i ozdobami spływającymi kaskadami po różowawym ciele kobiety siedzącej obok niego, rozetką rdzy wokół klamki i mieczem w dłoni ciemnoskórego mężczyzny z tylnego siedzenia. Zdawało się, że chciał odparować atak Madame Schumann-Heink. Potem Farrell rozciągnął się jak długi na kierownicy i z całej siły obrócił ją w prawo. Mikrobus z piskiem opon skręcił ostro wokół następnego filaru, ostatecznie zatrzymując się z trzaskiem tuż za kabrioletem, który odzyskał już równowagę i pognął w kierunku zatoki. Farrell widział, jak czarnoskóry mężczyzna wymachiwał we mgle mieczem niczym zdobywca, dopóki samochód nie zniknął na podjeździe biegnącym do autostrady.

Farrell odetchnął. Uświadomił sobie, że Pierce/Harlow wrzeszczy już od jakiegoś czasu, trzęsąc się i kuląc na podłodze. Farrell zgasił silnik.

- Skończ z tym - powiedział - tam jest radiowóz. - Sam też dygotał, zastanawiając się czy tamten podniesie rękę.

Nie nadjeżdżał żaden radiowóz, ale Pierce/Harlow przestał zawodzić tak nagle jak dziecko, potykając łzy i ocierając twarz rękawem.

- Jesteś szalony. Jesteś naprawdę szalony. - Głos łamał mu się w płaczliwej czkawce.

- Pamiętaj o tym - powiedział z naciskiem Farrell. - Spróbuj tylko wsiąść po nóż, a rozjadę cię.

Pierce/Harlow cofnął szybko rękę od drzwi i wlepił w niego wytrzeszczone oczy. Farrell zignorował go, czekając, by przestało mu wirować przed oczyma i ustąpiły dreszcze wstrząsające ciałem. Potem uruchomił ponownie Madame Schumann-Heink i skręcił powoli, rozglądając się ostrożnie na wszystkie strony. Pierce/Harlow chciał protestować, ale Farrell uprzedził go.

- Bądź cicho. Mam cię dosyć. Po prostu bądź cicho.

- Dokąd jedziesz? - chciał wiedzieć Pierce/Harlow. - Jeśli myślisz, że zabierzesz mnie na policję...

- Krew mnie zalewa - powiedział Farrell. - Pierwszego tutaj od dziesięciu lat ranka nie mam zamiaru spędzić z tobą na posterunku. Uspokój się, a podrzucę cię do szpitala. Obejrzą ci tam język.

Pierce/Harlow zawahał się, potem usiadł z powrotem, obmacując usta i oglądając palce.

- Pewnie będą mnie musieli szyć - rzucił oskarżycielsko. Farrell jechał na niskim biegu, wsłuchując się z uwagą w nowe zgrzytliwe dźwięki dobiegające spod samochodu.

- Przy odrobinie szczęścia. Ja pewnie będę musiał zaszczepić się przeciwko wścieklicznie.

- Nie mam żadnego ubezpieczenia - powiedział Pierce/Harlow.

Farrell uznał za rozsądne nie odpowiadać i skrzył ostro w lewo na ulicę Paige, przypominając sobie nagle, że gdzieś tu powinna być klinika. Pamiętał spokojną, deszczową noc, bardzo podobną do tej, gdy zaciągnął Clawhammera Perry Browna na pogotowie, wrzeszcząc w przekonaniu, że ciało Perry'ego z każdą chwilą robi się chłodniejsze na jego plecach. Stary chudzielec Clawhammer. Samochodowy złodziej, wspaniale grający na banjo, największy z prawdziwie nieznośnych nieprzyjemniaków, jakich spotkałem. I Wendy na tylnym siedzeniu, klnąca całą drogę, ponieważ to ona go rzuciła, mówiąc, że ślubu nie będzie. Och Boże, to były czasy, to były czasy. Postanowił opowiedzieć Benowi o Perrym Brownie, gdy dojedzie tam, gdzie jechał. Potem się roztył, tak mówili.

Gdy zatrzymał się przed kliniką, na niebie widać już było szaromusztardową plamę, wychylającą się zza cynowego rąbka. Obcy by to przegapił, ale Farrell nadal potrafił rozpoznać świt w Avicennie. Odwrócił się do Pierce'a/Harlowa przygarbionego przy drzwiach. Miał zamknięte oczy i palce w ustach.

- No cóż, było mi naprawdę przyjemnie.

Pierce/Harlow wyprostował się, spoglądając to na Farrella, to na klinikę. Usta miał paskudnie opuchnięte, ale zaczynał mu już wracać fason; odyskiwał rumieńce pewności siebie niczym jaszczurka, której wyrasta nowy ogon.

- Na litość boską, głupio będę wyglądał, zjawiając się tam z przegryzionym językiem. - Powiedz, że zaciąłeś się przy gołeniu - doradził mu Farrell. - Powiedz im, że całowałeś się z psem Baskervillów. Żegnaj.

Pierce/Harlow kiwnął potulnie głową.

- Zabiorę tylko swoje graty.

Podniósł się i przecisnął obok Farrella, który nie spuszczał go z oka. Chłopak wziął swój sweter i niespiesznie gmerał w poszukiwaniu autentycznej greckiej rybackiej czapki oraz kieszonkowego odtwarzacza. Farrell, schylając się po swój portfel, usłyszał nagle słodki brzęk. Wyprostował się szybko, skrzypiąc przy tym niczym skrzynia biegów Madame Schumann-Heink.

- Przepraszam - powiedział chłopak. - To chyba twoja mandolina? Naprawdę przepraszam. - Farrell podał mu plecak, a on otworzył przesuwane drzwi, chcąc wysiąść. Wtem zatrzymał się i obejrzał. - Dziękuję bardzo za podwiezienie, jestem bardzo wdzięczny. Miłego dnia.

Farrell pokręcił głową w bezradnym zdumieniu.

- Często to robisz? Pytam z ciekawości.

- Nie żyję z tego, jeśli to miał pan na myśli. - Pierce/Harlow mówił jak golfiarz broniący swego statusu amatora. - To bardziej jak hobby, prawdę powiedziałem. Rozumiesz, tak jak niektórzy zajmują się fotografią podwodną. To mnie rajcuje.

- Nie wiesz, jak to się robi - powiedział Farrell. - Nie wiesz nawet, co powiedzieć. Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Pierce/Harlow wzruszył ramionami.

- To mnie rajcuje. Wyras ich twarzy, gdy w końcu zaczniesz to do nich docierać. To prawdziwy nałóg, wiedzieć, że nie jestem tym, za kogo mnie uważają. Coś jak Zorro. - Zeskoczył na krawężnik, odwrócił się i posłał Farrellowi niemal tkliwy uśmiech, jakby łączyła ich jakaś dawna, przeżyta wspólnie przygoda. - Powinieneś spróbować - dodał. - Praktycznie i tak już pan to robi. Proszę na siebie uważać, panie Farrell.

Zasunął ostrożnie drzwi, nim powlókł się w kierunku kliniki. Farrell wrzucił bieg i włączył Madame Schumann-Heink w gęstniejący ruch, który zaczynał się o wiele wcześniej, niż pamiętał z dawnych lat. No i co wy na to? Wtedy wszyscy mieszkali na Parnell i spali do południa. Uznał, że bez względu na to, co Madame Schumann-Heink ciągnęła, nie urwie się to przed dotarciem do domu Bena, podobnie jak myśli o wydarzeniach ostatniej półgodziny. Skórę miał sztywną od zaschłego potu; w głowie pulsowało mu przy każdym uderzeniu serca. Volkswagen cuchnęła dywanami, kocami i zimną chińszczyzną.

Jadąc na północ Aleją Gould - gdzie u licha jest Ślepy Zaufek? Nie mógł przecież zniknąć, wszyscy tam się bawili, musiałem go przegapić - pozwolił sobie na rozważenie, choć z pewną ostrożnością, sprawy zielonego kabrioletu. Wówczas jego umysł - niezwłocznie opuściwszy miasto, nie zostawiając adresu dla korespondencji, a jedynie tych znużonych, cynicznych frajerów, jego nerwy i odruchy, dla uregulowania po raz kolejny jego długów i opłaty pocztowej - nie zarejestrował niczego poza wielkim hełmem kierowcy, zabawkowym mieczem czarnoskórego mężczyzny - czy to była zabawka? - i kobietą ubraną jedynie w złote łańcuchy. Ale czarnoskóry miał na sobie coś w rodzaju płaszcza, niedźwiedzią skórę? A gdy stary gruchot popędził dalej, z tylnego siedzenia mignęły mu, niczym płomienie we mgle, aksamitne płaszczyki, sztywne białe kryzy i pióra. Bez wątplenia Powitalny Wóz Avicenny. Ta w łańcuchach musiała być z Rdzennych Cór.

Gould była długą ulicą. Ciągnęła się z jednego krańca Avicenny prawie na drugi i skutecznie oddzielała dzielnicę studentów i wzgórze za nią od gorących, czarnych równin. Farrell jechał dalej. Komisje samochodowe

ustąpiły miejsca sklepom z antykami, a te biurcom i domom towarowym - cholera, co stało się z tym fajnym starym targiem rybnym? - a te z kolei parterowym i piętrowym drewnianym domom, białym, niebieskim i zielonym, z zewnętrznymi schodami. W większości były to stare domki i w zimnym powietrzu poranka przypominały łodzie porzucone na plaży; wypłynięcie nimi w morze na pewno było zbyt ryzykowne. Na południowo-zachodnim rogu Ortega przez chwilę wstrzymał oddech, ale szary, brzuchaty, pokryty rybią łuską dom zniknął, jego miejsce zajął bar szybkiej obsługi.

Przez czas, gdy tu mieszkałem, usiłowali zakwalifikować go do rozbiórki: Wciąż tak samo niezdatnym do żeglugi, pozegłowałem na pełne morze. Ellen. Nawet po tak długim czasie ostrożnie dotknął językiem tego imienia, jak bolącego zęba, ale nic się nie stało.

Ben mieszkał przy ulicy Scotia nieco ponad cztery lata, prawie od czasu przeprowadzki z Nowego Jorku. Farrell nigdy dobrze nie znał tych okolic i jechał na wyczucie, skręcił w prawo na Iris i słodko namawiał Madame Schumann-Heink do wspinaczki po niskich, stromych wzgórzach. Po kolejnej przecznicy domy zmieniły się, stały się większe i ciemniejsze, z kalifornijskimi werandami krytymi gontem. Im wyżej wjeżdżał, tym domy były dalej cofnięte od ulicy, trzymały się cienia sekwoi i eukaliptusów z wyjątkiem kilku ogrodzeń w jaskrawych barwach. Nie ma chodników. Nie potrafię sobie wyobrazić Bena w miejscu bez chodników.

W końcu odnalazł dom. Niebo nadal było zachmurzone, ale dalej w górę ulicy słońce już myszkowało w winoroślach i krzakach, łąsiło się do bugenwilli. Scotia była krzaczastą, zmierzwioną dżunglą, wijącą się i połażdwaną niczym kozia ścieżka - ulica stworzona dla powozów, pocztowych karet i furgonów łodziarzy, gdzie Madame Schumann-Heink i zjeżdżający buick przeciskały się obok siebie na zakręcie, jak walczące kozły. W odróżnieniu od zadbanych trawników i ogrodów na zboczach w dole, zarośla Scotii były zmysłowo bezczelne, przelewały się przez dachy garażów i kamiennych murków, łącząc posiadłości w wyzywające nieślubne związki. Daleko od Czterdziestej Szóstej i Dziesiątej Alei, chłopie.

Rozpoznał dom po opisach z listów Bena. Jak większość jego sąsiadów, był starą, solidną, piętrową budowlą, przywodzącą na myśl bizona zrzucającego zimowe futro. Tym, co czyniło go na Scotii wyjątkowym, był daszek, który biegł wokół całego domu, dostatecznie szeroki i płaski, by dwoje ludzi mogło nim spacerować wygodnie obok siebie. "Najwyraźniej gość, który to budował, miał zamiar postawić pagodę - pisał Ben. - Zabrali go nim zdążył pozaginać do góry rogi".

Farrell zaparkował samochód i wgramolił się na tył, by wyciągnąć lutnię. Wówczas odkrył, że znikł jego sprzęt do gotowania. Wściekłość, jakiej nie doznał w czasie całego zajścia, szybko ustąpiła miejsca fascynacji i zdumieniu tym, jak chłopakowi udało się na jego oczach zwędzić coś tak dużego. Elektryczna maszynka do golenia też zniknęła. Farrell usiadł na podłodze z wyciągniętymi nogami i zaczął się śmiać.

Po chwili wyciągnął z kąta lutnię.

- Chodź, skarbie - powiedział. Lękał się zdjęć płótno i plastikowe powijaki, by sprawdzić uszkodzenia. Wysiadł z samochodu i zaraz zaczął kichać od łaskoczącego go w nosie zapachu mokrego jaśminu i rozmarynu.

Ponownie spojrzął na dom - ptasie budki, niech to diabli - odwrócił się i przeszedł wolno wąską ulicą, by spojrzeć w dół na wzgórze Avicenny.

Zatoka zajmowała pół widnoką, pomarszczona i nieświeża jak prześcieradło w motelu. W oddali, pod mostem San Francisco, znieruchomiła kilka żagli, wyłaniały się z mgły niczym mydło z piany. Z tego miejsca w blasku słońca pole widzenia przesłaniały mu wierzchołki drzew i szczyty dachów, ale dostrzegał uniwersytecką dzwonicę z czerwonej cegły i plac, gdzie po raz pierwszy spotkał Ellen, gdy namawiała do szachów studenta pierwszego roku. A jeśli to jest róg Serry i Fox, to tamto okno musi należeć do pizzerii, której patronował Nikołaj Bucharin. Dwa lata kelnerowania i rozpędzania bójek, a zawsze myliłem go z tym drugim, Bakuninem. Jedynym dostrzegalnym ruchem było zielone mignięcie tramwaju sunącego po nizinie i znikającego co jakiś czas pomiędzy nagimi, pastelowymi dachami, które wydawały się zachodzić jeden na drugi, jak liście wodnych lilii, aż po autostradę. Farrell wspiął się na palce, wypatrując Blue Zoo, wiktoriańską brodawkę w kolorze indygo, gdzie on, Clawhammer Perry Brown i koreańskie trio smyczkowe przez prawie trzy miesiące za darmo mieszkali na ostatnim piętrze, nim impreza na dole dobiegła końca i właściciel ich zauważył. Czy mi się to wszystko przyśniło, tamci ludzie, tamte czasy? Co teraz się zacznie?

Wybrukowaną pniakami ścieżką ruszył do domu Bena. Po drodze odwinął lutnię i poczuł w dołku ucisk z wdzięczności, że jest cała. Usiadł na schodach ganku, jak zwykle zdumiony widokiem swej dłoni na złocistym łuku instrumentu, wstrzymując oddech, jakby jego dłoń dotykała nagiego biodra kobiety. Przytulił lutnię ostrożnie. Struny westchnęły, choć ich jeszcze nie tknął.

- Chodź, skarbie - powiedział i zaczął "Mounsiers Almaine". Grał zbyt szybko, ale nie próbował zwolnić. Potem zagrał pawanę Dowlanda\*, [\* John Dowland - żył w latach 1563 - 1626, angielski lutnista i kompozytor] a potem ponownie "Mounsiers Almaine", tym razem właściwie. Lutnia nagrzała się w słońcu i pachniała cytrynami.

2.

- Ty zapewne jesteś Joe Farrell - powiedziała stara kobieta.

Potem, w dziwnych chwilach i miejscach, lubił rozmyślać o momencie ich pierwszego spotkania. Nie pamiętał już żadnych szczegółów, poza tym że każde z nich coś do siebie kurczowo przyciskało - Farrell swoją lutnię, a Sia pasek znoszonej, błękitnej sukni, zebranej ciasno pod ciężkimi piersiami. Zapamiętał jednak ową natychmiastową pewność, że spotkał właśnie starego przyjaciela lub bardzo cierpliwego, ważnego wroga. Zdawał sobie sprawę, że to tylko jego wymysł. Ale czuł się nieswojo, wyobrażając sobie, że nie wie, kim była Sia.

- Ponieważ, jeśli nim nie jesteś - ciągnęła dalej - nie mam powodu, by stać o szóstej rano na werandzie i słuchać lutni obcego grajka. Więc jeśli jesteś Joe Farrell, to wejdź i zjedz śniadanie. W przeciwnym wypadku wracam do łóżka.

Nie była wysoka ani bardzo stara. Ben niewiele pisał o niej w swych listach i w pierwszej chwili Farrell miał wrażenie, że stoi nad nim wielki, senny monolit, menhir w znoszonym flanelowym płaszczu kąpielowym. Kiedy jednak wstał, stwierdził, że kobieta o szerokiej twarzy i nieostrych rysach nie miała więcej niż sześćdziesiątkę. Jej smągła skóra była niemal bez zmarszczek, a szare oczy bystre, czyste i władczo smutne. Choć ciało miała niezdarne jak u postugaczki - bez talii, krótkonogie, o rozłożystych biodrach, brzuchate jak księżyc - to poruszała się ze zdyscyplinowaną zwawością cyrkowego linoskoczka, nawet w bamboszach przypominających kupę ubłoconych kłaków. Płaszcz kąpielowy był na nią za długi i Farrell z lekkim dreszczykiem uświadomił sobie, że musiał to być płaszcz Bena.

- Ty jesteś Sia - powiedział. - Athanasia Sioris.

- Och, wiem o tym - odparła - nawet o tak wczesnej porze. A co z tobą? Zdecydowałeś już czy jesteś Farrellem?

- Jestem Farrell - przyznał - ale i tak możesz wrócić do łóżka. Nie chciałem cię obudzić. Włosy kobiety były gęste, dość grube, siwe i ciemne niczym zimowy świt. Spływały jej na plecy, zebrane nie wstążką, ale guzowatą srebrną obrączką. Jej oczy prawie nie miały białek. Farrell widział, jak źrenice oddychały wolno w porannym blasku. Spoczywały na nim całym swym ciężarem, taksując jego siłę, jak bokser osłaniający się rozważnie na początku walki.

- Czy ja się ciebie lękam? - zapytała.

- Kiedy Ben napisał mi o tobie po raz pierwszy, pomyślałem, że masz najpiękniejsze imię na świecie. I nadal tak uważam, być może wyjąwszy kobietę o imieniu Electa Arenal de Rodriguez. Co niewiele zmienia.

- Czy ja się ciebie lękam? - ponownie spytała Sia. - Czy też cieszę się, że cię widzę? - Głos miała niski i chrapliwy, z ledwie wyczuwalnym greckim akcentem. Nie był nieprzyjemny, ale też nie łagodny. Farrell nie potrafił wyobrazić sobie tego głosu dokuczającego, pocieszającego, pieśczośliwego - Chryste, ona jest starsza od jego matki - czy mówiącego kłamstwa. Ten głos pasował jedynie do zadawania drażliwych pytań bez bezpiecznych odpowiedzi.

- Nikt nigdy się mnie nie obawiał. Wspaniale by było gdybyś się lękała, ale naprawdę tego nie oczekuję - powiedział.

Przyglądała mu się, ale rzecz nie była w tym, że posępne spojrzenie nagle skierowało się czy skupiło na nim, to było bardziej tak, jakby udało mu się przyciągnąć uwagę lasu lub wielkiej wody.

- Czego oczekujesz?

Farrell odwzajemnił jej spojrzenie ze spokojną nieruchomością. Był zbyt zmęczony i niepewny, by choćby wzruszyć ramionami.

- No cóż, wejdź - powiedziała Sia. - Dzień dobry.

Odwróciła się. W tej samej chwili Farrell poczuł, że ogarnia go dziwna pustka, jakby nagle poczuł powiew jesiennego wiatru porzucenia i straty, wiejącego z jego dzieciństwa, kiedy wszystkie smutki były równie wielkie i przychodziły, i znikwały, nigdy nie tłumacząc się. Uczucie to jednak zaraz minęło i wszedł do domu za kobietą w średnim wieku, w niebieskim płaszczu kąpielowym, stawiającą ciężko nogi, które pewnie miały żyłaki.

Dom Sii to jaskinia - napisał mu trzy lata temu Ben. Mieszkał z nią już wtedy od ponad roku. - Kości pod nogami, małe drapiezniki przemykają w mroku, ogień pozostawia tłuste plamy na ścianach. Wszystko pachnie kurzą krwią i schnącymi skórami.

Ale tego dnia Farrell owi wydawało się, że dom był jak zielone drzewo, a pokoje jak konary, wysokie, jasne, pełne pomruków, jakie wydaje drewno w słońcu. Stał w salonie, którego sufit z podpalanych desek przypominał pudło jego lutni. Były w nim książki i duże okna; lustra i maski, małe, grube dywaniki, i meble jak drzemiące zwierzęta. Przed kominkiem stały szachy na niskim, odlanym z metalu stoliku. Figury z drewna, o zatartych od używania kształtach, przypominały tralki schodów. Farrell dostrzegł w kącie wysoki, stary fonograf, który stał obok wiklinowego kosza pełnego trawy pampasowej i zardzewiałych włóczni.

Sia zaprowadziła go do małej kuchni. Usmażyła mu jajecznicę i zaparzyła kawę, pracując zręcznie smagłymi, grubymi dłońmi. Niewiele przy tym mówiła i nie spoglądała na niego. Gdy skończyła, postawiła talerze na stole i usiadła naprzeciwko Farrella, opierając brodę na pięściach. Przez chwilę szare oczy - czyste i bezlitosne jak brylanty - przyglądały mu się ze szczera, osobistą wrogością, która zdawała się przenikać go do szpiku kości. Potem Sia uśmiechnęła się, a on odetchnął i uśmiechnął się do niej.

- Przepraszam - powiedziała. - Czy możemy cofnąć ostatnie piętnaście minut? Farrell z powagą kiwnął głową.

- Pod warunkiem, że zostawisz jajka.

- Przestraszeni kochankowie są obrzydliwi - dodała. - Przez cały tydzień byłam okropna dla Bena z twojego powodu.

- Dlaczego? Mówisz jak papież przyjmujący Huna Attilę. Czym zasłużyłem sobie na ten paniczny strach?

Sia uśmiechnęła się ponownie, ale głębokie, tajemnicze rozbawienie zniknęło.

- Mój drogi - odezwała się - nie potrafię powiedzieć, na ile zwyczajny jesteś takich sytuacji, ale z całą pewnością powinieneś wiedzieć, że nikt naprawdę z radością nie wita starego, najlepszego przyjaciela. Nie wiedziałeś o tym?

Farrell poczuł dotyk promieni słonecznego światła, które padły na niego, gdy Sia pochyliła się ku niemu.

- Najstarszy przyjaciel, być może - odparł. - Najlepszy, nie wiem. Nie widziałem Bena od siedmiu lat, Sia.

- W Kalifornii najstarszy jest najlepszy - odpowiedziała. - Ben ma tu dobrych przyjaciół, ludzi z uniwersytetu, ludzi, którzy troszczą się o niego, ale tutaj nikt go nie zna, z wyjątkiem mnie. A teraz ty się zjawiasz. To bardzo głupia sytuacja.

- Rzeczywiście. - Farrell sięgnął po masło. - Teraz ty jesteś najlepszym przyjacielem Bena, Sia.

Do kuchni wszedł wielki wilczur, suka. Zaszczekała na gościa dla porządku, po czym położyła mu łeb na kolanach. Z pyska pociekła jej ślinka. Farrell dał jej trochę jajeczniczy.

- Znałeś go jeszcze jako trzynastolatka. Ja nie potrafię go sobie nawet takim wyobrazić. Jaki był?

- Miał wysokie, gładkie czoło - powiedział Farrell - i zwykłem wołać na niego Gumowe Wargi. - Sia zaczęła się cichutko śmiać. Jej śmiech był tak cichy, że ledwie go słyszał; igrał na krańcach jego zmysłów niczym pieśń wieloryba. - Pływał jak szatan i był z niego naprawdę marny aktor. W średniej szkole pomógł mi jednego roku przejść z trygonometrii, a następnego z chemii. Próbowaliśmy go rozśmieszać na matmie głupimi minami. Na początku szkoły zmarł mu ojciec. Nie znosił mojej zimowej czapki w kratkę i z nausznikami. Uwielbiał Judy Garland, Joego Williama i małe kluby nocne, w których dawano przedstawienie dla pięciu ludzi. To rzeczy, które pamiętam, Sia. Nie znałem go. Myślę, że on mnie znał, ale ja byłem zbyt zajęty kłopotami ze swoimi pryszczami.

Sia nadal się śmiała. Wyraz jej twarzy, podobnie jak jej śmiech, zdawały się być częścią jakiegoś innego, opieszałego języka, w którym wszystko, co rozumiał, znaczyło coś innego.

- Ale mieszkaliście razem, później, w Nowym Jorku - powiedziała. - Graliście razem, a nic bardziej nie zbliża. Widzisz, jak Bóg, jestem zazdrosna o każdego, kto był przede mną. Czasami potrafię być nawet zazdrosna o jego matkę i ojca.

Farrell pokręcił głową.

- Nie, nie jesteś. Nie uważam się za najbystrzejszego, ale widzę, że się ze mną bawisz. Zazdrość nie jest twoim problemem.

- Uspokój się, Briseis - rzuciła ostro Sia.

Owczarek zostawił Farrella i podbiegł do niej, mlaskając jęzorem. Sia pieściła pysk psa, ani na chwilę nie spuszczając oczu z Farrella.

- Nie - powiedziała. - Nie jestem zazdrosna o nic, co o nim wiesz, ani co z nim robisz. Boję się tylko tego, co z sobą sprowadzasz. - Farrell poczuł przemożną chęć odwrócenia się. Wydawało się, że ona rzeczywiście widzi za jego plecami jakiegoś posępnego towarzysza. - Bycie młodym - wyjaśniła. - On zapomniał, jaki jest młody. Nic w tym tak nie pomaga, jak uniwersytet. Nigdy nie usiłowałam go postarzać, nigdy, ale pozwoliłam mu zapomnieć.

- Ben zawsze był trochę stary - odparł Farrell. - Nawet gdy strzelał ze spinaczy. Sądzę, że ty musisz być młodsza od Bena.

Rozbawienie wróciło. I tym razem dziwnie niestosownie było patrzeć, jak zmieniał się wyraz jej oczu.

- Od czasu do czasu - powiedziała. Suka stanęła nagle na tylnych łapach, opierając przednie na jej kolanach i przycisnęła pysk do jej policzka. Teraz obie spoglądały na Farrella z tym samym wyrazem nieprzeniknionego rozbawienia, tyle że Sia miała usta zamknięte. Farrell odwrócił wzrok i spojrzał przez okno na dęby za domem. W szybie nie było odbicia jego twarzy, jedynie postaci siedzącej naprzeciwko niego. Miała rozłożyste, kamienne ciało kobiety i uśmiechniętą psią mordę. Ta wizja trwała krócej niż jego oczy zdążyły zarejestrować, a umysł zbroczyć na manowce. Gdy ponownie się odwrócił, Briseis chciała dobrać się do masła i Sia zepchnęła ją na podłogę.

- Jesteś ranny.

W jej głosie nie było niepokoju ani śladu troski. Wydawała się nawet nieco urażona. Farrell spojrzał na siebie. Po raz pierwszy zauważył, że rękaw koszuli miał rozszarpany od mankietu po łokieć, a brzegi rozdarcia pokrywały rdzawe plamy.

- A, to tylko zadrapanie - powiedział. - Zawsze chciałem mieć okazję, by tak powiedzieć. - Ale Sia już była przy nim i podwijiała mu rękaw, pomimo jego szczerych protestów. - Piąte Prawo Farrella: Nie oglądaj, a nie będzie tak bolało.

Rana była długim, płytkim rozcięciem, czystym i nieskomplikowanym. Farrell opowiedział jej o Pierce'u/Harlowie, ostrożnie obracając całe to nieprawdopodobne zdarzenie w niewinne, idiotyczne ba j durzenie, podczas gdy ona obmyła mu ramię, a potem zabandażowała. Im bardziej usiłował ją rozśmieszyć, tym bardziej napięte i szorstkie były ruchy jej dłoni. Nie potrafił powiedzieć, czy to z sympatii, zrozumienia, czy tylko pogardy dla jego głupoty. Trajkotał dalej z bezradnym przymusem, dopóki nie skończyła i nie wstała, mrucząc coś przy tym pod nosem. Farrell początkowo myślał, że mówiła po grecku.

- Co? - zapytał. - Co powinnaś wiedzieć?

Kiedy odwróciła się, stwierdził z oszołomieniem, że ta dziwna, korpulentna kobieta była wściekła na samą siebie, tak mocno i nieprzejednanie, jakby Pierce/Harlow był jej osobistą odpowiedzialnością, wytworem jej bezmyślnego działania. Jej szare oczy pociemniały do koloru asfaltu, a w porannej beztrosce kuchni zapachniało daleką burzą.

- To mój dom - powiedziała. - Powinnaś być wiedzieć.

- Co wiedzieć? - dopytywał się ponownie. - Że wystawię rękę na jakiś chrzaniony, bandycki nóż? Sam tego nie wiedziałem, skąd ty miałaś wiedzieć? - Ale ona stała nadal, kręcąc głową i spoglądając na Briseis, która kuliała się i skamlała.

- Nie na zewnątrz - odezwała się do psa. - Już nie, to minęło. Ale to jest mój dom. - Pierwsze słowa opadły cicho jak liście; ostatnie zaskrzybiały jak szadz. - To jest mój dom.

- Mówiliśmy o Benie - powiedział Farrell. - O tym, że jest starszy od ciebie. Właśnie o tym rozmawialiśmy. - Zdawało mu się, że czuje, jak w ciszy wzbiera jej gniew, widzi, jak piętrzy się wokół nich w wielkich zaspach i pasmach statycznej elektryczności. Wpatrywała się w niego, przyglądając mu się, jakby nieustannie oddalała się od niej i w końcu pokazała drobne, białe zęby w chłodnym śladzie uśmiechu.

- On lubi, żebym była stara, złośliwa i sprytna - powiedziała. - Lubi to. Ale ja czasami czuję się jak... jak wiedzma, jak królowa trollów, która zaczarowała młodego rycerza na swego kochanka, ale on nigdy nie może usłyszeć pewnego słowa. Ono nie jest magiczne, ot zwykłe słowo z kuchni lub stajni, ale jeśli je usłyszysz, porzuci ją. Pomyśl, jak będzie go strzec, nie przed magikami, ale przed chłopcami stajennymi, nie przed pięknymi księżniczkami, ale przed kucharkami. I co może zrobić? A cokolwiek by zrobiła, na jak długo to będzie? Wcześniej czy później zjawi się ktoś i powie do niego słowa lub ścierka do naczyń. I co ona może na to poradzić? Farrell zgiął ostrożnie ramię i sięgnął po raz drugi po lutnię.

- Niewiele. Przypuszczam, że po prostu dalej będzie królową. W dzisiejszych czasach cierpimy na niedobór królowych trolli i każdego innego rodzaju. Ludzie narzekają z tego powodu. Sia wybuchnęła śmiechem, ospałym, rozczochranym śmiechem kobiety o poranku. Nagle byli tylko sami przy kuchennym stole, a w kuchni nie było nic poza słonecznym blaskiem, psem i zapachem cynamonowej kawy.

- Zagraj mi - powiedziała.

I zagrał kilka kawałków. Potem Sia chciała posłuchać o jego wędrówkach i rozmawiali po cichu o frachtowcach i łodziach rybackich, jarmarkach i karnawałach, o językach i policji. Mieszkał w wielu miejscach, podobnie jak Sia, ale nigdy tak długo, jak ona. Był na Syros, wyspie jej narodzin, której nie widziała od dzieciństwa.

- Długo byłeś dla Bena legendą. Zgrywałeś się przed nim.

- Och, każdemu to się zdarza - odparł. - Ludzkie marzenia idą z tym w parze. Moja własna legenda jeździła po Malezji na rowerze, gdy ostatnio o niej słyszałem.

Oczy Sii znowu rozbłyły figlarnie.

- Osobliwy z ciebie jednak Odyseusz - powiedziała. - Wciąż miewasz te same przygody. - Farrell zamrugnął z niepokojem oczyma. - Czytałam twoje listy do Bena. Budzisz się gdzieś, znajdujesz sobie jakieś głupie zajęcia, zawierasz kilka bardzo barwnych znajomości, grasz swoją muzykę i czasami, w którymś z listów, pojawia się kobieta. A potem budzisz się gdzie indziej i wszystko zaczyna się od początku. Lubisz takie życie?

Z czasem nauczył się przyjmować to za rzecz naturalną, ów moment w rozmowie z Sia, gdy grunt delikatnie usuwa mu się spod nóg, niczym stopień lub krawężnik, na który nie trafił i niezmiennie tracił równowagę, tak gwałtownie, jakby usiłował wyrwać się ze snu o spadaniu. Zaraz potem poczuł, że się czerwieni.

- Robię, co robię - powiedział z gniewną obojętnością. - Tak mi się podoba.

- Tak? Jakie to smutne. - Wstała, by odnieść naczynia do zlewu. Nadal śmiała się pod nosem. - Myślę, że pozwalasz sobie jedynie na powierzchowne doświadczenia - rzekła - jedynie na cienie. Zawsze zostawiasz najlepsze.

Lutnia, gdy ją podniósł, westchnęła, jak budzące się powoli zwierzę.

- To jest najlepsze - powiedział. Zaczął grać pawanę Narvaeza, z której transkrypcji na lutnię był ogromnie dumny. Przejrzyste akordy płynęły powoli, drząc i przemijając mu pod palcami. W trakcie grania wszedł Ben,



kiwnęli sobie głowami, ale Farrell ciągnął dalej pawanę aż do jej raptownego końca w delikatnie urwanym arpeggio. Potem odłożył lutnię, wstał i wziął Bena w objęcia.

- Hiszpański barok - wyjaśnił. - Sporo tego grałem przez ostatni rok. - Ben położył ręce na ramionach Farrella i potrząsnął nim wolno, ale mocno. - Zmieniłeś się.

- A ty wcale nie wyglądasz inaczej - rzekł Ben. - Nie licząc oczu. Sia usiadła i przyglądała im się, zanurzwszy rękę w sierści Briseis.

- To zabawne - powiedział cicho Farrell. - Twoje oczy nie zmieniły się.

Przyglądał mu się ostrożnie, urzeczony i prawdziwie zaniepokojony. Ben Kassoy, z którym wyczekiwał na autobusy w nowojorskim porannym śniegu, z wyglądu bardzo przypominał delfina i w żrącej wodzie szkolnego basenu poruszał się równie rozkosznie i frywolnie, jak każdy delfin. Na lądzie potykał się, wysoki i ocieżały, krótkowzrostny, osiadły na mieliznie tego nieżyczliwego żywiołu. Ale teraz nosił się z zawziętym opanowaniem Sii. Szklista skóra spłowiła mu do twardej nieprzejrzystości płótna żaglowego, a krągła twarz o przymrużonych oczach - z czołem delfina, jego haczykowatym nosem i gładkością - zrobiła się tak surowa, samotna i pełna tajemniczości, jak zamek krzyzowców. Po siedmiu latach Farrell był przygotowany na widok tysiny i pierwszych siwych włosów, ale minąłby tę twarz na ulicy, odwracając się potem ze zdumieniem i niedowierzaniem. Ben, starym przyzwyczajeniem, zaczął gryźć zgięty palec i Farrell odruchowo go upomniał:

- Nie rób tego. Twoja matka tego nie cierpi.

- Skoro ty możesz trzaskać palcami u nóg w czasie lekcji, ja mogę zuć palec - powiedział Ben. Sia podeszła cicho do niego i Ben objął ją. - To jest mój przyjaciel, Joe - zwrócił się do niej. - Zdejmował buty pod ławką i wycyzniał z nogami okropne rzeczy. - Potem spojrzał na Farrella i pocałował ją, a ona przytuliła się do niego.

Później Sia poszła się ubrać, a Farrell zaczął opowiadać Benowi o Pierce'u/Harlowie i zielonym kabriolecie, ale nie szło mu zbyt składowo, bo nie spał od trzydziestu sześciu godzin i wszystko naraz pchało mu się na język. W połowie schodów, po drodze do gościnnego pokoju, przypomniał sobie, że chciał zagrać Benowi dwa nowe kawałki Luysa Milana, których się właśnie nauczył, ale Ben powiedział, że to może poczekać.

- Mam o dziewiątej zajęcia i konsultacje. Śpij dopóki nie wrócę, potem będziesz mógł grać nam cały wieczór.

- Które z nich jest o dziewiątej? - Farrell skulił się w ubraniu pod kołdrą, słuchając Bena z zamkniętymi oczyma.

- Mój uniwersalny dziwoląg. To wstęp do Eddy\*, [\* Edda - najstarszy zabytek literatury skandynawskiej, pochodzący z Islandii: 1. Edda starsza (tzw. Edda poetycka lub Edda Saemunda) - zbiór pieśni z IX-XI w. O tematyce mitologicznej; 2. Edda młodsza (tzw. Edda prozaiczna lub Edda Snorriego) - komentarz do mitologii skandynawskiej i zbiór reguł poetyckich z cytatami dawnych pieśni; napisana ok. 1220 roku przez Snorriego Sturlesona.] ale dodałem do tego trochę etymologii staronordyckiej, trochę skandynawskiego folkloru i historii oraz związanej z nią literatury, i klucz do Pisma Świętego. Klasyczna komiksowa wersja Snorriego Sturlesona. - Sposób mówienia miał taki sam; wolny jak na Nowy Jork i beztroski, ale załamujący się kapryśnie, jak u wyrostka z mutacyjną chrypą, osobliwie, jak zakłócenia w rozmowie międzymiastowe. Jakbyś przez chwilę słyszał kogoś rozmawiającego z Wyoming czy Minnesotą.

Farrell zasnął i zaraz się ocknął, gdy poczuł język Briseis na twarzy. Ben odwrócił się szybko, by przywołać psa do porządku. Jego słowa napłynęły cichym strumieniem.

- No i co o niej myślisz?

- Zbyt ostentacyjna - mruknął Farrell - ale bardzo miła. Zdaje mi się, że ma chandrę. - Otworzył oczy i uśmiechnął się do Bena. - Co mogę ci powiedzieć? Życie z nią uwydatniło twoje kości policzkowe. Nigdy przedtem nie było ich widać, zawsze zastanawiałem się, na czym trzyma się twoja twarz. Wystarczy?

- Nie - odparł Ben. Życzliwe, brązowe oczy delfina spoglądały na Farrella prawie bez rozpoznania, tak jakby nie przyznawały się do wspólnych jazd metrem, koncertów gershwinowskich na stadionie Lewisohna, starych kawałów i grepsów. - Spróbuj jeszcze raz, Joe. To absolutnie nie wystarczy.

- Czarowałem trochę po staremu, ale ona z miejsca tak mnie usadziła, że mało nie dostałem przepukliny na swej dobroduszości. Zdumiewająca kobieta. Możemy jednak potrzebować trochę czasu. - Ramię zaczęło go rwać i miał za złe Sii, że nie zostawiła go w spokoju. - Przykro mi, ale nie potrafię sobie wyobrazić was razem. Po prostu nie potrafię, Ben.

Wyraz twarzy Bena nie zmienił się. Farrell po raz pierwszy zauważył bliznę pod jego lewym okiem - bladą i cienką, ale tak nierówną, jakby zrobiono ją wieczkiem od puszeki.

- Nie przejmuj się tym - odparł obojętnie. - Nikt nie potrafi.

Na dole odezwał się dzwonek u drzwi. Na wprost śpiąc, Farrell wyczuł w drzeniach łózka ciężkie kroki Sii, idącej otworzyć.

- Do diabła, Kassoy. Sterczysz tu jak pełna tajemnic licealistka. Nie mam pojęcia, co chciałbyś ode mnie usłyszeć.

Ben wybuchnął krótkim śmiechem, który zaskoczył Farrella bardziej niż wszystko co do tej pory wydarzyło się tego ranka. W dzieciństwie Ben wyglądał zawsze tak, jakby powstrzymywał się od śmiechu, jakby ostatek woli bronił się przed uznaniem przerażającej śmieszności wszystkiego. Jego ciało, niczym ogień św. Elma, opromieniała aureola zduszonego chichotu.

- Prawdę powiedziawszy, ja też nie wiem. Prześpij się trochę, pogadamy później. - Poklepał Farrella przez koftę po nodze i ruszył do wyjścia.

- Mógłbyś mnie trochę przechować?

Ben odwrócił się i oparł o framugę. Czego on nasłuchuje, co takiego przykuwa całą jego uwagę?

- Od kiedy o to pytasz?

- Odkąd minęło siedem lat. Bezrobotny kumpel bez planów nie jest najlepszym towarzystwem. Jutro zacznę rozglądać się za robotą i lokum. To mi zajmie kilka dni.

- To ci zajmie o wiele dłużej. Lepiej wnieś do środka wszystkie rzeczy.

- Robota i miejsce do parkowania, pamiętasz? - zapytał Farrell. - Zawsze coś znajdowałem. Fabryka konserw, smażalnia, praca w szpitalu, barman. Bileter w zoo w Barton Park. Naprawa motocykli. Kładzenie lino-leum. Czy pisałem ci o tym, jak dostałem się do związków? Ben, gdybyś ty wiedział, komu pozwalasz kłaść lino-leum w swoim domu!

- Na jesieni mógłbym ci pewnie załatwić lekcje gry na gitarze na uniwersytecie. Wprawdzie nie jest to kurs mistrzowski, ale też nie "Włazi kotek na płotek". Pewnie nie byłoby to gorsze od roboty w winiarni "Pod szczęśliwym kurczakiem".

Farrell wyciągnął rękę do Briseis. Pies podszedł, wskoczył na łóżko i zasnął z głową na jego dłoni.

- Ja nawet nie mam już gitary.

- Fernandez? - Na chwilę Ben, którego pamiętał, utkwiał w nim zdumione spojrzenie, bezbronny, zawsze lekko zaskoczony i bezkresnie, szaleńczo uczciwy.

- Zamieniłem się z gościem, który zrobił mi lutnię. Musiałem mieć pewność, że to poważne.

- A więc jednak zrobisz coś nieodwołalnego. - Ben mówił cicho, jego kamienna twarz ponownie była bez wyrazu. Ze schodów dobiegł głos Sii, któremu towarzyszył młodszy głos, matowy i bezpłciowy z bólu.

- Suzy - wyjaśnił Ben. - Jedna z klientek Sii, płaci -ej, pomagając w pracach domowych. Wyszła za surfingowego zbira, który myśli, że rak jest zaraźliwy.

- Sia naprawdę jest psychiatrą?

- Doradcą. W tym kraju musi mówić na siebie doradca.

Głosy przemieściły się do drugiego pokoju i przycichły za zamkniętymi drzwiami.

- To tak ją spotkałeś? - zapytał Farrell. - Nigdy tego do końca nie powiedziałaś.

Ben wzruszył ramionami w swój stary, koślawy sposób, wyciągając głowę na zgiętej szyi, jak ptak łowiący ryby. Zaczai coś mówić, ale Sia przemawiała do kobiety i powolne, niemal pozbawione słów pulsowanie jej głosu zaczęło kołysać Farrella, delikatnie przyptywając, znikając, przyptywając. A przy każdym kołysnięciu coś, co już prawie o niej wiedział, ulatywało i pozostawiała tylko kamienna kobieta z głową psa.

- Więc pomyślałem, że można by połączyć przyjemne z pożytecznym - mówił Ben. Farrell usiadł i powiedział z nagłą jasnością:

- Nie, zęby. Purpura na tylnym siedzeniu z zębami. - Potem zamrugał, spojrzał na Bena i zapytał gwałtownie: - Skąd przyszło ci do głowy, że lubię uczyć? - Ben nie odpowiedział. - To znaczy ja nie nie lubię. Próbuję wszystkiego, co robię wystarczająco dobrze - wyjaśnił. - Cały ten majdan, te wszystkie głupie drobne prace, ja po prostu nie chcę polubić żadnej z nich bardziej niż trzeba. Lubię, gdy są nudne.

Ben roześmiał się nagle szeroko. Raz jeszcze rozbłysła wokół niego podnosząca na duchu fosforescencja tłumionej uciechy.

- Teraz myślisz o mojej cholernej czapce z nausznikami - powiedział Farrell.

- Nie, myślę o tej cholernej aktówce i twoim cholernie niewiarygodnym notesie z luźnymi kartkami. I myślę o tym, jak potrafiłeś grać, nawet wówczas. Nigdy nie mogłem pojąć, jak taki notes mógł iść w parze z taką muzyką.

- Naprawdę? - zapytał Farrell. - Zabawne. - Odwrócił się na bok ku widocznemu niezadowoleniu Briseis i zagrzebał się pod koftą, z głową na ramieniu. - Mój Boże, Ben, muzyka była jedyną rzeczą, która przychodziła mi zawsze naturalnie. Wszystkiego innego musiałem się nauczyć.

3.

Farrell miał, co prawda, spore doświadczenie w smażeniu jajek i mielonych kotletów, ale nie był przygotowany na to, co zastał w barze szybkiej obsługi, specjalizującym się w potrawach z królika. Jego praca była przeciwieństwem, zaprzeczeniem, negacją gotowania: polegała niemal całkowicie na odgrzewaniu mrożonego placka owocowego, dolewaniu co jakiś czas wody do kadzi, w których grzała się kawa, chili i coś pomarańczowego, oraz napęnianiu czerwonych plastikowych koszyczków panierowanymi kawałkami smażonego królika, przygotowy-

wanymi w Fullerton wedle tajemnego przepisu i dostarczonymi ciężarówką dwa razy w tygodniu. Był również odpowiedzialny za moczenie kromek w sosie "Magiczna łąka", który pachniał jak gorący asfalt, lub w "Posmakach lasu", który Farrell przechrzczył na "Zmierzch w Everglades"\*. [\*Everglades - błotnista okolica w ptd. Florydzie.] Poza tym mył podłogi, czyścił kuchenki i frytkownicę, a nim wieczorem wyszedł, zapalał uśmiechniętego, przewracającego oczyma, machającego nogami, królika na dachu. Królik trzymał Wielki Kubeł Króliczych Chrupek, a może to były Królicze Udka. Farrellowi przysługiwał Wielki Kubeł raz dziennie, ale wolał jadać w japońskiej restauracji za rogiem.

Podobnie jak pan McIntire, szef baru, niezdarny, milczący mężczyzna z czerwoną twarzą oraz włosami szarymi i tłustymi, jak stare mydło, wzdygał się przed podawaniem parówek i suwał po kontuarze jaskrawe koszyeczki z Króliczymi Bułeczkami koniuszkami palców. Farrellowi było żal pana Everglades - błotnista okolica w ptd. Florydzie. i piątego dnia swej pracy usmażył mu omlet. To był baskijski piperade, z cebulką, dwoma rodzajami papryki, pomidorami i szynką. Farrell dodał specjalną mieszankę ziół i przypraw, którą zdobył od boliwijskiego prawnika w zamian za słowa "Ody do Billie Joe" i podał omlet panu McIntire na papierowym talerzu ze szlaczkami z różowych i niebieskich królików.

Pan McIntire zjadł połowę omletu i nagle bez słowa, ze skurczonymi nerwowo ramionami, odsunął talerz. Całe popołudnie nie odstępował Farrella na krok. Opowiadał mu ponurym szeptem o sufletach z grzybów i wątróbek z kurczaka.

- Nigdy nie miałem zamiaru skończyć na prowadzeniu takiego miejsca - przyznał. - Wiem, jak przygotować wołowinę po burgundzku czy karmelki. Bubble-and-squeak\*. [\*Bubble-and-squeak - potrawa z mielonego mięsa, smażonych ziemniaków i kapusty.] Przypomnij mi, pokażę ci, jak zrobić bubble-and-squeak. To angielska potrawa. W czasie wojny chodziłem w Portsmouth z jedną angielską dziewczyną. Miałem zamiar otworzyć restaurację w Portsmouth, ale zerwaliśmy.

- Mój słynny błąd - powiedział Farrell tego wieczoru do Bena i Sii. - Wszczynanie zamieszania wśród miejscowych. On już opowiada o poprawianiu menu, w nadziei że uda mu się przemycić trochę prawdziwego gotowania pomiędzy Olbrzymie Udka, nim Disney zaskarży ich o odejście od pierwotnego zamysłu i pośle prosto do Krainy Bankructwa. Żadnych więcej omletów dla pana McIntire.

Nastroił lutnię i zaczął grać galliardę\* [\*Galliarda - ognisty taniec popularny w XVI i XVII wieku.] Holborna, ale milczenie Sii sprawiło, że sfalszował pierwsze takty i przestał grać.

- To mogłoby ci się spodobać - powiedziała, gdy odwrócił się do niej. - Praca dla człowieka, który mimo wszystko jest niezadowolony, który nie potrafi do końca pogodzić się z dziadostwem. Co może być lepszego, jeśli masz już dla kogoś pracować?

- Nie - zaprzeczył stanowczo Farrell. - Nie ja. Gdy mam kucharzyć to kucharzę, a gdy jestem szefem kuchni, to zupełnie inna sprawa. Nie mam nic przeciwko angażowaniu się, ale lubię wiedzieć, czego się po mnie spodziewają. W przeciwnym razie trudno się połapać i musiałbym o tym myśleć, co przeszkadza muzyce.

Sia wstała ruchem tak stanowczym, że zatarł on zupełnie wspomnienie o tym, by kiedykolwiek siedziała. Mówiła nadal cichym i rozbawionym głosem, ale po tygodniu Farrell już wiedział, że Sia rusza się szybko tylko wówczas, gdy jest zła.

- Farmazon - rzuciła, po czym wyszła z pokoju. Farrell spodziewał się, że zaraz zobaczy jak lampy, dywaniki i stereo podążą za nią w podskokach, a pianino odpłynie, niesione wolno z prądem. Wszystkie struny lutni ponownie się odstroiły.

Farrell usiadł z instrumentem na kolanach. Zastanawiał się, czy w języku greckim było podobnie brzmiące słowo. Chciał zapytać o to Bena, ale spojrzał na jego trzęsące się ramiona, niedostatecznie skryte za ponadwymiarowym albumem o sztuce i dał spokój. Zamiast tego nastroił ponownie lutnię i zabrał się do "Lachrimae Antiquae". Pierwsze takty wyszły mu nieco zgrzytliwie, ale potem było już dobrze. Salon Sii był bardzo dobrym miejscem do grania pawany.

Gdzieś w głębi domu Sia stała nieruchomo. Farrell wiedział o tym, choć wzrok miał skupiony na swej falującej z rzewną gracją lewej dłoni. Podobnie, jak wiedział bez podnoszenia oczu, kiedy Ben odłożył książkę. Na dworze Briseis skamlała w ciemności pod kuchennym oknem. Basy zwalniały idealnie, przygotowując jego ścięgna niemal o ból, balansując, wędrując po jego nerwach, niczym wysokie napięcie, podczas gdy soprany tańczyły na czubku jego głowy i popiskiwały mu pod skórą policzków. Pomyślał o Ellen i była to myśl życzliwa. Jestem miły, gdy gram. Naprawdę miły ze mnie gość, gdy gram.

Skończył i podniósł wzrok. Obok Bena stała Sia, jedną rękę położyła mu na ramieniu, a drugą powoli rozplatała swój długi warkocz. Farrell poczuł, że ma zimne dłonie i usta.

- Czasami mi wychodzi - odezwał się.

Sia nie odpowiedziała, ale Ben uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze grałeś - powiedział i przysunął Farrellowi do ust wymagany mikrofon. - Panie Farrell, czy zechciałby pan opowiedzieć nam nieco o technice niezbędnej do właściwej interpretacji muzyki Dowlanda?

To była stara gra, nie bawili się w nią od czasu jego przybycia. Farrell nadał swej twarzy swobodny, głupi wyraz.

- To ja grałem Dowlanda? O rety, zawsze myślę, że to ten drugi Anglik, wiesz, no, jak mu tam? William Byrd, tak. Jesteś pewny, że to nie był William Byrd?

- Wszystkie rodzaje tej czarownej muzyki brzmią dla mnie tak samo - odparł uprzejmie Ben. - Panie Farrell, a co pan powie o swoim legato? Jestem pewny, że każdy młody lutnista w kraju pali się do poznania sekretu wydobywania tak jedwabistego, płynnego, zmysłowego legato.

- No jasne, że by chcieli - odparł Farrell, dusząc się ze śmiechu. - Powiedz im, że mogą się ugryźć. - Wstał, aby pójść do łóżka. Był już prawie przy schodach, gdy Sia zawołała cicho:

- Panie Farrell. - Nie poruszyła się, ale w wyciągniętej ku niemu ręce z powagą proponowała mu swój mikrofon. Królowa Wiktoria z trójzębem, pomyślał Farrell. Twarz znajdującego się tuż obok niej Bena na krótką chwilę znowu była twarzą z metra, delikatną i bez ostrych rysów. Wydawało się, że lada moment prychnie z zakłopotaniem na grubą, misiową kobietę w długiej sukni. Ciało jej wyciągniętej ręki obwisało niczym deszczowa chmura.

- Panie Farrell - powtórzyła. - Czy mógłby pan, proszę, powiedzieć naszym słuchaczom, ile kosztuje pana takie granie? Z czego musi pan zrezygnować?

- Z karmelków - odparł i ruszył w górę schodów. Na szczycie odwrócił się, choć planował tego nie robić. Nie patrzyli na niego, ale na siebie. Sia uniosła swą smagłą twarz jasnowidza ku twarzy Bena z blizną, a jej żywe jak srebro włosy spłynęły na dół. Z miejsca, w którym stał Farrell, wypukłość jej brzucha wyglądała równie elegancko, jak łuk jego lutni. Jak to może wyglądać w ich wydaniu? Po raz pierwszy próbował sobie wyobrazić, jak przesuwa się ciężar jej piersi, układających się miękko jak wydmy. Zastanawiał się, na jakie sprośności mógłby sobie pozwolić ten przekorny głos. Nie można myśleć o tym, bo to prowadzi do szaleństwa. Uśmiechnął się, otrząsnął z owych myśli i poszedł do łóżka.

Tej nocy czuł, jak się kochali. Ich sypialnia była w drugim końcu domu. Jedynym dwuznacznym dźwiękiem, jaki do niego dobiegał, było płaczące skomlenie Briseis pod ich drzwiami. To było zrozumienie wykraczające poza krzyki czy skrzypienie sprężyn, świadomość tak mocna, że usiadł, pocąc się w ciemności, czując zapach jej rozkoszy i śmiech Bena na swej skórze, jakby pochwycono go z nimi w łóżku. Próbował znowu zasnąć, ale grzeszne myśli napływały ku niemu ze wszystkich stron, rzucając nim po łóżku, jak kamykiem niesionym falą powodzi. Zawstydzony i przerażony, zagryzł usta i skulił się. W końcu wyrwał mu się krzyk, gdy jego ciało zdrząło z pragnienia, odpowiadając bezradnie na obcą rozkosz. Zaraz potem zasnął i śnił, że króliczek z baru ma wobec niego mordercze zamiary. Z neonowych ślepi buchały mu płomienie. Nie przestawał nim potrząsać i wrzeszczeć:

- Jesteś szpiegiem! Jesteś szpiegiem! I we śnie nim był.

Przy śniadaniu Ben poprawiał prace egzaminacyjne. Sia siedziała z gazetą przy kuchennym oknie wychodzącym na zatokę i jadła swoją ulubioną poranną mamałygę z jogurtu, miodu, mango oraz płatków. Śmiała się cicho z dowcipów rysunkowych. Jedyny raz, gdy przytapała na sobie spojrzenie Farrella, poprosiła go o filiżankę ziołowej herbaty. Drzemała, gdy wychodził do pracy. Szarobury perski kot przeciągał się na słońcu, a Ben z trzaskiem łamał ołówki, klnąc na nieuctwo studentów.

Tak, to doprowadzi do obłądu.

We frontowych drzwiach dosłownie wpadł na Suzy McManus. Niebezpiecznie łatwo było jej nie zauważyć; zajmowała tak niewiele miejsca i tak cicho. Drobną kobietką, niemal kościstą, o bladych oczach, skórze i włosach, miała głos, którym zwracała się tylko do Sii i był on równie anorektyczny, pozbawiony wszelkiej modulacji, jak ona sama. Jedynie w rozmowach z Sią Suzy zaczynała nabierać koloru. Za każdym razem, gdy Farrellowi zdarzyło się widzieć je śmiejące się, z zaskoczeniem uprzytamniał sobie, jaka była młoda. Postanowił sobie, że sam rozśmieszy Suzy, ale udawało mu się jedynie skłonić ją do odezwania się, choć z jej mamrotliwych odpowiedzi na jego dowcipy i pytania niewiele zwykle rozumiał. Tym razem łapiąc ją, by nie upadła, pozwolił sobie na mały flirt.

- Suzy, już po raz trzeci wpadasz mi pod nogi. Czy będę mógł cię teraz zatrzymać? Suzy odpowiedziała mu z absolutną powagą swym zwykłym, przygnębnym szeptem.

- Och, nie, na to potrzeba o wiele większego stratowania.

Opuściła głowę, jak miała w zwyczaju i odwróciła się tak, że spojrzała niemal prosto na niego, a jednak Farrell nigdy nie widział jej oczu. Potem zniknęła, co było jej kolejnym zwyczajem. Przemknęła obok niego do kuchni, ale ślad po niej rozpułnął się w powietrzu, nim dotarła do drzwi. Farrell miał bardzo zły dzień w barze.

Większość swego dorosłego życia spędził na wyszukiwaniu nowych miejsc do mieszkania. W innym mieście nie miałby wygórowanych oczekiwań. Ale jego wyobrażenie o Avicennie miało dziesięć lat i pełne było słonecznych pokoi, kwiatów, podniszczonych domów, w których mieszkali wszyscy jego przyjaciele. Tydzień zajęło mu odkrycie, że niemal wszystkie z ukochanych miejsc, gdzie upijają się, zakochiwał i bujał w obłokach, zamieniły się teraz w parkingi albo budynki uniwersytetu. Tych kilka, które pozostały, były szczęśliwie niezmiennymi

ione, nie licząc czynszu, który wzrósł czterokrotnie. Farrell postać dłuższą chwilę pod oknem dawnego pokoiku Ellen na porośniętym fuksjami podwórku. Wiedział, że już od dawna tu nie mieszka, w przeciwnym razie nigdy nie złożyłby tej wizyty, ale tu w grę wchodziła kwestia ciągłości.

- Istniało tak wiele dobrych miejsc - powiedział do Bena. - Czasami nie pamiętało się, w czym znajdowało się domu, wszystkie wydawały się tak samo dobre.

- To były rudery - odparł Ben. - Byliśmy po prostu zbyt naprani, by to wówczas zauważyć.

- Naprawdę? Po prostu złota młodzież. - Farrell westchnął. Byli sami w szatni przy basenie, rozbierali się, by popływać. Ben lubił przychodzić tutaj przynajmniej dwa razy w tygodniu, po wieczornych wykładach. - Pomimo tego tęsknię za nimi, za tamtymi czasami - dodał Farrell.

Ben rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Cholera, ty tęskniłeś za wszystkim, nawet gdy jeszcze trwało. Po prostu błądziłeś myślami wstecz, przypadek najsilniejszej nostalgii na Zachodzie. - Wepchnął skarpetki do butów i wstawił buty do szafki. Skupiona, delikatna gwałtowność tego ruchu przywiodła Farrellowi na myśl leoparda wciągającego zdobycz na drzewo. Ben zawsze był zwodniczo silny, efekt sumiennych ćwiczeń, ale jego siła zdawała się nabyta, pożyczona na daną okazję, nie był to przypadkowy zapach. - Chodź, zarób na piwo.

Farrell dobrze pływał. Ben nauczył go za dawnych lat tego wszystkiego, co delfin może przekazać

o poruszaniu się w wodzie. Przez pięć długości nawet trzymał przyzwoicie Bena tempo, na szóstej zaczął zostawać z tyłu, potem usiadł na brzegu ze zwieszonymi nogami i przyglądał się, jak jego przyjaciel pokonuje basen tam i z powrotem, młóćąc wodę krótkimi, płaskimi cięciami, a głowę obracając tylko nieznacznie dla zaczerpnięcia oddechu. Ze zdumieniem jednak Farrell spostrzegł, że raz czy dwa Ben zgubił się. Bił na oslep rękoma i chwycił gwałtownie powietrze w momencie panicznego strachu. Farrell uznał, że to była jedna z tajemniczych gier, w jakie Ben lubił grać sam ze sobą, gdyż zwykle natychmiast odzyskiwał płynność ruchów i płynął dalej, pewnie jak zawsze. Za drugim razem wspiał się na brzeg basenu i podszedł do Farrella, otrząsając się z wody.

- Przepraszam - powiedział. - To miał być komplement - dodał. - Ty zawsze miałeś takie poczucie straty. Byłeś sentymentalny, zanim jeszcze weszło to w modę, jeszcze przed wielorybami

1 starszuchami. Pamiętam, że wiedziałeś o wszystkim, co gdziekolwiek zaasfaltowano, zburzono lub zamknięto. To nie była nostalgia, to była żałoba. Nadal to robisz?

Farrell wzruszył ramionami.

- Trochę tak. Trochę nie. Jestem za stary, by tropić swe zawiedzione nadzieje.

- To szlachetne powołanie. - Siedzieli na brzegu basenu, rozmawiając cicho. Strumienie wody z otworów wlotowych uderzały o ich zwisające nogi, a za siatkami okien migotały na wzgórzach światła Avicenny. Ben zapytał, czy Farrell spotkał jakichś starych znajomych.

- Trochę to straszne. Połowa z ludzi, których znałem, nadal kręci się po Parnell, chodzi na wykłady z antropologii i baluje na imprezach. Przesiadują teraz w innych kafejkach, ale to te same twarze. Nawet w tym nowym miejscu przy Południowej Czterdziestej zawsze znajdzie się ktoś, kto chce, bym wpadł do niego i zagrał "Fishing Blues".

Ben kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Ludzie trzymają się kurczowo Avicenny. To miasto jest pułapką dla typów wiecznych studentów.

- Mam chandrę. Przyjechali tu robić stopnie naukowe, a skończyli na podkradaniu ze sklepów. Handlowaniu. Wszyscy, którzy chcieli się wymigać od poboru w 1961, obłali egzamin na taksówkarzy.

- Oczywiście - powiedział cicho Ben - w życiu przychodzi taka chwila, gdy wszyscy zaczynają wyglądać znajomo. - Farrell spojrzął w jego stronę. Ben drapał i pocierał szyję. Jeszcze jedno z przyzwyczajień znudzonego, uprzejmego, sardonicznego chłopca, który przybłąkał się znikąd, by tkwić z nim dla towarzystwa. - Szkoda, że nie oblałem ustnych.

- Ty nie potrafisz zawalić testów - odparł Farrell. - Nie wiedziałbyś jak.

- Bardziej po co. - Ben pochylił się, kreśląc na wodzie palcami nóg wciąż na nowo jakby zarys Sii.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał Farrell. Ben nie odwrócił się.

- Jestem tu szychą, Joe. Haruję jak dziki osioł, ale wiedzą, kim jestem. Za rok dadzą mi stałą posadę i tytuł profesora, pozwolą mi robić, co zechcę. Ponieważ poważnie podchodzę do sprawy. Ponieważ jestem cholernie pierwszorzędnym nauczycielem literatury islandzkiej. Po tej stronie Gór Skalistych jest może jeszcze ze trzech innych. Jestem tu asem.

- To po co to całe gadanie?

Ben ścisnął krawędzie basenu, wpatrując się w wodę pomiędzy nogami.

- Lubię swoich dwóch studentów i jednego absolwenta - powiedział obojętnie. - Nie, niech będzie, dwóch absolwentów. Zaczynam zaniedbywać konsultacje, wdaję się w sprzeczki z ludźmi na zebraniach, gdy już się na nich pojawiają. I jeszcze ta książka, którą powinienem napisać o stylu i sposobie wystawiania się w późnej poezji

skaldów. Na wydziale toczy się piekielna wojna, a ja zwykle nie pamiętam, po której powinienem stać stronie. Czasami wiem, a to jeszcze gorzej. To naprawdę nie jest zbyt zabawne.

- No cóż, w przyszłym roku pewnie będzie o wiele lepiej - Farrell sumiennie próbował go pocieszać. - Jak powiedziałeś, gdy już dostaniesz stałą posadę, dadzą ci spokój. Pozwolą, byś sam wypisywał sobie bilet.

- Bilet dokąd? - Znajome, łagodne, przenikliwe spojrzenie zatrzymało się na Farrellu; spostrzegł, że cienka blizna pod okiem Bena nabrzmiała, zdając się poruszać jak mięsień. - Nie myślę, żeby było lepiej - stwierdził Ben. - Nudę potrafię znieść, ale nienawidzę poczucia nadętości. Nie cierpię myśli, że robię się podły. Joe, nie o to mi chodziło.

- Nie wiedziałem - odparł Farrell. - Nigdy dużo nie mówiliśmy o tej części twego życia, nigdy mi nie napisałeś, jak się rzeczy mają. Myślałem, że to jest to, czego pragnąłeś, konferencje i tak dalej.

- Och, pragnienia to co innego - Ben ścisnął Farrella za ramię, nie mocno, ale nagłość tego uścisku sprawiła, że kości skurczyły mu się ze strachu. - Dostałem to, czego pragnąłem i pewnie nadal tego pragnę, jak znam te czasy. Ale chodziło mi o coś innego. - Wpatrywał się w Farrella przymrużonymi oczyma, wymagając, by zrozumiał, jakby znowu uczył go chemii. - Nie to miałem na myśli.

Drzwi rozchyliły się z westchnieniem i obaj odwrócili się. Wszedł wysoki, nagi, siwowłosy mężczyzna. Zatrzymał się po przeciwnej stronie basenu i utkwiał w nich spojrzenie. Miał masywną, kostropatą twarz, która przywodziła Farrellowi na myśl misy kamiennych winogron i bananów w ogrodach Scotia Street.

- Przeptyń kilka długości, chcę ci się przyjrzeć - powiedział szorstko Ben.

Siwowłosy mężczyzna zawołał z tak osobliwym szkockim akcentem, jakiego Farrell nigdy nie słyszał:

- Na krzyż Pański, zaprawdę, toż to dziedzic Egil Eyvindsson z Norwegii!

Farrell poszedł na koniec basenu i skoczył do wody. Zanurkował za głęboko i prawie całą długość basenu zajęło mu odzyskanie płynności ruchów. Przy każdym odwróceniu głowy widział siwowłosego mężczyznę. Szedł w kierunku Bena z ramieniem wyciągniętym w powitalnym geście. Ślizgał się niepokojąco na kafelkach. Usiłował utrzymać równowagę, ale nie próbował się niczego uchwycić, więc posuwał się coraz bardziej chwiejnym krokiem. Promieniał majestatem. Jego szarmancki okrzyk przypominał turkot drewnianych kół na mokrym drewnianym moście.

- Bądź pozdrowiony, Egilu! Szukałem cię od południa! Nowiny o księciu Claudio!

Farrell płynął wolno z powrotem, bulgocząc w wodzie z uciechy. Gdy podpłynął do nich, siwowłosy mężczyzna spoglądał rozpromieniony na Bena, dudniąc i bucząc gardłowym głosem.

- Mam je od dziedzica Mortona z Shaws. No tak, wiem, powiesz zapewne, że nigdy nie obchodziła go nasza drużyna...

Ben drapał się po szyi.

- Jak mi poszło? - zapytał Farrell.

Siwowłosy mężczyzna ani nie okazał zaskoczenia, ani nie odwrócił się.

- Źle pracujesz nogami - odparł z naciskiem Ben, po czym zwrócił się do siwowłosego: - Crof, poznaj mojego najstarszego przyjaciela, Joe Farrella. Joe, Crawford Grant, Crof.

Farrell wyciągnął z wody rękę, czując się trochę jak Pani z Jeziora.

- Miło mi cię poznać. Ben sporo mi o tobie mówił - powiedział Crof Grant z czystym amerykańskim akcentem i zdecydowanie uściśnął mu dłoń, ale zdawało się, że nie widział Farrella. Na jego twarzy nie było nawet najmniejszego śladu zainteresowania Farrellem, przekonania w ciemnej dłoni, iż zamknęła się na czymś materialnym. Farrell aż zadrzał w obawie o własną obecność, wobec tak pogodnego zaprzeczenia swego istnienia.

Crof Grant odwrócił się spokojnie do Bena.

- Z tej też przyczyny daję wiarę jego opowieściom o tym, że książe Claudio coraz więcej łask okazuje dziedzicowi Seneschal. A jeśli Claudio odejdzie, zabierze z sobą najlepszych ludzi króla Bohemonda. Możesz sobie kpić, Egilu, ale jeśli Claudio jest za Garthem, to wojna skończy się, i pamiętaj, że to ja powiedziałem. - Mówił jeszcze długo, ale Farrellowi większość z tego umknęła. Joe wisiał w wodzie, opierając się łokciami o brzeg basenu, zachwycony i uradowany, że dobrotliwie anihilujące spojrzenie odwróciło się od niego.

- Gdzieś się zarazil tym machaniem nogami zgiętymi w kolanach? Dwa lata trwał nim nauczyłem cię pracy całymimi nogami, a teraz leżysz tu i chlapiesz kolanami. Spróbuj jeszcze raz, Joe, to było zupełnie idiotyczne.

Grant nie przestawał mówić. Farrell płynął powoli wzdłuż brzegu basenu. Starał się skoncentrować wyłącznie na poruszaniu nogami od samych bioder i na wyczuwaniu naporu na ramiona. Średniowieczna mamrotanina Crofa Granta odbijała się od fal pod jego policzkami i mokrych kafelków.

- Tak, tak, Bohemond będzie nosił koronę nie dłużej niż do turnieju, ale co z tego? - Ponownie zachichotał stłumionym głosem. - Egil, chłopie, wyśmienicie radzisz sobie z toporem, ale nadal brak ci dworskiej przebiegłości.

Dwa razy Farrell słyszał wyraźnie, jak siwowłosy mężczyzna powiedział: "To małej dziedziczki wszyscy się lękają. Powiem ci wprost, sam boję się tej dziewczyny, z każdym dniem bardziej". Nie dosłyszał jednak, co Ben odpowiedział.

W końcu Grant wskoczył do basenu i popłynął. Sapał i wysoko unosił pierś przy każdym ruchu. Ben przywołał Farrella skinieniem dłoni. Ubrali się prawie bez słowa. Farrell tylko raz zapytał:

- Czego Grant uczy?

- Historii sztuki - odparł Ben, nawet na niego nie patrząc. W zielonożółtym świetle okratowanych żarówek delikatna blizna płonęła rudo.

Podczas ostrej, milczącej jazdy do domu Farrell opuścił oparcie swego fotela, wyciągnął nogi, przymknął oczy i mruczał sobie "I Belong to Glasgow". W końcu Ben westchnął gniewnie.

- Tak się ciągle wygłupiamy z Grantem - powiedziała. - Kilka lat temu spotkaliśmy się na balu kostiumowym. Ja byłem przebrany za skalda wikingów, a Grant był kimś w rodzaju szkockiego banity, prawdziwego górala domowej roboty. Zawsze przebierał się za niego, na długo przedtem nim tu przybyłem. Ma w swoim biurze półkę ze starymi mieczami i łązi po miasteczku, recytując pod nosem stare treny. Mówią, że na zebraniach potrafi być ekscytujący...

- A ci wszyscy ludzie, o których mówił - odezwał się Farrell. - To przypominało apel w Lesie Sherwood.

Ben rozejrzał się na boki. Auto weszło w jeden ze słynnych avicenskich zakrętów. Niewiele było tu ulicznych latarni i samochod przepemniały cierniste, pachnące cienie jaśminów, powojników i akacji.

- Mówiłem ci, on się tak zachowuje prawie zawsze. Kiedyś przerywał na czas zajęć. Ostatnio jednak doszły mnie słuchy, że nie wypada z roli nawet podczas wykładów. Kazdemu nadał jakieś imię i gdy zaczyna mówić o wydziałowej polityce, oczekuje, że wiesz kogo ma na myśli. I o tym była ta cała gadka o królu, wojnie i w ogóle. - Uśmiechnął się. - Rzekłbym, że w istocie pewnego blasku przydaje to walkom o to, kto ma uczyć studentów pierwszego roku w tym semestrze. Dzięki temu bardziej przypomina to krucjatę niż zapasy w błocie.

- On nazwał cię Egilem - powiedział Farrell. Ben kiwnął głową, pocierając dłonią usta.

- Egil Eyvindsson. To imię, którego użyłem na balu. Egil był największym z islandzkich skaldów, w tym samym czasie żył też człowiek imieniem Eyvind Plagiator. Profesorskie zabawy. Żaden z nich nie odezwał się, dopóki nie zaparkowali na podjeździe. Ben zgasił silnik i siedzieli w milczeniu, spoglądając na ostre szczyty i pagodowate wygięcia dachu werandy.

- Ile jest okien po tej stronie domu? - zapytał od niechcienia Farrell.

- Co takiego? Nie wiem. Dziewięć, dziesięć.

- Tyle było wczoraj - odparł Farrell. - Wczoraj było dziewięć, dzisiaj jest jedenaście. Nigdy dwa razy nie pojawiają się w takim samym układzie.

Ben gapił się na niego przez chwilę. Potem odwrócił się, by ponownie przyjrzeć się domowi.

- Wczoraj jest ich zwykle więcej - powiedział Farrell. - Nie mam pojęcia, czemu tak jest.

- Jedenaście - odezwał się Ben. - Jedenaście okien, wliczając to coś w spizarni. - Uśmiechnął się do Farrella i otworzył drzwiczki samochodu. - Pamiętasz, ile razy spadłeś z tych ostatnich schodków w piwnicy mojego domu, gdy byliśmy dziećmi? Tyle lat, a ty nigdy nie potrafisz zapamiętać ile ich było, ciągle nie trafiałeś nogą tam, gdzie trzeba. Jedenaście okien, Joe.

Był już w połowie drogi do domu, nim Farrell wysiadł z samochodu. Frontowe drzwi otworzyły się przed Benem, choć nikt za nimi nie stał.

- One się nieco przesuwają - zawołał głośno Farrell, idąc za nim. - Tylko trochę, ale to niepokojące.

Ben wszedł do domu, nie odwracając się. Ciepłe, żółte światło otoczyło go, przyjęło i połączyło.

4.

Kilka wieczorów później opowiedział Sii o Crawfordzie Grancie. Ben był na zebraniu rady wydziału. Sia siedziała na fotelu z gazetą rozłożoną na kolanach i w kawałku ciemnego drewna rzeźbiła kobiece kształty.

- S łyszałam o nim - powiedziała. - Przypomina połowę moich klientów. Wydaje im się, że byłiby szczęśliwsi w innych czasach i innej cywilizacji. Nieustannie szukają pomocy gwiazd, kart, mediów i ich wirujących talerzyków, by odnaleźć swój prawdziwy dom. Zagraj jeszcze raz to, co tak lubię.

Farrell przestroił lutnię i rozpoczął galliardę Le Roya, która obecnie była jej ulubionym utworem. Uwielbiał ćwiczyć w salonie. Wysoki sufit nie tłumił dźwięków, a małe dywaniki ich nie pochłaniały i wydobywane tony były mocne i lekkie niczym groty strzał.

- Odwiedzają mnie głównie ludzie nie stąd. Ty też może jesteś wyrwany z jakiegoś urojonego miejsca.

Galliarda, grana zbyt szybko, rozchwiała się i próbowała teraz odzyskać równowagę, podobnie jak dziecko zbiegające z górki. Farrell zaczął jeszcze raz. Sia nie podnosiła oczu znad swej roboty, ale on zaczął wierzyć, że zmysły owej kobiety nie były takie same jak u innych ludzi. Jej żywe włosy obserwowały jego dłonie poruszające się po lutni, gdy głowa była pochylona. Podejrzewał, że robił to również smagły, zaskakująco delikatny nadgarstek, gdy wodziła dłutem po drewnie, jakby pieściła dziecko. Myśląc o tym, ponownie pozwolił, by melodia straciła płynność i ze złością uciszył dłonią lutnię.

Sia uniosła głowę. Spodziewał się, że zapyta, czy go nie rozpraszała, ale ona powiedziała tylko:

- Coś niedobrego dzieje się z twoją muzyką.

- Nie ćwiczyłem zeszłego wieczoru. Przy tego rodzaju muzyce wystarczy odpuścić sobie dzień i zaraz to wi-  
dać.

Sia pokręciła głową.

- Nie to miałam na myśli. Twoja muzyka jest piękna, ale nie ma określonego miejsca, należy donikąd. -  
Farrell czuł, jak twarz mu tężeje i rumieni się, nim jeszcze dodała: - Twoja muzyka jest jak ty, Joe.

Farrell obrócił to w żart.

- No cóż, muzyka na lutnię przynależy wszędzie tam, gdzie jest dobra akustyka. Zawsze o tym pamiętam,  
gdy zabieram się do grania.

Sia ponownie pochyliła się nad rzeźbą. Uśmiechała się, pokazując ładne, białe zęby oddzielone małymi  
szparkami.

- Tak - powiedziała - tak, jesteś mistrzem w mieszkaniu w domach innych ludzi. Farrell usiłował wygładzić  
galiardę i teraz przestał grać po raz trzeci.

- To nic złego - ciągnęła dalej Sia. - Naprawdę całkiem miło obserwować, jak krab pustelnik dopasowuje się  
do pustej muszli. Potrafisz dopasować się do każdego otoczenia.

- Tak robią kameleony - odparł Farrell. Przetarł ściereczką gryf pod strunami i z przymrużonymi oczami  
sprawdził mocowanie strun. Lutnia westchnęła w jego dłoniach, odpowiadając na jego rozdrażnienie.

Sia roześmiała się.

- Ale ty jesteś w tym taki dobry. - Nóż nawet na chwilę nie przestawał żwawo śmigać. -Sposób, w jaki grasz  
każdego wieczoru po zmywaniu naczyń. Musielibyśmy ci chyba połamać ręce, żebyś nie zmywał naczyń. I to, jak  
zawsze przynosisz coś ekstra w czwartek lub piątek, wino, lody, ser, paszтет. Nigdy czereśni, odkąd tylko powiedz-  
iałam ci, że bolą mnie od nich usta. Pamiętasz o wszystkim.

Farrell wstał, ale ona ruchem głowy nakazała mu ponownie usiąść.

- Och, Joe, nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie. Twój radar jest zupełnie w porządku; nadal jesteś tu  
mile widziany; możesz pozostać, jak długo będziesz chciał. - Przestała się śmiać, ale rozbawienie nadal  
rozjaśniało jej głos, sprawiając, że słowa mrugały do siebie porozumiewawczo. -Dobrze na Bena działasz i lubię  
cię, a po trzech tygodniach już przyzwyczałam się do twoich drobnych prezentów i twojej muzyki każdego wiec-  
zoru. Jeszcze tydzień i zrobisz się niezastąpiony.

- P owiniem znaleźć sobie miejsce do połowy miesiąca - odparł Farrell. - Jutro ma zadzwonić do mnie  
pewien gość.

Rozległo się pukanie, ciężkie i wolne. Niosło z sobą stłumioną moc, od której cały dom zadygotał boleśnie.  
Sia podeszła do drzwi.

Rzeźba przedstawiała kobietę wyrastającą z drzewa niczym jakaś urocza narośl. Wystawała z pnia od ud po  
ramiona. Jedno kolano miała zgięte, tak że tylko palcami stopy dotykała drzewa, ale jej włosy dopiero zaczynały  
się wyłaniać, a ręce nadal tkwiły w drewnie po nadgarstki. Farrellowi zdawało się, że widzi je, odchylone jakby  
przeświecały przez wodę. Kobieta nie miała oczu.

Sia wróciła i Farrell odłożył rzeźbę. Za nią szedł niski mężczyzna w brudnym okryciu.

- Powiedz Benowi, że jestem z klientem - rzuciła, przystając tylko na chwilę w drzwiach.

Jej twarz płonęła gniewem; to sprawiało, że wyglądała młodziej. Mężczyzna zajrzał do pokoju i cofnął się  
na jego widok, na widok wszystkiego, zupełnie tak samo jak pewien pacjent, którego Farrell widział kiedyś w  
szpitalu. Był tak okropnie poparzony, że najmniejszy ruch powietrza w jego otoczeniu był dla niego jak ogniowa  
burza. Mężczyzna nie był wyższy od Sii, ale plecy miał niemal groteskowo szerokie i grube. Chodził dziwnie,  
stawiając ciężkie kroki płaskostopowego niczym jastrząb stąpający po ziemi. Farrellowi mignął widok obwisłych ust  
pod sztywnym, rudym wąsem, bladą różową skórą i małych, żółtych oczek, zamglonych przerażeniem.

Z melodii tymczasem zdążyła się zrobić zupełna sieczka, a fantazja Robinsona, którą Farrell spróbował  
zagrać, wyszła równie mętnie. Dał więc sobie spokój na ten wieczór z melodiami i wrócił do szesnastowiecznych  
palcówek. Dawały mu komfortowe poczucie robienia czegoś płynnie i pozwalały pomyśleć o niskim mężczyźnie i  
innych przerażonych ludziach, którzy przychodzili odwiedzić Się.

Zawsze mówiła o nich: klienci. Nie było pewniejszego sposobu na rozgniewanie jej, jak nazwanie ich  
pacjentami. Farrell przypuszczał, że w większości to sfrustrowani studenci, ale okazało się, iż byli wśród nich  
prawnicy i dozorca parkingowi, instruktorzy tańca, pielęgniarze i emerytowani policjanci. Kilku sprawiało  
wrażenie równie zamkniętych w sobie jak Suzy McManus. Większość z nich mijała Farrella na schodach z wy-  
muszonym uśmiechem na ustach. Nocne wizyty nie były niczym zaskakującym. Sia miała wprawdzie określone  
godziny urzędowania, ale Farrell szybko przyzwyczaił się do głosów dobiegających z pokoju obok, krzyżujących  
się ze wszystkich stron jego snu. Głos Sii sprowadzał na niego sny o oceanie, krzykach ptaków na pokładzie i  
ochrypłych narzekaniach szefa kelnerów. Farrell potrafił odróżniać te głosy po brzmianym w nich smutku.

Teraz jednak, wygrywając swoje tercje i kwinty, przysłuchiwał się głosowi żółtookiego mężczyzny z prze-  
konaniem, że nigdy przedtem go nie słyszał. Był głęboki i wolny, niemal cedził słowa i mówił z chwiejnym ryt-  
mem podchmielonego, co wprowadzało taneczny krok pomiędzy kilka rozpoznawalnych słów i zająknięcia nad



samogłoskami na końcach. Głos Sii, gdy odpowiadała, był pełny tej samej kulejącej melodii, tak kojący jak przerażony był głos mężczyzny, ale nie bardziej zrozumiały dla Farrella ani mniej niepokojący. Zmienił zamiar i zaczął grać "Mounsiers Almaine", tak pogodnie, jak tylko potrafił. Głos lutni wydawał mu się teraz śpiewem nieznanego.

Od tego wieczoru przestał szukać sobie mieszkania. Zaczai płacić za utrzymanie, wynajdując coraz to inne zabawne nazwy i powody dla cotygodniowych opłat. Przejął również stopniowo takie obowiązki, jak wieczorne wyprowadzanie Briseis. Owczarek tak szaleńczo go polubił, że sypiał tylko u niego w nogach. Farrell nadal przynosił do domu zagraniczne frykasy pod koniec tygodnia, czasami gotował kolację, pływał z Benem. Starał się nie zawadzać z wdziękiem, który wywoływał u Sii uśmiech. Nocą pomagał Benowi przy masakrach ślimaków w ogrodzie, przekonany, że słyszy jak okna chichoczą kpiąco za jego plecami, mrugając skrzydłami. Sam dom coraz bardziej wabił go i niepokoił. Pewne małe pokoje na górze zdawały się znikać i pojawiać, kiedy chciały. Wieszat swe ubrania i układał czystą pościel w garderobach, które nigdy nie zachowywały dokładnie tych samych rozmiarów. Mówił sobie, że ma zbyt wybujałą wyobraźnię i potrzebne mu okulary, z czego jedno i drugie było prawdą. Nigdy więc nie zobaczył żółtookiego mężczyzny.

Co jakiś czas dzwonił lub poświęcał kilka sobotnich godzin na jeżdżenie i sprawdzanie ogłoszeń, które wydawały mu się bezpiecznie nie wchodzić w rachubę. Nie spędzał już wolnego czasu na studiowaniu tablic ogłoszeń w centrach handlowych i kawiarniach. Zwykle pozwalał się unieść na Parnell, w poblize miasteczka uniwersyteckiego, tam gdzie chodniki robiły wszystko, by się nie spotkać, wijąc się w esy floresy dla ochrony wątłych drzew - drzewa mają w Avicennie pierwszeństwo - i ściskając cały ruch do pojedynczej, szaleńczo ruchliwej nitki. Tam siadywał na zewnątrz przepastnego miejsca, zwanego "Południową Czterdziestką", popijając caffe latte i wypatrując pojawienia się przebierańców.

Po raz ostatni Farrell mieszkał w Avicennie w czasach wariacko cudownych, gdy ulice roity się od wszelkich fantazji, krążących, piszczących i przetaczających się w całych konstelacjach. Dziewczyny na ludowo i chłopakami z gór, Zulusi, Beduini i niezliczeni wygodzeni Chrystusi, faceci w dwurzędówkach, zombie i Rasputini, piraci, lamowie, Indianie - teraz w większości zniknęli, zostawiając za sobą jedynie gromadę biznesmenów, dzieci o imionach Kosmos i Gwiezdny Podróżnik, a sporadycznie wyląg w postaci łysych, bladych, przyszczatych dewotów w szatach koloru puszgowanego tuńczyka. Farrell tęsknił za przebierańcami. Lubił dla nich grać, cokolwiek skrywały ich kostiumy.

Najdziwniejsze było to, że zawsze biegali wokół, pokrzykując na ludzi, by się obnażyli, by zdarli z siebie maski i pozwolili słońcu rozświetlić ich najbardziej sekretne oblicza, ich prawdziwe, śmiertelnie niebezpieczne i urocze ja. Chłopie, dla mnie im więcej kostiumów, tym lepiej, jeśli chcesz znać moje zdanie. Maski na masce, wizerunki niczym warstwy ciepłej bielizny, to bardziej mi odpowiada. Kostiumy ożywiały atmosferę, a pomimo tego pozwalały ci dokończyć ćwiczenia. Przy nagich ludziach wszystko to byłoby niemożliwe.

Dzień, w którym przestał pracować w barze - wczesna wiosna i nowa przystawka, zwana Smakowitym Zadkiem, okazały się kombinacją nie do zniesienia - Farrell spędził na poszukiwaniach pracy na budowie i kogoś, kto potrafiłby zrobić mu drewniany futerał na lutnię. Przed piątą dogadał się z pogodnym bengalskim stolarzem meblowym, więc z uczuciem błęgiego lenistwa i samozadowolenia wędrował do "Południowej Czterdziestki" na kawę i baklave. Wówczas to akordy Holborna, których nigdy nie udało mu się poprawnie uchwycić, nagle zaczęły mu się układać w całość.

O tej porze nigdy nie było wolnych stolików. Usiadł więc w pobliżu drzwi obok młodego człowieka w białych tenisówkach, wycierusach i szkarłatnej koszuli z mapą hawajskich wysp. Niebo pełne było brzuchatych chmur, ale powietrze kleiście ciepłe. Wydawało się, że pełne jest złocistych pęcherzyków, jak miód. o tej porze wszyscy idący po Parnell, począwszy od Amazonek z plecakami, po wytatuowanych niby motocyklistów, poruszali się z takim ociąganiem, jakby wędrowali przez miód.

Młodzian w hawajskiej koszuli nawet nie odwrócił głowy, gdy Farrell usiadł przy jego stoliku. Jednak gdy po chwili przyniósł sobie z kawiarni szklankę wody, zmierzył go ostrym spojrzeniem i odezwał się chrapliwym głosem z kentuckim akcentem.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz wypić tej wody. - Jego kwadratowa, bryłowata twarz poznaczona była bliznami po trądzi.

- Prawdę powiedziawszy, miałem taki zamiar - odparł Farrell. - Kawatek baklavy utknął mi w gardle.

Młodzian pokręcił gwałtownie głową i odsunął szklankę od Farrella.

- Niech pan tego nie robi. Ta woda jest zatruta. Ta woda to czysta trucizna.

Nadal ich przyciągam, pomyślał Farrell. To w każdym razie się nie zmieniło. Na pokładzie 747 może być jeden stary dziwak, a ja usiądę przy nim w czterech przypadkach na pięć, według niezależnego testu laboratoryjnego.

- Och, wiem o tym, ale wszystko jest trujące w tych czasach. Poddałem się, gdy zaczęli malować pomarańcze - odezwał się Farrell.

- Nie, proszę się nie poddawać - powiedział z przejściem młody człowiek. - Jeśli chce pan wodę, to powiem panu, gdzie jest na nią najlepsze miejsce. Inverness.

Rozparł się wygodniej na krześle i uśmiechnął, pokazując nakrapiane próchnicą zęby. Farrell kiwnął głową, ze wzrokiem utkwionym nad ramieniem młodzieńca. Moje oczy wpędzą mnie w kłopoty. Spójrz tylko mu prosto w twarz, a wiecznie już będzie za tobą łąził, gderając o kochaniu wszystkich stworzeń, dużych i małych.

- Inverness - odparł jednak. - Tak, słyszałem, że wokół Inverness jest dobra woda.

- Mają ją tam cały czas - zapewnił młodzian. - W Gilroy też. W Gilroy nie jest tak dobra jak w Inverness, ale może być. I w Arnold. Jest takie miasteczko Arnold, mają wspaniałą wodę, lepszą niż w Gilroy. - Jego oczy były ciemnoniebieskie, denerwująco niezmaczone i łagodne.

Farrell dopiero teraz spostrzegł pustą szklankę obok młodzieńca. Uniósł w zdziwieniu brew, ale tamten tylko uśmiechnął się jeszcze szczerzej niż zwykle.

- Nie piłem z niej wody. Proszę spojrzeć, jest sucha. Przyszedłem tutaj po szklanki. Rozejrzał się ostrożnie, po czym niezdarnym ruchem zgarnął szklankę ze stołu. Farrell usłyszał jak rozbija się, ale nie na asfalcie, na innym szkłe. Spojrzał w dół i zobaczył przy nodze chłopaka otwartą, pomiętą, papierową torbę na zakupy. W słońcu błyszczące kawałki piętrzyły się niczym migotliwa kupka śniegu.

- Jem szkło - wyjaśnił młody człowiek. - Całe to szkło zjem przez dwa, no może trzy, dni. Dwa kroki od nich trójka dzieciaków targowała się głośno o cenę prochu zdolnego powalić większe drapieżniki. Biały mężczyzna i czarna kobieta, oboje w średnim wieku, spacerowali bardzo powoli, trzymając się pod ręce, pozdrawiając znajomych nieznacznymi skinieniami głowy. Farrell widywał ich na Parnell każdego dnia, niezmiennie podobnie ubranych, czy to w garnitury z powycieranego, czerwonego aksamitu, czy ogrodniczki spłowiałe do koloru materacy z domu starców. Wiedział, że są okropnie biedni i szaleni, a jednak każdego popołudnia o tej porze spacerowali tutaj. Krok i postawa mężczyzny nadawały mu wspaniałe niebezpiecznego dostojęstwa góry lodowej, nosorożca, podczas gdy czarna kobieta przypominała kołyszące się, pomrukuje serce dzwonu z krynoliny i tafty. Wśród irańskich studentów, przy stoliku tuż za Farrellem, wybuchła właśnie szarpanina.

- To miejsce ma najgorszą wodę w Avicennie i najlepsze szkło - powiedział młodzian. - Zabawne, ale tak właśnie jest. Prawdziwej klasy szkło.

Farrell odchrząknął.

- Na twoim miejscu nie jadłbym tego szkła. Uważam również, że ty też nie powinienes.

- Dwa razy trafił mnie piorun - odparł młody człowiek. Farrell rozglądał się po Parnell z bolesną zawziętością. Bardzo pragnął wypatrzeć kogoś znajomego. - Jeden w plecy, drugi prosto w tył głowy - ciągnął dalej młodzian. - Dwa razy. - Znowu był pochylony nad stolikiem, a jego ciężki oddech zwilżał policzki Farrella. - To dlatego jem szkło. Dobre szkło, dużo kolorowego, jak z butelek po winie. Suche szkło, stare słoje przez lata stojące na słońcu. Jem to wszystko. Wzmianka o butelkach po winie przypominała Farrellewi, że był czwartek, dzień, w którym zwykle przynosił coś do kolacji dla Bena i Sii. Zaszurał krzesłem, przygotowując w duchu ucieczkę na pusty chodnik: pętla wokół Irańczyków, potem pomiędzy debatującym towarzystwem i dwiema kobietami grającymi na piłach Purcella. Przez myśl przebiegło mu, że pożytecznie by było nosić kapelusz lub coś w rodzaju aktówki. Kładziesz to na stole, gdy siadasz, a gdy podnosisz, nawet stary dziwak wie, że musisz iść. Jeszcze raz rozejrzał się po Parnell, z tęsknotą wzdychając za ulicznymi sprzedawcami, sklepami płytowymi i restauracjami znajdującymi się kiedyś w miejscu, gdzie teraz zaczynał się kompleks biurowców. Jestem samotny, pomyślał, ten czubek uczynił mnie samotnym. Co za głupia sprawa.

- A gdy już będę wypełniony szkłem - wysapał mu prosto w twarz młodzieniec - po czubek nosa, gdy przejdzie mi ono do krwi, kości i mózgu, wtedy wejść gdzieś, gdzie jest ciemno, i będę świecił! Jak jeden z tych obrazków, które robi się z kolorowych kamyczków, płytek, nie wiem, jak je nazywają...

- Mozaika - odparł automatycznie Farrell. Wtem Julia Tanikawa przejechała wolno na swym motocyklu obok kawiarni. Farrell wstał i ruszył za nią bez słowa, objijając się o stoliki.

Na przestrzeni kilku przecznic ruch prawie zamarł, jak zwykle późnym popołudniem na Parnell. Potężny, czarny motocykl posuwał się prawie z prędkością pieszego. Farrell, sam poruszając się jak maszyna, wdarł się na ulicę, ślepy i głuchy na wszystko, co nie było Julią. W drodze ku niej wytrącił z rąk pary młodych cudaków tablicę z miedzianymi broszkami, obił się o wózek z gorącymi preclami i przedarł się przez środek jakiegoś religijnego zgromadzenia. Nie przyszło mu do głowy, by ją zawołać.

Motocykl w zasadzie pozostawał w bezruchu. Julia zahamowała przed grupką ludzi pikietujących chyba przeciwko jeździe zderzak w zderzak. Farrell przerzucił nogę przez siedzenie motocykla, usiadł i lekko objął Julię w pasie.

- Akiko Tanikawa - odezwał się zawodzącym głosem demona Kabuki. - Nosisz się krótko i nie zażywasz rytualnych kąpeli. Nie dotrzymałaś słowa danego ośmiu milionom bogów Shinto. Beznoga śmierć przyjdzie do ciebie, gdy trawy usną i zwymyśla cię na ucho.

Julia westchnęła cicho i zeszywniała. Pojazdy przed nią jednak znowu ruszyły, zmuszając, by i ona pojechała dalej, nie oglądając się za siebie.

- Farrell, jeśli to nie ty, to masz wielkie kłopoty - rzuciła mu półgębkiem. Motocykl skoczył do przodu, niemal wymykając się spod Farrella. Joe zaskomlał, gdy rura wydechowa przypaliła mu kostkę.

- Czy to autobus do Inverness? - zapytał. - Chciałbym szklankę wody.

Julia wdusiła hamulce, tym razem bez widocznego powodu, i nos Farrella walnął z całej siły w twarde tył jej kasku.

- Ten autobus wypadł z rozkładu, kierowca ma tylko pięć dolarów drobnymi. Przy pierwszej okazji stłukę cię na kwaśne jabłko, Farrell. Jezu Chryste, nie robi się czegoś takiego, za kogo ty się uważasz?

- Za starego kumpla, skarbie - odpowiedział potulnie. - Który nawet nie wiedział, gdzie się podziewałaś przez te trzy lata. - Julia prychnęła, prześlizgując się obok nisko zawieszzonego kabrioletu, który blokował ruch, jak kamień w nerce. - Który tak ucieszył się na twój widok, że dał się, jakbyś to powiedziała, ponieść. - Umilkł, a po chwili dodał: - Podobnie jak kogoś cholernie poniosło, gdy mnie pewnego razu zobaczył. W Limie, nieprawdaz?

Julia zakręciła ostro w prawo, niemal kładąc motocykl na boku, jak zawodnik na wyścigach. Pognała dwie przecznice pod górę. Farrell zamknął oczy i przywarł do niej. Julia prowadziła wielką maszynę tak zręcznie, jakby to była miotetka do kurzu. Podjechała z rozpędem do krawężnika przed akademikiem, zgasiła silnik i zdjęła kask, po czym odwróciła się do Farrella.

- W Limie - powiedziała cicho. - Na targu.

Farrell zsiadł z motocykla. Julia ustawiła go na stopkach i stali oddaleni o długość motocykla, ostrożni i skrępowani, przyglądając się sobie. Zauważył, że pozwoliła swoim włosom ponownie odrosnąć poniżej ramion, do długości z czasów szkoły średniej.

- Przepraszam - powiedział. - Po prostu bardzo ucieszyłem się na twój widok. Przyglądała się mu jeszcze chwilę, potem zamrugwała, wzruszyła ramionami i roześmiała się. A jej śmiech przypominał wodę rozpryskującą się w blasku księżyca. Potem bez słowa rzuciła mu się w ramiona. Niemal zwała go z nóg - Julia należała do silnych kobiet i prawie dorównywała mu wzrostem - i to było jak najbardziej na miejscu, ponieważ to jedyny zwyczaj, jaki kiedykolwiek zdołali ustanowić, jeśli nie liczyć ich niespodziewanych spotkań w dziwnych miejscach. Przez ostatnie dziesięć lat Farrellowi często przychodziło na myśl - choć nigdy, gdy był z nią - że ze wszystkich wspaniałych rzeczy, które przydarzyły mu się z kobietami, te pierwsze szaleńcze uściski Julii Tanikawy po dłuższym okresie niewidzenia były chyba najlepsze. Biorąc pod uwagę fakt, że nie potrafiliśmy wytrzymać z sobą dłużej niż trzy dni.

- Właśnie o tobie myślałam - powiedziała. Odchyliła się na wyciągnięcie rąk, które wyprostowane wsparła na jego ramionach.

- Oczywiście - przytaknął Farrell z zadowoloną miną. - To dlatego, że cię przyzwałem. Jeszcze przed pięcioma minutami nie było cię nawet w Avicennie.

Julia uniosła jedną brew i Farrell przypomniał sobie długą, upojnie niewinną wiosenną noc, gdy usiłowała go tego nauczyć.

- W istocie przez ostatnie dwa lata ktoś inny karmił kota przy Brendan Way. - Farrell zaczął pomrukiwać obrażony, ale ona spokojnie mu przerwała. - Nie jestem dobra w pisaniu listów, przecież wiesz. Wiedziałam, że i tak wcześniej czy później się pokazesz. Jedno z nas zawsze przywołuje drugiego.

Nie spuszczał z niej wzroku i aż marszczył się z wysiłku, usiłując ponownie nauczyć się jej twarzy. Minęli ich studenci spokojnym krokiem. Prowadzili rowery i śmieli się, mając usta pełne kanapek. Wkłęsała, wesoła, sowa twarz, w której wszystko wydawało się za duże, jak na konwencjonalną zachodnią piękność, z wyjątkiem nosa, który był z kolei zbyt mały. Jej skóra nadal jednak była czysta i półprzezroczysta, jak białe wino, a prawie trzydziestoletnie kości pod nią zaczynały już dotrzymywać starej obietnicy dumy i solidności. Jej twarz nabrała tajemniczości, jak Bena. Ciekaw jestem czy moja też.

- Nic się nie zmieniłaś - powiedział głośno. - Nadal wyglądasz jak Eskimos.

- I nadal żadnego z nich nie widziałeś.

Farrell zdał sobie sprawę, że nigdy przedtem tak długo jej nie obejmował. Zwykle szybko odsuwali się od siebie na jeden, dokładnie odmierzony krok. Tym razem stali wsparci o siebie całym ciężarem. Byli odchyleni do tyłu, ale trzymali się mocno. Przypominali dzieci kręcące się w kole narysowanym kredą na chodniku.

- Nie wyszłaś za tamtego jak mu tam - odezwał się Farrell - Alaina, archeologa. Julia zachichotała.

- Był paleontologiem. I nadal jest, zdaje się, w Genewie. Nie, nie wyszłam za niego. Choć niewiele brakowało.

- Lubiałem go - powiedział Farrell.

- Och, on też cię lubił - odparła Julia. - Oni zawsze cię lubili. Jesteś takim miłym gościem. Zdaje im się, że nie stanowisz zagrożenia, a ty wiesz, że to oni nie są groźni.

- Akcja! - Z okna drugiego piętra rozległy się okrzyki studentów. - Chcemy na dole akcji! Nocna zmiana przejmowała już wartość na Parnell, spływając ku niej niczym portugalskie okręty wojenne. Pierce/Harlow minął ich pospiesznie - Farrell mógłby przysiąc, że to był Pierce/Harlow - prowadząc dwa dobermany. Kobieta, wlokąca

ogromną tablicę w czterech kolorach, porównującą miejscowego sędziego do Rogatej Bestii Apokalipsy, zdzieliła nią Julię po nogach, by ta zrobiła jej miejsce. Oni jednak nadal stali w swym niewidzialnym kole, gapiąc się na siebie z rosnącym oszołomieniem. Jedno z nich drżało, ale Farrell nie potrafił powiedzieć które.

- Ta płyta, którą miałeś nagrać - odezwała się - z Abe i tym zwariowanym perkusistą. Dennym.

- Nic z tego nie wyszło. - Mówili coraz ciszej, głosy załamywały im się piskliwie.

- Szukałam jej.

Mnich wsunął Julii pomiędzy palce zapaloną trociczkę, a potem poprosił ją z bronkskim akcentem o kilka centów dla Krishny.

Farrell usłyszał swój głos, mówiący z rozmarzeniem:

- Chodźmy do domu.

Julia nie odpowiedziała. Farrell położył jej dłoń na karku, a ona przymknęła oczy i westchnęła, niczym zasypiające dziecko. Potem, gdy wycia z akademika rozległy się ze zdwojoną siłą, obróciła się w jego ramionach i rzuciła gniewnie:

- Nie, nie, cholera, tylko tego mi jeszcze trzeba. - Farrell chciał coś powiedzieć, ale odsunęła jego rękę, ocierając ją delikatnie swój policzek, zanim ją puściła. - Nie, Joe, nie sądzę. Byłoby słodko, ale lepiej tego nie róbmy.

- Chwila jest odpowiednia, skarbie. Dokładnie ta chwila, w tej minucie. Julia kiwnęła głową, ale nadal nie patrzyła wprost na niego.

- Ale czasami pozwalamy sprawom przeminąć, nawet gdy chwila jest ku nim odpowiednia. Ponieważ nie wiemy, jacy będziemy potem.

- Głodni - odparł Farrell. - Ugotuję kolację. Nigdy dla ciebie nie gotowałem.

Dwóch młodzieńców o twarzach mimów minęło ich, rozmawiając o klamrach i karabinkach. Po drugiej stronie ulicy kandydat na coś wręczał ulotkę osobie ubranej jak ogromna papuga.

- Joe, niech to cholera - odezwała się Julia. - Idę po zakupy, muszę kupić trochę materiałów do rysowania, zamykają za dwadzieścia minut.

Farrell westchnął, opuścił ramiona i cofnął się o krok.

- No cóż - rzekł. - Może to nie ta chwila. - Julia spojrzała mu w twarz, ale nie potrafił powiedzieć czy poczuła żal, irytujące zakłopotanie, czy ulgę równie gorzką i pełną zmieszania jak jego. Włożył ręce do kieszeni. - W każdym razie cudownie było cię znów zobaczyć - powiedział. - Słuchaj, zatrzymałem się u przyjaciół przy Scotia. Jest w książce, Sioris, jest tylko jedno takie nazwisko. Zadzwoń. Zadzwoń?

- Zadzwoń - odparła Julia tak cicho, że Farrell musiał odczytać to z jej ust.

Wycofywał się nadal tyłem. Wiedział nawet bez gwizdów i śmiechów studentów, że wyglądał śmiesznie, jakby odchodził z audiencji u króla. Wiedział również, że ona nie zadzwoni. Miał wrażenie, że kolejny raz natknął się na coś niezastąpionego w chwili jego zniknięcia.

- Sprawdź sprzęgło temu potworowi - rzucił. - Chyba trochę się ślizga. Lekko przygarbiony ruszył z wawo ku Parnell, gdy Julia znowu się odezwała.

- Farrell, wracaj - powiedziała wystarczająco głośno, by chórek z góry natychmiast to podchwycił.

- Farrell, wracaj tu w tej chwili!... Słyszałeś co powiedziałam, Farrell!

Odwrócił się. Julia machała do niego gwałtownie, nie zważając na widownię z drugiego piętra. Podszedł do niej z pewnym wahaniem, ostrzeżony starym uśmiechem igrającym jej w kąciку ust. Ostatnim razem po tym uśmiešku wylądowali w więzieniu w Maladze.

- Wsiadaj - powiedziała. Sama zepchnęła motocykl z nówek i wskoczyła na siedzenie. On jednak nadal się gapił, niepomny na bardzo szczegółowe instrukcje widowni. Julia wcisnęła kask na głowę i, nie oglądając się, powtórzyła ostro komendę.

- Zakupy - przypomniał jej Farrell. - Co z zakupami?

Julia uruchomiła silnik. Powietrze wokół motocykla ożyło, zamykając ich w ryczącej prywatności, chwilowej krainie, drżącej przy krawężniku. Na zewnątrz, poza jej granicami, miodowy zmierzch rozpląwał się i przechodził spiesznie w chłodny, mgliście lawendowy. Deskorolkowcy śmignęli obok nich, niczym émy, gwałtownie wyginając się, jednowymiarowi w bladym blasku reflektorów gnających ku nim pod górę aut. Farrell usiadł za Julią.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

Ulica zaczęła wokół nich wirować niczym magiczne inskrypcje, gdy prawidłowo wymówi się zakłęcie. Julia odwróciła się do niego i wetknęła mu trociczkę we włosy.

- Zobaczmy, dokąd zechce pojechać motor - powiedziała. - Wiesz, że nigdy nie sprzeczą się z moimi maszynami.

5.

- Rany - powiedział - Tanikawa, jakim ty jesteś motocyklem?

- Sprośnym. Nie ruszaj się, zostań ze mną. - Leżała oparta o jego piersi, przyglądając mu się z uśmiechem, który delikatnie unosił kąćki jej oczu; źrenice ponownie zwięzły się do normalnych rozmiarów.

- Tak dobrze pachniesz. Nie do wiary, jak dobrze pachniesz. Julia pocałowała go w nos.

- Joe, jesteś chudy. Nie wyobrażałam sobie, że jesteś taki chudy.

- Kojoty są chude. Kojot to mój totem. - Podniósł rękę, by dotknąć jej policzka, a ona oparła na niej głowę. - Nie myślałam, że ty mnie sobie tak wyobrażasz. Paskuda.

- Nie próbuj swoich sztuczek - odezwała się Julia. - A ty nigdy mnie sobie nie wyobrażałeś? Ty, taki marzyciel? - Znowu się na nim położyła. Chłodna twarz kobiety dotykała jego szyi, a jej ciało otaczało go niczym woda. Farrell nie odpowiadał. Julia wbiła w niego brodę i pociągnęła za włosy. - No dalej, Joe, minęło już dziesięć, a właściwie jedenaście lat. Chcę wiedzieć.

- Myślałem o tobie - odparł cicho. - Najczęściej zastanawiałem się, gdzie jesteś, jak sobie radzisz. - Schwycił ją za ręce. - Wolałem nie fantazjować, skarbie. Próbuj tych sztuczek z obcymi, z przyjaciółmi daj sobie spokój.

- Zawsze byliśmy jednym i drugim - powiedziała. - A może ani tym, ani tym. Wpadaliśmy na siebie co kilka lat, by migdalić się, dopóki nie zaczynaliśmy się kłócić. To nie jest przyjaźń, to nic nie jest. Podrap mnie po plecach. Farrell podrapał ją.

- No cóż, ale to przynajmniej pozwala mi mieć nadzieję. Nawet gdy utknę w Bonn czy Albany, zawsze jest ta szansa, że z za następnego rogu wyjdzie Julia. Nowa praca, nowy język, nowe ciuchy, nowy facet, nowy motor. - Drapał koniuszkami paznokci jej biodra i drżał razem z nią. - Do licha, jesteś pierwowzorem mojej roli, od lat cię naśladowuję.

- I ty mówisz, że nie fantazjujesz. - Ześliznęła się z niego i naciągnęła na nich koc. Leżała na boku z podciągniętymi kolanami. Wydała mu się nagle taka swojska i krucha. Spróbował przyciągnąć ją znowu do siebie, ale jej kolana trzymały go na dystans.

- Ach, ci wszyscy moi faceci - westchnęła. - A ty kumplowałeś się nimi i nigdy nie byłeś o żadnego zazdrosny. Nigdy nie śledziłeś mnie, gdy chodziłam do domu z Alainem, Larrym czy

Tetsu. Nie wyobrażałeś sobie mnie z nimi w sytuacjach takich jak ta, gdy tak leżymy i rozmawiamy...

- Jaki Larry? Który to był Larry?

- Porucznik w Evreux. Z bazy lotniczej. Grałeś z nim cały czas w szachy. Joe, myślę, że jesteś największym hipokrytą, jakiego znam. Mówię serio.

Farrell położył się na plecach i rozejrzał po pokoju. Nie czuł jeszcze, że jest z Julią w jej domu. Nadal miał wrażenie, że wtoczyli się pijani w pierwsze otwarte drzwi i zwalili się na kawałku wolnego miejsca zostawionego im przez anonimowego darczyńcę. Ale teraz, w owalu światła rzucanego przez dużą lampę stojącą przy łóżku, zaczął rozpoznawać przedmioty, które towarzyszyły Julii w Evreux, Paryżu, Pittsburgu i Zagrzebiu. Trzy rzędy naczyń o miedzianych dnach, portret namalowany przez jej siostrę w szkole średniej, brunatna, poplamiona krwią kapa, którą ofiarował jej w Oaxaca ten dychawiczny, stary, oszukany toreador. Czerwona, kordonkowa narzuta na łóżko, pluszowa żyrafa, stolik do kawy, kupiony na wyprzedaży garażowej w Seattle. Julia jest kolekcjonerką. Zawsze myślałem, że podróżuje bez bagaży, ale to faceci przenoszą jej rzeczy i za darmo wysyłają. I tak jak zwykle nagły przyptyw na wpół bolesnej czułości i poczucia braterstwa dla przyjaznego dobytku Julii przypawił go o dreszcz i kazał schwycić się jej włosów.

- Czemu zawołałaś za mną? - zapytał. - Odchodziłem z przekonaniem, że na zawsze wszystko spaprałem.

- Może i spaprałeś, jeszcze nie wiem. Chcę się przekonać, co było do spaprania. - Zagrzebała się głębiej pod kołdrę. - Poza tym była już pora, co do tego miałeś rację. Tak czy inaczej, nie możemy wrócić do tego, czym byliśmy. Swawolnikami.

- Cieszysz się? - Julia przymknęła oczy. Farrell polizał spocony dołek w podstawie jej szyi. - Smakujesz jak nektar z koniczyny. Niczym drobniutkie kropelki miodu.

Julia położyła mu dłonie na brzuchu, tuż pod zębami.

- Chudy - mruknęła, po czym dodała: - Joe? Pamiętasz, jak spotkaliśmy się w Paryżu? Siedziałam w swoim samochodzie.

- Mmm. Wlokłem się Monsieur-le-Prince. Tkwiłaś tam przy krawężniku.

- Następnego dnia miałam zabrać na wycieczkę dwudziestu lotników. Zupełnie o tym zapomniałam i zupełnie nic nie załatwiłam. Więc siedziałam i zastanawiałam się, co z tym zrobić. Wtedy zobaczyłam ciebie. Wyglądałeś jak siedem nieszczęść.

- Czułem się tak samo. Nigdy nie byłem taki oklapnięty ani w takich tarapatkach. W każdym razie nie w tym samym czasie. W twoim samochodzie było mi najcieplej od chwili przyjazdu do Francji.

Julia poklepała go, nie otwierając oczu.

- Biedny Joe, w tym swoim nowojorskim paltociku. - Wielki, puszysty, biały kot wskoczył na łóżko i rozłożył się pomiędzy nimi, unosząc tył i mrucząc niczym maszyna do szycia. - To jest Mushy - powiedziała Julia. - Stary rozczulający Musheroo. Z początku był Mouche, ale to się nie przyjęło. Nieprawdaż, tłusty czorcie? - Kot ugniał łapkami jej ramię, ale zerkał na Farrella.

- Nigdy nie miałaś kota - odezwał się Farrell. - Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek miała jakieś zwierzę.  
- Mushy w zasadzie nie jest mój. Można powiedzieć, że odziedziczyłam go razem z mieszkaniem. - Otworzyła oczy. Nie były ani brązowe, ani zupełnie czarne, ale badawczo, zwodniczo ciemne, nieporównywalne do żadnych innych. - Pamiętasz, że ja liczyłam?

- Co takiego? - zapytał. - Jakie liczenie?

- W samochodzie, pisałam na oknie. Jeden, dwa, trzy, cztery i tak dalej. Pamiętasz?

- Nie. To znaczy, przypomniałem sobie, ponieważ mi powiedziałaś, ale nie pamiętałem. Zabierz tego kota i chodź do mnie.

Julia wyciągnęła nagle rękę i zgasła lampę przy łóżku. Żrenice długo przyzwyczajają się do nagłych zmian światła. Zrobiły co mogły, wydobywając czarne włosy, przecinające plecy koloru słabej herbaty, drobne piersi prawie spłaszczone nagłym ruchem i cień ściągien pod pachą. Wyciągnął do niej rękę.

- Poczekaj - powiedziała. - Postuchaj, muszę ci to powiedzieć. Po ciemku. Liczyłam siebie. Liczyłam swój cykl. Usiłowałam wyliczyć, czy bezpiecznie będzie zabrać cię z sobą do mego pokoju. Wyglądałeś tak marnie.

Białe kocisko zasnęło, ale nadal mruczało przy każdym oddechu. W pokoju nie było słychać innego dźwięku.

- To była kwestia dnia, w tę albo w tamtą stronę. Pamiętam bardzo dokładnie. A ty niczego nie pamiętasz?

Światła samochodu prześliznęły się po ścianie i części sufitu w hotelowym pokoju Farrella, przydając bide-towi perlistego blasku i zmieniając na wpół opróżnioną walizkę w nogach łóżka w świeży grób. Obok niego, za zaspą z kota - paryskie zimy są brudne, powietrze robi się kleiste i stęchłe - okrągła, o miękkich eskimoskich rysach twarz pojawiała się i znikła, gdy sama Julia pojawiała się, wznosiła się i opadała wraz ze światem, tak jak i on nauczyłby się przychodzić i odchodzić bez trudu, gdyby nie umarł, gdyby przetrwał tę długą, brudną zimę.

- Miałem dwadzieścia jeden lat, co mogłem wiedzieć o świecie? Przez chwilę nie wyczuwał na twarzy oddechu Julii.

- Powiedziałaś ci to - odezwała się znowu - aby udowodnić ci, że o tobie myślałam, nawet tak dawno temu.

- To miło - odparł - ale wolałbym, żebyś mi tego nie mówiła. Nie pamiętałem nic z tego cholernego liczenia, ale pamiętam tamtą zimę. Myślę, że mogłaś zmienić bieg historii, gdybyś zabrała mnie wówczas z sobą do domu. Wyrwałbym się z tej całej głupiej mizeroty.

- Biedny paltocik - powiedziała ze współczuciem. Podniosła kota i zrzuciła go delikatnie z łóżka. - Chodź tu natychmiast - dodała. - To za tamto. Oficjalnie. Stary przyjacielu. Stary coś tam. To za tamto.

Rano obudził się w łóżku ze zbroją. Dokładniej mówiąc, z kolczugą. Leżała luźno rzucona obok niego, niczym połyskująca skóra ofiary stalowego pająka. Jednakże to wielki hełm, z którym dzielił poduszkę, całkowicie zdominował jego przebudzenie. Hełm wyglądał jak wielki, czarny kosz na śmieci z dnem wzmocnionym metalowymi sponami. Odcięty bok przesłaniała stalowa, przynitowana płyta z wyciętym otworem. Farrell trzymał na nim rękę, a nos miał przyciśnięty do przyłbicy - to jej chód, szorstkość i zapach farby obudziły go. Zamrugał kilka razy, potarł nos, po czym przekręcił się, wsparł na łokciu i rozejrzał wokół, szukając Julii.

Stała w drzwiach. Była ubrana i śmiała się cicho, z palcami przy ustach, jednym z kilku nielicznych śladów po klasycznych japońskich manierach, jakie u niej zauważył.

- Chciałam zobaczyć, co zrobisz - powiedziała. - Byłeś taki słodki. Przestraszyłeś się? Farrell usiadł, czuł się podle wykorzystany.

- Powinnaś zobaczyć niektóre z tych cacek, przy jakich się budziłem przez ostatnie dziesięć lat. - Uniósł róg kolczugi. Ze zdumieniem stwierdził, że zaskakująco miękko się układała, jak na swój ciężar. - No dobra, poddaję się. Co to, do diabła, jest?

Julia podeszła i usiadła na łóżku. Pachniała prysznicem i słońcem. Włosy nadal miała wilgotne.

- To jest kolczuga, a to dla osłony gardła, to jest na nogi. Kompletny ubiór, nie licząc rękawic, kaftana i bielizny. I opończy. Większość ludzi przykrywa czymś kolczugi.

- Nikt, kogo znam - odparł Farrell. Uderzył w hełm, który odpowiedział mu cicho z pełnym napięciem ożywieniem, jak jego lutnia, gdy do niej przemówił.

- To nie jest część tej zbroi. Zrobiłam go dawno temu. Dorzuciłam dla efektu. - Uśmiechnęła się. Farrell spoglądał na nią, to na hełm. - Kolczugę też zrobiłam - dodała. - Zgadnij, czego użyłam.

- Chyba kótek od firan. Chciałbym jednak wiedzieć, po co. Wiem, że potrafisz wszystko zrobić. To jednak wymaga szczególnych umiejętności. - Ponownie wziął w palce posrebrzane ogniwa, po czym przyjrzał się im uważniej - Mój Boże, one wszystkie są pospawane. Ty to zrobiłaś?

Julia przytaknęła skinieniem głowy.

- To nie są kółka od firan. - Wstała, zgrabnie zabierając ze sobą prześcieradło. - Czy ktoś ci kiedykolwiek powiedział, że twój pępek nie ma dna? Ciągnie się bez końca, jak czarna dziura. Wstawaj i ubierz się, muszę iść do pracy.

Pod prysznicem domyślił się, że kółka zrobiła z pociętej sprężyny. Przy pomarańczach i słodkich bułeczkach z własnej woli opowiedziała mu o splataniu ich we wzór i o tym, jak spawać nauczył ją przyjaciel, któremu dekorowała dom. Nie chciała jednak powiedzieć, po co wykonała zbroję i dla kogo.

- To długa historia, opowiem ci, jak będziemy mieć więcej czasu. Farrell nie mógł wyciągnąć od niej nic więcej. Dał więc spokój.

- Nie wydaje się to bardziej zabawne od lepienia garnków - powiedział, dzięki czemu mógł zboczyć na jej ulubiony temat, ceramikę. Wiedział o tym wystarczająco dużo, by zadawać inteligentne pytania, ale lubił obserwować, jak ona opowiada o swoich umiejętnościach.

Po śniadaniu podrzucił ją na uniwersytet, gdzie zajmowała się wykonywaniem ilustracji do prac naukowych i medycznych.

- Przekroje kręgowców, szczegółowe studium gruczołów nadnerczy. Lubię to. Jestem w tym dobra. - Pracowała tam już od ponad roku.

- Już nie malujesz - powiedział. - Będę musiał zabrać swoje sztalugi. - Pięć lat temu zrobił dla niej te sztalugi, w Oberlin, gdy wróciła do szkoły. Julia uśmiechnęła się, spoglądając na swoje ręce.

- Nigdy nie malowałam - powiedziała. - Nie potrafię malować. Potrafię rysować, więc to robię.

- Skarbie, ty potrafisz wszystko - powiedział Farrell. - Moje życie jest całkiem inne, gdy wiem, że ty wszystko potrafisz.

- Nie, nie potrafię! - krzyknęła szorstko. - Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale skończyłam już z oszukiwaniem się. Przestań fantazjować na mój temat, do cholery, z tym też czas skończyć.

Farrell słyszał, jak głośno przełknęła i szcęknięła zębami. Potem nic nie powiedziała, dopóki nie zatrzymał samochodu w miasteczku uniwersyteckim możliwie jak najbliżej wejścia do pracowni. Otworzył jej drzwi i pomógł wysiąść. Ten zartobliwie rycerski gest skończył się tym, że stali na rozmokłej stercie papierowych talerzyków i podartych plakatów politycznych, trzymając się za ramiona.

- Co teraz? - zapytał. - Kim teraz jesteśmy? Julia szturchnęła go czule w żołądek.

- Mój Boże - powiedziała. - Gdy pomyślę, że mogłabym przejść przez życie i nie znać tego pępka. - Obciągnęła mu koszulkę, chowając ją ostrożnie w spodnie. - Około południa idę na lunch - dodała.

- Będę szukał pracy. Spotkajmy się na kolacji.

- Niedaleko Waverly jest taka marokańska restauracja. Możemy zjeść kuskus. Pokazałam ci już co to kuskus, prawda?

- W Rue du Four. Wiesz, że nigdy nie jedliśmy dwa razy w tym samym miejscu?

- Nie - odparła. - Mówisz poważnie?

Farrell kiwnął głową, myśląc, że Julia roześmieje się, ale ona wyglądała na zaskoczoną i smutną.

- Wszystko w porządku. Jedyne, czego w Avicennie nie brakuje, to restauracje.

- Przestań - rzuciła Julia. Ból w jej głosie był dla Farrella nowym dźwiękiem, ledwie go rozpoznał. - Biedny paltocik - powiedziała. Ujęła jego dłoń i uniosła do ust. Patrzyła na niego kpiącymi, zdumionymi oczyma. - Po prostu przestań fantazjować na mój temat, to wszystko. O siódmej w Fouad.

Ugryzła go delikatnie i zostawiła. Patrzył, jak spokojnie odchodzi zwirową alejką. Nagłe przecucie, że już nigdy jej nie zobaczy, zdusiło mu oddech, jak poprzedniego dnia. Można jedynie patrzeć, jak ktoś odchodzi tak wiele razy. To dlatego - wbrew samemu sobie, wbrew temu, co powiedział Benowi na basenie - on nadal opłakiwał tak wiele skazanych na zatracenie stworzeń czy krajobrazów, których nigdy nie widział. By poczuć stratę, trzeba wiedzieć, co się traci. Pamiętać. Być może w tym jestem najlepszy. Mam nadzieję, że nie. Wrócił do samochodu i odjechał w kierunku wzgórz, by rozejrzeć się w zoo.

6.

Jedna posada była wolna. Polegała na prowadzeniu elektrycznego pociągu w kształcie aligatora po zoo przez sześć dni w tygodniu i opowiadaniu pasażerom o zwierzętach, które właśnie mijali. Wolały dostać jakieś zajęcie przy gorylach, ale przynajmniej była to praca na wolnym powietrzu, niewymagająca od niego zbyt wielkiej inwencji. Zgodził się zacząć w najbliższy poniedziałek i odszedł z kopią opisu trasy oraz tekstu do zapamiętania. Było w nim nawet kilka podkreślonych na czerwono dowcipów.

Farrell pojechał do domu, by się przebrać. Podjazd zajmował podstarzały, żółty pontiac z przednim zderzakiem zamienionym w zaciśniętą, zardzewiałą pięść. Joe zaparkował mikrobus przecnicę dalej i pieszo wrócił do domu. Pontiac zostawił na podjeździe ślady kół, skosił dwie ptasie budki Bena i przeorał zagonik dzikiego rozmarynu. Kierowca nadal siedział za kółkiem, bezmyślnie wciskając klawisze odtwarzacza, ale gdy Farrell nadszedł, podniósł wzrok i otworzył drzwi.

- Hej tam - zawołał wesółym, raczej chłopięcym głosem. - Widziałeś już moją żonę?

Był młodszy od Farrella. Miał okrągłą, stanowczą, mocno opaloną twarz pod hełmem jasnych, prawie białych włosów. Baczki były nieco ciemniejsze, gęste i szczeciniaste. Wąsy bezbarwne, prawie niewidoczne. Farrell zauważył, że dolna warga mu krwawiła.

- Nie sądzę - odparł Farrell i chciał wyminąć samochód.

Młodzieniec wysiadł. Był barczysty, wzrostu Farrella, ale przynajmniej dwadzieścia funtów cięższy.

- Ale idziesz się z nią zobaczyć - powiedział.

Farrell spojrział zdumiony. Mężczyzna podszedł bliżej. Uśmiechał się.

- To znaczy, jeśli tam wejdiesz, do domu, to ją zobaczysz. To znaczy, ona tam pracuje.

- Ach, Suzy - powiedział Farrell bez zastanowienia i natychmiast tego pożałował. Tamtemu nie zniknął z twarzy przyjazny wyraz. Wydawało się, że przyłgnął do niej na stałe, jakby mężczyzna był już martwy.

- Suzy McManus, jasne, trafieś, dobra stara Suzy. Ja jestem Dave McManus. Dave McManus. Jestem dobrym, starym Davem. - Schwycił dłoń Farrella i potrzasał nią długo i delikatnie, cały czas patrząc mu prosto w oczy. Jego ręka była zimna, wilgotna i twarda.

Farrell widywał już poprzednio ludzi w stanie alkoholowego delirium, lecz nie na tyle często, by rozpoznać je na pierwszy rzut oka. Ale znał to z autopsji - huśtawka od wesołości po ekwilibrystyczne rozrzewnienie, tam i z powrotem, coraz szybciej, przez dziki, bezcelowy gniew prosto ku szaleńczym wymiotom; a potem gładkie i niemal bezgłośnie wpadnięcie do ciemnicy dreszczy, potów i płaczu, a następnie bez ostrzeżenia tam, gdzie w osłepiająco jasnym świetle wszystko pozostaje nieruchome. McManus ani nie zataczał się, ani nie bełkotał i prawie zupełnie nie wyczuwało się u niego zapachu alkoholu, ale Farrell zaczął się przed nim cofać. Mężczyzna uśmiechał się coraz szerzej z każdym krokiem.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić - powiedział. - Ja tylko chcę zobaczyć się z moją żoną, tak jak i ty. - Poklepał się po kieszeni wiatrówki i Farrell spostrzegł, jak ciężko materiał się zakołysał. -Ty mnie tam zabierzesz. Do domu.

Farrell cofnął się jeszcze o krok, próbując skrócić ku zaparkowanemu samochodowi. McManus ponownie poklepał się po kieszeni i pokręcił z przekonaniem głową.

- Daj spokój, tam jest pies. Nie chcę skrzywdzić psa.

- To tresowana suka, zabójczym - ostrzegł go Farrell. - Przeszła szkolenie w wojsku. -Rozpaczliwie usiłował ocenić szansę na obecność Suzy w domu tego ranka. McManus włożył rękę do kieszeni i zagwizdał dwie nutki. Farrell przeszedł wolno obok niego i wszedł na schody werandy.

Briseis czekała na niego przy drzwiach. Skomlała nerwowo, widząc obcego. Przez chwilę w szalonej wizji chciał porwać owczarka w ramiona i cisnąć nim, a przynajmniej pchnąć na McManusa. Ale mężczyzna był za blisko, a Farrell za dobrze znał swoje zdolności do zawałania ważnych spraw. McManus zatrzymał się, by podrapać Briseis za uchem. Farrell cały stęzał, myśląc: To się nie dzieje naprawdę. Wtem do holu weszła Suzy.

Na widok McManusa wstrzymała oddech, chciała coś powiedzieć, ale zamknęła usta i bardzo ostrożnie odstawiła wiadro, po czym oparła mopa o ścianę.

- Dave - powiedziała i stała wyczekująco.

Rozdarta dolna warga McManusa znowu zaczęła krwawić. Z oczu trysnęły mu fontanny łez, bardziej przypominające kule z pistoletu niż krople wody.

- Suka, pieprzona suka! - krzyknął do niej. Jego jasny głos rozpadł się na wiązkę pisków. -Suko, Kocham cię!

Suzy odwróciła się i pobiegła do salonu. McManus odsunął Farrella na bok i skoczył za nią, szarpiąc kieszeń. Potknął się o Briseis i runął jak długi, łądując na pistolecie. Briseis, która najwyraźniej spodziewała się w każdej chwili końca świata, zawyła, potwierdzając swe najgorsze przecucia. Rzuciła się na Farrella, jakby szukając pocieszenia. Uderzyła w niego z tak szaleńczym impetem, że omal się nie przewrócił. McManus poderwał się i rzucił w kierunku salonu. Przy wyciągnięciu pistoletu rozerwał sobie kieszeń.

- Często tu wpadasz? - zapytał Briseis Farrell.

Z salonu dobiegł odgłos zderzenia i wrzask McManusa.

- Cholera, mnie za to nie wiń!

Farrell przekradł się skulony do pokoju, szukając schronienia za krzesłami. Suzy była w połowie schodów, ale właśnie zatrzymała się, odwróciła i zaczęła wolno schodzić z powrotem ku McManusowi, który stał nad skorupami kamionkowej lampy.

- Nie - powiedziała zaskakująco głośno. - Nie, dlaczego mam przed tobą uciekać? McManus, który usiłował obręcz utrzymać pistolet nieruchomo, teraz pozwolił opaść mu bezwładnie. Po raz pierwszy sprawiał wrażenie pijanego. Zagryzł krwawiącą wargę, pociągnął nosem i wymamrotał:

- Dobra, dobra, daj spokój.

Ale Suzy potrząsnęła głową i, ku zdumieniu Farrella, uśmiechnęła się.

- Nie - powtórzyła. - Idź do domu, Dave. Ja z tobą nie pójdę i już więcej przed tobą nie będę uciekać. Właśnie uświadomiłam sobie, że nie muszę. Ona mi to pokazała.

- Suka - wyszeptał McManus. - Suka, suka. - Farrell ledwo go słyszał. Jego słowa w rzeczy samej wydawały się wcale nie być kierowane do Suzy, ale do kogoś z jego wyobraźni. - Ona ci pokazała. Rozwalić jej ten pieprzony łeb, ona ci pokazała. - Podniósł głowę i nagle uśmiechnął się zimno w pijackim widzie. - Kocham cię, Suzy - pow-



iedział. - Wiesz, że cię kocham. Postuchaj, wyrzuciłem Mike'a na dobre, mówię ci, tak jak chciałaś. Powiedziałem mu, wynocha chłopie, Suzy wraca do domu.

W lekkim wzruszeniu ramion i szarmanckim machnięciu wolnej ręki Farrell dostrzegł to coś, co kobieta mogła pokochać.

- Ale ja nie wracam do domu - powiedziała łagodnie. Zeszła na ostatni stopień schodów i spojrzała mu prosto w oczy z kruchym, współczującym dostojeństwem. - Dbaj o siebie, Dave. Mnie nic nie będzie. - Nagle pochyliła głowę i pocałowała McManusa w policzek, a potem minęła go i ruszyła do kuchni. - Sprzątanie - rzuciła. - Podłogi.

Później Farrell pomyślał sobie, że wywinęłaby się z tego, gdyby nie ten pocałunek. McManus gapił się za nią, mrugając oczyma. Wydawało się, że zapadł się w siebie, pocierając szczękę i mamrocząc, zamierzał odejść. Wtem jego dłoń natrafiła na miejsce, w które Suzy go pocałowała. Bez słowa odwrócił się i skierował w jej plecy pistolet.

Farrell krzyknął. Suzy obejrzała się i wrzasnęła: Mateczko, pomóż! Odgłos strzału przypominał uderzenie kijem baseballowym o podłogę. Farrell przeskoczył przez stolik, ale McManus był na ziemi, nim zdążył go dopaść; ścisnął nogę i zawodził przeraźliwie. Pokój pachniał spalonym tostem. Suzy ruszyła ku swojemu mężowi omal nie stając na pistolecie. Wtem zatrzymała się, zastygła niczym jeleń w blasku reflektorów, ze wzrokiem utkwionym w kogoś znajdującego się za Farrellem. Na schodach stała Sia.

Miała na sobie długą, kwiecistą suknię, która wisała na niej niczym obrus. W prawej dłoni trzymała czerwony, plastikowy grzebień. Powietrze wokół wpatzonego w nią Farrella zgęstniało, usidlając go niczym zmięte, przepocone prześcieradło. Jej twarz była bez wyrazu. Głos miała cichy i bezbarwny.

- Wstań - powiedziała do McManusa. - Stań na nogi.

Jej stopy były bose, szerokie i płaskie niczym deski do krojenia chleba.

- On nie może - zaprotestowała Suzy. - Zranił się, potrzebny mu lekarz. - Klękła obok dyszącego i kwilącego McManusa, usiłującego trzymać ręce z dala od rany.

- Podnieś się - powiedział cichy, odległy głos. Farrell poczuł, jak oba słowa trą o siebie, niczym młyńskie kamienie.

McManus przestał płakać.

- Podnieś się - powtórzyła Sia jeszcze raz; McManus dzwignął się i jakimś cudem udało mu się stanąć. Sterczał z rozdziawionymi ustami, jakby za chwilę miał beknąć. Kula najwyraźniej przeszła mu przez tydkę, dlatego było mało krwi.

- Pistolet - wymamrotał z trudem.

- Odejdź - powiedział głos. - Nigdy więcej nie zbliżaj się do tego domu. Nigdy więcej nie zbliżaj się do niej. Ona jest pod moją ochroną i jeśli jej dokuczysz, zginiesz. Ona jest jedną z moich. Odejdź teraz.

- Wykluczone - odezwała się Suzy. - Nie widzisz, że nie może chodzić? Musimy wezwać lekarza.

Ale Sia nie dała poznać, by coś słyszała. Nieznacznie poruszyła rozczochraną głowę i McManus, niczym kukielka, wykonał jeden chwiejny podskok w kierunku drzwi. Jego twarz była biała i mokra jak twaróg, a w nozdrza Farrella uderzył smród jego bólu.

W wejściu do salonu pojawiła się pulchna postać, a w ślad za nią ostrożnie stąpająca Briseis. Farrell rozpoznał w mężczyźnie jednego z bardziej zamyślonych klientów Sii.

- Drzwi wejściowe były otwarte, więc po prostu... - powiedział, przypatrując się bez cienia najmniejszego zainteresowania temu, co działo się w pokoju. Nic w jego krągłej, piegowatej twarzy, pomarszczonej niczym sflaczały balon, nawet przez chwilę nie zdradziło, że poczuł zapach prochu, dostrzegł rozbitą lampę czy krew.

Farrell, Suzy i McManus w milczeniu gapili się na niego. Sia skinęła mu spokojnie głową.

- Witaj, Robercie, wejdz - powiedziała naturalnym tonem. Odsunęła się, by go przepuścić, a on poszedł schodami na górę, nawet nie oglądając się. Nikt nie odezwał się ani nie poruszył, dopóki na górze nie trzasnęły drzwi do gabinetu Sii.

Suzy podeszła, by podtrzymać McManusa, ale ten odepchnął ją gwałtownie. Zebrał wszystkie siły, by odsunąć się o krok od Sii.

- Lepiej idź tam na górę, dziecinko, facet czeka - rzucił do niej przez ramię.

Farrell spodziewał się, że McManus rzuci się na Się z gołymi rękami. Mówił wolno, głosem pełnym bólu, osamotnienia i wielkiej nienawiści. Spoglądał na Się bez lęku.

- Jedna z twoich - powiedział. - Mogę się założyć, że podłapała kilka nowych sztuczek, odkąd ją masz. Zapłacę, by się ich nauczyć, mogę zapłacić.

Posłiznął się, zdrowa noga mu się podwinęła i runął na kolana przed stojącą u schodów Sią. Ona zaś ani się nie poruszyła, ani nie odezwała. Farrell poczuł zapach wilgotnej ziemi, wilgotnej, zdeptanej trawy, czegoś co przywodziło na myśl kawę, a chwilami woń skóry martwego zwierza. Usłyszał skomlenie, które początkowo przypisał Briseis, a potem pojął, że ten dźwięk dochodzi z jego własnego gardła. Nie potrafił go powstrzymać.

Jej postać w niczym nie przypominała odbicia ogromnej kobiety z psią głową, którą widział poprzednio. Sia była jakby ledwie obecna. Zdawała się chudnąć i niknąć, stawała się niemal przezroczysta. Ale przez jedną, prawdziwie nie do zniesienia chwilę, moment, w którym rzeczy nie miały jeszcze imion, bardziej świadom był jej obecności niż swej własnej. Czuł jej oddech w schodach i starej podłodze pod nogami; otaczała go swymi ścianami i pokojami, wnikając w kamienie kominka, spoglądając na niego z kawałków rozbitej lampy, przemawiając słonecznymi bazgrołami na dywanie salonu. Poza domem było jej jeszcze więcej, w sobie też nie mógł szukać schronienia, gdyż tam także była, śmiejąc się w jego kościach, dokuczając jego atomom, które grzechotały w ciemności niczym kości do gry. Pomimo tego odwrócił się i rzucił ku niej, przeraźliwie zadowolony.

Obok skulony McManus rozpląszczał się coraz bardziej, jakby wdeptywany w ziemię przez ogromną stopę. Ciężar uwolnił go ze swych objęć i mężczyzna podniósł się wolno. Po trosze podskakując, po trosze kulejąc, skierował się ku wyjściu, wstrzymując oddech przy każdym kroku. Suzy ruszyła za nim, ale kobieta na schodach spojrziała na nią i dziewczyna zakrywając usta dłońmi poszła do kuchni. Farrell usłyszał, jak McManus potyka się i przeklina za oknem, a potem dobiegł go odgłos uruchamianego silnika.

- Nie zauważyłem, co się stało - powiedział. - Z pistoletem. Sia uśmiechnęła się do niego z lekkim zakłopotaniem. - Nazwała cię matką - dodał Farrell.

Sia obciągnęła przód sukni - nerwowe przyzwyczajenie grubych kobiet.

- Muszę iść do biednego Roberta - powiedziała. - Będzie teraz przepraszał przez połowę wizyty za wejście bez pukania. Ci nieśmiali są tak dziwnie aroganccy; tak zapatrzeni w siebie - pociągnęła nosem i wytarła go. Od dwóch dni była przeziębiona.

Farrell patrzył, jak wdrapywała się do góry stopień po stopniu, przystając, jak zawsze, na półpiętrze z gniewnym westchnieniem. Briseis wetknęła mu pysk w dłoń. Farrell poklepał ją i powiedział z roztargnieniem:

- W porządku, nie bój się. - Ale Briseis czuła zapach prochu i krwi. Położyła się, zbyt przytoczona zamieszaniem, by choćby skomleć. - Nie myśl o tym - powiedział Farrell. - Po prostu bądź psem, tak jak ja. - Wyprowadził ją na dwór. Usiadł na schodach werandy; suka znalazła swój ulubiony poszarpany ręcznik kąpielowy i zaczęła go tarmosić. Tymczasem on zagrał jej kilka pieśni z czasów Henryka VIII.

7.

Rekordem wzajemnej tolerancji Julii i Farrella, ustalonym przed blisko ośmioma laty w Nantucket, było prawie pięć dni wspólnie spędzonych. Nic więc dziwnego, że szósty wspólny dzień uczcili ponownym pójściem do marokańskiej restauracji. Jedli kuskus i pili ciepłego, cierpkiego szampana. Pierwszą połowę kolacji Farrell spędził na bawieniu się palcami Julii i uśmiechaniu się do niej; drugą zaś na beładnym opowiadaniu o Sii, Benie i gościu Suzy. Julia słuchała w milczeniu, z uwagą, ale nie zmieniła wyrazu twarzy, dopóki nie skończył mu się szampan i zabrakło słów do opisanego bosonogiej Sii, stojącej w kwiecistej sukni na schodach.

- Ona po prostu zajęła cały pokój - powiedział. - Cały, była wszędzie.

- A więc potem - zaczęła wolno Julia - umyłeś się, włożyłeś czystą koszulę i poszedłeś ze mną na kolację. I mówiłeś o nas. Mówiłeś o Barey Miller, na litość boską, o odwiedzinach u byłego męża mojej siostry...

- Zdaje się, że mi nie wierzysz - odparł Farrell. - Prawda? Przyznaj, że naprawdę uwierzyłaś choć w jedno słowo tego ufoludkowego bajdurzenia. No dalej, choć jedno słowo.

Puścił jej palce, by lepiej gestykulować swoimi. Teraz Julia ujęła jego palce, zanurzyła w sosie od kuskusu, a potem oblizowała je ze smakiem, jeden po drugim, patrząc mu prosto w oczy.

- Ja nie wierzę słowom. Wierzę tobie. A to różnica.

- Chcesz powiedzieć, że miałem zwidy, ale nie kłamię. Dobra. Bóg ci zapłać, skarbie.

- Chcę powiedzieć, że byłeś przestraszony - powiedziała. - Nigdy przedtem nie widziałam cię przestraszonego, nawet w Limie. To nie znaczy, że taki z ciebie bohater, bardziej chodzi o to, iż zwykle zbyt zafrapowany jesteś tym, co się dzieje, by w ogóle poczuć strach. To wydarzenie przykuło całą twoją uwagę. Zobaczyłeś, co zobaczyłeś.

Farrell westchnął i wzruszył ramionami.

- Być może, ale zaczynam się gubić. Coś wiem, ale to umyka z mego umysłu, ucieka, usiłując wrócić do niej. Teraz nie pamiętam jak to było - jedynie, co się wydarzyło, a to różnica. Nie wiem, co zobaczyłem.

- A co z Suzy? - zapytała Julia. Farrell rozdrażniony przewrócił oczyma.

- B była oszołomiona, była przerażona, wpadła w histerię, a poza tym we wszystkich interesujących momentach patrzyła gdzie indziej. W każdym razie tak mówi, a teraz już wiem, że to absolutna prawda. Ludzie na nas patrzą, skarbie.

Julia kiwnęła z zadowoleniem głową, uśmiechając się przez jego palce. Kelner w turbanie zręcznie sprzątnął nakrycia ze stołu, a chwilę później postawił przed nimi maleńkie filizanki z kawą tak gorącą i gęstą jak lawa.

- Pistolet odwrócił się w jego ręce - powiedział Farrell. - Nie upuścił go i nie trzymał ostrożnie. Suzy zawołała "Mateczko" i pistolet wykręcił się, skierował na niego i wystrzelił. Nie mogę się doczekać, by zapomnieć o tym.

- Co się stało z pistoletem? - Farrell ponownie wzruszył ramionami. - A co się stało potem? - dopytywała się niecierpliwie. - Minęło już pięć dni, czy mówili o tym przy śniadaniu? Czy sąsiedzi słyszeli cokolwiek, czy ktoś wezwał policję? Nie mogę uwierzyć, że wszystko tak po prostu toczy się dalej.

- Tak właśnie się dzieje - powiedział Farrell. - Żadnej policji, sąsiadów, nic się nie zmieniło. Ben powiedział, że go tam nie było. Suzy udawała, że jej tam nie było, a stara Sia w ogóle nic nie mówiła. Uwierz mi, tej sprawy nie poruszano w czasie posiłków. - Julia puściła jego ręce. - Tak naprawdę chciałbym porozmawiać tylko z Briseis. Widziała wszystko i ufa swoim oczom. Nie chce zbliżyć się do Sii.

- Opowiedz mi o niej - odezwała się Julia. - Nie o psie, o Sii.

Farrell milczał, mierzył wzrokiem kelnera, który powitał w drzwiach dwóch nowych gości i wskazywał na ich stolik.

- W zoo jest niedźwiedź grizzly - odezwał się w końcu. - Zdumiewające, jak niezdarnie potrafi ten zwierzak wyglądać, dopóki się nie poruszy.

- Czy ona cię pociąga? - Farrellowi to pytanie zaparło dech. - Pomijając mnie, Bena i wszystko inne. Czy poszedłbyś z nią do łóżka?

- Jezus, skarbie - powiedział. Julia kopnęła go lekko w nogę pod stołem.

- Skoro zaczniesz mówić o niedźwiedziach - rzuciła.

- Ten grizzly to coś niesamowitego - powiedział wolno Farrell. - Patrzysz na niego, zastanawiasz się i nie możesz sobie wyobrazić, gdzie jego siła zaczyna się lub kończy. Jest tłusty, brzuchaty, ze świńskim pyskiem, ale zarazem pociągający. - Nie próbował opowiadać jej o nocy, gdy rozkosz Sii zmusiła jego ciało, by też się jej samotnie oddał. - Jest atrakcyjny - powiedział znowu. - Ten rodzaj siły zawsze jest atrakcyjny, szczególnie gdy towarzyszy mu piękne, srebrzyście brązowe futro, a ruchy przypominają człowieka. Ale to jest niedźwiedź.

Julia chciała się przejść, więc przespacerowali się dwie przecznice, by złożyć uszanowanie hotelowi Waverly. Budynek miał osiemdziesiąt siedem lat i wyglądał równie osobliwie w swoich czasach, jak i teraz. Wzorowany na burgundzkim zamku przynajmniej z wyglądu przypominał zamek. Były tam wieże okrągłe i kwadratowe, wieżyczki, mauretańskie arkady i galerie, spuszczone kraty w bramie i furta boczna, podjazd w formie zwodzonego mostu i brukowany dziedziniec oznaczony miejscami do parkowania. Co kilka lat zmieniał się właściciel, ale hotel nadal cieszył się sporym powodzeniem wśród uczestników zjazdów.

W pogodne noce Waverly można było zobaczyć z ulicy Parnell. Wyglądał wtedy jak wielka, senna bańka, różowo-purpurowo-zielona, unosząca się miękko nad wzgórzami. Farrell i Julia wędrowali objęci w pasie. Przytuleni do siebie, bawili się w ulubioną zabawę, polegającą na jednoczesnym śpiewaniu nieprawdopodobnych kombinacji piosenek. Farrell podśpiewywał *Il etait une bergere*, podczas gdy Julia radośnie nuciła *Good Morning, Little Schoolgirl*.

Przed frontem Waverly umilkli. Oddzieleni od budynku spuszczoną kratą patrzyli na marcepanową promienistość. Farrell zauważył kilka samochodów na parkingu i gromadkę ludzi przy bocznym wejściu. Hotel zdawał się rozbrzmiewać i drzeć światłem, niczym akacja pełna pszczoł.

- Byłoby cudownie, gdybyś mógł kiedyś dać tu koncert - rzuciła Julia przez ramię. - Nie znajdziesz lepszego miejsca dla swojej muzyki. - A gdy nie odpowiedział, podniosła głowę i spojrzała na niego zaciekawiona. - Zasmuciło cię to, widzę. Czuję to. O co chodzi, Joe?

- O nic - odparł Farrell. - Ostatnimi czasy niewiele koncertuję, szczególnie w dobrych miejscach. Takie koncerty sprawiają, że muzyka wydaje się jeszcze bardziej martwa niż jest, a tego mi nie potrzeba. Ja już to wiem.

- Staruszkę - powiedziała. - Moja szkolna miłośnica, promyczka mej rozkoszy, nie chcę urazić twych uczuć, ale nie jesteś jedynym muzykiem w mieście, grającym renesansową muzykę. Nigdzie nie widziałam tylu co tu klasycznych gitarzystów, śpiewaków altowych, flectistów fiukających na swych starodawnych instrumentach w każdy wtorkowy wieczór. Gdziekolwiek spojrzysz, ktoś tam gra Dowlanda. Jak ta muzyka może być martwa, skoro wszyscy ją grają?

- Ponieważ tego świata już nie ma - odparł Farrell. - Świata, w którym ludzie przechadzali się, pogwizdując te melodie. Wszyscy madrygaliści ziemi nie potrafią ożywić tamtego świata. To tak jak z dinozaurami. Możemy je poskładać, kość po kości, ale nie wiemy jak pachniały, jakie wydawały dźwięki ani jakie wrażenie robiły w trawie pod drzewiastymi paprociami. Nawet słońce musiało być wtedy inne i wiatr. Co kości mogą ci powiedzieć o wietrze, który już więcej nie zawieje?

Taksówka skręciła z ulicy i oboje odsunęli się, by mogła przejechać po zwodzonym moście, turkocząc kołami. Kierowca miał minę srogą i zakłopotaną.

- Światy umierają. Chciałbyś, aby ludzie nie grali Mozarta, ponieważ nie mogą słuchać muzyki uszami, dla których ją napisał? - zapytała Julia.

- Nie to miałem na myśli - zaczął Farrell, ale potem dorzucił - nie, na Boga, myślę, że to właśnie chciałem powiedzieć. Muzyka jest przypisana danemu momentowi. Powinno się zaprzestać grania muzyki kompozytora, gdy ostatni, który znał jej sens, odejdzie. Ostatni, który znał dźwięki. W tym, co ja gram, pobrzmiwają sokołe dzwoneczki, koła młyńskie i piki. Nocniki wylewane przez okna, wiosła zanurzone w wodzie. Ludzie krzyżący na

widok czyjegoś serca w dłoni kata. Nie mogę słyszeć tych dźwięków, ja jedynie wygrywam nuty. To nie powinno być dozwolone. Julia przyglądała mu się spod oka, nieco marszcząc brwi.

- Ludzie zupełnie cię nie rozumieją, prawda? - zapytała. - Ty wcale nie należysz do tych, co by szli na kompromis czy przystosowywali się. Ty jesteś cholernym fanatykiem, Joe. Jesteś purystą.

- Nie - odparł. - To tak, jak z kłopotami, które przytrafiają mi się w podróży. Gdziekolwiek bym pojechał, zawsze chcę spędzić tam całe życie. Wszędzie - w Taszkencie, Kalabrii, East Cicero. Zawsze chciałbym się tam urodzić, wyrosnąć i wiedzieć wszystko o tym miejscu, a nie znać nic poza tym i tam umrzeć. Nie lubię przelotnych wizyt. Zdaje mi się, że tak samo jest z muzyką. Zapachy, dźwięki. Wiem, że to głupie. Wracajmy do ciebie.

Julia wzięła go pod ramię. Farrell poczuł, że zaciska palce na jego ręce. Jej prawie czarne oczy zrobiły się złociste i przejrzyste w blasku Waverly.

- W porządku. Chodź, zabiorę cię tam, gdzie są dźwięki.

W domu Julia zabrała się do przetrząsania szaf. Farrell obserwował to, drapiąc się po głowie. Pładowała zwawo komody i kufry, wyrzucając na łóżko jaskrawe, miękkie części garderoby. Farrell w zdumieniu przebiegał palcami po rosnącej stercie trykotów, tunik, czepców i malowanych kapturów; długich, obszytych futrem i kryzami sukniach, rozciętych od pasa po rąbek, z rękawami jak dzwony; butach o kwadratowych i zakręconych noskach, sztywnych płaszczykach, podobnych do mulet. Przymierzył wysoką czapkę, jakby rodzaj futrzanego melonika i zdjął ją.

- Lubię bale kostiumowe - zaryzykował w końcu - ale naprawdę nie o tym mówiłem.

Julia przerwała na chwilę przetrząsanie szaf. Spojrzała na niego poprzez tęczową stertę ze znajomym błyskiem irytacji w oczach.

- To nie są kostiumy - powiedziała. - To są ubrania. - Rzuciła mu parę spodni z jedną nogawką w pionowe czarnobiałe pasy, a drugą białą. - Przymierz te na początek.

- Sama to wszystko zrobiłaś? - zapytał i usiadł na łóżku, by zdjąć buty, gniotąc przy tym nieco kapelusz przypominający meczet. - Masz kosztowne hobby, skarbie.

- To wcale nie jest takie ekstrawaganckie, na jakie wygląda - powiedziała Julia. - Większość materiałów jest syntetyczna. Wykorzystuję wiele naturalnych tkanin, robię rzeczy ze zwykłych materiałów pościelowych, z wyjątkiem flaneli. Jest tu aksamit, jedwabie i tafty, obiciowy brokat. Wykorzystuję to, co mam, chyba że ludzie chcą zapłacić ekstra za coś specjalnego. Do kitu, nie podobasz mi się w tych trykotach. Przymierz ten brązowy żupan.

- Brązowe co? - Julia wskazała na szatę z wysokim kołnierzem, pełnymi, podszytymi czarno rękawami i błyszczącym pasem. - Jacy ludzie? - zapytał posłusznie mocując się z szatą. - Komu robisz te rzeczy?

- Wszystko będzie wyjaśnione - odparła ochryplym cygańskim szeptem. Przyglądała mu się, jakby był jedynie wzorem ułożonym z fałd i zagięć. Pokręciła głową. - Może i mogłoby to być, ale sama nie wiem. Szkoda zakrywać twoje nogi. Nie.

Ostatecznie zdecydowała się na gładkie spodnie i ciemnoniebieski kubrak wyszywany zielonymi i złotymi paciorkami. W pasie był mocno dopasowany, rękawy miał rozcięte po wewnętrznej stronie na całej długości. Julia dała mu parę niskich, spiczastych butów i miękki aksamitny берет.

- Fajnie się cię ubiera - powiedziała rozradowana. - Mogłabym tak bawić się cały wieczór. Idź się obejrzeć.

Farrell stał przed lustrem długi czas. Nie kierowała nim próżność, ale chęć bliższego poznania szczupłego nieznajomego ze szklanej tafli. Jego twarz, osłonięta wysokim beretem, wydawała się inna. Nos miał dłuższy, oczołoty szlachetnie łukowate, czoło bardziej zaokrąglone, szerokie usta osobiście zagadkowe i tajemnicze. Wyraz jego twarzy był tak denerwująco spokojny, jak u przygotowanego na śmierć rycerza lub anioła z witrażu. Czy to ja? Nie, to światło, to lustro, krzywe lustro. Za sobą widział rozbierającą się Julię, która z odchyłoną głową mocowała się z zapęciem. Mężczyzna w lustrze spoglądał raz na nią, raz na Farrella. Czy to ja? Czy chcę, abym to był ja?

Dla siebie Julia wybrała długą, prostą suknię, ciemnozieloną i dopasowaną. Na nią narzuciła coś w rodzaju długiego fartucha w kolorze jasnego bursztynu, jak jej skóra. Fartuch nie miał boków, połączony był jedynie na biodrach i ramionach. Julia wygładziła ciemniejsze zagięcia.

- Zwyczajni nazywać to Wrota Piekieł - powiedziała.

- A kiedy przestali? - zapytał, a ona zachichotała.

- To jest wyszukane, to jest zakazane. Średniowieczne ubiory są najbardziej zmysłowe ze wszystkich, jakie noszono. Uszyłam raz spódnicę dla lady Criseyde... - przerwała, po czym zwróciła się do niego. - Ciekaw jesteś, dokąd cię zabieram? - zapytała. - Jak myślisz?

- Chyba na bal kostiumowy. Przy odrobinie szczęścia, może i kostiumową orgię. Julia nie roześmiała się.

- Raz zdarzyło się coś takiego - powiedziała bardzo cicho. - Nie spodobałoby ci się.

On dostał krótki zielony płaszcz, ona zarzuciła na ramiona długą, szarą opończę, a rozpuszczone włosy osłoniła kapturem.

- Ty będziesz musiał poprowadzić motor - powiedziała. - Powiem ci, dokąd jechać.

Farrell spojrział na motocykl pochyłony przy krawężniku niczym cumulonimbus. Julia włożyła mu w dłoń kluczyki.

- Nie mogę prowadzić w tym stroju, a mam ochotę pojechać motorem. Zawsze lubiłem jeździć moimi maszynami.

- Nie na paradyzie przebierańców - mruknął. - Takie ponizenie przyzwoitego motoru może przynieść pecha. - Ale już spuszczał go z przednich nówek, zachłannie, choć z odpowiednim respektem. O motocyklach Julii myślał jak o jej zaprzyjaźnionych demonach, skrzyżowaniu gryfów z bykami.

Julia mieszkała trzy przecznice od Parnell, prawie na niewidzialnej linii oddzielającej studencką część Avicenny od reszty miasta. Siedziała bokiem, jedną ręką obejmując delikatnie w pasie Farrella, który prowadził ostrożnie motor w kierunku Parnell.

- Jak w Londynie - powiedziała - gdy wykradaliśmy się po nocach, żebyś mógł ćwiczyć. Ponieważ nie miałeś prawa jazdy.

- A ty nie miałaś papierów motocykla. Zrobiłaś na mnie wrażenie; zwędzić motor, nie ma co. Moja ty łotrzyco.

- Prawdę powiedziawszy, po prostu spóźniłam się z załatwianiem papierów. Ale tamta wersja bardziej cię bawiła. - Kazała mu jechać na północ, w kierunku uniwersytetu.

Wszystkie sklepy płytowe były otwarte do późna, a wszystkie radia samochodowe i przenośne magnetyfony nastawione na pełny regulator, ryczące jak aligatory w rui. Farrell jechał wolno wzdłuż Parnell, mijając niczym nurek zmieniające się prądy, temperatury i struktury dźwięku.

Ulica kipiała i buchała swym własnym cytrynowo-maślanym światłem. W ten sobotni wieczór wyglądała przynajmniej trochę jak za dawnych czasów, gdy na każdym rogu było arabskie targowisko, a wszystkie wejścia zajmowali zakochani, złodzieje, handlarze, trubadury oraz małolaty o szklanych oczach i twarzach z twardych cukierków. Julia przytuliła się do pleców Farrella i zanuciła mu cicho w ucho:

Wiedźma dosiada czarta, Ta noc grzechu jest warta

- Na jazdę wymarzona...

Nieprawdopodobnie wysoki, niemożliwie szczupły czarny mężczyzna stał na środku ulicy. Usuwał się nieznacznie na widok mijających go samochodów, machał, by przejeżdżały i miał nienormalnie błogi wyraz twarzy. Motocykl podjechał do niego prawie z prędkością pieszego i mężczyzna miał czas przyjrzeć się twarzom Farrella i Julii oraz ich strojom. Poklepał ich z namaszczeniem po głowach i pochylił się ku nim. Twarz miał wklęsłą i połyskliwą, gładką niczym stara drewniana łyżka. Poczuli lekki, zagubiony, kpiący dotyk jego głosu.

- Przypomnijcie mnie dziewczynie. Powiedzcie Aiffe ze Szkocji, by pamiętała Prester Johna.

- Skręć tu w prawo - rozległ się za plecami ostry głos Julii.

Farrell skinął głową czarnoskóremu i przeciął ulicę obok kina, w którym reklamowano przegląd filmów Rhondy Fleming. Potem popędził pod górę, ponownie w ciemności.

- To mi się podoba - rzucił radośnie przez ramię. - Prester John z Afryki i Indii, ten, którego kucharzem był król, a szambelanem arcybiskup. To tam była Fontanna Młodości, w krainie Prester Johna. - Julia nic nie odpowiedziała, więc Farrell ciągnął dalej w zamyśleniu. - Aiffe ze Szkocji. Ją też chyba znam. Przywodzi mi na myśl kogoś ze starej ballady. - Ale tak naprawdę to imię przywiodło mu na myśl ciepłą, klującą cierpkość basenu i Crofa Granta, gderającego o dziewczynie, której się obawiał. - To miasto zawsze miało najbardziej elokwentnych pomyśleńców.

- On nie jest pomyśleńcem. Nie nazywaj go tak - powiedziała Julia twardym i niskim głosem.

- Przepraszam - odpowiedział Farrell. - Nie wiedziałem, że jesteście przyjaciółmi. Przykro mi, skarbie.

- Byliśmy przyjaciółmi. On nazywa się Rodney Micah Willows.

Farrell przycisnął nieco gaz i skierował się pod górę, ku Barton Park. Julii zwiało kaptur i jej włosy smagały mu policzki. Przytuliła się do niego mocniej, ponownie nucąc wiedźmią śpiewkę:

Burza z wichrem nadleci, Ciemność nocy rozświeci Błyskawicą jak łuną. Duch z mogiły powstanie, Stawi się na wezwanie Pośród huku piorunów.

Wjechali do parku od południa, od przeciwnej strony niż zoo. Główna droga wiała się serpentyną wokół zarosniętego krzakami wzgórze, co jakiś czas rozszerzała się w wykoszone polanki, gdzie drewniane stoły, ławki i huśtawki przebłyskiwały pod sekwojami. Pod matowosrebrzystym niebem urządzenia piknikowe wyrastały niczym wielkie granitowe monolity, z cienkimi, płytkimi rowkami do odprowadzania krwi, postawione, by prowadzić wymarłych matematyków i podtrzymywać wiarę. Kalifornijskie Stonehenge. Będą myśleli, że cały park służył do przewidywania trzęsień ziemi.

Węższe ścieżki wiodły z terenów piknikowych w dół, w kierunku boisk do koszykówki i żuźlowych szlaków lub w górę, przez zagajniki pokryte butwiejącymi szczątkami sięgających kolan sekwoi pachnących jak chłodne, upudrowane wnętrza pachy. Julia skierowała Farrella na

jedną ze stromych pochyłości. Pojechał nią wolno pomiędzy czarnymi arkadami drzew. Księżyc dumiał w ich koronach. Po jakimś czasie nagle wyjechali na łąkę i zobaczyli tańczące w oddali światła.

- Stań pójdziemy - powiedziała Julia.

Po obu stronach ścieżki zaczęły się wyłaniać zarysy samochodów i motocykli. Farrell zgasił silnik i usłyszał sowy. Usłyszał również taniec Gervaisa "La Volunte", grany na rożku i rebece. Dźwięki migotały na łące, drobniutkie, błyszczące i ostre niczym nowe gwoźdźdiki.

- Niech to cholera - odezwał się cicho. Zaparkował przy innym motocyklu i przykazał, żeby były grzeczne. Potem ruszyli w kierunku światła. Julia wzięła go za rękę, chowając palce wewnątrz jego dłoni.

- Wybierz imię - powiedziała.

Na zakończenie "La Volunte" rozległ się śmiech. Przed nimi ciemny namiot wznosił się nad powierzchnią łąki niczym odległa góra.

- Lester Young. Nie, Tom a'Bedlam - rzucił. Julia zatrzymała się i wbiła w niego spojrzenie. - No wiesz. Z czeredą wściekłych zjaw, których jestem dowódcą....

- Przestań się wygłupiać - powiedziała z zaskakującą zawziętością. - Imiona mają tu swoje znaczenie, Joe. Wybierz dobre imię, szybko, później ci powiem dlaczego.

Ale muzyka, kołyszac nim rozkosznie, wprowadziła go w miłe swawolny nastrój.

- No dobrze, Solomon Daisy. Malagigi Karzeł Czarodziej. Wspaniałe imię - powiedział. Muzycy zaczęli grać następny utwór, pawanę, nadając jej powolny, wdzięczny rytm, który czynił z pawany coś więcej niż procesję. - A co powiesz na Johna Amend-All? Duży Jon i Iskierka? Ty możesz być Iskierką. - Muzyka wcale nie wydała się bliższa, gdy podeszli do namiotu na łące. Sowa przesuwiała się nad ich głowami niczym ogromna płaszczka frunąca przez morskie głębiny. Farrell położył Julii rękę na ramieniu. - Przepraszam. Ty wybierz dla mnie dobre imię, proszę - powiedział.

Nim zdążyła odpowiedzieć, równie nagle jak sowa wyłonił się przed nimi cień ozdobiony piórami.

- Kto idzie? - odezwał się niski głos ledwie głośniejszy od szczęku stali, który mu towarzyszył.

Farrell roześmiał się z niedowierzaniem, ale Julia stanęła przed nim.

- Milordzie Garth, tu Julia Tanikawa z przyjaciół. - Jej głos był jasny i pogodny, prawie śpiewny.

Miecz z jękiem wrócił do pochwy, a wartownik podszedł do nich, mrużąc oczy w ciemności. Chodził w dziwny, trochę zmanierowany sposób, drobiąc nogami.

- Lady Murasaki? - Jego głos przybrał ton elżbietańskiej serdeczności. - Na Chrystusa, to ci dopiero niespodzianka. Nie myśleliśmy, że ujrzymy cię tak szybko na naszych maskaradach.

Julia dygnęła pośpiesznie. Jej zachwycający ukłon krył jednak ostrzeżenie dla Farrella.

- Po prawdzie, milordzie, nie myślałam przyjść na tańce dziś wieczór, lecz fantazja mnie naszła, by pokazać przyjacielowi, jak się zabawiamy. - Schwyciła Farrella za ramię i przyciągnęła do siebie.

Wartownik skłonił się lekko przed Farrellem. Pociągłą, kościstą, inteligentną twarz, skrywał pod przybranym piórami beretem. Miał na sobie sztywny kaftan, który przy potężnych barach i braku talii, przydawał mu wygląd rombu. Końce cienkich jak szpagat wąsów miał wypomadowane i zawinięte, tak że sprawiały wrażenie pary oprawnych w stal binokli, przyczepionych do góry nogami nad górną wargą. To była jedyna rzecz, która się Farrellewi w nim spodobała.

- Nazywam się lord Seneschal Garth de Montfaucon - powiedział.

Posłuszny wymownemu spojrzeniu Julii, Farrell przeleciał w myślach wyblakły zestaw paladynów, czarodziejów i pielgrzymów Canterbury, po czym poszukał oparcia w mrokach celtyckich czasów.

- Łaskawy panie, jestem obłożony geas\*. [\* Geas - zakazy i nakazy nakładane na poszczególnych ludzi, także panujących, wiążące ich magiczną mocą, na przykład zabijania pewnych zwierząt, podróży w określone dni, zjadania pewnych potraw - rodzaj indywidualnego tabu. Prawo to przysługiwało druidom we wczesnośredniowiecznej Irlandii. Pogwałcenie geas mogło ściągnąć zemstę sił nadprzyrodzonych.] Tabu. - Garth skinął głową. Nie wyglądał na specjalnie urażonego wymówką Farrella. - Nie wolno mi wyjawiać mego imienia pomiędzy wschodem księżyca a świtem - powiedział ostrożnie - chyba że królewskiej córce. Wybacz mi zatem, jeśli łąska, dopóki nie spotkamy się w blasku dnia. - Pomyślał, że to bardzo dobre geas, biorąc pod uwagę krótki czas, jaki miał na jego wymyślenie.

Za plecami Gartha de Montfaucona inne postacie w kaftanach i płaszczach zniknęły i pojawiały się w cieniu mrocznego namiotu lub stały nieruchomo w świetle pochodni.

- Królewska córka - rzekł wolno Garth.

- Nie inaczej, i dziewczica. - A niech to diabli, chcesz mieć geas, to masz geas.

- Tak powiadasz? - Garth zmarszczył brwi. Przypatrywał mu się znad śmiesznych wąsików krótkowzrocznym spojrzeniem.

- W rzeczy samej - odparł Farrell, a Julia zachichotała. - I to dopiero, gdy we dwoje odtańczymy galliardę.

Garth spojrział w bok, by powitać kolejną parę i Julia pociągnęła Farrella szybko w kierunku drzew. Teraz dostrzegł muzyków. Czterech mężczyzn i kobieta stali na niskim, drewnianym podium. Mężczyźni byli ubrani w

białe koszule z zabotami i bufiaste bryczesy mieszczan z czasów Rembrandta, kobieta zaś, bijąca palcami w bębnek, miała na sobie gładką, białą suknię, w której wyglądała jak szachowa królowa. Farrell stał bez ruchu. Przypatrzył się, jak grali starodawną muzykę dla tancerzy, których nie widział.

- Witaj zatem - pobiegł w ślad za nimi znad łąki smutny głos lorda Seneschala. - Przyjemnych tańców, lady Murasaki, z twym bezimiennym adoratorem.

Julia sapnęła cicho i zrobiła groźną minę.

- Nazywa się Darrell Sloat - powiedziała z opanowaniem. - Pomaga doskonalić technikę czytania w szkole średniej dla chłopców Hirama Johnsona. Powtarzam to sobie za każdym razem, gdy uda mu się mnie rozżościć.

Potężny mężczyzna w stroju z czasów Tudorów, cały w czerwonych aksamitach i złotych łańcuchach, przepchał się pomiędzy nimi niczym fala mięsa, charcząc pijackie przeprosiny i rękojeścią miecza gniotąc Farrellowi zebra.

- Czy aby on ci nie dokucza, stodziutka? - zapytał wyniosłe Farrell. - Do licha, zaraz mu przyłożę. Nie, wyzwę go, na Boga, wyzwę go.

Zatrzymał się, ponieważ Julia ścisnęła go mocno za nadgarstek. Jej ręka była zimna.

- Nawet nie zartuj w ten sposób - powiedziała. - Mówię poważnie. Joe, trzymaj się od niego z dala.

Pawana dobiegła do pełnego omdlewającej dysharmonii końca. Muzycy skłonili się. Mężczyźni wyglądali komicznie w swych bufiastych pantalonach, a z pochylonej kobiety jedwabna szata zdawała się spływać na podłogę. Chciał zapytać Julię, czemu ma się strzec Gartha de Montfaucona, ale gdy obszedł pawilon i ujrzał tancerzy, powiedział tylko: - A niech mnie.

Tancerzy było około pięćdziesięciu, tak przynajmniej wydawało się Farrellowi, patrzącemu zza drzew. Przy ostatnich dźwiękach pawany wyrzucili ręce do góry i kołysali nimi ponad głowami w mroku nocy i blasku pochodni, a właściwie lampionów zawieszonych na gałęziach drzew. Ich pierścienie i bogato zdobione szaty migotały, rozsiewając zielone, fioletowe i srebrzyste błyski niczym hojny dar dla muzykantów. Farrell nie widział ich twarzy, oszołomiony jaskrawością, aksamitami, płaszczami, złotem i brokatem - widział jedynie szaty potyskujące w wielkim kole, poruszające się, jakby nie wypełniał ich ciężar ludzkich ciał, lecz błędne ogniki i wiatr. Eteryiczny lud - pomyślał. - To z pewnością eteryczny lud.

- O co chodzi? - zapytała Julia i wówczas uprzytomnił sobie, że odepchnął ją i zrobił krok do przodu.

Po przeciwnej stronie tanecznego kręgu stał Ben, przesłonięty częściowo przez barczystego Tudora. Pod czarnym, lamowanym białym płaszczem miał tunikę z długimi rękawami. Na głowie hełm z wyrytym pyskiem odyńca. Na szyi potyskiwały mu brązowe ozdoby, a za szerokim miedzianym pasem lśniła krótka siekiera. Zdumiony Farrell zrobił kolejny krok do przodu. Ben odchylił na bok poszczerbioną tarczę, spojrzął na przyjaciela i nie rozpoznał go.

8.

Farrell zawołał i zamachał do niego, ale ponure spojrzenie Bena przesunęło się po nim, nie zatrzymując. Potem widok przesłoniła mu grupka dziewczynek w zwiewnych szatkach wrózek. Przeszły, trzymając się za ręce. Farrell ponownie spojrzął na drugi koniec polany, ale Bena już tam nie było. Czerwony Tudor obserwował dyskretnie błędnym spojrzeniem starego byka.

- Zwykle nie przychodzi na tańce - powiedziała Julia. Farrell odburknął jej coś niewyraźnie. - Nie wiedziałam, kim był. Są tu ludzie, których prawdziwych imion nie poznałam przez dwa lata. Nikomu ich nie zdradzają.

- Jakiego w takim razie używa imienia? - Znał jej odpowiedź, nim jeszcze ją usłyszał.

- Nazywa siebie Egilem Eyvindssonem. - Muzycy zaczęli grać następny utwór. Rozległ się nerwowy, wyzywający śmiech. - Przychodził na potyczki - ciągnęła Julia - zawsze, widywałam go też czasami na jarmarkach. Zwykle przychodzi tam, gdzie toczą się walki. - Mówiła wolno, obserwując jego twarz. - Włada bronią najlepiej ze wszystkich ten twój przyjaciel, Ben. Pałasz, miecz, wielki drewniany młot. W czasie Wojny o Buciki Królowej Matki wystarczał za pięciu dodatkowych rycerzy i goryla. Mógłby zostać królem, gdyby tylko zechciał.

- Nie mam wątpliwości - odparł Farrell. - Żadnych. Jestem pewny, że mógłby dostąpić godności Świętego Rzymskiego Imperatora, gdyby tylko zdał egzaminy dla urzędników państwowych. Z jego wykształceniem. Czy ty aby nie masz bzika?

- Tańcz - powiedziała spokojnie Julia. Nie odezwała się więcej i dała się porwać rytmicznej gonitwie. Tańczyła drobnymi krokami, przeskakując słodko z jednej nogi na drugą, unosząc kolana aż na wysokość bioder i przechylając głowę na boki. Farrell patrzył na nią zdumiony. Pomiędzy nimi skakała już następna para. Mężczyzna skłonił mu się dwornie, nie przerywając tańca, a kobieta zawołała:

- Witaj, lady Murasaki!

Julia uśmiechnęła się do nich i pozdrowiła, wymawiając osobliwe imiona.

Tam, gdzie są dźwięki. W księżycowym blasku delikatne podmuchy wietrzyku unosiły dźwięki rozków. Dookoła Farrella buty, sandały, miękkie pantofle deptały sztywną trawę, podskakując i przytupując w rytm

kroków tańca, który tak niegdyś ukochała sobie królowa Anglii. Pochwy mieczy klekotały, trącąc o paski, suknie szeleściły na liściach, dzwoneczki podzwaniały u lamówek i nadgarstków. Ludzie, wpadając na Farrella, mówili:

- Po tysiącuroc wybac, szlachetny panie.

Nigdzie nie mógł znaleźć Bena. Dostrzegł jednak Julię zbliżającą się do niego powolnym krokiem. Stąpała w tak muzyki jak kot po płocie.

- Tańcz. Tańcz, Joe - powiedziała znowu.

Za nią Farrell dostrzegł kościstą twarz Gartha de Montfaucona, obserwującego go z beznamietną, niemal uczoną odrazą. Farrell skłonił się przed Julią, kreśląc dłońmi na piersiach magiczną arabeskę. Julia uśmiechnęła się. Odpowiedziała mu ukłonem i wyciągnęła rękę.

Farrell nigdy tego nie tańczył, lecz grywał podobne melodie, a jego stopy zawsze wiedziały to, co jego palce i na odwrót, nigdy nie potrafił zatańczyć niczego, czego nie potrafił grać. Krok był krokiem pawany, ale pawany napisanej i wykonywanej przez króliki w blasku księżyca, a nie pawy, błękitnych niczym sól w ogniu, kroczących dumnie w blasku hiszpańskiego południa. Farrell ruszył, trzymając Julię za rękę, naśladowując jej ruchy - niecierpliwy mały podskok tuż przed kolejnym dźwiękiem, szybkie machnięcie nogą, łagodne lądowanie. Teraz melodie tworzyły dźwięki pojedynczego rozka i chrapliwe, nierówne uderzenia bębna. W migotliwym blasku naftowych lamp kobiece palce połykiwały na bębnie niczym krople deszczu.

Potem Julia puściła jego rękę i zaczęły cofać się, zwróciwszy twarzami do siebie. Udało mu się wówczas przyjrzeć najbliższym tancerzom. Większość stanowiły osoby w jego wieku lub młodsze. Zaskakująco wielu było otyłych, choć luźne szaty tuszowały niedoskonałości sylwetek. Farrell nie miał wielkiej wprawy w tym tańcu, ale tylko nieliczni radzili sobie lepiej od niego i nie mylili kroku. Młodzieniec w stroju leśnych ludzi opuścił miejsce w bocznym szeregu i ruszył ku muzykantom. Podrygiwał na chudych nogach, improwizując podskoki i susy z istic kocią, niespożytą energią. Starsza kobieta, w ogromnej, żółtej elżbietańskiej krynolinie tańczyła sama posuwistym krokiem, niemal idealnie trzymając się rytmu. Pod sekwoją, na skraju polanki, trzy inne pary tańczyły wedle własnego układu, w którym mężczyźni w zgrabnych wygibasach zmieniali partnerki. Po skończonym, kawałku tańczący skłonili się sobie i wymienili pocałunki, ceremonialnie, niczym figurki z chińskiej porcelany. Farrell, powodowany nastrojem chwili, pocałował Julię.

Tancerze nie bili braw muzykantom, ale odwrócili się i skłonili przed prowizoryczną estradą, na której kobieta i czterech mężczyzn w spodniach klaunów już pochylało się w głębokim, powolnym pokłonie. Kobieta niemal dotknęła czołem kolan.

- Lady Criseyde - powiedziała Julia. - Uczy tańca. Każdy od niej zaczyna. Jej mąż, książę Frederik ze Wschodniej Marchii, przewodzi Gildii Sokolników.

- Frederik Sokolnik. - Farrell słyszał, jak Crof Grant wymawiał to imię. W pobliżu estrady zauważył kotyszącego się sennie siwowłosego mężczyznę. Od szyi po kolana spowijała go obszerna, szafranowa szata, przypominająca zwinięty fok. Materiał, zebrany w pasie i przerzucony przez lewą ramię, spływał mu po plecach jak toga. Spod niego wystawał krótki błękitny kaftan i w kilku miejscach przebijała biel koszuli. - Szkockie szatki - wymamrotał Farrell.

Muzycy ponownie zabrali się do pracy. Lady Criseyde zaczęła delikatnie wybijać rytm następnej pawany. Julia wzięła Farrella pod rękę i oboje zajęli miejsca w szeregu. Stanęli pomiędzy parą rojalistów, całych w lokach, piórach, koronkach i kryzach, a parą czarnoskórych Saracenów.

- Uczestniczysz w Urodzinowych Harcach Króla Ligi Archaicznych Przyjemności.

Farrell spojrzął na czarnoskórą kobietę, a ona odpowiedziała mu uśmiechem, który ozdobił jej poważną buzię figlarnymi dołeczkami. Miała na sobie opalizujący płaszczyk, ściągnięty szerokim, plecionym paskiem. Włosy zebrane w warkocze były oproszone złotem. Niczym w przebłytku sennej wizji, Farrell rozpoznał w jej towarzyszu mężczyznę z zielonego kabrioletu, który z zapamiętaniem odparowywał najazd Madame Schumann-Heink swym pałaszem. Posłał Farrellowi szybkie, porozumiewawcze mrugnięcie. Potem odwrócił się majestatycznie.

Tę pawanę tańczono na hiszpańską modłę. Farrell próbował rozpaczliwie złapać krok przez kilkanaście taktów. Melodia była o wiele żywsza niż angielska, którą znał, i wciąż z zakłopotaniem mylił krok. Mimo wszystko z zalem przestał tańczyć. Julia odprowadziła go na bok i usiadła na trawie pod osłoną ciemnego namiotu.

- Już łąpałem - powiedział. - Wystarczyłoby mi jeszcze tylko chwila.

Julia nie odpowiedziała. Przyglądała się tańczącym, szarpiąc z roztargnieniem łydki koniczyny.

- Czy wybrałeś już imię? - zapytała cicho, nie odwracając głowy.

- Niepotrzebne mi żadne. Nikt, poza królewską córką-dziewicą, nie może poznać mego imienia przed wschodem słońca.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała, odwracając się szybko ku niemu. - Nie żartowałam, kiedy mówiłam ci o ważności imion. Joe, choć raz uważaj.

- Uważać na co? - zapytał poirytowany. - Daj spokój, skarbie; jakiś zespół ludowy nazywający siebie Ligą Artystycznych Rozrywek...



- Arc haicznych Przyjemności - poprawiła Julia. - Zarejestrowana, z prawem do zryczałtowanej opłaty pocztowej. - Jej oczy ponownie śledziły pawanę, a palce nawet na chwilę nie przestały gmerać w zimnej trawie. - I nie są zespołem wykonującym tańce ludowe.

- Jasne - powiedział Farrell. - Prowadzą wojny o pas do podwiązek królowej. Zapomniałem. Co jeszcze robią?

- To była Wojna o Buciki Królowej Matki. To była bardzo poważna sprawa. - Roześmiała się, opierając się o niego. - Inscenizują potyczki - dodała. - Turnieje. Po to właśnie był ten hełm i kolczuga.

- Chcesz powiedzieć, że walczyli na kopie? Julia pokręciła głową.

- Nie walczyli na kopie. Musieliby użyć koni, a to zbyt niebezpieczne. Ale wszystko inne było jak trzeba: walki na miecze, strzelanie do tarczy, nawet walki wręcz. - W blasku pochodni tancerze i muzykanci zmienili się w spżowe cienie; w ciemnościach kaftany i pióra migotały niczym zapalone świece. - Nie chodziło przy tym o samą walkę, jak tym z dalekiej północy. Niektórzy mężczyźni w ogóle nigdy nie walczą. Przyłączają się do nas dla muzyki lub strojów, zostają bardami, prowadzą badania z zakresu heraldyki, kaligrafii, etykiety dworskiej, a nawet sposobów gotowania i dawnych gier. Ale bez potyczek nie byłoby Ligi.

Garth de Montfaucon tańczył z wdziękiem z bardzo młodą dziewczyną w gładkiej, błękitnej sukni. Przesunęli się obok nich, a Garth zerknął przez ramię w ich stronę.

- Ci z dalekiej północy? - zapytał Farrell.

- To kapituła z Sacramento. Jest jeszcze jedna w Los Angeles, Królestwo Pod Wzgórzem. My jesteśmy Królestwem Huy Braseal.

Wymówiła to imię z lekko kpiącym zabarwieniem. Farrell poczuł nagle dziwny dreszczyk, delikatne ułkucie lodowej igielki. Tego samego uczucia doświadczył, gdy miecz Gartha zaszczekał w pochwie.

- Jak długo się w to bawisz? - zapytał. - Od jak dawna ci ludzie tym się zajmują?

- Od jakichś dziesięciu, dwunastu lat. W każdym razie Huy Braseal, inni zaczęli później. - Dwa ogromne charty afgańskie, jeden czarny, drugi złocisty, wskoczyły pomiędzy tancerzy. Ich wyszczerzone zęby i bladozółte oczy zamieniły pawanę w scenę z jarzącego się w oddali gobelinu. - Ja jestem z nimi związana z przerwami od kilku lat - powiedziała Julia. - Nancy mnie w to wciągnęła, lady Criseyde. Ona jest w Graduate Admissions.

- Ta zbroja na łóżku była prawdziwa - powiedział powoli Farrell. - A co z mieczami, toporami i tak dalej?

- Głównie ratan. Jest jak wiklina, tylko cięższy. Niektórzy nadal jednak używają miękkiego drewna, na przykład sosnowego.

- Nie stary sir Rachatukum - powiedział Farrell. - Facet z zakręconym wąsikiem. To, czym on wymachiwał, było prawdziwe.

- Garth się tylko popisował - odparła pogardliwie. - On zawsze przynosi swego Wesołka na tańce. Kwestię broni ograniczają bardzo ścisłe przepisy. Nie wolno walczyć niczym, co jest ostro zakończone, należy jednak zadawać ciosy z taką siłą, by przecięły zbroję, gdyby broń była ostra.

Tak to wygląda, broń nie jest na tyle prawdziwa, by zabić, ale czasem może złamać rękę lub zebro. To drażliwy punkt Bractwa Płatnerzy.

- Mogę się założyć - powiedział. - Ale heca. Należysz do Bractwa Płatnerzy?

- Nie, ja jestem w Towarzystwie Rękodzielników. My szyjemy ubrania i proporce, malujemy tarcze i robimy wszystko, co zleca nam inni ludzie. Nie robię już zbroi. Tym zajmowałam się na początku przynależności do Ligi.

Sowa wróciła. W blasku księżyca, szara jak ćma, krążyła i zawisała nad pawaną, nawołując piskliwie z oburzenia, że jej tereny łowieckie zostały zajęte - Farrell był o tym przekonany. Julia wskazała mu króla Bohemonda. Był to krępy, tysięcący, stosunkowo młody mężczyzna, ubrany w długą, purpurową tunikę i płaszcz, skrojone i haftowane na bizantyjską modłę. Stał w towarzystwie trzech innych mężczyzn - czerwony Tudor był jednym z nich - pod drzewem na skraju polanki.

- Jak zostaje się królem w Huy Braseal?

- W walce zbrojnej - odparła Julia. - Podobnie zdobywa się pas rycerski czy zostaje jednym z Dziewięciu Książąt. Trzeba przejść kilka rytuałów i prób, a wszystko sprowadza się do walki. Bohemond jest królem dopiero od kilku miesięcy, od czasu Turnieju w Wigilię Trzech Króli. Pawanę zakończyło przenikliwe świśnięcie rozka oraz migot powolnie skłaniających się płaszczy i ozdobionych piórami beretów. Garth de Montfaucon wykonał równie długi i głęboki pokłon jak pozostali, ale stojąca obok niego dziewczyna pozostała wyprostowana. Stała w swej błękitnej sukni z nikią, drażniącą arogancją, od której płomyki naftowych lamp też zdawały się kłaniać. Farrell nie mógł dostrzec jej twarzy.

- Kto to? - zapytał. Dziewczyna odwróciła się nieznacznie, mówiąc coś do Gartha. Odgarnęła gęstwinę rudawych włosów.

- Aiffe - odparła równie cicho Julia. Jej głos zabrzmiał jak łopot skrzydeł:

- Aha - powiedział Farrell. - Aiffe ze Szkocji. - Z tej odległości dostrzegał jedynie płomiennosc jej włosów, mocno opaloną skórę i szczupłą, smukłą postać, której ruchy przypominały mu burzę nad górskim jeziorem. Nie

widział nic równie wdzięcznego. To było niczym tęskna pawana po powierzchni wody. Nic nie mogło jej powstrzymać. - Znam to imię - powiedział. - Jest opowieść o Aiffe.

Muzykanci opuścili instrumenty. Sięgnęli po papierowe kubki z winem, gdy tymczasem tancerze rozproszyli się, by poszukać wytchnienia w pawilonie. Julia pokręciła głową i potarła ramiona.

- Ona nazywa się Rosanna Berry. Chodzi do szkoły średniej. Ma piętnaście lat.

Farrell przyglądał się wyprężonej, wyniosłej postaci, jednocześnie księżniczki i chudej, groteskowej lalki z kaskadą wspaniałych włosów.

- Żeby nie zapomnieć przekazać jej pozdrowienia od Prestera Johna. Sam tron może od tego zależeć.

Julia wstała gwałtownie, zgarniając liście z sukni. Nie spoglądała na Farrella, który wstał razem z nią.

- Wracajmy do domu - powiedziała. - Nie powinnam cię tu przyprowadzać. - Mówiła szybko, prawie mamrotała. Farrell nie słyszał, by kiedykolwiek tak dziwnie zniekształcał się jej głos.

- Dlaczego? - zapytał. - Skarbie, nie miałem zamiaru nabijać się, przepraszam. - Odwrócił ją do siebie, chwytając za rękę. - Ja tylko staram się uchwycić zasady gry - powiedział. - Skarbie, o co chodzi? Naprawdę mi przykro. - W oddali za nią Garth de Montfaucon zmierzał ku muzykantom, ciągnąc za sobą Aiffe. Dziewczyna podążała za nim spokojnie, uśmiechając się i potrząsając włosami.

Dłoń Julii zaklinowała się sztywno w jego dłoni, niczym nóż Pierce' a/Harlowa.

- Oczywiście, że to jest gra - powiedziała, nadal nie patrząc wprost na niego. - Biali przedstawiciele klasy średniej biegający w trykotach, profesorowie okładający się kijami, czymże innym mogłoby to być? Dzięki, że mi o tym przypomniałeś, Joe.

- Zapomniałaś? - Nie odpowiedziała. - Stary Garth - ciągnął dalej Farrell - założy się, że dla tego chłopaka to nie jest gra. Założy się, że Garth często się zapomina. - Chciał zapytać o Bena, ale uznał, że może z tym poczekać, dopóki nie wróci do domu. - Czemu mnie tu zabrałaś? - zapytał. - Z powodu muzyki?

Crof Grant przeszedł obok nich nieprawdopodobnie spokojnym krokiem. Chrupał, ociekając tłuszczem, indyczą nogę i podśpiewywał z mocą zdartej taśmy:

Naszych chłopców na Kresy Los popędził i biesy! Zwyciężyli Anglicy fortelem; W krwi i prochu tu leży Sam kwiat naszej młodzieży - Ci, co bili się zawsze najśmielej.

Julia wsunęła Farrelłowi na prawą rękę wianuszek z koniczyny.

- Od damy twego serca - powiedziała z roztargnieniem. - Musisz mieć imię i damę swego serca - dodała, po czym z uśmiechem wzięła go pod rękę, przytulając się, jakby nagle znalazła się w jakimś zimnym i ciasnym miejscu. - Z powodu dźwięków - powiedziała. - Chodźmy spotkać się z królem Bohemondem Huy Braseal.

Powoli szli przez polanę, przystając często, gdyż Julię pozdrawiały jak siostrę osobistości ze świata Karola Wielkiego, Saladyna i Henryka I. Farrell był przedstawiany jaskrawej szykowności tunik, płaszczy, kaftanów i wytwornych sukien, odpowiadających takim imionom jak Simon Wided arer, Olaf Holmquist, lady Vivienne d'Audela, sir William the Dubious i don Claudio Baltasar Ruy Martin Ildefonso de Sanchez y Carvajal.

- Lady Murasaki - mówili - cóż za radość widzieć cię tutaj ponownie. - "A zauważywszy Farrella, dodawali: - A kimże jest ów słodki łobuziak, którego nam tu sprowadziłaś, pani? Farrella najbardziej ujęła lady Criseyde i jej mąż, książe Frederik Sokolnik - mieli niemal identyczne, smagłe, trójkątne, tajemnicze twarze - i czarnoskóra kobieta, której towarzysz przedstawił ją jako Amanishakhete, królową Nubii.

- Nie zwracaj na niego uwagi, gada co mu ślina na język przyniesie - powiedziała, gdy pochylił się nad jej dłonią. - Nazywam się Lovita Bird, kochany, i w tym względzie nie ma postępu.

Spotkał również hrabinę Elizabeth Bathory, którą widział w zielonym kabriolecie, ubraną jedynie w złote łańcuchy. Z bliska była zupełnie podobna do płaskonosego, jaspisookiego perskiego kota. Podrapała pieścotliwie dłoń Farrella, gdy całował jej rękę.

Nigdzie nie było widać Bena. Farrell chciał przyjrzeć się dokładniej Aiffe, ale i ona zniknęła, choć Garth de Montfaucon zawsze kręcił się w pobliżu, podkręcając węża lub bawiąc się rękojeścią miecza.

- Niech Bóg ma w opiece waszą wysokość - powiedziała Julia półgłosem, skłaniając się z przesadną skromnością przed królem Bohemondem.

- Niech żyje król! - zawołał entuzjastycznie Farrell, padając na kolana. - Król jest ponad gramatykę!

- Co do cholery? - zapytał król Bohemond. Stojący obok mężczyźni chrząknęli znacząco i król wymamrotał ze znużeniem. - Wybaczcie. Cóż to za dziwaczne zawołanie?

- To moje ulubione przysłowie na temat królów - wyjaśnił Farrell. - Pochodzi od cesarza Sigismunda z szesnastego wieku. Zdaje się, że wytykano mu używanie celownika zamiast narzędzia.

- Dobry sposób - mruknął król. Położył Farrelłowi ręce na ramionach i poklepał go lekko. - Powstań - powiedział. - Powstań, sir Misiu Puchatku, najwierniejszy z mych rycerzy.

Farrell wstał z pewną trudnością, ponieważ król opierał się na nim całym ciężarem, nucąc pod nosem coś, co brzmiało jak Your Cheatin'Heart. Musiał w końcu chwycić dyskretnie za wyszywaną w gryfy jedwabną szarfę, krzyżującą się na piersi Bohemonda.

- Może uraduje waszą wysokość, iż sprowadziłam dla jego przyjemności lutniarza, jakiego jeszcze Huy Braseal nie gościło.

Farrell, kompletnie zaskoczony, zarumienił się. Chciał wytłumaczyć swe geas, ale Julia przerwała mu i wyjaśniła za niego tak kwiecistą angielszczyzną, jakby postugiwała się nią od urodzenia. Król spoglądał na nią z niechętnym podziwem.

- Ta cholerna dworska paplanina mnie męczy - poskarżył się głośno, ochlapując Farrella brązowym ale.\*[ \* Ale - piwo angielskie] - Nazywam to dworską paplaniną, bo nie można tego za cholerę nazwać językiem, nie ma żadnych zasad. Do złudzenia przypomina gadanie księcia Valianta. Żałosne, no nie?

Czerwony Tudor chrząknął.

- Panie mój, czy zechcesz dołączyć do królowej? Ona czeka na ciebie, panie, by poprowadzić galliardę. - Miał wysoki, bezbarwny głos i głęboko osadzone oczy.

- Dworska paplanina - powiedział król Bohemond. - Język MGM, język klasycznych komiksów. Walter Scott, na litość boską, w końcu to wszystko tylko popłuczyny po nim. - Głos mu się podniósł i nabrał ponurej złośliwości. - Oczywiście, dla nich to nie ma znaczenia. Oni nie zajmują się etnolingwistyką, nie czują najmniejszej odpowiedzialności wobec języka. Pieprzyć składnię, pieprzyć morfologię, jasne? Co się komu podoba.

Rozłożył szeroko ręce, przybierając pozę uśmiechniętego, obojętnego łaskawcy. Korona mu spadła i Farrell pochylił się, by ją podnieść.

- Wasza wysokość, cesarz Sigismund chciał tylko przez to powiedzieć...

- Nikt nie jest ponad gramatykę. To tak, jakby być ponad trawienie, no nie? - Wyszczrzył zęby w nieładnym uśmiechu, szturchając Farrella łokciem w bok. - Spójrz na nich, wprowadzę ich w zakłopotanie. - Popatrzył groźnie na damy i szlachciców, którzy nadciągali w swych trykotach, płaszczach i delikatnie wirujących sukniach. - Nikt nie spodziewał się mojego przybycia. Przekazywali sobie koronę jak jakąś pieprzoną piłkę do kosza. Nie spodziewano się mnie. No i teraz są uziemieni z tym cholernym wieśniakiem, tym wieśniakiem królem. Ponieważ nikt nigdy nie chciał być na ochotnika wieśniakiem, biednym, ciemnym, grzebiącym w łajnie chłopem, którego wykorzystywano do wyznaczania pola na ich cholernych turniejach. Więc król musi to robić, król musi reprezentować masy. Tutaj jest to całkiem nowa tradycja.

Nagle u jego boku pojawiła się niebywale przystojna, wyższa od niego, młoda kobieta. Zaczęła mokrym palcem pocierać płamę na jego alba camisia, szepcząc mu coś groźnie. Król Bohemond wysliznął się jej, mamrocząc, "Król ludu", ale ona ruszyła za nim, poprawiając mu koronę i wsuwając końce szarfy za pasek.

- Królowa Leonora - szepnęła Julia Farrellewi na ucho.

- Domyśliłem się.

Król Bohemond ponownie uwolnił się od troskliwej królowej, po czym z zaskakującym dostojeństwem zaczął wypytywać Farrella:

- Powiadasz zatem, żeś muzykant? Zagraj nam więc, abyśmy mogli cię poznać. Albowiem piszczałki i struny nieomylnie zaświadcniają, kim jesteśmy, gdybyż każdy z nas muzykantem był, bez wątpienia nie byłoby kłamstwa ani zdrady na świecie.

- Ani zaślubin - mruknął czarny Saracen. Miał osobliwy głos, miękki i chrapliwy zarazem. Dobiegał tuż zza pleców Farrella, choć Saracen nie stał w pobliżu.

Jeden z muzykantów przyniósł lutnię, inny z bębenka zrobił mu stołek pod nogę. Farrell powoli zaczął stroić lutnię, rozglądając się po polanie. Pomiędzy zgromadzonymi dostrzegł lady Criseyde i księcia Frederika. Stali spokojnie obok siebie, podczas gdy troje dzieci w przebraniach leśnych urwisów - najstarsze nie miało dwunastu lat - aby go lepiej widzieć siedziało jedno drugiemu na plecach. Julia powiedziała, że na wszystkich jarmarkach występują jako akrobaci, zonglerzy i linoskokczkowie. Hrabina Elizabeth Bathory pozerwała go wzrokiem z podium dla muzyków. Crof Grant, pług śnieżny w szafranach, przepychał się przez tłum, kiwając głową i uśmiechając się przepraszająco do tych, którzy nie zdążyli przed nim na czas uskoczyć. W końcu odepchnął Gartha de Montfaucona i zatrzymał się tuż za królową Leonora.

- Wasze Wysokości. Panie i panowie. Wystuchajcie, proszę, conso wielkiego trubadura Pierola, który dawno temu był tak smutnie zakochany - powiedział Farrell i zaczął rozbiegane preludium, stopniowo zwalniając po kilku taktach do ledwie zaznaczonego rytmu na trzy czwarte. Śpiewał po francusku, który znał lepiej niż prowansalski.

Bien des gens, hélas, me blament De chanter si rarement. La douleur fletrit mon ame. Et mon coeur est en tourment. Pourraisje done chanter garment, Quand il faut que je proclame Que m'afflige durement L'amour que j'ai pour ma dame?

Lutnia nie była tak czuła, jak jego instrument, a tonacja piosenki niewygodna dla jego głosu. Zmienił więc tonację, posiłkując się nowoczesną harmonią, improwizując na bazie anachronicznie zmieniającej się linii basów. Wes Montgomery rusza na krucjatę. Ale świadomość tego oddalała się niczym stacja kolejowa, podczas gdy grał i śpiewał skargę sprzed ośmiuset lat twarzom okolonym i rozjaśnianym przez wysokie kołnierze płaszczy, kotyszącym się pomiędzy kryzami i piórami, twarzom, na które płomień rzucały cienie.

Dans un deuil amer me plonge Sa cruauté sans recours. C'est grand mai: un doux mensonge Me serait d'un tel secours.

Nawet jedno słodkie kłamstwo uratowałoby mą duszę od męczarni. Garth de Montfaucon i czerwony Tudor wymienili uśmiechy, które błysnęły niczym otwierane sprężynowce. Lady Criseyde przytuliła się do ramienia męża, a zielone oczy hrabiny Elizabeth Bathory zrobiły się okrągłe i zadumane. Wysoki kapitan najemników, Simon Widedarar, podrapał się po nagiej, kudłatej piersi i uśmiechnął się. Gruby, rozczochrany sir William the Dubious tarosił swój obwisły nos. Czarny Saracen bezgłośnie bębnił palcami o palce. Farrell odszukał wzrokiem Julię i ostatnie wersy odśpiewał do niej, tak jakby to uczynił Pierol, wyczekujący w zimnej, okopconej sali na rozświetlone płomieniami spojrzenie.

Alors que pleure nuit et jour, Et ne vois pas, meme en songe, De remede a cet amour Que mon coeur tenaille et rongé, Que mon coeur tenaille et rongé.

Lutnia ze świergotem umilkła na niedokończonym akordzie, a smutna skarga Pierola popłynęła w noc. I nie widzę pomocy, nawet we śnie, dla tej miłości, która ścisza i trawi me serce. Farrell skłonił się głęboko przed królem Bohemondem i królową Leonora.

Pomyślał, że zagrał całkiem niezłe, jeśli wziąć pod uwagę, że pomylił tonację. Usłyszał szelest, podniósł głowę i zobaczył, że wszyscy skłaniają się przed nim, jak poprzednio przed muzykantami - suknie i płaszcze spływały niczym niesiony wiatrem deszcz, kosztowne łańcuchy i szarfy migotały niczym krople w księżycowym blasku - i poczuł nagle, że drży ze wzruszenia, podniecenia i lęku.

- Zagraj coś do tańca, chłopie - burknął król. Farrell przestroił lutnię i zaczął A l'Entrade. Ów wybór go zaskoczył: nigdy nie potrafił okiełznać tego narowistego estampie na prawdziwy numer koncertowy i nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz go ćwiczył. Ale kontrolę przejął jego spocone palce, atakując utwór tak zajadle, jak patroni trubadurów w uwalanych tajnem butach atakowali jedzenie. Struny zabrzęczały, zakrakały, zakwiliły, brzdęknęły i popłynęła melodia, wyśpiewując z radosnym uniesieniem powitanie dwunastowiecznej wiosny i wyśmiewając zazdrość i starość. Wyoście się daleko stąd! Tańczmy, tańczmy radośnie wszyscy razem, hej!

Lady Criseyde i jej ponurooki książę Frederik pierwsi stanęli do siebie twarzami i ujęli się za ręce. Poruszali się niczym wysokie ptaki o gładkim upierzeniu i, przyglądając się im, Farrell pomylił się w graniu. Inne pary szybko podążyły w ślad za nimi. Czterech muzykantów podjęło melodię, zastępując rebecę protoplastą oboju. Król Bohemond i królowa Leonora przepchnęli się na czoło dwuszeregu. Podskakiwali nie w takt, przewodząc w tańcu z rozpaczliwym napuszeniem. Garth de Montfaucon rzucił się na Julię, porwał ją w ramiona i ruszył w tan, udając wesolego lubieżnika. Farrell z kwaśną miną zauważył, że był najlepszym tancerzem.

Różki wybiły go z rytmu. Zagrały razem, pomrukiwały i buczały, a protoplasta oboju ryczał niczym orkiestra dęta. Farrell odłożył lutnię na podium. Czuł się bardzo na miejscu, wcale nie smutny, ale bardzo spokojny, dziwnie zadowolony z bycia niewidzialnym. Przyglądał się jak tańczący oddalali się od niego. Czuł jednak również głęboko w nerwach osobliwe mrowienie, przejmujący, nieuchwytny niepokój, który odciągał go, niemal nieświadomie, od poprzebieranych rewelersów w kierunku ciemności czających się za polaną. Gdzie podział się Ben? Muszę poszukać Bena.

W pobliżu drzew mglisty niepokój przybrał wyraźniejsze kształty, przechodząc w nastrój, jaki ogarnia konie, gdy zrywa się wichur, nadciąga deszcz lub gdy błyskawice pobudzą wszystkie cząsteczki powietrza. Zatrzymał się i obejrzał. Zobaczył światła i usłyszał muzykę, delikatną teraz z odległości, jak wówczas gdy po raz pierwszy szedł z Julią przez spowitą nocą łąkę. Oto nadciąga król, by zakłócić nasz taniec, hej! lękający się, by jakiś młodzian nie uniósł upojonej kwietniem królowej, hej! Z prawej dobiegł go metaliczny chichot lisa. Przed nim, w sekwojowym zagajniku, jakiś zaspiany ptak powtarzał w kółko dwie nuty. Usłyszał, że pod drzewami ktoś sobie podśpiewuje.

To była jękliwa piosneczka, jaką dzieci nuca w kółko, gdy bawią się w piasku. Jeśli miała słowa, to Farrell ich nie słyszał, ale sama melodia zwiększała jego wewnętrzny niepokój. Podążył ku niej, podniecony uściskiem szponów nieuchronnego. Piosenka, powtarzana z ponurą wytrwałością, zmieniła tonację na nieznacznie wyższą. Lis zaszczekał ponownie, a księżyc schował się i znowu pokazał.

Farrell nie zauważył, co się stało. Trwało to tak krótką chwilę, że jedynie miał świadomość, iż coś zaszło, tak jak wyczuwa się niewłaściwe sklejenie taśmy filmowej - zachwianie nasycenia kolorów, zdanie lub gest niezupełnie pasujące do reszty. Ale przez to mgnienie poczuł, jak wszystko w nim - krew, oddech, trawienie, komórki zachłannie chłonna, rozmnażające się i umierające - zatrzymało się, a on stał, gdy tymczasem ciepły podmuch, który pachniał niemal przyjemnie gnijącymi owocami, owiał go i zniknął.

Tuż przed nim, w nocnym mroku pod drzewami, piosenka kobiety skończyła się cienkim, urwanym okrzykiem przerażenia. Mężczyzna zaczął się śmiać, początkowo cicho.

9.

To był zachwycający śmiech, lecz niemiły. Farrell nigdy nie słyszał podobnego śmiechu. Była w nim rozczulająca słodycz i wspomnienie dobrych czasów, ale ani krzty dobroci. Syreny - pomyślał - rusałki. Ten śmiech unosił się w powietrzu niczym zapach spalenizny.

Ze swojego miejsca Farrell nie widział w ciemności twarzy mężczyzny, ale jego głos słyszał tak wyraźnie, jakby dzieliła ich tylko szachownica lub długość miecza.

- Boże miłosierny, oto znowu biedny Nicholas, cały i żywy!

To był beztroski, szyderyczy głos. Słowa impertynencko unosiły stopy do tańca, a rytm przywołał na myśl żółtoookiego mężczyznę, który niczym sokół wkroczył o północy do domu Sii. Od tamtego czasu dwa razy już mu się przyśnił.

- Ramiona, nogi, zmysły, fantazja i rozkoszna słodycz żądz, wszystko to nadal czuję -oznajmił radośnie nieznanomy. - A zatem komuż Nicholas Bonner może złożyć swe nie nabożne podziękowania? - Farrell usłyszał ciche sapnięcie, jakby wstrzymywany, prawie niesłyszalny, kobiecy pisk, a potem ponownie ów cudownie bezduszny śmiech. - No, no, kochana dziecino, z pewnością macierz twa przysposobiła cię na przyjęcie błogosławieństwa, jakie czeka tą, która pierwsza zlegnie z wiosennym Nickiem, który wyszedł zziębnięty i samotny z ponurych mroków raz jeszcze. Pierwszy przychówek twój znał będzie mowę wszystkich zwierząt, drugi rozumiał wołanie złota w ziemi - tutaj, zatem, a chyżo, albowiem zimno mi, zimno mi. - W tej chwili głos był tak przepętniony płaczącym smutkiem i przerażeniem, że Farrellowi zaparło dech.

Gałęzie znowu trzasnęły, ale tym razem kobieta zawołała głosem bliskim hysterii, lecz nie pozbawionym władczego tonu.

- Wynoś się, nie dotykaj mnie, co robisz? Po trzykroć nakreśliłam wokół siebie pentagram, więc co wyczyniasz, ty głupi kogucie?

To były pierwsze słowa, jakie Farrell usłyszał wyraźnie wymówione przez Aif fe.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, ale gdy zaczął, jego mowa zmieniła się, choć śmiech nadal czał się w każdym słowie.

- Prawdę powiedziawszy, wystarczy raz nakreślić prawdziwy pentagram. To koło trzeba narysować trzykrotnie, a i wtedy nie ochroni przed niczym, przed czym dziewczka o tak wspaniale smukłych nogach nie potrafiłaby uciec. - Cmoknięcie przeleciało obok Farrella, jakby miało zamiar rozpocząć samodzielne życie w Barton Park. - Sprawa jest bardziej zawiła - ciągnął dalej nieznanomy - jako że pentagram odstrasza jedynie demony, a dobry Nick Bonner nie jest demonem. Nawet Will Shakespeare nigdy mnie tak nie nazwał, a naprawdę wiele czasu spędził na wymyślaniu mi pasującego imienia. - Gdy odezwał się po raz pierwszy, jego głos był matowy niczym płomień, teraz, w miarę mówienia, nabierał barwy i giętkości jak nowonarodzony motyl, przeciągający się i wygrzewający w blasku księżyca.

Farrell przesuwiał się bokiem, kulił na czworakach i zakradał, dopóki nie zobaczył Aiffe po przeciwnej stronie dziwnego zagajnika spalonych sekwoi. Pożar lasu zamienił drzewa w zwęglone pnie, wypalone tak, że przypominały wielkie, czarne krzesła z wysokimi oparciami, ustawione wokół stołu z powietrza. Mężczyzna stał w ich cieniu, plecami do Farrella, który bardziej wyczuł niż zobaczył, że chłopak był równie szczupły jak Aiffe i nagi.

Dziewczyna szybko odzyskiwała panowanie nad sobą. Zmusiła się do zuchwałego dostojeństwa, czym wzbudziła podziw Farrella.

- Pentagram znajduje się tutaj, ponieważ przywoływałam demona. Jeśli ty nim nie jesteś, to wracaj tam, skąd przybyłeś. Nie chcę ciebie - oznajmiła, po czym dodała kilka słów, jak wydawało się Farrellowi, po łacinie.

Rozległ się promienny śmiech. Aiffe cofnęła się o krok, dotykając twarzy.

- Kochana wiewióreczko, kochana królicza skórko, najdroższa przepióreczko, nawet takiemu chełpliwemu księżuli jak Innocenty nigdy nie udało się odesłać Nicholasa Bonnera choćby za róg -powiedział radośnie nieznanomy. - Nikt nie miał nade mną władzy, odkąd mistrz Giacopo Salvini zginął na stosie w Augsburgu, a był to człowiek, któremu demony wymiatały palenisko i cesały jego wspaniałe konie. - Gwizdnął cicho i znowu cmoknął. - Ale czterdziestu zbrojnych rycerzy przybyło, by złoić mu skórę i nie miał czasu zapytać swej pozbawionej rozumu siostrzenicy, co obiecał jej w kącie za kominem słodki Nick. A z nim odeszły jedyne słowa, jakimi można było rozkazywać mej duszy, wszystko inne jest wolnością. Dziecino, paplanina, która zmusza Lucyfera do posłuszeństwa, nie zapięłaby guzika przy kołnierzyku Nicka Bonnera.

Nawet z tej odległości Farrell widział, że dziewczyna drżała, choć odpowiedziała spokojnie.

- Ale z ciebie kłamczuch. Ktoś odesłał cię przecież z powrotem do lamusa, czy gdzie tam byłeś, i musiałeś tam zostać, dopóki cię nie przywołałam. Jesteś niczym, ja chcę demona. - Jej głos był głosem lutni, chwytającym za serce i zmiennym, pobrzmięwały w nim bębenki i pojękiwała szarpana guma.

Mężczyzna przysiadł na bosych piętach, objął się i zaczął kotysać.

- Och, celny strzał - zawołał. - Ale i tak wspaniałej czarowności jest twa mowa. - Jego własna mowa traciła szybko złośliwą nutę. Farrell słyszał, jak samogłoski kurczyły się niczym przekuwane baloniki, a do wesołego zaciągania zaczął się zakradać miejscowy akcent. - Jesteś cudownie niemądra - powiedział Nicholas Bonner - ale znowu nie taka głupia. Ostatni palący oddech mistrza Giacopo rzeczywiście posłał jego zdrajcę w taką ciszę i noc, że niemal z płaczem chciałem dołączyć do niego w piekle. O tak, on najlepiej wiedział, jak się zemścić, przekonałem się o tym, gdy jeszcze ptonął. - Po raz drugi w jego głosie na chwilę zabrzmiała ta sama mroząca, bezgraniczna rozpacz.

- A więc gdyby nie ja... - odezwała się Aiffe. Farrell był zbyt daleko, aby widzieć wyraz jej twarzy, ale dostrzegł zmianę w sposobie, w jaki stała i odgarniała gęstwinę włosów. - Zatem jesteś moim dłużnikiem, prawda? - powiedziała powoli. - Tak naprawdę winny mi jesteś przysługę. Nicholas Bonner wybuchnął tym razem takim śmiechem, że musiał podeprzeć się rękoma, aby nie upaść.

- Zaprawdę, to zasługuje na moje największe starania w lokalnym języku. - Odchrząknął, nadal kucając z dłońmi na ziemi niczym zlocista żaba w księżycowym blasku. - Smarkulo, już samym tym, że nie jestem demonem, przysłużyłem ci się jak nikomu od tysiąclecia. Powiem ci jedno, gdybyś przyciągnęła uwagę najskromniejszego, najmarniejszego, najędźniejszych rozmiarów demona, to zaprawdę, dziewczyno, demon pochłonąłby twój taniutki urok i połknął cię, nim zdążyłabyś narobić w majtki. Możesz być pewna, że jesteśmy bardziej niż kwita.

- Jeśli wierzyć temu, co mówią ludzie, nie byłoby cię tutaj - odpowiedziała. - Nie martw się o mnie, dobrze? Sama o siebie zadbam, poradzę sobie ze wszystkim, co przywołam. - Schwyciła się pod boki i pochyliła nad kucającym mężczyzną. - Użyłam tego zaklęcia trzykrotnie - powiedziała -i za każdym razem coś się poruszyło, ktoś do mnie przybył. Nie demon, w porządku jeszcze tego nie opanowałam, ale zawsze kogoś przywołałam. Jestem Aiffe, ty zasmarkany Nicholasie Bonnerze. Potrafię rzeczy wprawić w ruch.

Nicholas Bonner wstał. Jego nagie ciało rzucało błady, krzywy cień. Farrell obserwował, jak petł zyg-zakiem w jego kierunku przez poczerwiałe pniaki sekwoi, a gdy dotknął jego kostek, poczuł jakby został połączony z Nicholasem Bonnerem, kręgosłup z kręgosłupem niczym elektrody. Próbował cofnąć się przed cieniem, ale on ruszył razem z nim, jakby był jego własnym cieniem.

- A zatem potrafisz - rzekł w końcu do Aiffe Nicholas Bonner. Mówił ostrożnie i z namysłem, w tonie głosu nie pobrzmiwał śmiech. - W rzeczy samej, masz pewnego rodzaju zdolności, nie zaprzeczam. Kwestia tylko, do czego dążysz? - Gdy dziewczyna nie odpowiedziała, ciągnął dalej niecierpliwie: - No dalej, zartownisiu, gadaj. Czego takiego pragniesz, co mógłby dać ci demon? Aiffie zachichotała nagle piskliwie niczym nadrzewna żabka.

- Pragnę podokuczać ludziom - powiedziała. - Chcę tylko wyrównać rachunki, to wszystko. Wówczas Farrell poczuł uśmiech Nicholasa Bonnera. Przeniknęło go delikatne ciepło, dreszczyk jak na wspomnienie jednego z grzeszków dzieciństwa, zmuszając, by również się uśmiechnął.

- No cóż, zatem szczęśliwe spotkanie - powiedział Nicholas Bonner bardzo ostrożnie, niemal z niedowierzaniem. Wyciągnął do niej ramiona i ruszył lekko przez sekwojowy zagajnik, a jego cień podążył tanecznie za nim.

Dziewczyna nie cofnęła się tym razem, za to Farrell tak. Uwolniony od cienia Nicholasa Bonnera i jakiegokolwiek chęci dalszego przyglądania się im. Niezdarnie skulony wymknął się spomiędzy drzew, wyprostował, otrząsnął, odwrócił i zobaczył przed sobą orzechowe oczy i krótko przyciętą brodę czarnego Saracena.

- A więc tu jesteś - odezwał się uprzejmie Saracen.

- Wątpię - odparł Farrell szczerze.

Za nim, w sekwojowym zagajniku, Aiffe roześmiała się dwukrotnie, wydawała się przestraszona i szczęśliwa. Saracen zdawał się jej nie słyszeć.

- Hej, szacowne zgromadzenie tupotem i okrzykami domaga się bisów. Czas na drugi występ. Farrell uśmiechnął się szeroko aż do bólu, czując nedorzeczną wdzięczność na jego widok.

- A co z dworską paplaniną? Jeszcze stracisz swą związkową kartę przez takie gadanie.

- Ja jestem bardem, chłopie - powiedział Saracen. - Oni mnie tolerują. Znam całe cykle ballad po celtycku, arabsku, walijsku, staroangielsku i anglonormańsku i obszernie fragmenty Carmina Burana. Oni mnie tolerują.

Śmiech Aiffe urwał się na ostrym, samotnym krzyku, ale Saracen już ujął Farrella pod ramię i ciągnął z powrotem w kierunku polany, paplając cały czas swobodnie i wesoło.

- Bardom zawsze jakoś się upiecze. Wpadnij na któryś z festiwali bardów, to zrozumiesz co mam na myśli. Wszyscy pozostali muszą się trzymać roli, ale jeśli jesteś naprawdę dobry, psiakrew, to możesz wystąpić z Eskimo Nell, Stagolee, czy czymkolwiek zechcesz. Jednego razu wyrecytowałem cały wielki poemat o King Kongu, wszystko wierszem jambicznym i tercyną. Zajęło mi to prawie godzinę.

Ciągnął dalej tę miłą pogawędkę, nie kryjąc, że był powszechnie szanowanym członkiem Ligi Archaicznych Przyjemności.

- Ja i Simon, Prester John, Olaf, może kilkunastu innych miłośników średniowiecza, zawadiacko dokazujących na podwórku Gartha. Żadnych zasad, struktur, po prostu spotykamy się od czasu do czasu i już. Niektórzy robili morgensterny z piłek do krokieta i łańcuchów rowerowych, a z anten samochodowych cepy. Z czasem należało więc ustalić zasady. Potem ludzie zaczęli przyprawdzać swoje rodziny i trzeba było znaleźć jakieś zajęcie dla kobiet. Liga nie powstałaby nigdy bez kobiet.

- Ale to walki są nadal najistotniejsze - powiedział Farrell.

- Nie w tym sensie, co myślisz - odparł Saracen, kręcąc głową. - Jesteśmy teatrem, sceną, na której ktoś taki jak Elizabeth, może być złą, seksowną, tajemniczą Krwawą Hrabinią z Transylwanii. Wierz mi, że nie jest ona wyjątkiem. Albo weźmy Simona Wiefarera. Simon jest prawnikiem. Nie cierpi tego. Nienawidzi siebie za to, że bał się sprzeciwić rodzicom i nie zostać prawnikiem, nienawidzi siebie za to, że bał się zerwać z tym i zacząć

wszystko od nowa, na przykład zakładając tanią linię lotniczą na Belize. Ale tutaj - tutaj jest kondotierem, wolnym kapitanem, najlepszym wojownikiem w Lidze po Egilu Eyvindssonie i nie boi się niczego. My tylko zapewniamy mu miejsce, w którym w czasie weekendów może być Simonem Widefarerem.

- A macie miejsce dla Nicholasa Bonnera? - zapytał cicho Farrell. Saracen uśmiechnął się tak niewyraźnie i zyczliwie, jakby nie dosłyszał pytania i nie chciał się do tego przyznać, ale ramię drgnęło mu i nieznacznie przyspieszył spokojny krok. - Kim jesteś? - zapytał Farrell. - Co takiego oferuje ci ta trupa przebierańców?

Saracen pogroził mu palcem i zmarszczył się z tak elegancką surowością, że Farrell nie miał pojęcia czy był strofowany, napominany, czy bardzo osobliwie nagabywany.

- Dwa zupełnie różne pytania, mój dobry minstrelu. Jestem czarny i na tyle głupi, by mieć klasyczne wykształcenie, a wielu z tych ludzi nawet tyle by ci o sobie nie powiedziało. To coś jak gorączka złota, nie chcesz, by ktoś wypytywał, jakie imię nosiłeś w Stanach. Imiona są magiczne, imiona są całą magią, to wiedzą we wszystkich kulturach. Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to nawet bogom nie zdradzisz swego prawdziwego imienia.

Nagle zatrzymał się i uśmiechnął do Farrella w zupełnie inny sposób. Wydał w uśmiešku wargi, które często jadały pędraki, kiełki i jagody, choć nie zawsze. - Jednakże tutaj jestem Hamidem ibn Shanfarą, poetą i synem poety banity, historykiem, gawędziarzem, Królewskim Stróżem Zapisków i Legend. Na południu Sahary zwą mnie griot. - Jego lekki, płynny ukłon dokładnie powtórzył krzywiznę sztyletu wiszącego mu u pasa.

- Jeszcze jeden z pamiętnych - powiedział Farrell. - Szczęśliwe spotkanie. - Jedynie orzechowe oczy zdradzały cię reakcją na słowa Nicholasa Bonnera.

- Pewnie mogłem uczyć gdzieś tego wszystkiego, co wiem, ale to mnie nigdy nie pociągało. Nie zdobywałem tej wiedzy po to, żeby uczyć. Ja po prostu chciałem nim być, co trudno ludziom wytłumaczyć. - Znowu zaczął iść, zerkając na Farrella spod oka. - Tak jak lutnia i ty, prawda?

- Jak ja i lutnia - powiedział Farrell. - Jak Aiffe i czary, no nie?

Hamid nie odzywał się, dopóki nie dotarli prawie do polany. Trwał właśnie nowy taniec, branie\*,[\* Branie - XVI - XVII-wieczny taniec pochodzący z Francji.] sądząc po muzyce i śmiechach.

- N o cóż, to też rola, taka sama jak bard czy trubadur - powiedział w końcu. - U Hiperborejczyków z Sacramento jest pewna dama, która praktykuje wicca, Starą Religię. Wygląda na to, że układanie w szafie i uprawianie czarów to jedna mierzwa. Królestwo Pod Wzgórzem ma czarownice uprawiające I-Ching, głównie rozpoznają aury i przewidują trzęsienia ziemi. My marny Aiffe. - Zawahał się, puszczając ramię Farrella, by poprawić swój piękny turban w kolorze indygo. - Nie wiem, co zobaczyłeś z jej wygłupów...

- W tym problem - powiedział ze smutkiem Farrell. - Ja wiem. - Saracen z całą pewnością szedł teraz szybciej, kierując się ku tańczącym. Farrell wydłużył krok, by nie zostać w tyle. - Hamid, nie znamy się - powiedział - ja jestem tu tylko przejazdem, to nie moja sprawa. Ale nie macie tu do czynienia z antropologiem kultury sadzącym fasolkę nago przy blasku księżyca. Wy macie tu do czynienia z Babą Jagą.

Hamid prychnął, nie spoglądając na niego.

- Chłopie, Aiffe to jak maskotka, dorastała z Ligą. Od małości bawiła się czarami.

- Zdaje się, że właśnie doszła do sedna rzeczy - powiedział Farrell. - Stuchaj, naprawdę chciałbym bardzo wierzyć, że ona i jej przyjaciel próbowali szkolną sztukę czy przygotowywali się do jakiegoś lokalnego rytuału płodności. Albo, że miałem halucynacje lub po prostu źle to zrozumiałem. - Przytrzymał Hamida za białą, lnianą szatę. - Ale tym razem nie potrafię się do tego przekonać. Wiem, co widziałem.

Pociągnięty za szatę Hamid odwrócił się szybko i odepchnął rękę Farrella.

- Nie szarp barda - powiedział z nagłą złowieszczą słodyczą - nigdy tego nie rób. - Nie było w nim teraz nic z uczonego, kłowna czy dworaka. Bardziej przypominał pustynnego kapłana, brązowy zwój kolczastego drutu, w obliczu prawdziwego bluźnierstwa. - Nie wiesz, co widziałeś szepnął. - Wierz mi. - Farrell ledwie słyszał jego słowa poprzez muzykę. - Ona się popisuje, to wszystko. Lubi zwracać na siebie uwagę. Ma piętnaście lat.

- Prawdziwe czarownice i czarodzieje prawdopodobnie byli młodzi - odparł w zamyśleniu Farrell. - Nigdy bardziej nie pragnąłem mocy, niż gdy miałem piętnaście lat.

Ale Hamida nie było, nagle zniknął w tanecznym rozgardiaszu, który zalał polanę i przelewał się wokół Farrella, sapiąc, krzycząc i cichnąc. Garth de Montfaucon przeszedł dumnym krokiem z wdziękiem modliszki, dystygowany jak śmierć. Farrell skinął mu lekko głową. Garth wyszczerzył się jak zamek błyskawiczny i poszedł dalej w stronę, z której nadszedł Farrell.

Julia stała przy podium dla muzyków i rozmawiała z lady Criseyde. Podeszła do Farrella, gdy tylko go ujrzała i przytuliła się do niego.

- Gdzie byłeś? - zapytała. - Niepokoiłam się, gdzie polazłeś?

- Spacerowałem trochę - odparł Farrell. - Przepraszam, powinienem ci powiedzieć.

- Nie wiedziałam, gdzie się podziałeś - powiedziała. - Nagle zniknąłeś i ona także - Aiffe - a Garth kręcił się wokół jak masło na patelni, szukając jej. Bałam się, że cię porwali. Może ktoś składał ofiary z niemowląt. Dziewicz. - Roześmiała się, ale w jej śmiechu pobrzmiwał odgłos drżającej cynfolii. Julia nie spieszyła się z wypuszczeniem go z objęć.

- Polowałem na Bena - odpowiedział. Zawahał się. Nie wiedział, jak opowiedzieć jej o śmiechu pod drzewami.

- Jeśli szukasz Eyvindssona wikinga - odezwała się lady Criseyde - to może znajdziesz i mego pana, Sokolnika. Są na tyle bliskimi kompanami, na ile Egil pozwala. - Jej niski głos brzmiał konkretnie i przywodził na myśl ostrożny wdzięk stworzenia polującego tylko w pewnych porach.

- Sprawdzę - odparł krótko Farrell. Poczł szkolny ucisk w dołku na myśl, że w tym świecie ulubionym przyjacielem Bena jest książę Frederik. - Tanikawa, skarbie, muszę z tobą pomówić - zwrócił się do Julii, ale ona i lady Criseyde miały wzrok utkwiony w punkt daleko poza nim. Stały pochylone do przodu z lekko otwartymi ustami, nie słysząc co do nich mówił. Farrell odwrócił się. Wiedział, co zobaczy, ale miał nadzieję, że się myli.

Niedaleko nich Aiffe poprowadziła do kolejnej pawany chłopca w swoim wieku. Był szczuplejszy od niej i może o pół głowy niższy, ale zachowywał się z tak wesołą zuchwałością, że zdawał się spoglądać na nią z góry. W blasku pochodni jego włosy były nieprawdopodobnie żółte - niczym kwiat mniszka, tak absurdalnie, obraźliwie gęste i splecione, że księżyc wydawał się przy nich błady jak margaryna - choć jego skóra była gładka, biała, oliwkowa. Nosił zielone ubranie, poczawszy od kubraka i spodni, a na szerokim pasie i butach skończywszy. Oczywiście - pomyślał Farrell - jeśli potrafiła sprowadzić go stamtąd, gdzie był, to i potrafiła go przywozić. Aiffe uśmiechała się. Trzymała ramię chłopaka mocno, obiema rękami.

- To nie jest zaden z naszych - powiedziała cicho lady Criseyde - nigdy nie widziałam tego dzieciaka.

Żółtowołosy chłopak szepnął coś Aiffe. Dziewczynka zachichotała, a on otarł się ramieniem o jej ramię. Wyglądali jak brat i siostra, spiskujący w salonie pełnym wujków i ciotek. Aiffe nie przestawała się uśmiechać.

- Królestwo Pod Wzgórzem - zasugerowała Julia. - Kręcą się tu cały czas.

Muzycy zaczęli grać "Pawanę dla pani Knollys" Cuttinga. Nicholas Bonner złożył Aiffe ukłon, który Farrellowi nasuwał na myśl wijący się płomień. Dziewczyna znowu parsknęła śmiechem i skłoniła się jak bocian sadowiący się na kominie.

Lady Criseyde oddaliła się. Podniosła bębenek i przyłączyła się do muzyków. Julia przysunęła się bliżej Farrella i ujęła go za rękę. Nicholas Bonner tańczył z Aiffe tak jak płomień wgrzyzający się coraz głębiej w płonące polano. Pomimo całej sztywnej oficjalności tańca, Farrell wyczuwał słodki, palący śmiech trzaskający w każdym ruchu, ledwie powstrzymywany, pulsujący pod poważną skórą pawany. Słyszał również przyciszony głos z przebijającą wdzięcznością witający: Ramiona, nogi, zmysły, fantazja...

- On nie jest z Kalifornii - powiedział. - Wierz mi. - Gdy odwrócił się do Julii, jej twarz miała kolor szarego lodu. Farrell uniósł dłoń, którą ścisnęła. Dotknął jej policzka. Poczł, że Julia zagryza zęby w próżnym wysiłku powstrzymania ich przed szczekaniem. - Skarbie - odezwał się, ale ona na niego nie spojrzała.

Pawana dobiegła końca. Nicholas Bonner za przykładem innych tancerzy złożył głęboki ukłon muzykom, ale Aiffe, tak jak poprzednio, stała zuchwale wyprostowana i ciągnęła nawet Nicholasa, żeby się wyprostował. Nagle puściła jego dłoń i ruszyła w kierunku estrady, przy której stał Farrell z Julią. Nicholas Bonner podążył za nią krokiem pawany, nadal spokojnie tańcząc. Aiffe zatrzymała się przed Farrellem. Uśmiechnęła się do niego i odgarnęła włosy z błyszczącego czoła.

- Hej, jesteś po prostu fantastyczny - powiedziała. - Nie miałam okazji ci tego powiedzieć. Jesteś po prostu fantastycznym grajkiem. - Stuknęła go niezdarnie pięścią po ramieniu.

Farrell skłonił się bez odpowiedzi. Jej nos był tak kościsty, jak nos o wiele starszej kobiety. Usta miała wąskie i mięsiste, spiczasty podbródek ostry jak łokieć, a opalona skóra nosiła niktę ślady po pryszczach. Oczy były zielone, niebieskie i szare, a źrenice przechodziły niepostrzeżenie w tęczę. Spoglądanie w nie przypominało patrzenie na obłoki w późne popołudnie. Powieki miała łukowato wygięte i wypukłe na środku. Zwęzły się szybko ku rogom, nadając oczom kształt oszlifowanych diamentów lub grotów włóczni.

- Jak się nazywasz? - zapytała. - Jesteś zawodowcem? To znaczy, czy grasz gdzieś? To jest mój przyjaciel, Nick Bonner. - Zupełnie nie zwracała uwagi na Julię.

Farrell nigdy nie widział nikogo równie pięknego jak Nicholas Bonner. Jedyne poobtuukiwana kamienna głowa, którą pamiętał z nowojorskiej galerii, mogła dorównać jego urodzie. Tamten fragment był wielkości pięści i podobno miał być głową Aleksandra Wielkiego. Kamienne oblicze śmiało się Farrellewi prosto w twarz, tak jak teraz Nicholas Bonner. Oblicze rzeźby było porysowane i poplamione, podczas gdy skóra Nicholasa Bonnera gładka jak lustro wody, zaś kępa szarych loków przypominała skamieniałą grzywę przy absurdalnie wspaniałym złotym czubie chłopaka. Jednak jego pełne policzki, usta z sennie uniesionym jednym kącikiem i wyraz tak pełnej, że aż bezpłciowej zmysłowości, mogły służyć za model dla kamiennej rzeźby. Z wyjątkiem oczu. Kamienne oczy były bardziej ludzkie. Oczy Nicholasa Bonnera miały kolor szampana, kolor błyskawicy, a spotkanie z nimi przypominało zajrzenie przez letnie okno w drapieżną, starą nicość czarnej dziury. Farrell pomyślał z dziwnie niespodziewaną sympatią: - Pewnie nigdy nie potrafił nic poradzić na swoje oczy.

- Wielcem rad z naszego spotkania, zacny panie - powiedział Nicholas Bonner swym jasnym, radosnym, uprzejmym, młodzieńczym głosem.



Czy on wie, że go widziałem? Serce waliło Farrelowi boleśnie. Nie potrafił się zmusić do ponownego spojrzenia w oczy Nicholasa Bonnera.

- Trochę brzdąkam, to wszystko - odpowiedział Aiffe. - Grywam tu i tam, ale wszędzie tylko raz.

Nicholas Bonner uśmiechnął się do księżycy. Nadal kołysał się, przestępował z nogi na nogę, nie mogąc rozstać się z pawaną. No cóż, gdybym nie tańczył tak długo jak zapewne on nie tańczył... Scisnął delikatnie Julię za ramię i mrugnął do niej,

Aiffe miała zęby cienkie i ostre, zęby ryby. Zrobiła minę, spuszczać oczy i mrużąc w języku Ligi nad złożonymi rękami.

- Panie trubadurze, ja zwę się Aiffe ze Szkocji, Aiffe Północy i tego wieczoru całą duszą tańcom jestem oddana. Powiedz mi zatem szczerze, kim jesteś i jakiego jesteś stanu w swym kraju, a potem, bądź tak dobry i dostrzymaj mi czas jakiś towarzystwa. Jestem Aiffe.

- Pani, tu chodzi o geas - zaczął, ale mu przerwała szybko.

- A czymże są owe marne zakazy dla Aiffe? Bądź pewny, że nie spotka cię żadna krzywda za wyjawienie swego imienia przede mną, a jedynie wielkie dobro. - Wystudowanym ruchem oblizała koniuszkiem bladego języka lekko spękane wargi.

Farrell poczuł uścisk dłoni Julii i przypomniał sobie nie tylko jej ostrzeżenie: "Imiona tu coś znaczą", ale również słowa Hamida Saracena, "Nawet bogom nie zdradzaj swego prawdziwego imienia".

- Niestety - odparł ostrożnie pod wpływem dziwnego impulsu - zakłęcie rzucił sam potężny cesarz czarodziej Prester John, a któż sprzeciwiłby się takiemu zakazowi? Błagam cię zatem, nie pytaj mnie więcej, bo ulegnę twemu wdziękowi i lamentować będziesz, żeś przywiodła mnie do zguby. - Sprytne unikanie niewygodnych tematów zawsze było jego specjalnością.

Jeśli imię Prestera Johna wywołało w ogóle jakąś reakcję, to nie potrafił jej odczytać. Nicholas Bonner rozeźmiął się otwarcie - ten dźwięk, jeśli go kilka razy usłyszeć, potrafi złamać, być może nie serce, ale coś potrafi złamać... - podczas gdy twarz Aiffe pokryły plamy rumieńca jak po dotknięciu trującym sumakiem. Lady Criseyde zaczęła lekko uderzać w swój bębenek. Aiffe ujęła Farrella za rękę.

- No cóż, w każdym razie możemy zatańczyć - powiedziała. Jej ręka wydawała się twarda i kleista. Miała długie palce, które wyrastały z drobnej, gorącej dłoni. - Zagrają galliardę. Znasz krok?

- Myślę, że znam - odparł Farrell.

Obok niego Nicholas Bonner skłonił się przed Julią, podając jej ramię. Ów gest przyjęła spokojnie, nie okazując lęku ani nie oglądając się za Farrellem, którego odciągnęła Aiffe. Nicholas Bonner jednak obejrzał się i anielska buzia skrzywiła mu się, niczym koniuszek ogona polującego kota.

Taniec z Aiffe nie był ani złowrogi, ani szczególnie podniecający. Była zwinna i sprawną tancerką. Wykonywała wszystkie rytmiczne podskoki, wywijasy i wymachy bez najmniejszego zawahania, z łatwością dopasowując swój krok do mniej wprawnych kroków Farrella. Krótkie zainteresowanie jego osobą wydawało się całkowicie minąć: nie odzywała się ani nie uśmiechała, a języczek wysuwała tylko wówczas, gdy próbował podejrzeć Nicholasa z Julią, zazdroszcząc, choć go to przerażało, nastroju niszycielskiego szczęścia, który towarzyszył żółtowlósemu chłopakowi.

- A wracając do Prestera Johna - powiedział do Aiffe. - Prosił, byś o nim pamiętała.

Ledwie mrugnęła - podłotek o otwartym spojrzeniu dorosłego, wprawiającym w zakłopotanie brakiem groźby i tajemniczości, dla których gotowa była zadrzeć samego diabła. Dopiero podczas ostatnich dźwięków galliardy dziewczyna zawirowała i popędziła w podskokach aż do podwyższenia - on usiłował ją niezdarnie dogonić - po czym odwróciła się i taniec zakończyła skokiem wysokim jak okrzyk wściekłości i ukłonem tak oszałamiająco pogardliwym, że Farrell stanął jak wryty. Miał wrażenie, że wszystkie kobiety, które kiedykolwiek znał, poczynając od jego matki, śmiały się z niego w ruchu jej ramienia.

Muzyka umilkła, ale nikt nie skłonił się w podziękowaniu muzykom, gdyż Aiffe potrząsnęła czupryną i zawołała:

- Teraz geas zostało wypełnione i wolno ci wyjawić mi swe imię. Albowiem jam jest królewska córka i dziewica i, zwaz, zatańczyliśmy razem galliardę. - Źrenice jej oczu zrobiły się owalne, a wokół każdej z nich pulsowała żółtozielona korona.

Na polanie przycichły pogodne głosy. Tancerze spojrzeli zdumieni i z pomrukiem przysunęli się bliżej. Poruszali się ociężale w tunikach przesyconych potem i sukniach zbyt wilgotnych, by szeleścić. Farrell dostrzegł Julię, ale zasłaniał mu ją Nicholas Bonner. Aiffe, nie oglądając się, machnęła zamaszycie ręką i u jej boku pojawił się Garth de Montfaucon. Lewą rękę trzymał na rękojeści miecza, a prawą skubał opadający koniec zakręconych wąsików.

- S łodki Jezu. On jest twoim ojcem? - zapytał Farrell.

- W rzeczy samej - odpowiedziała Aiffe. - Król Garth, który był i będzie pierwszym władcą Huy Braseal i najdłużej władającym. - Farrellowi spodobała się duma w jej głosie. Popatrzył na tancerzy, zastanawiając się, kto mógł być jej matką. Może to podrzutek? Może to dziecko jest podrzutkiem. Czemu Julia mi o tym nie powiedziała?

- Moja córka jest księżniczką wielu królestw - powiedział cicho Garth de Montfaucon - bez względu na to, czy jestem królem, czy nie. - Aiffe objęła go i stali tak, uśmiechając się do Farrella tym samym pożądanym uśmiechem. To przywiodło mu na myśl Briseis i jej zwyczaj leżenia z łbem przy głowie Sii, tak że mogły na wszystko patrzeć wspólnie.

- Poprosimy teraz o twe imię. - Mówiła obojętnym tonem recepcjonistki, wypełniającej identyfikator. Farrell był pewny, że z technicznego punktu widzenia mógłby się jej sprzeciwić -wnuki Gartha będą doskonale radzić sobie ze zwierzętami i spekulacjami na giełdzie - i równie dobrze wiedział, że nie ma do tego ani odwagi, ani środków. Odwrócił się i zobaczył Nicholasa Bonnera, złociste cudo, i poczuł nagły zawrót głowy nęcący do wyjawienia swego prawdziwego imienia, oznajmienia głośno, gdy ulegnie: - Jestem Joseph Malachi Lope de Vega Farrell, Rosanna, co ty na to? - Imion się nie kradnie, na litość boską, karty kredytowe się kradnie. Czemu miałbym grać według ich zasad?

Julia przepchnęła się obok Nicholasa Bonnera. Przesuwała się pomiędzy tancerzami, kręcąc nagle głową, jakby jego kuszące myśli iskrzyły się nad nim niczym dymek nad komiksową postacią. Obok oszołomionego króla Bohemonda kołysał się z rozdziawioną buzią Crof Grant, nucąc pod nosem Will Ye No'Come Back Again? Pot ściekał Farrellowi struzkami po boku, a hrabina Elizabeth Bathory pochyliła się nieco do przodu.

- Piękny rycerzu - nalegała Aiffe - twe imię. - Przytuliła się do ramienia ojca, drząc z rozkoszy, niczym szczeniaczek obnoszący się z patykiem, którego nie ma zamiaru aportować. Wyciągnęła wolną rękę do Farrella, dłonią do góry, wywijając długimi palcami o zniszczonych paznokciach.

W jego głowie nie było imion. Później bardziej niż cokolwiek innego niepokoiło go to, że przecież on - skończony łachudra, dozorca, płaczek - powinien bez trudu wykręcić się trzeciorzędnym rycerzem Okrągłego Stołu czy czeladnikiem z włoskiego romansu. Aiffe otworzyła szerzej swe dziwne oczy, jakby próbowała uwodzielskiej siły. Farrell nie mógł odwrócić spojrzenia. Z wysiłku zakręciło mu się w głowie i zabrakło tchu, prawie miał mdłości. Czuł, jak palący uśmiech Nicholasa Bonnera wędruje mu po plecach. Aiffe wypowiedziała trzy ciche słowa, których Farrell nigdy dotąd nie słyszał. Mdłości przesunęły się, przelewając się przez niego niczym jakaś zmarnowana mądrość, której nie mógł znieść. Ponownie wymówiła trzy słowa, a potem po raz trzeci, i Farrell zaczął mówić jej swe imię, chcąc tylko, by przestała.

Gdzieś obok mężczyzna deklamował wysokim, rytmicznie monotonnym głosem, przywodzącym na myśl kamyki i muszelki szurające o piasek przy odpływie. Farrell nie miał pojęcia jak długo tamten to robił.

Ognistą włócznię dzierżąc w dłoni Wiodę upiorów mrowie I z wojskiem tym, na dzielnym koniu, Wędruję przez pustkowie...

Aiffe poniosła wzrok. Farrell, uwolniony nagle, zatoczył się w przód, odwrócił głowę i zobaczył Hamida ibn Shanfara. Głos Saracena znowu wyczyniał sztuczki z odległością. Hamid stał samotnie na wzniesieniu z gołej ziemi w pobliżu pawilonu. Ramiona miał wyprostowane, a ręce zatknięte za szarfę swej białej szaty. Skłonił się lekko Farrellowi, dotykając niedbałym ruchem błękitnego turbanu, który znowu się poluźnił.

Farrell roześmiał się. Miał uczucie, że gardło wypełniała mu stara słoma. Śmiechowi towarzyszyły następne strofy samotnej, cichej, spokojnej pieśni szaleńca.

- Moje geas nadal mnie wiąże - powiedział do Aiffe. - Mogę wyjawić swe imię jedynie dla twych uszu.

Aiffe ponownie spojrzała mu w oczy, ale tym razem nie było w nich mocy i wiedział, że ona o tym wie. Nie poruszyła się, dopóki nie wyszeptał kpiąco:

- No dalej, Rosanna, zabawmy się.

Dziewczyna ruszyła ku niemu, a Farrellowi wydawało się, że zaraz ziemia zmarszczy się drobnymi falami pod jej stopami, niczym powierzchnia górskiego jeziora, gdy nadciąga burza.

Kiedy była już bardzo blisko, wymówił imię, które oddzieliło ich jak święcona woda lub kuchenne krzesło.

- Jestem Rycerzem Duchów i Cieni.

Mięśnie na skroniach Aiffe rozpułszyły się, jakby próbowała położyć płasko uszy; usta prawie zniknęły. Farrell skłonił się przed nią.

Nicholas Bonner z radosnym entuzjazmem podskakiwał na palcach, obejmując się. Miał szeroko otwarte usta, a językiem gładził mocne, niebieskawobiałe zęby. Farrell spojrzał w dół. Bransoletka z koniczyny na jego nadgarstku - zapomniany prezent od Julii - zrobiła się brunatna i krucha. Lada chwila gotowa była się rozpaść na ostre kawałki. Podrapała mu lekko skórę, gdy podniósł rękę, aby się jej przyjrzeć. Wyglądała tak, jakby trzymano ją blisko ognia.

Ben nie wrócił tej nocy ani następnego dnia i następnej nocy. Sia udzieliła trzech rozbieżnych wyjaśnień jego nieobecności. Trzeciego wieczoru Farrell ugotował kolację. Jedli w ciszy, jaka zwykle towarzyszy występowi linoskoczka. Myśli Farrella tykały, pobrzękiwały i zgrzytały równie głośno, jak bulgotały wnętrzości jego ciotki Dolores podczas niezliczonych spotkań rodzinnych. Nikomu nie wolno było zwrócić na to najmniejszej uwagi, nawet wówczas, gdy odgłosy przypominały salwy nad grobem żołnierza czy turniej w kręgielni. W przeciwnym razie zawsze oznaczało to śmierć konwersacji przed deserem, marudzenie mniejszych kuzynów przepędzanych z jadalni i recytowanie przez matkę przepisów z beznadzieją w głosie, przy wtórze salw na cześć królewskich prochów w wykonaniu ciotki Dolores. Tym razem to on paplał bezradnie o zupie czosnkowej i pracy w zoo, usiłując zagłuszyć harmider kręgielni w swym umyśle, podczas gdy Sia przyglądała mu się z drugiego końca stołu, niewzruszona niczym chodnik. Jadła i piła wszystko, co przed nią stawiał, jakby to było jej pracą.

Po kolacji rozpalili ogień. Kucnęła na płaskich stopach i przebierała w drewnie do podpałki jak szuler w kartach, obracała ciężkie polana, układając je według matrycy śniegowego płatka. Podpaliła stos pojedynczą zapalką i usiadła z cichym pomrukiem zadowolenia, gdy płomień strzelił w górę, niczym tętnicza krew.

- Całkiem prawdopodobne, że można umrzeć od nie zadanych pytań - powiedziała, nie odwracając się. - Czemu mnie nigdy nie zapytasz o to, co chciałbyś wiedzieć?

Wzięty przez zaskoczenie - prowadzili właśnie senną dyskusję nad ostatnimi posunięciami Rady Miejskiej Avicenny, zabraniającymi sprzedaży w mieście zabawek militarnych, wołowiny z bydła nieogładającego pastwisk i lalek bez genitaliów - odpowiedział bez namysłu:

- Jak to jest, że ty nigdy nie wychodzisz z domu? - Nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle był tego świadom.

- A cóż to za pytanie? - Wydawała się lekko zaskoczona i rozbawiona. - Skąd przyszło ci do głowy, że nie wychodzę na dwór?

- Twoi klienci przychodzą do ciebie. Ben i ja robimy zakupy. Nigdzie z Benem nie wyszłaś -na żadną kolację, party, do kina czy na koncert - odkąd tu jestem. Nie widziałem nawet, byś choć raz odbierała pocztę.

- A kiedy ty mnie w ogóle oglądasz, Joe? W jakich sytuacjach mnie widzisz? - Jej głos nadal był dziwnie rozbawiony, niemal łobuzerski. - Przy twoim planie dnia możesz być pewny jedynie tego, że jestem kimś, kto jada śniadanie, przyjmuje dziwnych ludzi o dziwnych porach i lubi wieczorami posłuchać muzyki. Skąd możesz wiedzieć, że popołudniami nie wygłaszam kazań na przystanku autobusowym. Może współpracuję z gangiem sklepowych złodziejasków lub śmiałych oszustów. Mogę mieć pół tuzina kochanków. Skąd miałbyś wiedzieć? - Farrell roześmiał się, przyznając jej rację. - Zadaj mi prawdziwe pytanie - powiedziała Sia.

- Gdzie, u diabła, jest Ben? - Wydawało się, że Sia nie usłyszała, nadal siedziała po turecku plecami do niego. - Sia, czterdzieści osiem godzin to za długo jak na radę wydziału, to czyni z mego osobę zaginioną. Myślę, że powinniśmy zawiadomić policję.

- Nie - powiedziała w kierunku ognia. - Nie, nikogo nie zawiadomimy. - Siedziała, obejmując się rękoma, rozcierając plecy, jakby nie mogła się ogrzać.

Farrellowi cisnęła się na myśl piosenka: Ostatniej nocy ujrzałem młody księżyc, ze starym księżycem w jej ramionach.

- On mnie poznał w Barton Park - powiedział Farrell. - Nie mówiłem ci o tym.

- Nie musiałeś.

Sia wydawała się uosobieniem spokoju. Farrell poczuł przyptyw nagłego rozdrażnienia.

- Oczywiście, że nie musiałem - przedrzeźniał ją. - Nic nie zdoła zaskoczyć Madame LaZonga. Wokół tego kuchennego okna wiruje cały kosmos, bogowie wpadają do ciebie dwa razy w tygodniu, a twój bujany fotel spowija wiekuisty woal sakramenckiej tajemniczo ści. Mam gdzieś to czy wszechświat chodzi na zwykłą, czy bezołowiową. Martwię się o mego przyjaciela, to wszystko.

Sia zaczęła się śmiać, nim jeszcze skończył, nieokrzesanym, żywiołowym śmiechem, od którego nawet płomień wpadły w dygotliwy chichot. Widząc, że chce wstać, podtrzymał ją za łokieć, pozwalając, by wsparła się na nim. Ciężar na jego ramieniu był o wiele większy niż się spodziewał. O mało się nie przewrócił, ogarnięty nagłym lękiem przed utopieniem się. Uczucie to zniknęło, gdy tylko Sia stanęła na własnych nogach. Nie dała po sobie poznać, czy zauważyła jego przerażenie.

- Ben miał rację - powiedziała. - Trzeba się solidnie napracować, żeby cię rozzłościć, ale to się bardzo opłaca. - Ścisnęła go za ramię. Nie uśmiechała się już. - Po pierwsze, z tego okna czy bujaka nie widzę nic, czego inni nie mogliby zobaczyć. To szczerza prawda, a zarazem cholernie irytujące, wierz mi. A co do tajemnic, odwiecznin... - Przy tych słowach tak bardzo wykrzywiła usta, że wyglądała jak Winston Churchill przedrzeźniający Maskę Tragedii. - Z zalem muszę przyznać, że bogowie nie przysłali mi ostatnio nawet widokówki. Być może zgubili mój nowy adres. -Potrząsnęła nim delikatnie, pokazując w uśmiechu drobne białe zęby; odwróciła twarz tak, by ostre rysy pozbawić okrutnego wyrazu, jak czyni pokonany wilk, nadstawiając szyję, by wzbudzić litość. - Jestem starą kobietą z młodym kochankiem i nie wiem, gdzie on jest - powiedziała. - Ot i cała historia, Joe. Powiedziałam ci to pierwszego ranka.

Z tak bliskiej odległości pachniała gorzką kawą, którą nieustannie piła, w jej włosach wyczuwał nikły zapach dymu, a na dłoniach piżmu z polan madrony.

- Jak długo on już to robi? Jak długo biega po lesie, udając Egila Eyvindssona. Kpiący, serdeczny uśmiech załamał się.

- Jeśli masz na myśli Ligę, to jest z nimi dopiero od około roku. Uczestniczy w ich małych wojnach, walczy na turniejach. - Ilekroć mówiła o Lidze, jej głos przyjmował apatyczny, zrezygowany ton. - Ale Egil to inna sprawa. Egil to o wiele starsza historia. - Nagle puściła go i odsunęła się, potykając się o Briseis drzemającą pod stolikiem do szachów. Suka zaskowyczała, jakby dosięgło ją trzęsienie ziemi, uciekła do Farrella, ułożyła się u jego stóp i ponownie zapadła w drzemkę. Sia nie odrywała spojrzenia od Farrella.

- I Egil jest rzeczywisty - powiedziała cicho i wyraźnie. Farrell poczuł jak żołądek ścisła mu znajoma obawa przed nieprzyjemną wiedzą, która chce go zalać. - Ben... nasz Ben... on by cię poznał. Egil Eyvindsson nie zna nikogo z tego świata.

Dobry Boże, znowu to zrobiłem. Dar jest absolutnie nietknięty. Znowu to zrobiłem. Farrell skupił się na drapaniu uszu Briseis.

- Wierzę, raz już graliśmy razem w sztuce, w "Trzech Siostrach" - wymamrotał - i Ben tak wczuł się w swoją rolę, Tuzenbacha, że całe tygodnie z niej nie wychodził, nawet po przedstawieniu. Tuzenbach potrafi być naprawdę wkurzający, szczególnie na imprezach. - Jak to się dzieje, że wciąż lgnie do mnie wszystko, co dziwaczne? Cholera, myślałbyś, że można z tego wyrosnąć.

- Chodź i usiądź, Joe. - To był rozkaz, choć jej głos pozostał cichy. Sia wzięła go za rękę i poprowadziła do kanapy.

- Ja byłem Czebutykinem - dodał bezradnie. - Tym starym facetem. - Sia popchnęła go na kanapę zdecydowanym ruchem, a sama usiadła naprzeciwko na stołku. Plecy miała zgarbione, a ręce zwieszono pomiędzy udami. Wyjąwszy bystre spojrzenie, blade jak księżyc, sprawiała wrażenie bezpłciowego wieśniaka z ponurym wysiłkiem płującego w ogień. Może to Egil Eyvindsson z nią sypia. Ben pewnie nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak daleko to już zaszło - rzekła. - Ty wiesz lepiej ode mnie. Czy Ben mówił o nim? Czy choć raz wymieniał jego imię? - Farrell pokręcił głową. - Wygłupialiście się - ciągnęła dalej - udawaliście różne głosy, zmyślonych ludzi. Widziałam, jak to robiliście. Nie słyszałeś przy tym głosu, który mógłby należeć do Egila?

- Boże, nie - odparł Farrell. - Wygłupialiśmy się, jak dwóch ludzi czekających rano na metro. Ty zaś mówisz o rozdwojeniu jaźni, o jakimś rodzaju opętania. A to nie to samo.

- A co ty wiesz o opętaniu? - Jej ton nagle stał się tak zapalczywy, że Farrell był pewny, iż ją uraził.

Niewiele - odparł pojednawczo. - Nigdy nie widziałem żadnych diabłów wychodzących ludziom z ust, ale znałem na Hawajach Chińczyka, którego dusza wcieliła się po śmierci w jeepa. - Sia mruknęła cicho i Farrell się poprawił. - Właściwie to znałem jego bratanka, to był jeep jego bratanka. I spotkałem w Nowym Jorku faceta, w którego wcieliła się dwa razy w tygodniu Jane Austen. Zdaje mi się, że to były poniedziałki i czwartki. Wpadał do mnie o różnych porach i czytał całe fragmenty powieści, którą za jego pośrednictwem pisała. Naprawdę bardzo przypominało to Jane Austen.

Po dłuższej chwili jej pomruk zmienił się w chrapliwy chichot.

- Wierzę ci - powiedziała. - Te opowieści są tak niewiarygodnie głupie, że muszę ci wierzyć. Ale mnie bardziej interesowałoby, gdyby to twój przyjaciel wcielił się w Jane Austen i ona zaczęła pisać jak on. Słyszałeś kiedy o czymś podobnym?

- Nie, oczywiście nie. - Ten pomysł dziwnie go zaniepokoił, już sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy. - Nie ma odwrotnego opętania, opętania w drugą stronę, to głupie, tak to nie działa. Nie ma czegoś takiego.

- Powiedz to Benowi - odparła. Briseis przekręciła się teraz na grzbiet. Leżała przed kominkiem z zamkniętymi oczami. Uniosła wyprostowaną przednią łapę i zaczęła wydawać przerażające dźwięki. Czegoś takiego Farrell nigdy nie słyszał. Dźwięk był wysoki, mrozący krew w żyłach i daleki, nie przypominał głosu żywego stworzenia. Farrellowi wydawało się, że widzi drut, który, niczym linki azjatyckiego latawca wysnute z jelit psa, ciągnie go krok za krokiem ku wejściowym drzwiom, jakby drugi jego koniec był w garści ciemności za nimi. Pies wykręcał kark na wszystkie strony i wpatrywał się teraz z niedowierzaniem w Się, wyjąc.

Kobieta zerwała się na nogi, wołając:

- Jezu, co, u diabła?

Stanęła twarzą ku drzwiom i wydała krzyk, tak przejmujący i przenikliwy, że szyby w oknach zabrzęczały, a stare włócznie zamruczały chrapliwie w wiklinowym koszu. Z zewnątrz nie było żadnej odpowiedzi. Briseis gwałtownie przewróciła się, w mgnieniu oka podniosła i zniknęła w komórce na szczytce, gdzie została przez następne dwadzieścia cztery godziny. Sia nawet za nią nie spojrzęła, uniosła tylko wolno lewą rękę do piersi w geście zdumienia i wzburzenia, jak z niemego filmu. Stała chwiejnie, kołysząc się lekko.

- Ty - powiedziała cicho, ale bardzo wyraźnie. - Ty. - Potrząsnęła głową i powiedziała coś w języku pełnym zgrzytliwych, trzaskających dźwięków. - Nie możesz tu wejść - dodała po angielsku. - Nadal nie możesz tu wejść. - Dzwonek u drzwi towarzyszył jej słowom, a potem rozległ się chichot Aiffe.

- Przesyłka specjalna. Hej, ktoś musi podpisać odbiór. Coś ciężkiego zważyło się na drzwi i osunęło.

Sia, nie ruszając się ani nie odwracając głowy, dała znak Farrellowi, aby podszedł do drzwi. Przechodząc przez pokój, słyszał jak Aiffe prychnęła niecierpliwie, a cichy, szeleszczący desperacko głos mówił coś do siebie. Nie sposób było rozpoznać słów, ale to Farrellowi nie było potrzebne.

Otworzył drzwi i Ben upadł mu pod nogi, zwijając się w kłębek. Hełm z pióropuszem zniknął, podobnie jak przytroczona do pasa siekiera i miedziane ozdoby. Podarty, czarny płaszcz był równie ubłocony jak włosy Bena. Farrell przykucnął przy nim i obejrzał go dokładnie. Z ulgą stwierdził, że zaschnięta na jego twarzy krew pochodzi jedynie z kilku długich zadrapań. Ben otworzył oczy i Farrell cofnął się przed morderczym spojrzeniem nieznanego. Chwilę później Ben patrzył już normalnie i powiedział spokojnie:

- Ptaki zamarały - nim nika pomarańczowa struzka spłynęła na buty Farrella, a Ben stracił przytomność.

- Znaleźliśmy go w parku - powiedziała Aiffe. - Na placu zabaw przy karuzeli. Wdrapywał się na wszystko i wrzeszczał. - Farrell spojrzął na nią, gdy otarł Benowi usta swoją chusteczką. Dziewczyna stała dokładnie pod lampą oświetlającą ganek. Kciuki zatknęła za kieszenie dzinsów, a cały ciężar przerzuciła na płaskie biodra. Po jej twarzy błąkał się ostrożnie kpiący uśmieszek, niczym zapalony lont. Miała na sobie dzinsową bluzę i bładozieloną koszulkę z napisem JEŚLI

WSZYSTKO INNE ZAWIEDZIE, PRZYTUL SWEGO MISIA, a na nogach tenisówki. - Myślę, że to sprawa cukru we krwi - zasugerowała. - Ostatnio stwierdzili, że mnóstwo ludzi dziwacznie, gdy spada im stężenie cukru we krwi.

- Dobrze wiesz, że to nie ma nic wspólnego z cholernym poziomem cukru - powiedział Farrell. - Co zrobiłaś? Otumaniałaś go? Co mu zrobiłaś?

Uśmiech jeszcze chwilę się tlił, po czym wybuchł płomieniem wyzywającego rozradowania.

- Nie możesz tak do mnie mówić. Nikt nie może. - Zrobiła krok ku niemu, drząc z gwałtownego zachwytu. - Jestem Aiffe i mogę mówić co mi się podoba, ponieważ mogę zrobić wszystko, co mi się podoba. A ty nie, więc nie odzywaj się do mnie tak, jakbym była nikim, dzieckiem, niczym. Uważaj, co mówisz i lepiej bardzo, ale to bardzo, postaraj się ze mną zaprzyjaźnić. Ponieważ to zasadnicza różnica, czy jestem twoim przyjacielem, czy nie. - Jej uśmiech z każdym słowem płonął bardziej triumfująco, ale Farrell dostrzegł tży w oczach dziewczyny.

- Joe, zabierz Bena do środka - odezwała się z tyłu Sia. Jej głos miał ciche, kamienne brzmienie, które Farrell pamiętał z tamtego popołudnia, kiedy pijany McManus przyszedł do domu. Niezdarnie chwycił Bena pod rękę i przeciągnął go przez wejście. Kątem oka zobaczył, jak grube nogi minęły go i zatrzymały się dokładnie na progu, ranne pantofle Sii nawet na centymetr poza niego nie wystawały. Kobieta znowu przemówiła w języku, który przypominał szum wiatru w takielunku. Z delikatnej ciszy wiosennej nocy odpowiedział jej słodki śmiech Nicholasa Bonnera.

- Mów po angielsku, serduszko - powiedział, wysuwając się z cienia ganku i podchodząc bliżej. Podobnie jak Aiffe, nosił dzinsy i podkoszulek. Jego był czarny ze srebrzyście połyskującą twarzą Williogo Nelsona. Chłopak sprawiał wrażenie młodszego i bardziej bezbronniego od niej, wyglądał na nieśmiałego. - Ciekawe, dlaczego ja tak szybko uczę się każdego ludzkiego języka, a ty nawet jednym nie możesz nauczyć się poprawnie mówić? - zapytał w zamyśleniu. - Czemu tak się dzieje? - W jego głosie nie było kpiny, ale dziwnie przyjacielskie zdziwienie.

Ben poruszył się i wyszeptał coś. Jego ciało nagle pokryło się potem.

- Ty się uczysz - odparła Sia. - Ja czynię. Stworzyłam języki, które zmieniły się w proch w ustach czaszek, nim ty się urodziłeś. Zapomniałeś? Dar, który posiadasz, jest namiastką, ponieważ nie masz nic własnego. Zapomniałeś?

- Nie zapomniałem niczego - powiedział łagodnie Nicholas Bonner. - Nie myślę, bym potrafił.

- Oczy miał opuszczone, skryte za gęstymi, brązowymi rzęsami. Aiffe uwieszona na jego ramieniu, wdzięczyła się jak panienka z gangsterskiego filmu.

- Nick mieszka w moim domu - oznajmiła. - Jest moim prywatnym nauczycielem. Wydawało się, że zarówno Sia, jak Nicholas Bonner, nie słyszeli jej. Sia wydała dźwięk podobny do odgłosu stąpania po twardym śniegu.

- W Augsburgu - powiedziała. - Tam chyba widzieliśmy się po raz ostatni.

- No cóż, zawsze mnie nie doceniałaś, przyznaj to. - Jego mowa straciła wszelkie ślady innego czasu czy miejsca. Pozostał tylko zjadliwy humor, tak zimny, że skrzył się i tańczył jak rybka z głębin oceanu.

Ben mrugał oczami i kaszłał, próbując usiąść.

- Nie ciebie - odpowiedziała Sia. - Ludzkiej głupoty, ludzkich pragnień, ludzkiego szaleństwa, tego nie doceniałam. - Ostatnie słowo padło kamiennym szeptem, ale było słyszalne.

- On jest tutaj dzięki mnie - odezwała się Aiffe. - Ja go sprowadziłam, mieszka w moim domu.

- Z rozdrażnieniem skubała ramię Nicholasa Bonnera.

- Zabiorę Bena na górę - powiedział głośno Farrell.

Sia nawet się nie odwróciła. Stała razem z Nicholasem Bonnerem w kręgu światła. Farrell miał świadomość, że w tym momencie poza owym kręgiem nic nie istniało - ani on sam, ani skamłająca Aiffe, ani nawet ranny, półprzytomny Ben, mamroczący w kółko jej imię niczym modlitwę. Co będzie, jeśli przestanie to robić? Nie przestawaj, nie pozwól jej zapomnieć o nas.

Złocista głowa chłopca uniosła się i przejrzyste, nienasycone, potwornie zdesperowane oczy Nicholasa Bonnera spotkały się w kręgu jasności ze wzrokiem Sii.

- Zawsze wracam tam, gdzie ty jesteś - powiedział. - Za każdym razem. Zauważyłaś to? - Nie odpowiedziała i Nicholas Bonner uśmiechnął się. - I za każdym razem jesteś o tyle słabsza, o tyle bardziej wymaginowana. Mógłbym teraz wejść do twego domu, gdybym chciał.

Wówczas Sia wybuchnęła zadziwiającym śmiechem. To nie było krótkie parsknięcie, ale pełny, śpiewny śmiech kuszącej wzdargy.

- Ty? Byle głupi czarodziej, pijany księżulo czy zazdrosna nieudacznica potrafią cię przegnać z tego świata, a złośliwy dzieciak przywołać z powrotem. Jo-jo wszechświata! - Po tych słowach Farrell omal nie upuścił trzymanego na kolanach Bena. - W moim domu, ty? - mówiła dalej Sia. - Zniszczyłoby cię nawet przejście przez mój cień. - Dodała coś w języku wiatru. Farrell był ciekaw, czy nazwała Nicholasa Bonnera jego prawdziwym imieniem.

Aiffe gapiała się na nich z rosnącą urazą. Nagle przepchnęła się obok Nicholasa Bonnera w krąg światła. A przynajmniej próbowała to uczynić. Farrellowi wydawało się, że kraniec świetlistego kręgu umykał tuż przed dziewczyną, zmuszając ją, by niezdarnie podążała za nim, niczym kłown usiłujący zmieść krąg światła rzucanego przez reflektor. Stała pomiędzy Sia i Nicholasem z poczerwieniałą twarzą i zgarbionymi ramionami. Nie wzbudziła w nich jednak większego zainteresowania niż poprzednio. Ono nie tylko że nie istniało, ale było wręcz niemożliwe.

- Chwileczkę, do cholery - powiedziała do Sii. - Za kogo ty się, do cholery, uważasz? Przesłaniała Farrellowi Nicholasa Bonnera, ale poczuł na skórze ciepło jego uśmiechu.

- A zatem - powiedział chłopak prosto przez nią łagodnie i pokornie - ty będziesz musiała wyjść do mnie. Wyjdź ze swego domu i porozmawiaj ze mną, ukochana.

Przez chwilę Farrell myślał, że Sia rzeczywiście to zrobi. Gruba postać wyprężyła się, posiwiałe włosy rozblysnęły srebrzystą aureolą niczym kołnierz kobry. Farrell poczuł, że osuwa się miękko obok Bena, podczas gdy ogień na kominku w salonie zakrzuszył się i zgasł, a przeciąg trzaskał wszystkimi drzwiami w domu. Bardzo daleko stąd Sia uniosła z progu stopę w futrzanym kapciu. Aiffe zadygotały kolana, ale Nicholas stał nieruchomo, jego szczupłe ciało drżało tylko nieznacznie, niczym nóż wbity w stół. Potem Sia ponownie opuściła stopę, nawet o ułamek centymetra nie dalej w noc niż poprzednio. Wówczas Nicholas Bonner mrugnął do niej, a to mrugnięcie wydało trzask, jak zęby uderzające o zęby, choć Farrell dobrze wiedział, że nic takiego nie mogło się wydarzyć.

- Sia. Sia. Sia. Sia. Sia - usłyszał szept Bena.

- Ale nie możesz, prawda? - powiedział niemal równie cicho Bonner. - Biedna przyjaciółko, jesteś tam uwięziona. Wszystkie twoje piękne imiona, wszystkie podróże, owe wspaniałe siedziby, całe twoje cesarstwo, i patrz na co ci przyszło. - Cmoknął językiem w doskonałej parodii żalu. - Oto jesteś, władająca swymi ostatnimi dwoma kochankami i psem, w domu jak bocianie gniazdo, a moc twoja zatrzymuje się na frontowych drzwiach. - Rozłożył szeroko ręce, dziwacznie ruszając palcami. Uśmiech Williego Nelsona migotał jak cekiny. - Ale ciekaw jestem, czy ja potrafię - powiedział.

- Prester John, ona wie - powiedział wyraźnie Ben, wskazując na Aiffe, i opadł z wysiłku. Dziewczyna przysunęła się do Nicholasa Bonnera. Było widać, że zadrżała i pobladła, a jej oczy zupełnie pozieleniały, jasną, jabłkową zielenią huraganowego nieba. Nicholas Bonner objął ją, ale nawet na nią nie spojrzął. Wolno zrobił krok ku Sii, a potem następny, prowadząc z sobą Aiffe.

- Jeśli podejdziesz bliżej, nie skazę cię na ponowne wygnanie. Zamiast tego zmienię cię. Nicholas Bonner zatrzymał się. Jego uśmiech załamał się, zimny i mglisty niczym para z suchego lodu.

- To, czym jestem, nie zmienia się. Któż wie to lepiej od ciebie?

- P rzekrzywił głowę, cynicznie kpiarsko, ale w jego głosie było coś zaskakującego, podobnego do ostrożności, przypominającego ból. - Sama to widziałas. Nie można mnie zmienić.

- Nie na lepsze - przyznała. - To zawsze wykraczało poza moje możliwości, od początku. Ale mogę cię uczynić gorszym niż jesteś. - Nie podniosła głosu, lecz Farrell poczuł, jak włosy na przedramionach mu się poruszyły. - A zatem spróbuj - powiedziała Sia.

Chłopak nie poruszył się.

- Spróbuj tego, spróbuj - przedrzeźniał ją. - Ukochana, nawet w swych najlepszych czasach, nawet gdy byłaś naprawdę kimś, mogłaś co najwyżej zepchnąć mnie na jakiś czas z chodnika. A co i jesteś warta teraz, kiedy nie śmiesz nawet palca wytknąć ze swej nory? W tym świecie światła na skrzyżowaniu mają nade mną więcej władzy od ciebie.

- Tak?. - Pojedyncza sylaba trzaskała i skrzyła się drwiną jak naelektryzowana. - No cóż, być może masz rację, z pewnością mam mniejszą moc niż kiedyś, nie ukrywam tego. Ale jeśli wsuniesz choć palec do mego domu, to pomyślę o tobie w taki sposób, że nigdy już nie zdołasz przywdziać pięknej powłoki, bez względu na to, jaką formę przybierzesz. A wówczas ktoś zwróci na ciebie choćby najmniejszą uwagę i uwierzy, że w ogóle masz w tym świecie jakąś władzę?

Na chwilę twarz Nicholasa Bonnera przybrała wyraz równie niemiłosiernego osamotnienia, jak jego oczy. Ścisnął ramię Aiffe, aż zapiszczała z bólu i wypchnął ją przed siebie.

- Zrób to tak, jak ci pokazałem - powiedział cichym, ostrożnym głosem. - Zrób to teraz. Aiffe wykręcała się z jego uścisku, nie chcąc spojrzeć wprost na Się.

- Nick, chodźmy, potrzeba mi więcej praktyki. - Plamki po pryszczach pulsowały na jej twarzy żywą czerwienią, niczym stygmaty.

- Skup się - obstawał chłopak. - Potrafisz to zrobić, to tylko kwestia skupienia. Tak jak w parku, zupełnie tak samo.

Odwrocił jej ciało ze wściekłą precyzją, naprowadzając ją na cel. Ona zaś ani nie opierała się, ani nie współpracowała, ale prosiła płaczącym głosem:

- Nick, chcę iść, chodźmy do domu.

Nicholas Bonner schwycił ją za bezwładne ramię, wyciągnął je, kierując ku Sii.

Farrell dał spokój próbom podniesienia Bena i zaczął go odciągać od drzwi.

- Dziecko, nie - usłyszał przerażająco współczujący głos Sii.

- Teraz - powiedział chłopak, a w powietrzu nagle zapachniało błyskawicą i po raz drugi zdarzył się wielki przeciąg. Farrell gramolił się ku schodom. Czuł, jak stary dom trząsł się zboląty w posadach, podczas gdy ściany skłaniały się wolno ku sobie, a stół do szachów, krzesła i języki ognia leciały mu pod nogi. Uchwycił się mocno Bena, by nie porwał go prąd silny niczym cofająca się fala z tonącego okrętu. Zdawało się, że podłoga opada przed nim stromo. Dobięł go zszokowany i zboląty krzyk dziewczyny, jęk, który przeniknął go do szpiku kości. Ale to był głos Nicholasa Bonnera, nie jej. Położył kres chaosowi, równie piekielnemu jak on sam. W zataczającym się, zastygającym domu jedynym dźwiękiem było chrapliwe westchnięcie Sii. Ben przestał w końcu powtarzać jej imię.

- Widzisz - powiedziała bez triumfu. - Nie potrafisz wejść do środka. Nawet z jej pomocą. Aiffe zwiślała zgięta wpół na ramieniu Nicholasa. Kącik ust miała wykrzywiony niczym ryba złapana na haczyk. Farrell myślał, że chłopak ją upuści, ale jego przerażająco idealna twarz już z powrotem przyoblekła maskę promiennej rozkoszy. Nicholas Bonner podtrzymał delikatnie Aiffe. Pogładził jej plecy i pomasaował palcami kark. Szeptał coś do niej, tak cicho, że Farrell nie słyszał ani słowa.

- Nie stała się jej żadna krzywda - powiedziała Sia. - Zabierz ją do domu. I jeśli jest w tobie choć odrobina litości, choć odrobina... - Przez krótką chwilę usiłowała powiedzieć coś, czego nie sposób było nawet pomyśleć po angielsku, po czym użyła słów z wiatrowego języka. - ... wówczas zostaw ją tutaj, zostaw ją samą. Ona nigdy nie będzie potrafiła zrobić tego, co chcesz, ona nie ma tego rodzaju mocy. Pomyliłeś się co do niej. Pozwól jej odejść.

Ben usiadł z pomocą Farrella. Mówił coś spokojnie i pogodnie po staronorwesku. Światła przejeżdżającego samochodu omiotły ganek i Farrell zobaczył, jak Nicholas ostrożnie podnosi Aiffe. Odwrócił ją ku sobie i dziewczyna złożyła głowę na jego piersi. Uśmiechał się do niej z wyrazem tak bardzo przypominającym czułość, że dwukrotnie zmroził tym serce Farrella: raz, ponieważ w tym momencie chłopak wyglądał jak ktoś, kto zawsze głęboko kochał Aiffe; i powtórnie, ponieważ Farrell nie miał wątpliwości, że ten szczególnie uśmiech był szczytowym osiągnięciem Nicholasa Bonnera. Ciemna plama powoli rozchodziła się po dzinsach dziewczyny. Farrell zdał sobie sprawę, że Aiffe się zmoczyła.

Nicholas Bonner przeniósł swe jasne spojrzenie na Się.

- Ale ona właśnie tego pragnie - powiedział. - Przywołała mnie tutaj, poprosiła o moje przewodnictwo - prawdę powiedziawszy, zażądała go - i jeśli ją teraz zostawię, pójdzie prosto za mną, pójdzie mnie szukać. - Zachichotał czule, gładząc splątane włosy Aiffe. - I znajdziesz mnie - chwalił ją, przechodząc na dzieciennie śpiewne paplanie. - O tak, tak, znajdziesz, oczywiście, że znajdziesz. - Wydawało się, że uspokaja wierzącego się szczeniaczka.

Dziewczyna nadal była zbyt oszołomiona, by stać o własnych siłach. Nicholas bez wysiłku wziął ją na ręce i stanął twarzą w twarz z Sią. Niedzielny uśmiech zwiądnął do blizny na delikatnie złocistej twarzy.

- Ona nie ma pojęcia, jak blisko doszła - szepnął Nicholas Bonner. - Ty i ja wiemy. - Sia nie poruszyła się ani nie odpowiedziała. - To ten rodzaj mocy - ciągnął chłopak. - Niemal cię złamała. Niedouczone, niewprawne, nieprzytomne ze strachu, prawie cię pokonała. Nie jesteś chyba jeszcze na tyle zgrzybiata, by tego nie widzieć.

Ben zaczął bardzo głośno podśpiewywać, wybijając rytm na kolanie Farrella.

- Hygg, visi, at... Vel soemir pat... Hue ek pylia fet. ...Efek pogn of get. Głos miał głuchy, ale rytm był dobry.

- Do następnego razu - powiedział uprzejmie Nicholas Bonner. - Lub jeszcze następnego razu.

- Odwrócił się i odszedł. Niósł Aiffe, jakby była jego partnerką w jednym ze starych tańców ludowych. Na schodach werandy zatrzymał się i postawił ją na nogi, mocno obejmując swym ramieniem. Dziewczyna zatoczyła się i chwyciła się go kurczowo. Ruszyli wolno w dół Scotia Street przytuleni głowami jak rozmarzeni kochankowie.

- Joe - powiedziała Sia.

Farrell oparł Bena o kolumnę schodów i podszedł do niej. Nie zrobiła mu miejsca w drzwiach, a on czuł niepokój na myśl o przeciskaniu się obok niej, więc zatrzymał się przezornie za jej plecami i patrzył, jak obserwowała ulicę.

- Flestr maor of fra... Hvat fylkir va - buczał za nimi Ben, a na dworze avicenska noc opływała dom Sii, niosąc z sobą rubaszne odgłosy czyjś barbecue i trzeszczący harmider meczu baseballowego, dobiegający z przenośnego radia. Farrellowi wydawało się, że mignął mu podkoszulek Nicholasa Bonnera, znikającego za przyczepą kempingową. Prawe kolano bolało go w miejscu, gdzie poparzyły go języki ognia.

- Nie mam kontroli nad tym, co z tego zapamiętasz - powiedziała. - Nie myślę, bym potrafiła.

- Odwróciła się do niego po raz pierwszy, odkąd Briseis zaczęła swoje przerażające wycie. Jej szare oczy były alarmująco przyćmione i pokryte smugami, a ciemnomiodowa skóra wyglądała jak zmięta serwetka, pozbawiona elastyczności i barwy. Zapach jej wyczerpania wypełnił mu usta, zjętcaży, drapiący i oblepiający niczym dym z płonących śmieci.

- Być może nawet nie będę próbować wymazać ci tego z pamięci. - Przynajmniej głos Sii odzyskiwał życie, stając się niemal uspokajająco cierpki. - Bardzo dobrze poradziłeś sobie z tym wszystkim. - Zatoczyła ręką po werandzie, Benie, porozwalanych książkach i porozrzucanych meblach. - Do rana pozostanie tylko mgliste wspomnienie nieporozumienia pomiędzy nieznanymi lub lekkiego trzęsienia ziemi. Już dorabiasz sobie teorię, widzę to. - Farrell zaczął gniewnie protestować, ale ona odeszła mówiąc: - To nieważne, rób co chcesz. Ja muszę zabrać Bena do łóżka.

Pomógł jej, choć tego nie chciała. Była zbyt zmęczona, by mu rozkazywać, więc w końcu pozwoliła, żeby to on dźwigał po schodach główny ciężar - Bena, który głośno sobie podśpiewywał. Farrell zdjął z niego zniszczone ubranie wikinga i zaniósł je na dół do pralki. Zatrzymał się, by uporządkować salon, a gdy wrócił Sia obmywała gąbką Benowi zabłocone zadrapania i wyczesywała kawałeczki sekwojowej kory z jego sztywnych włosów. Ben zapadł w niespokojną drzemkę. Nadal rytmicznie mamrotał, a oczy miał na wpół otwarte. Sia także wydawała dźwięk, ale tak cichy, że Farrell bardziej go czuł w powiekach i cebulkach włosów niż słyszał. Nigdy nie byłem tak blisko ich łóżka.

- Byłem tam, gdy go przywołała - powiedział. - Aiffe, Rosanna, przywołała go wprost z powietrza. - Sia spojrzała na niego i dalej zajmowała się obmywaniem Bena. - To, jak się znacie... nie rozumiem tego, ale nie zapomnę. Nie chcę zapomnieć.

- Lutnia spadła na podłogę w twoim pokoju - powiedziała Sia.

- Powinieneś sprawdzić, czy nic się nie stało. - Jej grube, piegowate palce przesuwają się po ciele Bena jak cień chmury.

- Chrzanić lutnię. Wszystko z nim dobrze? - Oczywisty idiotyzm tego pytania kazał mu się cofnąć i przygotować na kpiny. Sia jednak spojrzała na niego niemal z uśmiechem.

- Nie - odparła. - Z nikim nie będzie dobrze. Kawa byłaby dobra, w każdym razie.

Lutnia była bez szwanku, choć dwie struny pękły. Farrell przyniósł Sii kawę, po czym wrócił do swego pokoju. Usiadł na łóżku i wymienił struny, przysłuchując się, jak w drugim końcu domu Sia śpiewała Benowi. Teraz, gdy nie było przy niej Farrella, śpiewała wyraźniej. Poznał, że nie po angielsku, ani w wiatrowym języku. Melodia była nieuchwytna, zbyt obca, by być ujmująca, ale Farrell wstuchiwał się w nią, dopóki nie zaczęła rozpuszczać się w nim, ton po tonie, niczym azot we krwi nurka. Zasypiał z pragnieniem nauczenia się grania jej na lutni, ale nigdy mu się to nie udało.

11.

- Ulotnił się, nim wstałem - mówił Farrell. - Pierwsze, co zrobiłem, nawet się nie ubrałem, tylko poszedłem zobaczyć, co z nim, a jego już dawno nie było. Powiedziała, że zjadł śniadanie, zdeptał kilka ślimaków w ogrodzie i poszedł na uniwersytet. Kolejny typowy dzień na sielskiej farmie.

- Czego się jeszcze dowiedziałeś? - Julia siedziała przy stole do rysowania i pracowała zawzięcie nad uchwyceniem wyglądu chorej siatkówki. Gdy Farrell nie odpowiedział, podniosła wzrok i zamachała bambusowym piórem, by zwrócić jego uwagę. - Co jej powiedzieliście, na litość boską? Nie uwierzę, że po prostu rozłożyłeś gazetę i narzekałeś na nędzny program w telewizji.

- Ona nie ma telewizora. - Farrell podlewał kwiaty Julii, jak zwykle przelewając je. Teraz oparł się o framugę drzwi pracowni, udając, że ogląda wiszącą paproć. - Pytałem ją o różne rzeczy, skarbie. Naprawdę naciskałem. Pytałem, jak mogła pozwolić, by poszedł do pracy taki poturbowany i o co w ogóle, do diabła, chodzi z tym Egilem Eyvindssonem? A ona spojrzała na mnie i spytała, czy nie napiłbym się soku pomarańczowego, a ja pow-



iedziałem, dobrze, ale co z Nicholasem Bonnerem, czy chodziłaś razem do szkoły z tym kochasiem? A ona nałała mi pomarańczowego soku i taka była z nią rozmowa. Ta wielka męczennica marnieje.

- Nie, tylko się ęsa. Przeniosłam ją z sypialni i jeszcze mi tego nie wybaczyła. - Julia wróciła z powrotem do rysunku. Przyglądała mu się z irytacją, kręcąc głową, ale nadal mówiła do Farrell'a.

- Wygląda na to, że zamieniliście się przez noc rolami, co? Teraz ty zadajesz impertynenckie pytania, a ona ich unika. Bardzo dziwne.

- Nie wyglądała za dobrze - powiedział Farrell. - To, co zaszło pomiędzy nią, Aiffe i tym cherubinkiem, wydobyci z niej coś straszliwego. - Potarł granatowosiną i napuchniętą kolano. - Wyglądał przy tym o wiele lepiej od dziewczyny. To jej było mi żal i nic nie mogłem na to poradzić. - Julia podniosła szybko głowę, jej ciemne oczy nagle zrobiły się niespokojne, niczym woda zmarszczona wiatrem. - Naprawdę nic na to nie mogłem poradzić - powtórzył. - Była jak dzieciak na pierwszym dorosłym przyjęciu, przekonana, że nad wszystkim panuje, że nic nie dzieje się bez niej, że to jej wielka chwila. Biedna mała, nie wiedziała nawet, w co się ubrać.

- Nigdy jej nie żałuj - powiedziała Julia. Głos miała napięty i ostry, ale na słowie "żałuj" załamała się. - A ty? - zapytała cicho. - Domyślasz się, co wydarzyło się zeszłej nocy? W co bawili się na tym przyjęciu, Joe?

Farrell patrzył na nią przez chwilę. Potem włożył ręce do kieszeni i podszedł do okna, przy którym stał stół do rysowania. Oparł czoło o zakurzoną, nagrzaną słońcem szybę i przyglądał się jak Mushy, biały kot Julii, skrada się za szpakami na malutkim podwórku.

- Żyłem kiedyś z wilkołakiem - powiedział wolno. - Czy kiedykolwiek ci o tym opowiadałem?

- Julia uniosła lekko lewą brew i wygięła do góry wargę z tej samej strony. - W Nowym Jorku - ciągnął Farrell. - To, że była wilkołakiem nie jest najważniejsze. Przez większość czasu była miłą, nieszczęśliwą Żydówką, mieszkającą z matką. Pamiętam, jak raz powiedziała, że mniej kłopotliwe jest bycie wilkołakiem niż alergikiem. Oczywiście tak nie było. Ona tylko tak mówiła.

- Z pewnością masz powód, by mi to wszystko mówić - powiedziała Julia. - Jestem o tym przekonana.

- Chciałem po prostu powiedzieć, że nie jest mi obce to, co nadnaturalne. Wywołuje mi zamęt w głowie równie wielki, jak naturalne, czego nigdy nie potrafię odróżnić. - Odwrócił się od okna. Patrzył, jak Julia bawiła się bambusowym piórkiem, przysłuchując się jego słowom. Długie, giętkie palce ścisnęły trzonek tak mocno, że wykręcał się jak ryba schwytana w rękę. - Dobrze, punkt A. Dziewczyna, Aiffe, jest wiedźmą. Prawdziwą, może jeszcze nie najwyższych lotów, ale pracuje nad tym. Pracuje bardzo ciężko. Jak na razie mi idzie?

- Mów dalej. - Julia odłożyła ostrożnie piórko, odwróciła krzesło przodem do niego i zaczęła uderzać o siebie paznokciami kciuków.

- Na Boga - podjął Farrell - idę o zakład, że sporo w szkole błaznowała, doprowadzając nauczycieli do szału. Punkt B. Zdaje się, że próbowała przywoływać demony, w każdym razie trzy razy. Nie wiem, co wydarzyło się w dwóch pierwszych przypadkach, ale za ostatnim razem sprowadziła Nicholas'a Bonnera. On nie jest demonem, jak sam powiedział, a ja nawet nie próbuję się domyślać, kim jest. Wiem tylko, że jest stary, zły i bystry jak boy hotelowy. Najwyraźniej jest również dobrym znajomym Sii, coś jak ja i ty, co prowadzi nas do punktu C. Nie idę zbyt szybko?

- Nie. - Julia, widząc, że Farrell przygląda się jej dłoniom, złożyła je razem na kolanach. - Nigdy jej nie spotkałam. Nigdy nie przychodziła na imprezy Ligi z Egilem. Benem. Zdaje mi się, że hrabina Elizabeth była u niej kilka razy.

Farrell zastanowił się nad tym, przypominając sobie kobietę o kociej twarzy, która poślaskotała mu dłoń w tańcu.

- W głowie się od tego kręci. No dobrze. Sia. Kim jest Sia? Czym jest, że Ben przez mieszkanie z nią stał się zupełnie innym człowiekiem? Kim jest, że potrafiła, nawet go nie dotykając, zmusić pijanego wariata z pistoletem do klęknienia, człoganina się i postrzelenia w nogę? Kim jest, że potrafi grać z czyjąś pamięcią, mówić językami, które nie istnieją i bronić dostępu do swego domu pełnej wigoru młodej wiedźmie i... i osobie nieokreślonego pochodzenia, ale wielkiej, wielkiej mocy? Chcę powiedzieć, że to nie jest zwykła gospodyni domu z pokojami do wynajęcia, skarbie, czas zdać sobie z tego sprawę. Posunę się nawet dalej i powiem, że nie jest również zwykłym doradcą małżeńskim. A tak przy okazji, zauważyłaś, że to nasza pierwsza konferencja na najwyższym szczeblu? Uważam, że to godne odnotowania.

Julię rozbawiła jego błazenada. Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był zbyt wyrozumiały.

- Spójrz tylko. Nigdy nie mogłam cię nakłonić do opowiadania o tym, co tam naprawdę się dzieje, a teraz, gdy już zacząłeś, to prawdziwy potop. Trochę to niebezpieczne.

Farrell nie był pewny, co miała na myśli. Julia pochylała na chwilę głowę i znużonym gestem potarła kark. W odpowiedzi jego kręgosłup przeszył dreszcz chciwej czułości a on sam zrobił krok w jej kierunku.

- Punkt D - powiedziała Julia.

- Punkt D - powtórzył za nią Farrell po chwili milczenia. - Ben. Zdaje mi się, że miała mi coś właśnie powiedzieć, tuż przed pojawieniem się tych komedianów. - Przymknął oczy, usiłując przypomnieć sobie chrapliwy głos pytający go: "Co ty wiesz o opętaniu?" - Czytałem, że Mozart kolejne koncerty na flet dyktował pewnej go-

spodni domowej ze Strasburga - powiedział, wymawiając słowa powoli i z dokładnością, z jaką Julia odłożyła swoje bambusowe piórko. - Chopin, Mahler, Brahms, wszyscy kolejno wykorzystywali tę biedną kobietę. Mówiła, że to wielki zaszczyt, ale bardzo męczące.

- I ty myślisz, że to właśnie przytrafia się Benowi? Jakiś wiking z dziewiątego wieku po prostu wypożycza go sobie od czasu do czasu i potem biega w jego skórze po Barton Park? - Słowa były kpiące, ale nie sposób, w jaki mu się przyglądała. Farrell pokręcił głową.

- Początkowo tak sądziłem. Chyba dlatego, że to jedyny sposób opętania, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Teraz nie wiem. - Zawahał się, przypominając sobie słowa, które zagłuszyło przeraźliwie wycie Briseis i dodał: - Sia tak nie sądzi.

Julia chciała coś powiedzieć, ale tylko głęboko odetchnęła i nie odezwała się. Znowu stuknęła o siebie paznokciami kciuków.

- No cóż, będziesz musiał zabrać mnie tam kiedyś na obiad - powiedziała w końcu. - Chyba macie tam niezły tłok.

Farrell spojrzął na zegarek.

- Kolacja. Punkt E. Obrady konferencji na wysokim szczyblu zostaną wznowione po saskimi i sake w "Domu Półksiężycy", kropka, ruszamy w tan.

Julia jednak już odwracała swoje krzesło i obracała rysunek, by naszkicować siatkówkę pod innym kątem.

- Joe, nie mogę nigdzie iść, będę nad tym siedziała całą noc. Zadzwoń do mnie jutro.

- Ugotuję - powiedział Farrell. Czuję dziecianną niechęć przed pozostawieniem jej w spokojnej, ciepłej otoczce pracowni i wyjściem na mrok z myślami nadal rojącej się od cieni. - Masz rybę w zamrażarce, zrobię ją w sosie cytrynowym. Ty pracuj, o nic się martw. Przygotuję filety w sosie cytrynowym i pyszną sałatkę z pomarańczami i cebulką. Masz świeży czosnek?

Julia wstała, podeszła do niego i włożyła mu dłoń we włosy.

- Kochanie, idź do domu - powiedziała łagodnie. - Tego teraz właśnie chcę. Nie jestem głodna i zamierzam pracować w nocy, a naprawdę trudno mi się pracuje, gdy ktoś jest w domu. Z mężczyzną są zawsze kłopoty.

- Nigdy nie było z tym kłopotu. - Odgłos skargi w głosie ponownie ożywił w nim dziwny niepokój. - Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, malowałaś martwą naturę; w środku przyjęcia. W kuchni, na Boga, ludzie kręcili się tam i z powrotem, obściskiwali się, przygotowywali drinki, z piekarnika śmierdziało, jakby ktoś przeprowadzał analizę moczu domowym sposobem, a ty jadłaś jabłko i malowałaś, nie zwracając zupełnie na nic uwagi. Pamiętasz? Zdaje się, że szukałem papierowych ręczników. Całej rolki papierowych ręczników.

- Miałam osiemnaście lat, co mogłam wiedzieć? - odparła Julia. - Idź do domu, Joe. Właśnie tego teraz chcę. Rysunek musi być gotowy na jutro rano, ponieważ ktoś go potrzebuje. Lady Murasaki, ta przestraszona, popisująca się dziewczyna, jest na weekendy, specjalne okazje, zawsze, gdy jej potrzebuję. - Potem pocałowała go, gryząc w dolną wargę i delikatnie potrząsając jego głową. - A nadal jej potrzebuję - powiedziała - co jakiś czas. Być może z Benem jest tak samo.

- Co z Benem? - zapytał Farrell. - Muszę z nim porozmawiać, muszę zrobić coś z Benem. Co, u diabła, według ciebie powinienem zrobić?

Przez chwilę dłonie Julii zacisnęły się na jego karku, chłodne jak młode listki, ale trzymały go na tyle mocno, że mógł wyczuć stwardnienia na palcach powstałe, kiedy rysowała.

- Zadzwoń do mnie z pracy - powiedziała tylko i ponownie go pocałowała, a po chwili, równie zgrabnie jak Sia zawsze oczyszczała jego pamięć lub Nicholas Bonner oczyszczał gardło, uśmiechali się do siebie przez składane drzwi. On jednak odwrócił się pierwszy i nigdy nie dowiedział się, jak długo Julia stała potem jeszcze oparta o framugę. Para wczesnych gwiazd migotała nad Waverly, gdy wsiadł do Madame Schumann-Heink, żałując, że właśnie nie zjawił się przed domem Julii i zastanawiając się, co powie Benowi. Nie mógł tam wrócić, dopóki czegoś nie wymyśli.

Ostatecznie oddalił się od uniwersyteckich uliczek, zjechał w dół Gould, minął autostradę i dotarł prawie nad zatokę. Tam, w barze niewiele większym od przyczepy kempingowej, zjadł zeberka i kiełbaski tak ostre, że mogły przyprawić o podwójne widzenie i wypalić polipy. Wystrój tego miejsca był taki sam, jak za jego studenckich czasów: oprawione rozkłady jazdy, podpisane fotografie znanych grup wokalnych; kłótlive córki kłótlivego czarnego małżeństwa nadal wrzeszczały na siebie w kuchni. Farrell uznał to za niezmiernie krzepiące i objadł się za wszystkie czasy.

Stał przed wejściem, ostrożnie wciągając powietrze, by sprawdzić swe wypalone na popiół zatoki, gdy usłyszał prawie przy uchu chrapliwy, przyjazny głos:

- Hej tam, Rycerzu Duchów i Cieni.

Farrell odwrócił się. Ku niemu szedł mężczyzna, którego znał jako Saracena Hamida ibn Shanfara, w towarzystwie Lovity Bird i dwóch muzyków. Jeden był wysoki z długimi, przerzedzonymi, brązowymi włosami i wyrazem ospałej cierpliwości flamandzkiego św. Antoniego. Drugi przypominał szczęśliwego satyra, rudobrody

i o krzywych nogach. Skłonili się przed Farrellem w przyćmionym świetle zeberkowej speluny, gdy Hamid dokonał prezentacji.

- To jest Messer Matteo dei Send, a to mauvais sujet, generalnie nic nie wartą typ, brat Feliksa Arabii.

Farrell odskoczył im się i zapytał, dokąd się wybierają.

- Na zajęcia z walki bronią - odpowiedział wesoło Hamid. - Chodź z nami. W telewizji i tak dziś nic nie ma poza gotowaniem i wyprowadzaniem psów.

- Walki z bronią - powtórzył Farrell. - To brzmi jak szczęk miecza o pawęż. Jak drzenie kopii. Poddać się, tchórze.

Satyr Feliks Arabia uśmiechnął się do niego szeroko.

- Wtorkowe wieczory, siódma trzydzieści. Najlepszy pokaz w mieście za pieniądze. -Przechylił głowę, wskazując na świętego. - On traktuje to poważnie, to pupilek nauczyciela. Hamid, Lovita i ja nie bierzemy w zasadzie udziału w zajęciach, czasami mu tylko kibicujemy. Jesteśmy jego stronnictwem. - Wykonał gest, jakby kręcił batusą, ale wyczuwało się w nim śmignięcie niewidzialnego miecza.

Po chwili Farrell szedł razem z nim, z Lovita Bird pod ramię, a Matteo dei Send mówił nieśmiało:

- Prawdę powiedziawszy, nie jestem za dobry, nie mam dość czasu na ćwiczenia. Traktuję to jak rodzaj filozofii. To doskonała metoda na poprawę mojej koncentracji. - Długi, nieporęczny pakunek, który nieśli na zmianą z Feliksem bódł Farrella w bok niczym ciekawski rekin.

- Kto tego uczy? - zapytał Farrell. - Gdzie, u licha, znaleźliście ludzi, którzy znają się na średniowiecznych technikach walki?

Feliks Arabia wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Człowieku, w Avicennie każdy jest w czymś biegły. Szczególnie w walce. Znajdziesz tu mistrza każdego stylu walki, z bronią czy bez, kręcą się tu wszyscy. Jak wędrowni samuraje w filmach Kurosawy.

- W przeciwieństwie do grających na lutni - powiedział Matteo dei Send. - Sztuką jest znalezienie grającego na lutni. Dobrego grajka.

- A skoro już o tym mowa - wtrącił Feliks Arabia i przez resztę drogi na zmianę zachęcali Farrella, by przyłączył się do ich zespołu, Bazyliżków. Joe próbował się wykręcać tym, że potrafi dobrze grać tylko na jednym instrumencie, podczas gdy reszta grupy wyjąwszy lady Criseyde, ich perkusistkę - radzi sobie dobrze z kilkoma, ale Feliks zapewnił go:

- S łuchaj, niepotrzebny nam kolejny puzon, musimy mieć lutnię.

- Ludzie oczekują lutni - dodał Matteo - czegoś z czasów przed Mozartem, po prostu tego oczekują. Sporo graliśmy w mieście, poza Ligą i zawsze o to pytają.

- Płacą za występy?

Feliks i Matteo skwapliwie kiwnęli głowami. Hamid zachichotał, a Lovita ścisnęła Farrelłowi ramię i powiedziała:

- Jestem jego agentem.

- Pogadamy - odparł Farrell.

Mistrz walki mieszkał w przysadzistym wiktoriańskim domu na końcu rozkopanej uliczki. Z trzech stron otaczały go place budowy, a z czwartej był na wpół ukończony dojazd do autostrady. W rezultacie dom przypominał stary, spróchniały trzonowiec, sterczący w szkielecie szczęki. Drzwi wejściowe były otwarte. Weszli do wysokiego, chłodnego pokoju, pozbawionego mebli i dekoracji, poza poprzyczepianymi do ścian rycinami przedstawiającymi broń i zbroje. Pięciu ludzi, ubranych w podobne watowane kombinezony narciarskie, buty i grube rękawice, sztywno stało przed człowieczkiem z kozią bródką, w niebieskiej koszulce polo i spłowiałych, bawełnianych spodniach. Gdy odwrócił się, by skinąć uprzejmie nowo przybyłym, Farrell zobaczył, że jego oczy były jaskrawożółtoszare, jak oczy afrykańskiej papugi.

Dwóch uczniów miało zwykłe maski szermiercze; dwóch innych kaski motocyklowe z przyciemnionymi osłonami. Twarz trzeciego mężczyzny - szczuplejszego od pozostałych, o ile Farrell mógł ocenić przez pikowaną kurtkę - całkowicie skrywał stalowy hełm, przypominający odwróconą karafkę z wydłużonym dzióbkiem, który zasłaniał mu kark. W miejscu uchwytu sterczał spiczasty wizjer, ale Farrell niczego nie mógł przez niego dojrzeć.

- Twoja lady Murasaki - szepnęła Lovita, szturchając go - to ona go zrobiła. Ta wielka starość wazy więcej od niej.

Pięciu mężczyzn ustawiło się teraz w szeregu przed mistrzem, wpatrując się w niego ostrożnie zza malowanych tarcz, które trzymali w rękach. Wszystkie tarcze, z wyjątkiem jednej, miały kształt wydłużonego, drewnianego migdała o długości ponad czterech stóp. Tarcza, będąca samotnym wyjątkiem, trójkątnego kształtu i równie ciężka jak stalowy hełm, należała do tego samego szczupłego mężczyzny, którego członki wydawały się niemal zbyt wątłe, jak na wymogi autentycznej zbroi.

- Tarczę też zrobiła? - zapytał Farrell Hamida. Saracen pokręcił głową.

- Henryk Tourneysmith zrobił ją w zeszłym roku dla Williama the Dubious. Williamowi musiało się już znudzić ciągnięcie jej z sobą.

Matteo dei Servi odwinął swój tobołek i pospiesznie przebierał się w średniowieczne odzienie. Tymczasem mistrz chodząc sprężystym krokiem pomiędzy uczniami. Ostroymi klepiąciami prostował pochylone ramię, by podniosło tarczę na wysokość nosa, sprawdzał czy plecy są ustawione pod odpowiednim kątem względem tarczy.

- Ugnijcie kolana, błagam was, moje paniątka. Mówiliśmy już o tym poprzednio. - Miał suchy, ostry głos, kipiący niecierpliwością. - Prawa ręka na biodrze, by trzymać plecy prosto. - Obszedł mężczyznę w stalowym hełmie i ze stalową tarczą, szturchnął go energicznie pod kolanem. - Stopa płasko, kolano wysunięte nad palce stopy. To tak jak siedzenie na bujanym fotelu. - Mężczyzna zachwiał się i przez chwilę wydawało się, że upadnie. - Gdybyś miał prawidłową postawę, to nie mógłbym tego zrobić - powiedział mistrz i przeszedł do następnego ucznia.

- Nazywa się John Erne - powiedział cicho Hamid. - Zajmuje się tym już od lat i to jedyne jego powiązanie z Ligą. Nie tańczy, nie ucztuje, nie bierze w niczym udziału poza tym. Już nawet nie chce walczyć w turniejach.

- A czym się zajmuje przez resztę czasu?

- Nie mam pojęcia - Hamid wzruszył ramionami. - Może jest sprzedawcą, a może prowadzi ośrodek dziennej opieki. Myślę, że jest doradcą inwestycyjnym, ale nie mam na to dowodów. Teraz mistrz wybrał miecz spośród kilku opartych w kacie. Wszystkie były zrobione z zaostzonego ratanu. Następnie stanął i popatrzył z roztargnieniem na sześciu ludzi. Drewniane ostrze spoczywało na jego lewej dłoni. Nagle poderwał miecz i ostrym machnięciem przesunął go daleko za plecy, zrobił dwa dziwne, wydłużone kroki w przód i z całej siły wymierzył cios w głowę najbliższego mężczyzny. Farrell wstrzymał oddech. Tarcza ucznia uniosła się na przyjęcie uderzenia, które z trzaskiem cofnęło mu ją w twarz. Mistrz natychmiast ponownie zamachnął się i ciął ostro w nogi ucznia. Gdy zaś szybko opuszczona tarcza jeszcze raz zmieniła położenie, uderzył w hełm, a potem w odsłonięty bok. Uczeń przewidział ostatni atak, ale odsunął tarczę od pionu, by go odeprzeć i mistrz natychmiast zadał błyskawiczny cios w drugą nogę tuż nad kolanem. Noga ugięła się, uczniowi dech zaparło i opuścił tarczę, by złapać równowagę.

- Góra, dół - powiedział chłodno mistrz. - Tarcza porusza się tylko w górę i w dół, panowie. - Nie mówiąc nic więcej, skoczył na następnego w kolejności - Matteo dei Servi - grzmocąc brzeg jego tarczy zamaszystymi ciosami znad głowy. Tarcza podskakiwała i wykręcała się, pociągając za sobą ramię Matteo, który starał się odeprzeć natarcie. Udało mu się nie odsuwać tarczy na bok i ratanowy miecz nigdy nie dotknął jego ciała. Mistrz przeszedł dalej, rozłozszczony golem w koszulce polo, okładając kolejne tarcze z mechaniczną furią. Szczupłe ramiona machały niestrudzenie, pełne wigoru ciało niemal odrywało się od podłogi przy każdym ciosie. W chłodnym pomieszczeniu klekotało jak w wiatraku.

Przed szczupłym mężczyzną, w hełmie jak karafka, mistrz zatrzymał się na chwilę, a na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się wyraz niepokojącej litości. Uderzył dwa razy, lekko, przepychając stalową tarczę z boku na bok, po czym powiedział coś, czego Farrell nie usłyszał. Uczeń pokręcił głową bez słowa i uniosł tarczę ponownie do pozycji obronnej. Mistrz westchnął i ratanowy miecz rozdzwonił się jak oszalały na malowanej stali. Szczupły mężczyzna nie potrafił dostatecznie szybko przesunąć tarczy. Udało mu się zablokować zdumiewającą liczbę ciosów, ale pozostałe trafiły w jego tułów i nogi. Dźwięk, jaki się przy tym rozlegał, przypominał sosnowe szczapy strzelające w ogień. Uczeń nie cofnął się jednak ani razu, choć Farrell tak.

Mistrz odsunął się i opuścił miecz.

- Dziesięć minut - powiedział do uczniów i odwrócił się do Farrella, Hamida, Lovity i Feliksa Arabii. Ruszył w ich kierunku sprężystym, niemal tanecznym krokiem baletnicy. Przykucnął przed nimi, wspierając się na mieczu, jak rzymski legionista przyglądający się zmierzchowi kraju Piktów. Równie dobrze mógł mieć trzydzieści pięć lat lub sześćdziesiąt. Jego skóra i sztywne od potu włosy do ramion były tego samego anonimowego koloru, gdzieś pomiędzy dymem a piaskiem.

- John Erne - przedstawił ich sobie Hamid - Rycerz Duchów i Cieni. John Erne wyciągnął rękę, uśmiechając się.

- Kolejny muzykant? No tak, oczywiście. - Jego okrągłe, płytko osadzone oczy otaksowały Farrella, jakby był samochodem na kanale.

- Skąd to wiesz? - zapytał Farrell. - Z tego, że przyszedłem z muzykami?

- To też - przyznał John Erne. - Głównie jednak stąd, że wzdrygałeś się za każdym razem, gdy miałem uderzyć kogoś w rękę. - Wyciągnął swoje ręce dłońmi w dół i z rozbawieniem przyglądał się ich porośniętym jasnymi włosami grzbietom. Guzowate kostki sterczały mu niczym supły, nawet przy wyprostowanych dłoniach, a dwa paznokcie przy prawej ręce były czarne i kruche. - Przeciętnie ranie sobie palec rocznie - powiedział w zamysleniu. - Złamałem sobie rękę poprzedniej wiosny w walce wręcz. - Jego dłonie były mniejsze niż Farrella.

Uczniowie pozdejmowali hełmy. Siedzieli i stali oparci o ścianę, oddychając ciężko przez otwarte usta. Wszyscy wyglądali na młodzików poniżej dwudziestki z wyjątkiem Matteo dei Servi i szczupłego mężczyzny, który siedział samotnie, pochylony nad stalowym hełmem leżącym na jego kolanach. Gdy podniósł głowę, Farrell poznał, że to Japończyk.

- Nie wszyscy martwimy się o nasze ręce - zaprotestował Feliks. Wskazał na Matteo, ćwiczącego właśnie uniki i kontrataki ze swą tarczą. - Spójrz na niego, jest gotów. Przyjdź na następny turniej, a zobaczysz jak młóci wszystko, co się rusza. - Matteo spojrział w ich kierunku i wyszczerzył się w uśmiechu jak ze zdjęcia z letniego obozu.

John Erne zachichotał bez złośliwości. Odwrócił się, by sprawdzić opaskę na rękojeści miecza.

- Nie robi tego, dobrze wiesz. - Farrell zauważył, że ma zęby osobliwego rodzaju, które bardziej tworzyły luźny zbiór niż idealny garnitur, a nos przynajmniej raz był złamany. - Muzycy muszą ćwiczyć - mówił dalej John Erne. - Nigdy nie spotkałem prawdziwego muzyka, który oszczędzałby siebie. Nigdy nie przejdą z tobą całą drogą. - Farrell spojrział na niego zdumiony, a mistrz ciągnął: - Oni wiedzą, jak się uczyć. Jeśli twego przyjaciela będę uczył, jak robić uniki lub wykorzystywać tarczę w zwarcu, to on pojmie to szybciej niż reszta uczniów, ponieważ przyzwyczajony jest myśleć o technice. Choć, szczerze mówiąc, wołałbym, aby nie zawracał sobie tym głowy. Uczyłby się jak coś robić, a im byłby w tym lepszy, ty większy czułby gniew i nigdy nie zrozumiałby dlaczego. Naprawdę wołałbym, aby nie zawracał sobie tym głowy.

- Mój Boże - powiedział wolno Farrell. Czuł, że uśmiecha się na myśl o Julii. - Jesteś taki jak ja.

Tym razem obojętne, żółte oczy przyjrzały mu się z większym zastanowieniem.

- Czyżby? Nie potrafię poświęcić się więcej niż jednemu poważnemu zainteresowaniu, jeśli to masz na myśli. - Wzruszył ramionami, skręcając bródkę między dwoma palcami. - Przez długi czas cieszyłem się lokalnie reputacją kogoś w rodzaju uczonego szaleńca. Ludzie zapraszali mnie na swe lekcje historii, bym demonstrował i opowiadał o wymarłych zasadach. Mówiłem o rycerskości, honorze, trzymaniu się zasad i widziałem jak przez skórę przechodził im dreszcz.

Farrell czuł, że jego własna skóra zaczyna się ruszać przy tych słowach.

- No cóż, bardzo ich denerwowałeś, John - powiedział lekkim tonem Hamid. - To jest Avicenna, oni wolą teoretyczną przemoc, nie znają rebeliantów z Paragwaju, którzy wysadzają złych ludzi. Z tego samego powodu wolą średniowiecze bez całej niepokojącej nadbudowy. Ale ty ich przerażałeś, jesteś jak latający po klasie pterodaktyl, skrzeczący i srający. Zbyt realny. - Okrągłe oczy zdawały się mrugać bez zamykania powiek, jak oczy papugi.

- Dinozaur. Tak sądzisz? - John Erne roześmiał się, co zdradzało jedynie pulsowanie nozdrzy. - To mój czas. - Pochylił się i klepnął Farrella solidnie po kolanie. - To czas broni. I rzecz nie w tym, że każdy ma pistolet; chodzi o to, że każdy pragnie nim być. Ludzie pragną zamienić się w pistolety, noże, bomby, wielkie psy. To czasy, w których każdego dnia otwiera się dziesięć nowych szkół karate, w których kung fu uczy się w trzeciej klasie, a matki mają czarny pas w aikido. Znam jednego gościa, który na bocznej uliczce robi fortunę na savate, francuskiej odmianie kickboksu. - Farrell obserwował twarz mistrza, nadal próbując ustalić, ile miał lat. Wydawał się o wiele młodszy, gdy mówił lub poruszał się, starszy gdy się uśmiechał.

- Niezliczone mnóstwo sztuk samoobrony - powiedział John Erne. - A wszyscy uczą się ich z powodu chuliganów, policji lub zeń. Ale żadna nowa broń nie pozostaje długo nie używana. Wkrótce ulice roić się będą od milionów ludzi, podobnych do nabitych pistoletów z odciągniętymi kurkami, przerażających pragnących, by ktoś pociągnął za ich cyngiel. I ktoś to robi. Ktoś wpadnie na kogoś lub spojrzy krzywo i wprawi wszystko w ruch. - Otworzył rękę i uderzył w nią dłonią, jakby strzepywał puszek mleczu. - Atmosfera tak zgęstnieje od morderczych odruchów i starożytnych technik samoobrony, że wszystko spowie błękitna mgiełka. A jedynym dźwiękiem będzie odgłos okładających się kantami dłoni mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

- Gdzie tu miejsce na rycerskość? - zapytał cicho Farrell.

Matteo dei Send i jeden z uczniów zaczęli ćwiczenia z mieczami i tarczami. Chodzili wokół siebie osobliwym posuwistym krokiem, który wcześniej demonstrował mistrz. Ratanowe ostrza trzymali daleko za sobą w pozycji niemal horyzontalnej, na wysokości hełmów i uderzali w tarcze raz za razem, w rytmie szermierzy. John Erne obserwował ich, pstrykając palcami w ostrze swego miecza.

- Martwa sztuka - powiedział - jak muzyka na lutnię. Tak nienaturalna jak balet czy opera dla zwierząt, a mimo to każdy, kto włoży choć papierową zbroję, nie potrafi się już od tego uwolnić, tak jak ty nie potrafisz uciec przed faktem, że twoja muzyka wyraża wiarę w Boga, piekło i króla. Takich jak ty i ja zwykło się nazywać świadkami, którzy swym życiem ręką za coś, czego nigdy nie widzieli. Sęk w tym, że wszystko czego pragniemy, to być ekspertami.

Nagle obrócił głowę i zawołał do ćwiczących ostrożnie uczniów:

- Zdwoić tempo!

Uczniowie na chwilę zawahali się, po czym zdwoili tempo, parując cios przeciwnika i jednocześnie zadając cios samemu.

- W Lidze znajdzie się może kilku, którzy nie przeszli przez tę salę. Uczyłem postępowania się mieczem, pałaszem, sztyletem, maczugą, cepem i toporem bojowym. Niektórzy z moich uczniów poradziliby sobie teraz nawet w Hiszpanii za czasów Wizygotów czy krucjat.

- O ile czegoś nie wypiją - powiedział Farrell, a Lovita Bird dodała:

- O ile będą mogli zabrać swe magnetofony kasetowe.

Mistrz spojrział na nich bez odpowiedzi. Przeciwnik Matteo wymierzył mu cios z forhendu w głowę, ale Matteo przyjął go na tarczę i sam ruszył do ataku, gdy tarcza tamtego, dla zbalansowania zamasyzłego uderzenia, odsłoniła ciało. Dźwięk, który temu towarzyszył, przypominał odgłosy wydawane przy skakaniu po materacu. Uczeń zakaszłał i pochylił się nieco w przód.

- Straciłeś nogę, giermku Martinie - zawołał John Erne. Młodzieniec cofnął się i odwrócił twarz ku trzem widzom, sapiąc gniewnie.

- Nie przecięto zbroi. Musi przeciąć zbroję.

- Ejże, kto z nas dwóch jest tu sędzią? - zapytał słodkim głosem John. - Nie masz nogi, Martin. Uczeń wzruszył ramionami i przykląkł na jedno kolano, wolno z powodu ciężkiej odzieży. Skulił się za tarczą, wystawiając jedynie ramię z mieczem. Farrell spodziewał się, że Matteo w nie uderzy, ale on zdecydował się na atak ponad tarczą, ślepo nacierając na pochyloną głowę i niemal zapraszając klęczącego mężczyznę do cięcia w bark. John Erne westchnął lekko.

Nie musiał wołać. Matteo sam natychmiast opuścił tarczę, przerzucił miecz z prawej ręki do lewej i atakował dalej z większą ostrożnością, usiłując wykorzystać ograniczony zasięg swego przeciwnika. Trzymał jednak miecz zbyt wysoko jak na skulonego oponenta. Nadeszło więc logiczne cięcie w jego nogi i musiał odskoczyć, wyprowadzając cios parujący, gdy jeszcze nadal nie odzyskał równowagi. Wysiłek sprawił, że głowa znalazła się w zasięgu desperackiego ciosu, gdy jego własny miecz nie chybił celu i wylądował na kasku giermka Martina.

- Obaj martwi! - wrzasnął John Erne i obaj walczący, jak należy, przewrócili się i przetoczyli na plecy. Martin, z podniesioną ostoną, pocierał krwawiący nos.

- Dobry Boże - mruknął John Erne. Wstał, ponownie międląc brodę. Jego zwinne, chłopiące ciało nawet na chwilę w czasie rozmowy nie straciło sprężystości.

- John - odezwał się Hamid. - Powiedz, dlaczego nie chcesz mieć nic wspólnego z Ligą. Dawno temu mogłeś wszystko przejąć.

Spojrzenie papuzich oczu przesunęło się z niego na Farrella i z powrotem, ale jego twarz pozostała równie spokojna jak tarcza zegara.

- Tu mam lepszą Ligę - powiedział. Poklepał się po czole tuż nad krzaczastymi brwiami. - Moja podoba mi się o wiele bardziej.

Farrell obserwował, jak odchodzi do swych uczniów. Szedł ze spuszczonej oczami, stawiając stopy nieco do środka. Poplamiona koszulka polo opinała mu wydatne barki. Skinął na dwóch leżących wojowników, by wstali i dołączyli do półkola zamaskowanych kompanów.

- Ten facet ma poważnego bzika - powiedziała Lovita Bird.

Hamid podwinął pod siebie długie nogi i oparł się o ścianę. Jego orzechowe oczy spoglądały w dół.

- Być może to trzyma go przy zdrowych zmysłach.

- To dziwne - mówił John Erne. - Tego, co rzeczywiście dobrze wiem o walce mieczem, będziecie musieli nauczyć się od kogoś innego. Pierwszy, z którym zmierzycie się na turnieju, nauczy was jak naprawdę ważne jest dobre posługiwanie się tarczą i pokaże wam, że tego nie umiecie. Radzicie sobie już całkiem nieźle z mieczem, ale tarczą posługujecie się nie lepiej niż deską do prasowania - westchnął i wzruszył ramionami, krzywiąc usta. - To jeden z powodów, dla których unikam oglądania walk moich uczniów.

- Sir Fortinbras - powiedział duży blondyn o brzuchu wypchanym jak tobotek z brudami do prania - ten, którego mam być giermkim, powiada, że tarcza powinna być jak największa i najlżejsza. A i tak rozpada się zaraz w drzazgi.

- Sir Fortinbras nie poprawił swych umiejętności od trzech lat właśnie z tego powodu - odparł spokojnie John Erne. - Podobnie jak Raoul z Carcasson czy Simon Widefarer. Ich tarcze są dla jeźdźców, nie nadają się do bezpośredniego starcia. Przesłaniają widok i trudno z nimi o zachowanie równowagi i doskonalenie techniki walki. Całe pole czegoś takiego przeszedłbym z nożem do masła. Głupota.

Wskazał palcem na japońskiego ucznia, który spoglądał na niego spode łba znad założonych rąk.

- Większość z was zapewne z poczuciem wyższości spogląda na Ronina Benkei i jego wywijasy z tą przykrywką. Ale Ronin Benkei tańczy ze swoją tarczą bardzo stary taniec ataku i obrony, katas. Mówił, że robi to dwa razy dziennie. Czy ktoś z was to potrafi? Martin? Arnulf? Orlando? Czy potraficie tańczyć ze swą drewnianą bronią? - Uczniowie wzruszyli ramionami i uśmiechnęli się. Wyraz twarzy Ronina Benkei nie zmienił się.

- Z zakłopotaniem muszę przyznać, że ja też nie potrafię - powiedział John Erne. Wyciągnął swoją tarczę z pokrowca, z zielonej, flanelowej torby, która wisała na oparciu krzesła. Jego tarcza, ze stali okładanej skórą, podobnie jak Ronina Benkei, była okrągła i średnio wypukła. Dwie stalowe taśmy wzmacniające krzyżowały się w środku, a miejsce spotkania przykrywał gruby, skórzany guz, ozdobiony wymalowanym wzorem z liści i księżyców.

- Przejdziemy do wymiany ciosów - oznajmił John Erne. - Idea wymiany - w odróżnieniu od ataku frontalnego, który jak wiemy, jest niczym innym, jak natarciem na przeciwnika z nadzieją wytrącenia go z równowagi -

polega na odsłonięciu wybranego boku przeciwnika, samemu nie wystawiając się na niebezpieczeństwo. Na turnieju zobaczycie wiele takich sprytnych posunięć. Niektóre z nich będą wymierzone w was, więc lepiej nauczcie się przed nimi bronić i samemu stosować. - Przywołał gestem chłopaka zwanego giermkim Arnulfem. - Zbliź się i zmierz ze mną. Arnulf opuścił maskę, poprawił ułożenie długiej tarczy i zajął pozycję, by stawić czoło mistrzowi. John Erne, stojąc niedbale wyprostowany, posunął nogę i wyprowadził cięcie w głowę, które chłopak z łatwością sparował, unosząc tarczę o kilka centymetrów. Na ułamek sekundy tarcza przesłoniła mu widok, w tej samej chwili John Erne wykonał drobny taneczny krok i natarł na niego, smagając niczym skorpion nagle otwartą lukę pomiędzy krawędzią tarczy a opadającym mieczem. Arnulf zachwiał się, uniósł miecz do swej bezkształtnej głowy. John Erne odskoczył, bez śladu triumfu na twarzy, marszcząc jedynie z akademicką powagą brwi.

- Jak tego dokonałem? - zapytał.

Arnulf nie odpowiedział, ale Ronin Benkei wyprostował się nieznacznie, by zwrócić uwagę mistrza.

- Noga z tyłu - powiedział. - Przy pierwszym cięciu zatoczyłeś nią łuk w lewo i to odciągnęło jego tarczę z właściwej pozycji, jeszcze nim zmusiłeś go do podniesienia jej przed oczy. Potem przerzuciłeś ciężar z powrotem, obróciłeś się i natarłeś. - Głos miał bardzo cichy i niemodulowany. John Erne skłonił się dwornie.

- Ważne jest, by własną tarczę trzymać cały czas w tej samej pozycji. Wystarczy nieznacznie przesunąć barki, by skończyć z ostrzem sir Gregora the Grungy. - Ponownie roześmiał się bezgłośnie śmiechem, ale policzki pokrył mu rdzawy rumieniec, gdy spoglądał na swych uczniów. - Pamiętajcie, panowie, to przedsmak śmierci. Nie ma tu systemu punktów, elektronicznego sędziego, drużyny olimpijskiej. To polega na tym, że ktoś bardzo mocno stara się rozplatać wam czaszkę ośmioma funtami żelastwa. Jeśli w czasie walki nie macie absolutnej świadomości tego, traci sens wszystko, co robicie i wolę was nie oglądać na swoich lekcjach. - Farrell usłyszał ciche świshnięcie, gdy John Erne wciągnął powietrze i zdał sobie sprawę, że mistrz jest astmatykiem.

Zapytał o to później Hamida, gdy razem z Feliksem Arabią, Lovitą i Matteo opuścili stary dom. Saracen kiwnął głową, a siwe włosy w jego brodzie zaśniły w blasku księżyca.

- Teraz jest już podleczone, ale zdaje mi się, że mało go nie zabiła w młodości. Poza tym nic nie wiem o jego osobistych sprawach.

- Chyba dlatego ma taką obsesję na punkcie tego, co robi, to rodzaj kompensacji - powiedział Matteo.

- Kuchenna psychologia - zgasił go Feliks Arabia. - Lovita ma rację, facet ma bzika, to wszystko. Sprawny, dość nieszkodliwy, choć potrafię sobie wyobrazić okoliczności, w których nie byłby taki nieszkodliwy.

Nadal sprzecali się, gdy oddzielili się od Farrella, Lovity i Hamida, przechodząc na drugą stronę ulicy, by złapać autobus. Z rogu Matteo zawołał do Farrella:

- Bazyliżki mają próby każdego środowego wieczoru. U mnie. Hamid powie ci, jak się tam dostać. - Farrell pomachał mu i uśmiechnął się.

- Masz zamiar się do nich przyłączyć? - zapytała Lovita.

Farrell nic nie powiedział, dopóki nie skręcili w boczną uliczkę, gdzie nielegalnie zaparkował Madame Schumann-Heink.

- Jedyne, do czego kiedykolwiek należałem, to związek układaczy linoleum. Od lat nie grałem w zespole. Pewnie nie bardzo się nadam.

- Spróbuj - powiedział Hamid. - Dobrze grają i mają serce do tego, co robią. A ty możesz, ale nie musisz być członkiem Ligi, nikt nie spodziewa się po muzyku tak wiele. Tak, Bazyliżki będą dla ciebie w sam raz.

Za wycieraczkami Madame Schumann-Heink trzepotał mandat, niczym uwięziona ćma. Farrell schował go do kieszeni i odwrócił się, trzymając dłoń na klamce.

- Spotkałem Presterera Johna. - Twarz Hamida znieruchomiała. - Ty jesteś griot, ten który pamięta, wiesz o Lidze wszystko - ciągnął dalej Farrell. - Powiedz mi, co stało się z Presterem Johnem.

Hamid ibn Shanfara, którego prawdziwego imienia Farrell nigdy nie poznał, rzucił spojrzenie Lovicie, ale ona odpowiedziała mu pogardliwym spojrzeniem królowej Nubii. W czasie zajęć ze sztuk walki milczała, szczególną uwagę poświęcając swym paznokciom i wyimaginowanej plamie na skórzanej spódnicy.

- Skarbie - powiedziała do Farrella - ten człowiek ci nie powie. To znaczy, mnie nigdy nie chciał powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, więc z całą pewnością nagle nie obarczy tym ciebie. - Hamid objął ją. Po raz pierwszy zrobił coś niezgrabnie. - To ta dziewczyna - mówiła dalej Lovita - tyle w każdym razie wiem. Zrobiła coś naprawdę paskudnego, ale nie chce, by ktokolwiek o tym mówił. Nie tylko on, nikt.

- Prester John był przyjacielem Julii - powiedział Farrell. - Naprawdę muszę to wiedzieć, Hamid.

- Nie ma co wiedzieć. - Głos Hamida był cichy i rozsądny jak u ludzi, którzy wspinali się na schody Sii. - Nie ma o czym mówić. Cokolwiek się wydarzyło, to się wydarzyło i nie ma sposobu tego naprawić. - Wydawało się, że chciał się ukłonić, ale odwrócił się - A jednak cała masa ludzi rzeczywiście próbuje - rzuciła za nim Lovita Bird.

Samochód Bena stał na podjeździe, gdy Farrell wrócił. Oni byli już jednak w sypialni, pomimo wczesnej pory. Farrell zjadł jabłko, dwukrotnie wykręcił prawie cały numer do Julii, czując ponure zadowolenie, że nie przeszkodził jej w pracy, i spędził godzinę na wywabianiu ze schowka na szczotki Briseis. Nie sposób było ją za-

ciągnąć w poblizsze wejściowych drzwi, więc wyszli razem na tył domu i usiedli w ogródku Bena, przysłuchując się odległemu oddechowi ulicznego ruchu i zajadłym sprzeczkom nocnych ptaków.

W ciągu następnych dni próby rozmowy z Benem przypominały bezskuteczne usiłowanie wręczenia sądowego pozwu kwarłowi. Każdego ranka udawało mu się wyjść, nim Farrell zszedł na śniadanie, bez względu na to, jak wcześniej to uczynił. Weekend różnił się jedynie tym, jak Sia tłumaczyła jego nieobecność. Farrell znał godziny jego zajęć i dwukrotnie wykorzystał swoje pół dnia wolnego, aby odwiedzić go na uniwersytecie. Za każdym razem mówiono mu, że Ben wyszedł dziesięć minut temu. Farrell, świadom swych własnych umiejętności unikania niewygodnych spotkań, nigdy nie podejrzewał, że Ben posiada ten sam dar. Zdumiewało go to i oburzało zarazem. Ja to ja, ale o nim naprawdę miałem lepsze zdanie. Jakie świadectwo wystawia to naszej młodości?

Oczywiście, wieczorami obaj byli w tym samym domu. Jeśli tylko Benowi się udało, nie przebywali w tym samym pokoju. Jednak cztery razy zasiedli razem z Sią do wspólnej kolacji. Ku własnemu zaskoczeniu Farrell nie pozwolił, by każde z tych spotkań przeszło bez poruszenia tematu tańców w Barton Park, późniejszego zniknięcia Bena i tajemniczego oraz gwałtownego starcia Sii z Aiffe i Nicholasem Bonnerem. Raz dorzucił do tego McMannusa, po części przez przypadek, po części dlatego, że naprawdę przyjemność sprawiało mu uparte drażnienie tematu. Chęć poznania jest bardzo uzależniająca. Sprowadzi cię na manowce, jeśli nie jesteś ostrożny.

Trzy razy, podobnie jak jeden z uczniów Johna Erne, Ben bez wysiłku odparł ataki Farrella, używając jako tarczy mieszanki żartów i dygresji. Nie próbował jedynie tłumaczyć się nadużyciem ciemnego ale i pijackim brakiem poczytalności. Gdy Farrell zapytał, dlaczego trzymał w tajemnicy swe członkostwo w Lidze Archaicznych Przyjemności, Ben wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko.

- Myślę, że po części z powodu Crofa Granta. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym ci powiedzieć, że bawię się z tym głupcem w te same maskarady. Z twego powodu również, ponieważ twoje wyobrażenie o mnie nigdy nie pasowało do przebieranek. Tobie wypadałoby udzielać się w Lidze, mnie nie. Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie. Pewnie dlatego udawałem wtedy, że cię nie poznaję.

Farrell rzucił twarde spojrzenie Sii, ale jej szare oczy pod ciężkimi powiekami były tak brutalnie puste - czy też pełne spraw, których nie rozumiał - jak oczy Egila Eyvindssona.

Jednak gdy czwartego wieczoru Farrell znowu poruszył temat zniknięcia i wizyt, Ben zerwał się na nogi.

- Niech cię diabli, Joe, mam ataki! - wrzasnął z furją, pochylając się nad stołem. - Wiesz co to atak? Co to napad? Co to skręcanie się na ziemi, piana na ustach, połykanie języka, obijanie się o ściany? Jak to jest wyruszyć do pracy i ocknąć się po dwóch dniach w izbie wytrzeźwień, szpitalu dla umysłowo chorych czy na oddziale intensywnej terapii? Coś ci to przypomina? - Jąkał się i dygotał z wściekłości, a jego twarz zdawała się mieć nieostre rysy z powodu drgania drobnych mięśni pod skórą.

- Epilepsja? - Farrellowi jego własny głos przypominał mamrotanie żebraka. - Ty nigdy nie opuszczałeś lekcji. To ja chorowałem.

Ben pokręcił głową, przerywając mu niecierpliwie.

- To nie epilepsja. Nikt nie potrafi mi powiedzieć, co to jest. Nie zdarzało mi się to, gdy byliśmy dziećmi, wszystko zaczęło się dopiero... - zawahał się tylko na chwilę - dopiero po szkole średniej. - O dziwo, uśmiechnął się, choć było to jedynie drgnienie ust, nie dłuższe od przerwy w mówieniu. - Prawdę powiedziawszy, miałem dwa ataki, gdy jeszcze mieszkaliśmy przy Dziesiątej. Raz nie było cię w domu, a drugim razem byłeś tak zajęty z pewną dziewczyną, że nawet UFO byś nie zauważył. I były wtedy o wiele łagodniejsze, te ataki.

Sia ulotniła się niepostrzeżenie, tak jak zawsze, gdy tego chciała.

- Trzeba mi było powiedzieć - odezwał się Farrell.

Ben ponownie usiadł. Jego gniew wygasł równie nagle i zastraszająco, jak wybuchł.

- Nie, nie trzeba było. Nie trzeba.

- Masz pojęcie, co sobie wyobrażałem, gdy tak unikałeś mnie, zbywałeś i przemykałeś chyłkiem? Co, do diabła, było złego w powiedzeniu mi o tym?

Ben milczał. Tak mocno pocierał palcami pod brodą, że po paznokciach zostawały czerwone ślady.

- Joe, na tym uniwersytecie nie wiedzą, jak poradzić sobie z kobietami żądającymi równych płac. Tolerują czarnych i żółtków ze strachu i oczekują za to pochwały. Popędzili kota pedałom i za każdym razem modlili się, by przyjęty na wydział cukrzyk zaliczył rok. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby dowiedzieli się o moich napadach. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, oprócz Sii. Na Boga, naprawdę wolałbym, gdybyś nie wiedział.

- Na litość boską - powiedział Farrell, po czym z energiczną ulgą odzyskanej pewności siebie wgrzył się w swoją babeczkę. - Czy wygadałem się, kiedy napisałeś ten wiersz do Lidii Mirabal? Jej chłopak, Paco, przez cały tydzień, każdego dnia po szkole, ćwiczył na mnie akupunkturę, ale moje usta były zapieczętowane. Głównie nawierzchnią ulicy, ale mimo wszystko. - Ben wpatrywał się w stół. - Nie przydarzyło ci się to nigdy na zajęciach? Gdy byłeś w pracy? - Drgnięcie przygarbionych ramion uznał za potwierdzenie. - No widzisz, to co mogą zrobić? Jesteś gwiazdą, szycią, w następnym roku dadzą ci stałą posadę, a wtedy nawet nie będziesz musiał pokazywać się na uczelni. Nie zwracaj sobie głowy, jeśli tylko to cię martwi.



Ben dotknął jego nadgarstka tak lekko, że Farrella ponownie przeszedł dreszcz. Potem wyszedł z jadalni, a Farrell długo jeszcze siedział bez ruchu, wpatrzony w blask lampy wędrujący tam i z powrotem po młynku do pieprzu. Nagle poczuł na kolanie nieśmiałe trącenie chłodnego nosa Briseis. Podniósł wzrok i zobaczył Się spokojnie podlewającą kwiaty. Jej czarne, przyprószone siwizną włosy opadały luźno na spłowiałą mongolską suknię, którą lubiła nosić wieczorami. Z miejsca, w którym Farrell siedział, wydawała się dziwnie młodzieńcza, przypominała dziecko wędrujące po pokoju.

- Więc wiedziałas cały czas - zagadnął ją, a ona odwróciła się ociężale jak zwykle i utkwiała w nim krótkowzroczne spojrzenie. Nawet wówczas jednak Farrella nie opuścił chłód zaskoczenia, jakby splecione smoki na jej sukni uniosły haczykowate złociste głowy, by go wypatrzeć.

- Tak, wiedziałam, co mu się stało i dokładnie wiedziałam, gdzie był. Ale nic na to nie mogłam poradzić.

- Ja mogłem coś zrobić - powiedział Farrell. - Mogłem przynieść go do domu w o wiele lepszym stanie, niż oni to zrobili.

- Ty byś go nie znalazł. A gdyby nawet, to nie wiedziałbyś, co z nim począć. - Mówiąc, ani na chwilę nie przerwała podlewania kwiatów. - W pewnym sensie najlepiej się stało, że znalazło go tych dwoje. Ale czekanie było trudne.

- Och, z pewnością - przyznał szczerze Farrell. - Szczególnie wiedząc, gdzie był i w ogóle. Jeśli myślisz, że zapytam, jak weszłaś w posiadanie tych szczególnych informacji... - dodał cierpkim tonem trzynastolatka.

W oczach Sii na chwilę pojawił się ów figlarny błysk, który zaparł mu dech w piersiach przy pierwszym spotkaniu.

- Od niej - powiedziała, wskazując głową na Briseis, która drzemała na nodze Farrella. Farrell zmył naczyń i poszedł do swego pokoju. Źle mu się ćwiczyło tego wieczoru i miał sny o wypadaniu z łodzi. Za każdym razem byli z nim Aiffe i Ben. Aiffe zwykle chciała go ratować, ale Ben jej nie pozwalał.

Od tamtego czasu to Farrell najczęściej opuszczał kolacje, czasami śniadania, a raz czy dwa nie pojawił się przez cały weekend. Jego nieobecność była jednak uzasadniona - próby z Bazyliškami wymagały więcej niż jednego wieczoru tygodniowo, nawet gdy nie planowano występów. Wszystkie aranżacje trzeba było przerobić na lutnię, a co więcej, sami członkowie Bazylišków musieli dostosować się do szczególnego brzmienia i stylu gry Farrella, a on do zespołu. Jego to nie dziwiło, już nie raz przez to przechodził. Nie spodziewał się jednak pikników, grillów na plaży, gry w siatkówkę czy wycieczek z plecakami, na które był wciąż zapraszany.

- Czy oni muszą wiecznie zachowywać się jak rodzina? - narzekał, zwracając się do Hamida. - Lubię muzykę, ale ciągle przebywanie razem mnie wykańcza.

- Poczucie wspólnoty - powiedział Hamid. - Liga to popiera, spójrz na te wszystkie baronie, gildie i bractwa. Zachęca się ludzi do myślenia w kategoriach małych grup, klanów, w ten sposób staje się to ich prawdziwym życiem. - Uśmiechnął się przeciągle, odstawiając jedynie końce zębów i dodał: - Średniowiecze takie było. Całe życie można było przeżyć na kilku milach kwadratowych.

- Są naprawdę dobrzy - przyznał Farrell. - Muszę się starać, by im dorównać. Sporo się jednak przy tym uczę. W zeszłym tygodniu graliśmy na prywatnym przyjęciu dla księcia Claudia i jego żony. Nikt choćby na chwilę nie wypadł z roli, nawet gdy zadzwonił telefon czy wysiadł bezpiecznik, nawet jeść nam dawali w kuchni, jak prawdziwym muzykantom. Dobrze, że nie mieli stajni.

Hamid uśmiechnął się szerzej.

- Poczekaj aż zagrasz w takim miejscu jak Dol Amroth lub Storisende. - Farrell znał te nazwy z Tolkiena i Cabella. Hamid z wielką powolnością skinął głową, skłaniając się wdzięcznie. - W takich miejscach naprawdę zastanawiasz się, w jakich jesteś czasach - powiedział.

Oddalił się, by uniknąć dalszych pytań. Julia wcale nie była bardziej skora do rozmowy, gdy Farrell do niej przyszedł.

- Dwory - odezwała się. - Prawdziwe są cztery, a może pięć, zdaje mi się, że cztery. Rivendell ciągle rozpada się i organizuje od początku. Są jak komuny, choć nie tak zorganizowane. Ludzie wspólnie opłacają czynsz, po kolei gotują, robią zakupy, pracują w ogrodzie, sprzecząją się, kto w tym tygodniu sprząta kocią kuwetę. Oboje mieszkaliśmy w takich miejscach.

- Tylko że nie bawiliśmy się cały czas w to samo. Julia roześmiała mu się prosto w twarz.

- Czyżby? W tamtych miejscach każdy spiskował nad zbombardowaniem Pentagonu czy chociażby zapchaniem im rur kanalizacyjnych. Albo trwało wielkie poszukiwanie idealnego wielożęstwa, ponadczasowego guru, najlepszego kształtu dla przyzmy kompostu. To było zupełnie to samo, Joe, zupełnie jak mundur. I albo pasowałeś, albo przenosiłeś się do innej grupy.

- Czy Prester John przeniósł się? - Ostatnio Farrell złośliwie wplatał to imię w niewinne rozmowy z członkami Ligi, wypatrując oznak wrzenia pod błyszczącą powierzchnią.

- Chyba tak - odparła jednak Julia i zaczęła wymieniać wkład w piórku do rysowania. Gdy Farrell nie dawał za wygraną, jej głos nagle przybrał wysoki, pojękujący z napięcia ton. - Joe, on ześwirował, dajmy temu

spokój. Niech ci będzie, przeniósł się. Ze wszystkim przesadzał, w końcu dostał bzika. Dajmy temu spokój. - Do oczu zaczęły jej napływać łzy, a dolna warga drżała. Farrell poszedł zaparzyć herbatę.

Julia od tańców nie towarzyszyła mu na żadnych imprezach Ligi, wymawiając się pracą lub zmęczeniem. Lady Criseyde poprosiła, by przygrywał na jej cotygodniowych zajęciach klasy tańca. Raz poszedł sam na targi rzemiosła odbywające się pod patronatem gildii rzemieślników i płatnerzy. Spędził cały dzień na rozmowach z chłopakami w końskich ogonach, którzy znali się na zbrojach mediolańskich, płytowych oraz południowych germanów. Rozmawiał też z byłym profesorem chemii, którego ważącą osiem funtów zbroję sprzedano za trzy tysiące dolarów. Byli tam dwaj płatnerze oraz specjalista od wyrobu cepów i młotów, ale tylko jeden wytwórca dużych, watowanych rękawic, których używała większość walczących. Farrell dowiedział się od niego, że najlepsze do wypychania rękawic są pałeczki, a jednofuntowy ołowiany ciężarek wędkarski najlepiej nadaje się na gałkę turniejowej maczugi.

Hamid i Lovita zabrali go na pierwszy turniej, który zainscenizowano w Barton Park, choć nie na tej polanie, gdzie odbywały się Urodzinowe Harce. To była jedna z nielicznych imprez Ligi otwarta dla publiczności. Normalnie ubrani ludzie kręcili się pomiędzy kolorowymi namiotami, szpalerami ogromnych chorągwi i tarcz herbowych rozwieszonych na drutach, rozciągniętych pomiędzy drzewami. Farrell przypatrywał się jak Simon Wiefarer kładzie trzech młodzików, próbujących zdobyć rycerskie ostrogi i jak król Bohemond bronił się ze zdumiewającą zręcznością w walce na duże drewniane młoty, przypominającej balet w zwolnionym tempie. Garth de Montfaucon wyszedł zwycięsko ze wściekłej walki wręcz. Czterech z sześciu jego przeciwników kulało i z trudem łąpało powietrze. Farrell wspiął się na palce, by zobaczyć jak komiczny wąsacz rozgląda się po szrankach z przymrużonymi oczami. Szczupłe ciało przygarbił jak łasica wyszukująca węchem zdobycz w ziemi. Nagrodzony brawami Garth wypatrzył Farrella w tłumie i wznosił miecz w szyderczym wyzwaniu. Farrell wiedział, że miecz był ratanowy, ale jego wypolerowane ostrze błyszczało w słońcu jak prawdziwe i poczuł wyraźną ulgę, gdy Garth się odwrócił. Darrell Sloat. Nauka czytania. To nie pomaga.

Pewnego razu Farrell zabrał w końcu Julię na kolację do domu Sii i pocałował tego jeszcze przed końcem prezentacji. Kobiety od pierwszej chwili poczuły do siebie rzucającą się w oczy niechęć. Farrell usiłował rozładować ponurą ciszę rozpaczliwymi próbami wyciągnięcia z Bena wspomnień z dzieciństwa. Sia cały wieczór próbowała, badała i kąsała swego gościa tak nieuprzejmie, jak nigdy dotąd. Julia zaś odpowiadała półśłówkami z rosnącym sarkazmem. Wcześniej też poszła do domu. Bolała ją głowa i przez następne dwa dni prawie nie odzywała się do Farrella.

- Nie mamy ochoty się polubić. Nie wracajmy do tego - to było wszystko, co powiedziała na temat pierwszego spotkania.

W wigilię letniego przesilenia wybrali się razem na ślub pielęgniarza z zakładu dla psychicznie chorych, zwanego sir Tybaltem Walecznym, z lady Alisoun de la Foret, asystentką na uniwersytecie. Ślub odbywał się o zachodzie słońca na plaży, na której na czas nieokreślony zabroniono kąpieli z powodu zanieczyszczenia ściekami. Zespół Bazyliszków grał w czasie ceremonii, którą poprowadził bosonogi zakonnik. Hamid zaśpiewał potem Love Me or Not, Love Her I Must or Die przy akompaniamencie Farrella, a poprzebierani goście tańczyli wolno wokół państwa młodych. Potem wszyscy wyruszyli na ucztę weselną, prowadzeni przez dwóch włoskich najemników, jednego druida i dwie dziewoje z elzbietańskich czasów, którym udało się wejść do Madame Schumann-Heink. Farrell, zgodnie ze wskazówkami hałaśliwych doradców, pojechał daleko pomiędzy wzgórz, minął ukryty zakręt i wjechał na szeroką ulicę z kompleksem sekwojowych kondominiów, skręcił ponownie w prawo przy wiejskim kościółku z anteną satelitarną na trawniku i zatrzymał się w cieniu kanarkowozóftęgo zamku.

- Storisende - odezwała się obok niego Julia.

- Do licha - powiedział cicho Farrell. - Nie wiedziałem, że zbudowali jakiś tak daleko. - Nad murami powiewały flagi, a gargulce uśmiechały się z kamiennego portalu wejścia. - Zamki Avicenny. Nigdy jeszcze w żadnym nie byłem.

- Grupka szaleńców zbudowała je w latach dwudziestych - rzucił zza jego pleców druid. - Kaprys Aleistera Crowleya, Theda Bara czy kogoś im podobnego. Mieli w zwyczaju wykradać sobie córki. Czytałem o tym.

Farrell pomógł Julii wsiąść z mikrobusu, a ona podała mu lutnię ze słowami:

- Joe, to jest wesele. Dobrze się baw, po to ono jest. Tylko po to. Ujęła go mocno pod ramię i poprowadziła ku złotemu zamkowi.

Nad centralnym dziedzińcem Storisende, porośniętym winoroślą i pnącym rozmarynem, górowały cztery wieżyce. Na dziedzińcu był również rozłożysty platan, figowiec, miniaturowy labirynt z bukszpanu, omszały bruk oraz staw z rybkami i wodą koloru zupy cebulowej. Dwie wieże w głębi dziedzińca stanowiły strzeliste narożniki budynku pokrytego dachówką, który najwyraźniej w trakcie budowy zmienił zamiar i postanowił być hiszpańską misją zamiast normańską twierdzą. Zapach jaśminu, dzikiego bzu i oleandru mile poślaskotał mu nozdrza. Farrell kichnął. Urwał gałązkę jaśminu, zatknął Julii za sznurówki gorsu błękitnej, aksamitnej sukni. A gdy spojrzała na niego zaskoczona, pocałował ją.

- Widzisz - powiedział. - Już się dobrze bawię.

Wesele odbywało się w obu tylnych wieżach. Ludzie przelewali się tam i z powrotem przez główny budynek. Towarzyszyły im fale śmiechu, urywki sprośnych weselnych pogaduszek i zapach palącego język piwa domowej roboty. Pomimo wesołego bałaganu fasady, projektant zamku dobrze się spisał przy kolumnach z piaskowca. Wszystkie kamienne klatki schodowe biegły na zewnątrz, a dowcipnie wydęte ściany wież były cieńsze niż się wydawały, zostawiając miejsce na trzy piętra szerokich podestów, owalnych lub ośmiokątnych pokoi wysokich aż po poddasze. Wszędzie roito się od mężczyzn i kobiet, których stroje rzucały cienie przypominające wielkie, awanturujące się ptaszyska. Farrell przytulił lutnię, nie tylko aby ją ochronić przed zderzeniem, ale by tłumić odgłosy, które przymuszały czułe drewno do gniewnych jęków w jego ramionach.

Julię zgubił prawie natychmiast za sprawą dwóch dziewcząt, które podbiegły do niej z krzykiem w ciężkich od złota szatach scytyjskich nomadów.

- Lady Murasaki, księżęta, wszyscy tu są, wszyscy, czyż widziałaś, pani, kiedy takie wesele? - paplały jedna przez drugą. Odciągnęły ją zaraz do kobiecego chóru udzielającego pannie młodej rad na noc poślubną. Farrell urzeczony wędrował po wystanej sitowiem podłodze, starając się bez przerwy, by jego kufel, pełny po brzegi piwa, nie wylądował na czyjejś szacie i by nie wytrąciła mu go z rąk rękojeść czyjegoś miecza. Jedno z pomieszczeń prawie w całości zajmował bufet. Na stole piętrzyły się półmiski z węgorzami w sosie, naleśnikami z wołowym szpikiem, mięsem, pstrągami i pasztetami. W następnym pomieszczeniu toczyła się żarliwa dyskusja na temat kandydatów do senatu. Prowadzono ją oczywiście w wymyślnym języku Ligi.

- Na Boga, mocium panie, niech mnie, powiem ci jasno. Twój człek to płacziwe nic, trzęsąca się stara marionetka lobby przemysłowo-wojskowego... - na te słowa pół tuzina mieczy opuściło swe pochwy, nim szacowny książę Frederik Sokolnik zdążył się wtrącić.

Trzeci pokój robił, co mógł, by pomieścić adoratorów hrabiny Elizabeth Bathory, która przyjmowała wyrazy uznania ubrana niemal wyłącznie w dwa ospałe pytony, Vlada i Belę. Lovita Bird, sama przyodziana w posplatane paski wytłaczanej białej skóry, stała z boku z miną wzgardliwego rozbawienia. Farrell zatrzymał się przy niej i mruknął:

- Daj spokój, Vlad wygląda na ochlapusa, ale Bela jest w porządku. A może to Vlad. Lovita wygięła połowę górnej wargi.

- Oba wyglądają lepiej niż ona za swych najlepszych czasów. Nie grzeszy wstydem bardziej niż kształtami. - Prychnęła cicho, ku zaskoczeniu Farrella.

- Hamid mówił, że te węże są członkami Ligi. Hamid często mnie nabiera.

- To prawda. Stowarzyszeni członkowie, coś w rodzaju królewskiej Sybilli. Biedny, stary Bohemond musi znosić im szczury laboratoryjne jako ofiary, gdy prosi ich o rady. Tak każe regulamin.

Obok nich przeszedł Garth de Montfaucon. Obejmował pannę młodą i rozglądał się na boki wzrokiem ostrym jak cięcie papierem.

- Wspaniale wyglądasz w tym stroju - powiedział Farrell do Lovity Bird. - Sama go zrobiłaś?

- Wyglądam wspaniale w wielu strojach - oświadczyła z zadowoleniem. - Ale dziękuję. Tak, zrobiłam go sama, podobnie jak większość swoich strojów. Dzięki temu nie zapominam, że jestem Amanishakhete, królową Nubii, a nie głównianym kierowcą autobusu. Nie mogę pozwolić, by o tym zapomnieć.

Farrell spojrzał zaskoczony. Zmierzył wzrokiem jej szczupłe brązowe ramiona i małe dłonie.

- To tym się zajmujesz? Prowadzisz szkolny autobus?

- Gorzej, skarbie. - Lovita poklepała go po ręce. - Tranzyt metra, osiem godzin dziennie wleczenia się jednym z tych wielkich, przegubowych krówsz przez dwie dzielnice i cholerny most na zatoce. I jeszcze pasażerowie. Wyrzucam ich, gdy są pijani, a oni stawiają się, gdy są zalani w trupa, lub obsypują wyzwickami, gdy jeszcze trzymają się na nogach. Myślisz, że wytrzymałabym to całe gównno, gdybym myślała, że to prawdziwe życie?

Śmiech Aiffe skrzył się na krawędziach wszystkiego, drażniąc bolesne miejsca tego wesołego wieczoru. Kilka razy Farrell ją zauważył. Zwykle przemykała pomiędzy parami niczym wspomnienie, odciągała mężczyznę albo kobietę do tańca lub na pogaduszki. Nicholasa Bonnera nie widział nigdzie.

Postanowił przysiąc się do kilkorga dzieci, które bawiły się w dziwną grę, zonglując orzechami włoskimi. Wszystkie miały na sobie kostiumy, kaftany i płaszcze będące miniaturkami dorosłych strojów. Nawet najmłodsze z nich posługiwały się mową Ligi równie biegle jak dorośli, tyle że bardziej naturalnie. Farrell dowiedział się, że pochodzą z trzech rodzin mieszkających na stałe w Storisende. Dwoje z nich urodziło się w zamku. Tradycyjnie dziewczynki były damami dworu królowej Leonory, a chłopcy paziami lub giermkami, w zależności od wieku. We wszystkim odwoływali się do realiów świata Ligi. Nieważne czy opisywali turniej w "czarownym królestwie Broceliande na Północy" - Farrell pomyślał, że mogło im chodzić o Seattle - czy po prostu sprzeciali się nad podziałem kleistej waty cukrowej. Jednak, gdy Farrell zapytał ich, gdzie chodzą do szkoły, bez najmniejszego trudu przeszli na standardowy kalifornijski angielski, gawędząc o stopniach i wrogach z równym za-

pałem, jak przed chwilą omawiali protokół obowiązujący na królewskim bankiecie. Farrell poczuł, że kręci mu się od tego w głowie, jak przy wpadnięciu w powietrzną dziurę.

Właśnie odkrywał przy bufecie, że gęsty mięsny krem miał w sobie wystarczająco dużo powoli działających, ostrych przypraw, by wypalić mu zęby, gdy zagadnęła go postawna, uśmiechnięta kobieta, słodka i przypudrowana niczym bezik. Miała na sobie sięgającą ziemi, czarną szatę z długimi rękawami, lamowaną futrem, a na głowie ogromny stroik z drutu i gazy. Do złotego pasa było przyczepione kółko z kilkunastoma kluczymi, które przy każdym ruchu szczękały jak noże.

- Panie muzykancie, winienes być ze swymi kompanami - strofowała go wesoło. - Muzykanci mają przygrywać, gdy ich państwo biesiadują, by atmosferą miłą uprzyjemnić im trawienie, inne zachowanie za gorsząca samowolę uchodzi. - Poklepała go lekko po ramieniu i podała mu pasztecik w kształcie tabędzia w koronie.

- Pani, kamraci moi także się posilają - odparł, wskazując na Bazylišków, trzymających drewniane talerze równie pełne jak jego. Z drugiego końca pokoju skłonił mu się z powagą uczeń Johna Erne, Ronin Benkei, a Lovita Bird pochwaliła się węgorzem w galarecie.

- A więc ty jesteś mężczyzną lady Murasaki - powiedziała uśmiechnięta kobieta - Rycerzem Duchów i Cieni. Ja jestem Janet z Carterhaudh, gospodyni Storisende.

Farrell często śpiewał szkocką balladę o dziewczynie, która uwolniła swego ukochanego spod władzy Królowej Czarodziejek, nie mógł więc się powstrzymać, by w zdumieniu nie unieść brwi.

- Czyżbym nie pasowała do twego wyobrażenia? - zapytała, śmiejąc się głośno bez cienia urazy. - No cóż, dopiero niedawno zostałam lady Janet, jeszcze na Urodzinowych Harcach byłam Drają Tatarczyńką, łupieżcą i buntownikiem, bezlitosnym wrogiem każdego, kto ośmielił się zagrozić jej górskiej kryjówce. - Farrell przypominał sobie, jak pojawiła się w rudej peruce i złoconej skórzanej koleczudze. Nawet w tańcu nie wypuszczała z rąk włóczni. - Lecz to zrobiło się takie nudne - ciągnęła lady Janet. - Mów, co chcesz, ale nikt szczególnie nie przepada za wiecznym wyrzutkiem. Taki styl bycia z czasem robi się nudny. Spakowałam więc Draję do worka, całą jej broń, zbroję, jej wszystkich paskudnych bożków, zaklęcia, niekończące się rodzinne legendy i całą cholerną zasadniczość, po czym po prostu sprzedałam ją Margrethe von der Vogelweide, która tak już miała dość bycia operetkową księżną księcia Manfreda, że gotowa była wziąć wszystko, cokolwiek się nadarzy. I tak oto mamy poważną, ale ognistą Janet z Carterhaugh, która stawiała czoło całej Krainie Elfów dla swej miłości, a do tego ubiera się znacznie lepiej od biednej Draji. - Złożyła mu głęboki, niespodziewanie elegancki ukłon i wstała, mrużąc porozumiewawczo.

- Potrafisz tak? - zapytał cicho Farrell. - Po prostu zaprzestać bycia tym, kim jesteś w Lidze i zostać kimś absolutnie innym? Można sprzedawać role, wymieniać się nimi? - Czuł się dziwnie zdezorientowany, prawie urażony.

- Osoby - poprawiła go lady Janet. Lub, jak je nazywamy, wizerunki. Oczywiście, że wymieniamy się nimi, zamieniamy i wycofujemy je wedle uznania. Trzeba to tylko zarejestrować w Kolegium Heraldycznym. - W miarę jak mówiła, jej biała niczym cukier twarz przybierała kolor wilgotnego rózu. - Ufam, iż inne podejście byłoby nie do przyjęcia. Mielibyśmy na zawsze być przywiązani do tego samego wizerunku, bardziej niż do sposobu ubierania się, ambicji, partnera, nosa? Możemy tu mieć Średniowiecze, mój dobry muzykancie, ale to nadal Kalifornia.

Kociak syjamski, który przez cały wieczór bez lęku buszował po wszystkich pokojach, przyskoczył do nich na sztywnych nogach, by zbadać zadziwiające tajemnice trenu lady Janet. Ta jednak podniosła go i przytuliła namiętnie do policzka.

- Oto Sir Mordred, nazwany tak, ponieważ jest taki niedobry, niedobry, niedobry - powtarzała pieszczotliwie. Ostatnie słowa prawie utoneły w kocim futerku.

- Czy to często się zdarza? - zapytał Farrell. - To znaczy, czy ludzie cały czas zmieniają swoje role?

Lady Janet roześmiała się w brzuszek Sir Mordreda, a on zaczął kopać ją łapkami po uszach.

- Nie, to nie jest wcale takie powszechne. Wielu, podobnie jak lady Criseyde czy lord Garth, nie zmienia swych wizerunków nawet na jotę. Z każdym turniejem stają się one coraz bogatsze i pewne. Lecz dla bardziej płochych z nas prawdziwa rozkosz leży w stawaniu się dokładnie tym, kogo sobie wybraliśmy. Wcielamy się w tę postać na tyle, na ile uznamy za stosowne i na tak długo, jak nam się spodoba. Przed Drają byłam Lucią la Sirena, flamą ze starej Kastylji, a jutro równie dobrze mogę być Marian z Sherwood czy Melusine, Panią Smoka i nikogo to nie zdziwi. Giermku Tancred, Geoffreyu ze Wschodniej Marchii, przestaniecie?

Dwóch z chłopców, z którymi Farrell gawędził wcześniej, pędem minęło bufet, goniąc się, mocując i wrzeszcząc co sił w płucach:

- Tchórz, tajdak, wypruję ci flaki!

Sir Mordred prychnął, z oburzeniem smagnął powietrze ogonem i postanowił wspiąć się na nakrycie głowy lady Janet. Jednemu z chłopców udało się nawet skłonić przepraszająco, nim zniknął pod stołem. O dziwo, jakimś cudem zdołali się wydostać z drugiej strony bez obijania się o nogi biesiadników i ściągnięcia obrusu z zastawą. Farrell rozpoznał tor ich dalszej gonitwy po fali szat i sukni usuwających się im pospiesznie z drogi.

- Dziadowskie nasienie, niech cholera porwie! - Lady Janet przeklinała, gdy Farrell ostrożnie wyjmował Sir Mordreda z jej włosów, a potem postawił go na podłozie. - Odkąd Tancred został giermkim Cedrica Łuczniaka, ten brzdąc, zadreczę na śmierć mojego Geoffreya. Niech to lichy, ale muszę pójść rozprawić się z tym paskudnym gałganem. - Ponownie się skłoniła i zamierzała odejść.

- Ty tu mieszkasz - zatrzymał ją Farrell. - Jak to jest żyć tu cały czas? - Lady Janet spojrzała na niego bez słowa i uśmiechnęła się. - Chciałem przez to zapytać - ciągnął Farrell - czy często jadasz na mieście? Czy masz w pracy przyjaciół, czy ty i twoja rodzina chodzą do kina, odstawiacie samochód na przegląd? Jak to jest żyć tu cały czas? - Dlaczego czuję się jak idiota? Czy to mój dzieciak bije się o to, kto zostanie giermkim?

Lady Janet zatrzymała się. Wachlowała wilgotna pierś, spokojnie przyglądając się Farrellowi małymi oczami koloru splotawego dzinsu.

- Potrafię wrzucić ćwiartkę do parkomatu, jeśli takie masz wyobrażenie o realnym świecie. Muszę to umieć, ponieważ nie mamy parkingu dla studentów w mojej szkole. Potrafię również wypisać czek, postać po pizzę i pomóc Geoffreysi ze Wschodniej Marchii w odrobieniu pracy domowej z informatyki. Czy to odpowiedź na twoje pytanie, Panie Duchów i Cieni? Nagle harmider w głębi sali przybrał na sile i oboje szybko się odwrócili. Na stół, przewracając za sobą krzesło, wdrapał się rosty rycerz w pełnej zbroi. Ścisnął przelewającą się karafkę i zaczął właśnie przemowę lub pieśń - trudno było powiedzieć - z nogą w kaszy mąkę j. Nawet gromkie okrzyki zachęty i tupania nie mogły zagłuszyć oburzonego krzyku lady Janet. Dama natarła na bufet, w jednej chwili zamieniając się w Draję Tatarzynkę. Rycerz spostrzegł ją, upuścił karafkę i zaczął gramolić się z powrotem na podłogę.

Farrell ruszył dalej, wypatrując Julii. Starał się nie nadepnąć na Sir Mordreda, który co i rusz przypuszczał samobójcze ataki na jego kolana, po czym natychmiast chował się w cieniu za zbroją czy tarczą opartą o ścianę. Jeden z ataków był jednak prawdziwym uśmiechem losu, ponieważ odwrócił uwagę lady Vivienne d'Audela, która właśnie szykowała się do miłej pogawędki o swym beznadziejnym zapale do Hamida ibn Shanfara. Kolejny atak skutecznie przeszkodził Bazyliszkom w improwizacji na temat When I'm SixtyFou, pomyslanej jako serenada dla sir Tybalta i lady Alisoun, których przyłapano na pieścizotach w alkowie. Farrell odbył wówczas poważną rozmowę z kociakiem i Sir Mordred obiecał, że będzie grzeczny, ale skłamał.

Lady Criseyde, zajęta pospiesznym czyszczeniem opryskanej sosem kryzy króla Bohemonda, przerwała na chwilę, by powiedzieć mu, że lady Murasaki wyszła właśnie na dwór, skarżąc się na hałas i tłok. W sieni ustawiał się szpaler do tańca rodem z piętnastego wieku, przygrywał im jedynie Feliks Arabia, przypominający wesołego demona z obrazów Boscha. Zauważył Farrella i zawołał do niego, machając przyzywająco nad kapturami, беретami z piórami i strzelistymi kapeluszami. Farrell uśmiechnął się, pomachał mu i czmychnął do pokoju, którego przedtem nie zauważył. Był mniejszy od innych, słabiej oświetlony i unosił się w nim zapach opuszczenia, jakby omijały go wszystkie uroczystości od czasu postawienia domu. W nim również podłogę przykrywało świeże sitowie - gdzie w Kalifornii można by znaleźć prawdziwe sitowie na zamkowej podłozie? - a kilka kilimów i dywaników łągodziło chłód ścian. Naprzeciwko wejścia, tuż pod kamiennym wykuszem okna, siedział na podłozie skulony Nicholas Bonner. Towarzyszył mu chłopiec nie więcej niż czteroletni. Budowali zamek z czerwonych i złotych klocków.

Farrell nie miał pojęcia, jak długo tak stał, przyglądając się im. Pokój był prawie pusty. Mgliste świadom był obecności innych ludzi, którzy wchodzili i wychodzili, głosów zartujących w języku Ligi z doskonałego skupienia dwójki dzieci. Żadne z nich nie podniosło nawet wzroku. Farrell rozpoznał w chłopcu siostrzeńca lady Alisoun, poważnookiego posiadacza pierścienia. Nicholas uczył go nazw różnych części zamku, w miarę jak n dawali im kształt z czerwonych i złotych klocków.

- Patrz Joshua, skończyliśmy cały barbakan. Potrafisz powiedzieć, barbakan? - Joshua zachichotał i powtórzył za nim poprawnie. - Bardzo dobrze. A teraz musimy postawić wartownię przy bramie w murze obronnym. Wartownię, Joshua, ja to zrobię a ty zbuduj jeszcze kilka wież strażniczych na murze, dobrze? Budujesz dobre wieże.

Nicholas ubrany był z niedbałym przepychem. W czerwono-czarne spodnie, bufiaste na udach jak dynie, krótki ciemnoczerwony kaftan, włożony na gładką białą koszulę, zamszowe półbuty i wysoki czarny kapelusz, który do zdumienia przypominał odwróconą doniczkę. Wąskie rondo zakrywało mu oczy. Joshua wciąż jeszcze miał na sobie śnieżnobiałe, ślubne ubranko oraz kask, który był najwyraźniej nagrodą za jego występ. Chłopiec zaczął przerabiać mur obronny, ale zasnął po dodaniu fosy i grobli. Nicholas Bonner roześmiał się cicho, niemal bez śladu zachłannej, pożądlivej słodyczy, którą Farrell tak dobrze pamiętał. Podniósł chłopca tak ostrożnie, że ten nawet nie drgnął. Farrell cofnął się odruchowo, gdy złocista twarz odwróciła się w jego stronę, ale Nicholas spoglądał na Joshuę, a jego oczy nadal skrywał cień. Ktoś w drugim końcu pokoju tłumaczył komuś, jak i kiedy kupować srebro. Nicholas Bonner zaczął bardzo cicho nucić.

Mały, mocny ogonek otarł się ponownie o nogę Farrella, który odwrócił się, pełen nerwowego oczekiwania na kolejną zasadzkę Sir Mordreda. Ale tym razem kociak miał ochotę na większą zabawę. Zignorował Farrella i przypuścił otwarty atak na kusząco odziane, długie, zgrabne nogi Nicholasa Bonnera. Wczepił się w nie kurczowo

na chwilę, po czym odskoczył w bezpieczne miejsce, by następnie dopaść zdobyczy w powolnie leniwym stylu o wiele starszego kota. Spokojnie zostawił sobie czas na wysunięcie pazurów, rozcapierzenie ich, ustawienie pod odpowiednim kątem, żeby w końcu przeciągnąć nimi zgrabnie po lewej nodze Nicholasa, od łydki po kostkę. Zostawił po sobie ślad niczym niedźwiedź znaczący drzewo. Przyjrzał się swojemu dziełu, a widząc, że było dobre - cztery zgrabne rozdarcia w czerwonych spodniach i widoczne przez nie zadrapania na skórze - usiadł z pełnym głębokiego zadowolenia miauknięciem.

Nicholas Bonner nawet na chwilę nie przerwał nucenia. Nie drgnął również ani nie odwrócił się, dalej kotysał śpiącego Joshuę. W końcu uniósł głowę - dobry Jezu, co ten dzieciak potrafi zrobić tymi oczami? - i gniewne spojrzenie swych oczu utkwił w punkcie za plecami Farrella. Prychnięcie zdradziło tam obecność Aiffe.

Dziewczyna miała na sobie niebieską suknię, tę samą co na Harcach. Włosy, niczym kolczuga, opinała jej metalowa siateczka. Po raz ostatni widział ją z bliska w ramionach Nicholasa, była wówczas równie bezbronna, jak Joshua i o wiele bardziej bezradna. Teraz wsunęła się na palcach do pokoju, uśmiechnęła i drżąca z niecierpliwości. Jej blada skóra wprost promieniowała zdrowiem.

- Och, pozwól mnie - powiedziała jak kochanka. Nicholas nie odezwał się, ale Farrell poczuł na policzku muśnięcie lodowatego przyzwolenia, które przeleciało pomiędzy nimi jak ciśnięty kamień. Aiffe pogroziła palcem, patrząc na Sir Mordreda, który teraz spokojnie mruczał i zanuciła równie cicho jak Nicholas Bonner nucił swą kotysankę: - Niedobry kotek, ty niedobry kotku.

Od tego wieczoru Farrella we snach prześladowały ich głosy.

Błękitnooki Sir Mordred rozglądał się zadowolony po uporaniu się z technicznym wyzwaniem, jakim było umycie karku. Najwyraźniej nie przejmował się Aiffe bardziej niż Farrellem. Przekręcił się na grzbiet i zaczął lizać swój bielutki brzuszek. Nagle jego pyszczek wgrzył się w wilgotne futerko, a on sam zamiauczał ze zdumienia i bólu. Przez chwilę z zapamiętaniem lizał obolałe miejsce, po czym - nienaturalnym, niepodobnym do kociego ruchem, jakby jego pyszczek ktoś na siłę wpychał do miski z mlekiem - zaczął raz po raz gryźć się w brzuszek, za każdym razem miauczając coraz głośniejsze.

- Och, biedny kociak, biedny nieszczęśnik, doprawdy nie widziałem jeszcze tak dobrego roku na robactwo - powiedział ze współczuciem ekspert w sprawie srebra. - Ale wracając do tematu, powinieneś zawsze kupować, gdy spadnie poniżej tej ceny.

- Wartownie - wymamrotał Joshua, wtulając się w ramię Nicholasa Bonnera.

Ona nie może go do tego zmuszać, oni nie mogą. Sir Mordred gryził się i drapał teraz jak oszalały, a żałosne pomiaukiwania tłumiło jego własne ciało. Aiffe klękła przy nim, głaszcząc go i nucąc tak cicho, że jej usta ledwie się poruszały. Farrell jej nie słyszał. Ale wiedział, co powtarzała, czuł pełne żaru słowa z równie przeraźliwą pewnością co Sir Mordred, niedobry kotek, niedobry kotek, niedobry kotek. Kociak przewrócił się na bok.

- Myślę, że to pchły - odezwała się głośno Aiffe. - Nie mam pojęcia, co może mu być. Farrell ruszył do przodu, ale Nicholas Bonner po raz pierwszy spojrzął mu prosto w oczy i Joe nie miał już wątpliwości, że zrobienie następnego kroku oznacza wieczny upadek z krawędzi, lecenie w przepaść, nigdy nie umierając. Czy tak właśnie czuł się Ben?

Wtem nagle wszystko się skończyło. Do pokoju weszła lady Alisoun, szukając swego siostrzeńca. Joshua ocknął się na chwilę i wtulił rozkosznie w Nicholasa, marudząc, że chce skończyć zamek. Aiffe poderwała się lekko na nogi i podeszła do nich. Pogładziła zwisającą nóżkę chłopca, dokładnie tak jak głaskała Sir Mordreda i zawiązała mu sznurówkę.

Sir Mordred podniósł się powoli, otrząsnął i prychnął. Wydawało się, że nie ma ran, choć pyszczek miał zakrwawiony, a błękitne oczy błędne. Farrell chciał go podnieść, ale kociak ugryzł go w rękę i uciekł, podkulając pod siebie ogon jak pies. Farrell odprowadził wzrokiem grupkę osób zgromadzonych wokół dziecka, dopóki nie wyszli z pokoju. Aiffe obejrzała się na niego, uśmiechnęła szeroko i pokazała różowy języczek.

W ogrodzie były świerszcze, wielki, delikatny, omdlewający księżyc i jakiś ptak pogwizdujący, jakby miał ludzkie usta i zęby, ale nie było śladu Julii, Farrell stał chwilę bez ruchu, wdychając pachnące jaśminem powietrze i gładząc ugryzioną dłoń. Potem powędrował w zamyśleniu w kierunku bukszpanowego labiryntu, który zaprojektowano w kształcie dwóch splecionych serc. Ostatnio pozwolono mu najwyraźniej rosnąć swobodnie, bo jego początkowe kształty zaczęły przypominać wyglądem kłębowisko chmur. Jednak ścieżka do zawitego wnętrza nadal była otwarta i ktoś musiał się nią przed nim przeciskać. Farrell poszedł śladem potamanych gałązek, pozwalając, by struny lutni pobrzękiwały głośno, dzięki czemu Julia mogłaby rozpoznać kto nadchodzi.

Stała plecami do niego, zapatrzona w cienie gargulców na dachach wieżyczki. Farrell położył jej rękę na ramieniu.

- Miałam właśnie wrócić - powiedziała, nie odwracając się. Nagle drgnęli oboje na dźwięk ostrego, monotonego pokrzykiwania. - Nie cierpię tego głupiego ptaszyska. Zawsze mi się wydaje, że ktoś woła.

- To kalifornijska mewa - powiedział zdziwiony Farrell. - Rzadko się ją spotyka tak daleko na północ, ale w okolicach Santa Cruz jest powszechna jak piasek. Ten tutaj właśnie usiłuje namówić inne ptaki na nocne harce. Nie lubią wychodzić same, z powodu słońi morskich.

Julia odwróciła się. Przez chwilę przyglądała mu się obojętnym wzrokiem, a potem nagle zaczęła łaskotać go po żebrach. Farrell z jękiem usiłował się wykręcać.

- Aż do tych cholernych słońi morskich ci wierzyłam, nadal daję się nabierać. - Jej palce wpijały się w niego boleśnie, prawie go szczypiąc.

Farrell ujrzał jej oczy w blasku księżyca i, nie zważając na lutnię, objął dziewczynę i mocno do siebie przytulił. W końcu Julia uspokoiła się i oparła o niego.

- Powiesz mi? - odezwał się. Wydawała się zdumiewająco gorąca jak śpiące dziecko. To mógł być Joshua, równie dobrze zamiast kota mógł być Joshua, pomyślał. - Kochanie. Skarbie. Proszę, powiedz mi.

Julia ponownie na niego spojrzała, ale jej oczy były już suche, a głos idealnie beznamiętny, nawet dokuczliwy.

- Po prostu jestem smutna. Wszystko naraz, wszystko wokół, po prostu smutne bez powodu. Amerykańska przypadłość, to minie. A teraz powiedz mi, jak się bawieś.

Farrell opowiedział jej o swym wieczorze, rozwodząc się nad każdym wydarzeniem, które mogło wywołać jej śmiech. Pytany Elizabeth Bathory na nic się zdały, ale naśladowaniem rycerzy i dam sprzeczących się w języku Ligi na temat dwujęzycznego balotowania udało mu się wywołać krótki chichot. A gdy zaczął opisywać jak lady Janet z Carterhaugh usiłowała pozbyć się Sir Mordreda ze swego czepca, poczuł jak ciało Julii rozluźnia się w jego ramionach, a jej rozbawienie rozgrzewa również jego napięte mięśnie.

- Masz zakrwawioną rękę - powiedziała z pewnym lękiem.

- To kot - odparł Farrell, biorąc ostrożny wdech. - Aiffe go zaczarowała, Aiffe i on. - Julia zmieniła się w jego objęciach, najpierw w kamień, a zaraz potem w kostkę mydła. Wyśliznęła mu się z rąk i ruszyła do wyjścia z labiryntu, nawet nie oglądając się za siebie. Farrell poszedł za nią. Jego oszołomienie szybko zmieniło się w gniew. - Skarbie, musisz tego wysłuchać, zatrzymaj się na chwilę, do cholery.

Ścieżka była za wąska, by mogli iść obok siebie. Farrell podążał za nią, raz przyspieszając, raz zwalniając, bez przerwy usiłując utrzymać równowagę. Suche liście i gałązki smagały mu twarz za każdym razem, gdy rzucał się, by chwycić jej ramię. Dogonił ją i tuż przed wyjściem zagroził dziewczynie drogę.

- Przepuść mnie, Joe - powiedziała, ale nie próbowała precyzyjnie się obok niego.

- To głupie - powiedział głośno. - Wiesz, jakie to głupie? Inni ludzie nie potrafią rozmawiać ze sobą o seksie, pieniądzu, polityce, dzieciach, sposobie jeżdżenia. My nie potrafimy rozmawiać tylko o dwóch sprawach i jedną z nich jest piętnastoletnia, przyszczepiona pannica, obdarzona magiczną mocą. Nigdy nie słyszałem nic równie głupiego.

- Chcę wrócić do domu - powiedziała Julia. Zrobiła krok, ale mewa znowu krzyknęła i Julia podskoczyła przestraszona. - Cholerne ptaszysko - krzyknęła z całych sił - ty cholerny ptaku! - Światła weselnego przyjęcia, migoczące wesoło przez zielone ściany labiryntu, nagle zadrżały i zgasły, niczym świece na urodzinowym torcie, które dosięgło jej wściekłe tchnienie. Postać zbyt wysoka na ludzką, kształtu zupełnie nieludzkiego, poruszała się pomiędzy zamkiem a labiryntem w sposób, który zupełnie nie był ludzki. Julia w milczeniu przytuliła się do Farrella, a on poczuł wdzięczność dla dziwnej postaci.

Najpierw usłyszeli stukot końskich kopyt na kamieniach dziedzińca, a potem głos.

- Pragnienie powiększenia włości okupuje cię, pokąd nad grobem nie staniesz. Nie!, lecz na koniec wiedzieć będziesz. Nie!, raz jeszcze, na koniec głupotę swą znać będziesz. Nie!, znać to będziesz z całkowitą pewnością. Z pewnością zaznasz ognia piekielnego. A wtedy z pewnością zobaczysz to z całą mocą. A wówczas potępion będziesz za zgubne rozkosze. - Zimny, przesywający głos zdawał się grzechotać w jamach nagiej czaszki. Farrell słyszał go już poprzednio.

Julia jęknęła cicho, podobnie jak Sir Mordred, gdy ugryzł się po raz pierwszy. Czarny jeździec pochylał się nad żywoplotem, wpatrując się prosto w nich. Gdy uśmiechnął się, na policzkach uniósł mu się poziome wypukłości, podobne do skrzeli.

- Moje królestwo jest długie na cztery miesiące jazdy i na cztery szerokie - powiedział. - W moim mieście, Timbuktu, które jest Miastem Mądrości, mam tylu skrybów i uczonych, co wojowników, tyle ksiąg, ile sztabek złota. Tron, na którym udzielam postuchania, jest z kości słońiowej, a nad głową mam ogromne łuki ze słońiowych kłów. Trzystu niewolników stoi za moim tronem. Przedemną, po prawej, stoi olbrzym z obusiecznym mieczem, wielkim jak człowiek, a po lewej mój orędownik czeka z buławą, by przekazać me odpowiedzi i rozkazy. A jak okiem sięgnąć, słońce płonie we włóczniach i trąbach, zbrojach i kosztownych rzędach końskich. A ja zasiadam w środku środka świata i niedosięty jestem. Chwała Miłosiernemu i Litościwemu. Jam niedosięty jest. - Zdawało się, że był kompletnie nagi.

- A oto i ten drugi - udało się wydusić Farrelowi. - Prester John.

Julia jednak wyszeptwała inne imię i wybiegła z labiryntu. Farrell kolejny raz zmuszony był za nią pobiec. Ogromny koń zatańczył ciężko, przestraszony jej pośpiechem. Czarna postać na jego grzbiecie zdawała się tańczyć razem z nim. W końcu uspokoiła konia i zatrzymała go tuż obok Julii. Farrell ponownie usłyszał, jak Julia wołała to imię.

- Micah... - ale tylko mewa odpowiedziała.

- Mansa Musa jest niedosięgi - zanuciła ciemna postać. Farrell dostrzegł teraz, że jeździec ubrany był w czarne, obcisłe spodnie, połyskujące i migotliwe w blasku księżyca, i nic poza tym. -W Kairze sułtan zwie mnie swym bratem i pragnie mnie w objęcia brać tamtejszym zwyczajem, ale Allah oddalił go. Nie sprzedaję ani kości słoniowej, ani złota, ani soli, aby i mnie nie mogli sprzedać. Moje żony przychodzą do mnie w ciemności, aby nie poza ich księżycowym cieniem nie dotknęło mego ciała. Tylko Allah tyka Mansę Kankana Musę.

- To ja - powiedziała bezradnie Julia. - Micah, to ja.

Drzwi wieży otworzyły się i zamknęły z głuchym łoskotem. Zdawało się, że dobiega z bardzo daleka. Dziedziniec zapemnił się nagle roześmianymi ludźmi, którzy wracali z przyjęcia do domu. Na chwilę przepaściste oczy czarnej postaci spoczęły na Farrellu, brązowe niczym stare rzeki, mętne od gnijących tajemnic, poznaczone drobnymi, lśniącoymi prądami i powolnymi grzbietami krokodyli. Jeździec kopnął bosymi piętami w tłuste boki wierzchowca i koń, ciężko stąpając, zawrócił, po czym klusem minął staw, przemknął pod złośliwymi obliczami nad wejściem i oddalił się w ciszę ulic ciągnących się za bramą. Długo jeszcze po tym, jak człowiek i koń zniknęli z oczu, pomiędzy domami rozbrzmiewało echo stukotu końskich kopyt.

Farrell odciągnął Julię z powrotem do labiryntu, by nikt im nie przeszkadzał i pozwolił jej płakać. Początkowo był zazdrosny - za mną nikt tak nigdy nie płakał i nikt nigdy nie będzie, to wiem - ale potem Julia uniosła twarz, łkając i wówczas zobaczył, jak będzie wyglądać na starość.

- Dziecino - powiedział. Bezradnie całował zmarszczki, cienie i rany, których tam jeszcze nie było, chory z czułości i lęku.

13.

- Panowie i panie, proszę teraz spojrzeć w lewo - powiedział Farrell do mikrofonu - mijamy właśnie południowoamerykańskiego wilka. - We wstecznym lusterku kilkanaście twarzy odwróciło się postusznie w kierunku wybiegu. Kilka jednak patrzyło uparcie prosto przed siebie, przyglądając mu się z ostrożną pogardą, jaką niektóre dzieci okazują magikom. Co chcesz przede mną ukryć, że pozwalasz mi to oglądać? Farrell uśmiechnął się zachęcająco do lusterka, ale to tylko potwierdziło ich przypuszczenia i poczuł na sobie dotyk ich niezadowolona.

- Pomimo swej nazwy - podjął, zwalniając aligatorowy pociąg przy wybiegu, po którym biegały kudłate, brunatnorude stworzenia na sarnich nogach - ten dziki pies tak naprawdę jest dużym lisem, czy raczej rodzajem lisa na szczudłach, jak zdążyli państwo zapewne zauważyć. -Kilka razy próbował już odbiec od żartów z oficjalnej wersji monologu, ale szpiedzy kierownictwa zawsze na niego donosili. - Na wolności żywią się gryzoniami i owadami, ale tutaj karmimy je kurczakami i bananami. Potrafią zjeść pięć funtów bananów dziennie, po prostu je pochłaniają z wilczym apetytem. - Ktoś roześmiał i Farrell miał ochotę zatrzymać pojazd i sprawdzić, kto to taki. Dzień był wietrzny i ciepły, dzieci kręciły się na drodze aligatorowego pociągu niczym strzępy płonącego papieru. Za ptaszarnią lwy morskie kaszłały ochryple, dzwoniły dzwonekami i uderzały w rowerowe trąbki. Młoda kobieta w panterce i purpurowej czapeczce bez widocznego wysiłku wzięła na ręce chłopczyka, który z zapamiętaniem machał do przejeżdżającego pojazdu. Farrell też mu pomachał. Nieprzejednane twarze w lusterku odwróciły się tym razem w ślad za jego gestem, by zobaczyć, o co chodziło.

- Po państwa prawej stronie - powiedział - oczywiście słońce. Ta para starych łotrzyków, Winston i Daisy, to słońce indyjskie, choć prawdę powiedziawszy urodziły się na Sri Lance, a ten wielki gość na sąsiednim wybiegu to Mr Ngugi, on pochodzi ze Wschodniej Afryki, z Kenii. -Winston i Daisy, które występowały kiedyś w cyrku, rozpoczęły swój popisowy numer. Splatały trąby i stawały na tylnych nogach w geście komicznej tęsknoty do świata składającego się całkowicie z gaworzących, objadających się ssaków. Mr Ngugi miał postrzępione uszy i złamany kieł. Farrell sześć razy dziennie kulił się za strachu przed ponuro błyszczącym spojrzeniem, gdy mijał go w zielononiebieskim pojeździe, powtarzając ten sam żart o słoniowej pamięci. Tym razem również zacytował ten żart, ale jakiś nieobliczalny impuls kazał mu przejść do pierwszych wersji jego ulubionego wiersza D.H. Lawrence'a, zamiast do zwykłej trzydziestotrzysiekundowej przemowy zakończeniowej, gdy pociąg zbliżał się do przystanku końcowego:

Słoń to ogromne, stare zwierzę,  
Powoli sprawia gody;  
Z rozwąga żonę sobie bierze,  
Czy stary jest, czy młody.  
Z miłością zwleka, by uczucie  
Wezbrało w sercach z wolna...

Powiedział to na tyle głośno, w nadziei, że usłyszy go Mr Ngugi. Nie zauważył jednak tysego smutasa, który zaczął gorączkowo zapinać córce kurtkę, ani starszej kobiety, która poderwała na nogi dwójkę swych małych wnucząt i wyskoczyła z nimi w biegu. Farrell zatrzymał pojazd pomiędzy żółtymi liniami, próbując przypomnieć



sobie część o sekretnym parzeniu się wielkich bestii, wstydliwie skrywających swe zapały. Żaden z pasażerów nie spojrział na niego przy wysiadaniu. Farrell odśpiewał ostatnie wersy cicho do mikrofonu.

On swej wybranki nie tarmosi, A jego krew leniwa Jak przyptyw falą się unosi I bliżej wciąż podpływa.

Zadowolony, oparł łokieć o okrągłe okno, które było lewym okiem aligatora i pomachał do młodego Meksykanina, sprzedającego orzeszki ziemne po drugiej stronie drogi. Sprzedawca orzeszków uśmiechnął się do niego, kręcąc głową i przesuając powoli palcem wskazującym po gardle.

- Porzuc statek, chulo - zawołał. - Lepiej od razu mi powiedz, dokąd przesłać twoje rzeczy.

- Jaime - odparł Farrell - naprawdę musisz w końcu zapamiętać, że to nie Yuba City. Ten wiersz miał charakter edukacyjny i naukowy. Ci ludzie już za samo jego wystuchanie zdobyli punkty do college'u. Oczywiście, ty również. Możesz wykorzystaś swą wiedzę w dowolnej wieczorówce w kraju.

Ale sprzedawca ponownie pokręcił głową.

- Nie słyszałem z tego ani słowa, nawet nie wiedziałem, że to był wiersz. Wiem tylko, że nie mówiłeś tych dobrych linijek, które dla ciebie napisali. Słyszę, jak powtarzasz je każdego dnia i myślisz, że nie potrafię powiedzieć, kiedy zmienisz rytm? - Szybkim ruchem wrzucił przez okno Farrellowi na kolana paczuszkę orzeszków. - Robiłeś to inaczej - powiedział Jaime - myślisz, że tego nie poznają? Robisz sobie z nich jaja. Oni tego nie cierpią, człowieku. Płacą ci za to, byś codziennie serwował każdemu takie samo przedstawienie. Więc nie dość, że jesteś jakimś słoniowym zbrojeńcem, to w dodatku robisz to za ich pieniądze. Będą kartki i listy. Będą o tobie cholerne śpiewane telegramy, człowieku.

- Następny objazd, Bastard Król Anglii - powiedział Farrell. Wstał, wypychając orzeszki do kieszeni zielonego kombinezonu, który uszyto na większego mężczyznę a na nim wisiął, jak spadochron na konarach drzewa. Sprawdził, czy w pociągu nie pocięto siedzeń, nie zostawiono lalek, bomb i drobnych. Z ostatniego siedzenia w tylnym rzędzie patrzyła na niego Briseis.

Po długim czasie i jakby z dużego oddalenia Farrell usłyszał swoje słowa:

- Zejdz, Briseis. Psom nie wolno tutaj wchodzić. - Tylne drzwi otwarte, musiała się tamtędy dostać. Ruszył do niej, ale Briseis warknęła tak cicho, że Farrell zastygł w pół kroku, nagle niepewny swej umiejętności rozpoznawania psów. Suka popatrzyła mu w oczy tak zuchwale, jak nigdy dotąd, potem zeskoczyła na podłogę i wyskoczyła z pociągu w dwóch eleganckich susach, które w niczym nie przypominały ruchów niedołęznej, pokornej, starej towarzyszki Sii. Odwróciła się, by spojrzeć na Farrella i ponownie warknęła. Tym razem bezdyskusyjnie był to rozkaz. Farrell zawsze bezbłędnie rozpoznawał rozkazy.

- Niech to licho, głowę daję, że to stworzenie chce, bym za nim poszedł - powiedział głośno, aby możliwie jak najdłużej utrzymać całą sprawę na poziomie filmu o Lassie. Briseis susami minęła słonie, po czym zbroczyła w kierunku pomieszczeń dla pracowników. Nie zwolniła, by poczekać na Farrella, ani nie obejrzała się, czy za nią idzie. On zaś podążał jej śladem, starając się nie tracić jej z oczu i nie biec. Czuł się jak Biały Królik, który po spojrzeniu na zegarek stwierdził, że ma jeszcze około godziny wolnego przed następną rundą aligatorowego pociągu. Jego przełożony, który mu nie dowierzał, zawołał go. Farrell pędem minął mężczyznę, pomachał i odkrzyknął poważnie:

- Na razie i do następnej tali. Jestem spóźniony. Jestem spóźniony na bardzo ważne spotkanie i nie jestem na nie odpowiednio ubrany.

Zaskoczony stwierdził, że Briseis poprowadziła go ulubioną ścieżką za klatkami niedźwiedzi. Niebrukowana, zbyt wąska dla ciężarówek czy aligatorowego pociągu, była wykorzystywana przez pracowników głównie jako skrót. Farrell lubił ją za jej surowy chłód, ciszę i niedźwiedzi zapach cieni. Briseis czekała na niego na zakręcie, gdzie ścieżka na krótko poszerzała się, by zrobić miejsce dla kamiennej fontanny, która od czasu zepsucia, dawno temu, służyła ptakom za miejsce kąpieli. Delikatny srebrzysty szmer wody był jedynym dźwiękiem, jaki, poza krokami Briseis, Farrell słyszał.

Oddech Bena był tak płytki, że ledwie go było słychać na placyku. On sam stał zgarbiony nad fontanną. Wspierał się na jej betonowej misie z opuszczoną głową, niczym zwierzę zbyt chore, by pić. Farrell najpierw rozpoznał jego ubranie z podniszczonego, szarego sztruksu, które przyjaciel tak uparcie ceniał za jego stereotypowy wygląd, podkreślony łątami na łokciach. Ubierał się w nie do pracy zawsze, gdy Sia wstała zbyt późno, by protestować. Nie licząc zmoczonych mankietów, marynarka nie była poplamiona, a podciągnięta koszula, bez trzech guzików, nadal nosiła ślady zaprasowań z pralni chemicznej. Ale ten, który znajdował się wewnątrz znajomych rzeczy, nie był przyjacielem Farrella. Joe wiedział to nim jeszcze zobaczył jego twarz, nim obce ciało, niewyobrażalnie sztywne, zawyło pod dotykiem jego ręki.

- Ben - powiedział do niego. Pomimo wszystko nie potrafił zmusić się do nazwania go drugim imieniem.

Nieznamy odpowiedział głosem wyższym i ostrzejszym niż głos Bena. Wymawiane słowa przypominały grzechotanie dulek i łańcuchów kotwicznych. To był głos, który Farrell słyszał za drzwiami Sii tej nocy, gdy Ben wrócił do domu. To był ten sam głos, który śpiewał norweskie pieśni bitewne, gdy ona i Nicholas Bonner stawili czoła nad swym spustoszonym polem bitwy, Aiffe. Ale wówczas Ben - Egil, Egil Eyvindsson, powiedz to sobie w końcu - był ranny, bezradny, nie mógł stać o własnych siłach i jedynie wzywał przez oczy Bena niczym potwornie

przestraszony szaleniec schwyty w sidła. Teraz jednak stał oddzielony od Farrella tylko dwiema stopami poznaczonego przez ptaki betonu i rdzawej wody, siłując się z granicznym kamieniem. Mała, blada blizna po ciemniała mu, a na zaciśniętych ustach błąkał się uśmiech, niczym błysk na ostrzu noża. Farrell bał się o swoje życie, ale nie zdjął dłoni z ramienia nieznanego z powodu, którego nigdy nie potrafił nazwać, i poczuł jak ciałem tamtego wstrząsają fale powolnych, ohydnych dreszczy. Trzymał jednak mocno, pozwalając, by straszliwe drzenie przeszło na niego.

"Nie miałbyś najmniejszego pojęcia, co zrobić", powiedziała Sia. Farrell rozejrzał się za Briseis, ale pies zniknął. Teraz nieznanomy mówił wprost do niego. Wyglądało to na wściekle przepytywanie, pewnie coś na temat wykonawcy mego testamentu lub na który wariant uroczystości pośmiertnej się zdecydowałem. Zdał się na swoją najstarszą szkolną zagrywkę. Wzruszanie ramionami i uśmiech na twarzy miał oznaczać jednocześnie niezrozumienie i całkowitą zgodę, połączoną z absolutnym brakiem agresji. Ta metoda zawsze skutkowała, z wyjątkiem chłopaka Lidii, Mirabal i Julii.

Chwilę potem leżał na ziemi. Nie mógł oddychać. Przygniatał go dokuczliwy ciężar. W gardło z siłą łomu wbijał mu się czyjś łokieć, a gdzieś w pobliżu rozlegał się odgłos podobny do tego, jaki wydaje drzewo trzeszczące pod naporem burzy. Oszołomiony i przerażony, wbił kolano w sam środek tego dźwięku i morderczy nacisk nieco zelżał.

- Ben! - zawołał tak głośno, jak tylko potrafił.

Dłoń tamtego obmacywała mu twarz w poszukiwaniu oczu. Farrell odepchnął ją. Usta i nozdrza miał pełne stęchłego sztruksu. Czuł się tak, jakby Mr Ngugi zrobił sobie z niego packę na muchy, ale kopał, skręcał się i rzucał, nadal charcząc imię Bena. W końcu nieznanomy burknął coś i usiadł na nim okrakiem. Szeroki, jaskrawozielony krawat, ten, który dałem mu na urodziny, zwisał krzywo poniżej rozdartego kołnierza. Był ściągnięty w węzeł wielkości brazylijskiego orzecha, którego z pewnością nie da się już nigdy rozwiązać. Absurdalnie, ten krawat przeraził Farrella na dobre, bardziej niż sam obłąkańczy atak. Przynajmniej jednak wymusił na nim zrozumienie. Biedny skurczybyk, nie potrafił go zdjąć, po prostu spanikował. Pewnie uznał to za czary, kłętwe, biedny skurczybyk.

- Egil, do cholery! - krzyknął, ale szaleniec tylko coś zamamrotał pod nosem, oglądając się na prawo i lewo. Farrell spostrzegł, na co tamten patrzył. Poderwał się dziko górną częścią ciała i rzucił się po kamień, leżący pomiędzy korzeniami sekwoi. Zamknął na nim dłoń, ale inna wyjęła go z niej niemal delikatnie, uniosła nad nim i zamachnęła się tak, że zniknął za sztruksowymi barkami. Zastaniając się rękoma przed ciosem, Farrell wykrzyknął stare szkolne przezwisko Bena prosto w pustą, płonąca twarz herosa.

- Gumowe Wargi! Hej, Gumowe Wargi!

Kamień zawahał się, ponownie ruszył w dół, po czym zawisł w powietrzu, drżąc delikatnie niczym kurek na wietrze.

- Gumowe Wargi? - zapytał Farrell i spostrzegł, że twarz tamtego zaczyna ożywiać się i wygładzać, powoli przechodząc w twarz z ich dzieciństwa, delikatną, mądrą i tajemniczą. Szrama znikła jak gwiazda w słońcu. Farrell zamknął oczy, z litości i obojętności przyzwyczajonej przyzwyczajoności. Nie powinienem tego oglądać, to nie jest w porządku... Pomimo tego czuł jak Ben wraca do przyciskającego go ciała, tak jak zawsze czuł ranek wędrujący po pościeli, rozgrzewający jego sny.

- Joe. - Głos był cichy, jak wypalony.

Korzeń wpijał się Farrelłowi w plecy. Po włosach ściekał mu pot, delikatnie taskocząc go niczym nogi muchy. Ben niezgrabnie z niego zszedł i otarł czoło. Farrell usiadł.

- Napady, ty dupku - powiedział łagodnie.

- Przepraszam - powiedział tym samym obcym głosem Ben. Farrell zaczął otrząsać swój uniform, ale po chwili przyłapał się na tym, że poprawia podarte, zakurzone ubranie Bena, a nawet próbuje coś zrobić z beznadziejnie zaciśniętym krawatem.

- Mógł mnie cholera zabić - wymruczał jak rozgniewana niania. - Napady. On mógł mnie, cholera, zabić.

- On cię nie zna - powiedział Ben. - Egil nikogo nie zna w tym świecie. Poza Sią. - Nagle stał się pozbawioną treści postacią z powoli pulsującego popiołu; dzika, pozczasowa moc, która kilka minut temu odpowiedziała na dotyk Farrella, całkowicie go opuściła, zabierając z sobą szpik z jego kości.

- Jest wtorek - powiedział Farrell. - O pierwszej masz zajęcia.

- Naprawdę? Jak sobie radzę? - To była kwestia ze starego wodewilowego żartu, a zarazem część ich wspólnej historii, tak jak muzyka czy służbowy garnitur, w który dawno temu, idąc na randkę, na zmianę się ubierali. - Myślę, że cię szukałem - odezwał się Ben. - Nigdy nie pamiętam. Jak mnie znalazłeś?

Farrell opowiedział mu, a Ben kiwnął głową.

- Rozszyfrowałeś już Briseis? - Jego milczenie przyjął za potwierdzenie. - Sia trzymała niegdyś w domu gryfy, pantery, feniksy. Ten znerwicowany pies to cholerne poniżenie, ale Briseis całkiem dobrze sobie radzi. W domu jest po prostu podnóżkiem z pchłami, poza domem oczami i nogami Sii, a czasami czymś więcej. Stara Briseis. Ja, tak jak i ona, należę do Sii i ona musi mi pomagać, ale przeraźliwie boi się Egila. To bardzo utrudnia

jej życie, biedna, stara pocziwina. Farrell natrafił w kieszeni na zapomnianą torebkę z orzeszkami i nieśmiało wyciągnął ją w kierunku przyjaciela. Ben wyrwał mu torebkę. Z całych sił starał się powoli jeść orzeszki.

- Jezu. Poczekaj, mam gdzieś jeszcze trochę luzem - powiedział Farrell.

Wkrótce orzeszki skończyły się. Ben podniósł wzrok, napotkał spojrzenie przyglądającego się mu Farrella i uśmiechnął się niemal wesoło.

- Egil nie chce jeść w tym świecie. Kto by się tego spodziewał.

- P o stawię ci lunch - powiedział Farrell. - Mamy tu bar, wszyscy nazywają go Cmentarzyskiem Stoni.

- Nie - Ben pokręcił głową - przejdźmy się. Proszę, po prostu trochę się przejdźmy.

Farrell objął go ramieniem. Na moment Ben całkowicie się na nim oparł. Farrelowi przypomniało to małego Joshuę śpiącego w ramionach Nicholasa Bonnera.

Bardzo wolno wrócili na ścieżkę, która po okrążeniu klatek niedźwiedzi całkowicie zniknęła pod papierkami od cukierków. Farrell dopasował swój krok do ostrożnego stąpania Bena. Wędrowali teraz pomiędzy dziecięcymi wózkami, starszuskami, uczniami spieszącymi parami za swymi nauczycielami i jaskrawymi postaciami starszych dzieci, przeszywających powietrze lotem strzały niczym eskadry tropikalnych rybek. Rozmawiali o dysertacjach, projektach badawczych, kierowaniu wydziałami i wędrówkach dusz. Trzech chłopaków robiło zawody w wychylaniu się nad fosę odgradzającą wybieg lwów i Farrell ich przepędził.

- On jest prawdziwy - odezwał się Ben. - To sprawa zasadnicza. Egil jest rzeczywistą osobą, tu i teraz. Żyje w Norwegii, w pobliżu miejsca zwanego Hamar. Jego żona ma na imię Ingeborg. Ma trójkę dzieci, młodszego brata, który z nimi mieszka, pięciu niewolników, cztery woły, cztery konie i zgraję naprawdę paskudnych psów...

Farrell przerwał mu, rezerwując ignorując użycie przez niego czasu teraźniejszego.

- O jakich czasach mówimy? Kiedy to wszystko miałoby mieć miejsce?

- Schyłek dziewiątego wieku, sądząc po ubiorze i mowie. - W głosie Bena pojawiła się belferska nuta. - Mówili o Haraldzie Jasnowłosym jakby był królem, a to znaczy, że było po bitwie o Hafsfjord. Islandia została zasiedlona, a Duńczyków pełno jest wszędzie nad Morzem Śródziemnym. Wielu z rodaków Egila współpracuje teraz z Duńczykami. Szkocja, Irlandia i Orkady zostały złupione do czysta. To daje rok około 880.

Byli w ptaszarni. Stali przed sponiewieranym, ponurym majestatem marabuta i królewskiego sępa. Farrell celowo tu przyszedł, ponieważ jego przełożony był uczulony na ptaki i rzadko zbliżał się do tego budynku.

- Jest właścicielem swej ziemi - ciągnął Ben - około setki akrów. To słabe gleby, ale Egil ciężko pracuje i całkiem dobrze sobie radzi. Zdaje się, że jest najbogatszym człowiekiem w okolicy, nie licząc jarla, miejscowego pana. Szczęśliwie są w dobrych stosunkach, przyjaźnią się od dzieciństwa. Po żniwach zwykle wyruszają razem na wyprawy wikingów, którymi wspólnie dowodzą. On ma około trzydziestu ośmiu, trzydziestu dziewięciu lat. Bardzo dobrze rzeźbi w drewnie.

Farrell pomyślał o Sii siedzącej w salonie i ślepej kobiecie, wyłaniającej się z drewna pod pociągnięciami jej noża.

- To o nim napisałeś swoją pracę dyplomową. Przypominam sobie, że mi o tym pisałeś.

- Nie, tamto było o samym jarlu. Widzisz, jarl Hamar już w 880 roku jest postacią na pół legendarną. - Ben nieświadomie stuknął lekko palcami w plecy Farrella, jak zawsze, gdy coś mu wyjaśniał.

- Był jednym z pierwszych sprzymierzeńców Harolda Jasnowłosego, on i jarl Lady, wiele o nim wiemy, ponieważ miesza się wciąż do rozgrywek politycznych - wojen, spisków, zakulisowych układów, powstań, rozgrywek. Wyjątkowo niespokojny fajdak, ale ludzie go lubią. Skaldowie ciągle piszą o nim nowe wiersze i pieśni.

- Uśmiechnął się na widok wyrazu twarzy Farrella. - Joe, nic na to nie poradzę, muszę tak mówić. On jest żywy. W tej chwili wie o swoim zwariowanym życiu, przechytrzając i oszukując dla czystej przyjemności, dla gry bez końca. Wiele bym dał za to, żeby napisać ponownie tę pracę. Myślałem, że on nie żyje, a to stanowi różnicę.

Farrell spostrzegł zbliżającego się do nich marabuta. Ptak stąpał cicho pełen podniecenia padlinożercy. Biały puch pod brzuchem miał zmierzwiony i brudny. Wielki, łuszczący się dziób oklejały mu liszajowate guzki, upodabniając go do poręczy ogrodowych mebli, zostawionych na dworze całą zimę. Nabrzmiały, różowy worek pod dziobem był pożytkowany i miękki niczym jądra. Miał zdumiewająco łagodne, brązowe oczy, osadzone w drobnej, tysej, pryszczatej, czerwonej głowie.

- Ale nikt nie pisze pieśni o Egilu. Nigdy nie przeczytałem o nim nawet słowa, nie ma nawet jednej wzmianki, wszystkiego muszę dowiadywać się od niego. Egil nie jest zbyt czarujący, to nie jest postać sceniczna. To po prostu farmer, który zaczyna właśnie gubić włosy i guzik go obchodzi czy ma wpływ na bieżące wydarzenia. Wyruszał na wyprawy z jarlem, ponieważ to stanowiło odmianę od nużących skał i drzew i dawało więcej korzyści. Jak większość ludzi, zna na pamięć wiele wierszy, wie wszystko o pogodzie i zna całą masę dziecięcych gier i zabaw.

- I nie potrafi pływać - szepnął Farrell, przypominając sobie chwilę straszliwego przerażenia Bena w sadzawce. Ben kiwnął głową.

- To prawda, nie potrafi ani trochę pływać, nadal ma skłonności do morskiej choroby, prawdę powiedziawszy. Jednak dobrze radzi sobie z końmi i jest urodzonym wojownikiem, ma to we krwi, bardziej niż sam jarl. -

Zachichotał ochryple, płosząc marabuta. Ptaszyisko wyciągnęło swą upiorną głowę i wydało dźwięk przypominający skwierczący tłuszcz.

- Skąd wiesz, że gubi włosy? - zapytał Farrell. Powiew ciepłego wiatru poderwał mniejsze ptaki, które zaczęły fruwać niezdarnie krzykliwymi gromadkami w swych klatkach.

- Czasami to widzę. W lustrze - odparł Ben. Potem rozgadał się na dobre. - Egil miał burzliwe życie, jak na gderliwego farmera. Mówiłem ci, że był niewolnikiem w Maroku przez trzy lata? Ożenił się tam, miał dziecko, uciekł, gdy najechała ich banda Duńczyków. I był pod Hafrsfjord, gdzie jakiś wojownik przebił go włócznią. Musnęła zołądek i wyszła pod łopatką, sądząc po bliźnie. Raz widział węża morskiego. Miał łeb kozy i cuchnął jak zdechły wieloryb.

- Co stało się z jego rodziną w Maroku? Czy kiedykolwiek ich odnalazł? - Ale Ben nie słyszał go. Pocierał szyję, mocno naciągając skórę.

- Joe, ty nie wiesz, nie wyobrazasz sobie. Zapachy, ciemność pod drzewami. Oni tam wiele śpiewają, wydaje się, jakby cały czas śpiewali. Pogoda, mój Boże. Nocą słychać ptaki spadające na dach, zamarznęte na śmierć. Nie myślę, by teraz gdziekolwiek była taka pogoda czy ciemności. Przebiegające obok dziecko kopnęło go w kostkę i umazało czymś zielonkawym i wilgotnym.

- Jak to się dzieje? - zapytał, zatrzymując się, by otrzeć spodnie. Starał się, by jego głos zabrzmiał neutralnie. - Jak go przywołujesz, dosięgasz go, czy co tam robisz? Czy potrafisz nad tym panować? - Ben nie odpowiedział ani nie spojrzął na niego. Farrell odczekał, dopóki nie doszli prawie do wybiegu dla psów z Przylądka Dobrej Nadziei i wtedy wybuchł. - Ty nad nim nie panujesz. Przychodzi kiedy chce, mam rację? Mam rację. Napady. Cholera, to bardziej przypomina późny okres dr Jekylla. - Nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki był zły ani jak głęboko wstrząśnięty, dopóki nie usłyszał własnego głosu.

W końcu Ben odwrócił się do niego. Obejmował się ramionami, jakby bronił się przed rozbierającym chłodem przekraczającym nawet pojęcie Egila Eyvindssona. Nicholas by wiedział. Nicholas Banner zna chłód.

- To nie takie proste. - Farrell ledwie go słyszał. Psy jednak przerwały nieustanne truchtanie i podbiegły do ogrodzenia z wywieszonymi jęzorami. - On również nie potrafi nad tym panować. Nie przybywa dlatego, że tego chce.

- Swobody obywatelskie - powiedział Farrell. Zaczynał czuć potłuczone żebra i bolała go głowa. - Powiedz mi, co się dzieje.

Odpowiedź, która nadeszła, była cicha i wyraźna, dziwnie oficjalna.

- Kocham go, Joe. To, co między nami zachodzi, jest wymianą, tak jak miłość. On jest żywy w swym świecie, tak jak ja w swoim. Znaleźliśmy sposób na zamianę czasów, na dziesięć sekund, pięć minut, pół dnia, dwa dni. Po prostu to trochę wymknęło nam się z rąk, to wszystko. Jak miłość.

Mijający ich dozorca doniósł Farrellowi - obaj się lubili - co weterynarz postanowił w sprawie artretyzmu w tylnej nodze nosorożca. Ben nagle roześmiał się, przyprawiającym o zgrozę jękiem piły tnącej mokre drewno.

- A może to jest tak, jak z tą rolą Groucho Marxa, w której on dostaje choroby Brighta, a Bright jego. - Wydawało się, że chciał dotknąć Farrella, ale nie potrafił na więcej niż chwilę wypuścić samego siebie z objęć. - Joe, nikt nie wie, jak to jest być dziewięciowiecznym wikingiem, nikt oprócz mnie. To znaczy, skąd mieliby wiedzieć? Znają poezję, znajają daty, królów, rytuały pogrzebowe, wszystkie ludy podbite przez Skandynawów. Ale nikt inny, nikt na świecie nie potrafi opowiedzieć ci dowcipu z czasów wikingów. Tylko ja, zdajesz sobie z tego sprawę? Chcesz któryś usłyszeć?

- Jeśli to ten o dwóch Szwedach, to już słyszałem - powiedział ze znużeniem Farrell. - Chciałbym, abys opowiedział mi, dokąd się udajesz, jak tam się dostajesz i jakie to uczucie być tam. - Spojrzął na zegarek i dodał - Chyba musisz się pospieszyć, niedługo mam rundę swym małym, zielonym pociągiem. - Nawet pachy mnie bolą. Jestem na to za stary, za stary na wszystko.

- C horoba Brighta. - Ben ponownie się roześmiał, tym razem na stary sposób, jakby powstrzymywał się od śmiechu. - Joe, nie wiem, co ci powiedzieć. Przepełniają mnie wspomnienia, które nie są moimi wspomnieniami. Te orzeszki, które mi dałeś, zjadłem tutaj, ale smakowałem je w innym czasie. Ktoś je smakował. - Farrell poczuł, jak opada mu szczęka, co było dla niego nowym doświadczeniem. - Rzeczy smakują tam tak inaczej, Joe. Światła są inne, konstelacje, wyrazy twarzy, nawet gwizdanie brzmi inaczej, na litość boską. Uczucia. Ludzie nie mają takich snów, jak my, w niczym nas nie przypominają, w niczym. - Ben głos miał zrównoważony, ale zęby mu szczękały. - Czasami miewam jego sny. Nie potrafię sam się z nich obudzić. Gdyby nie Sia, to nigdy bym się nie obudził. Nikt by nie wiedział.

- A czy Egil też ma kogoś takiego? Gdy śni ciebie? - Ben zamrugnął oczami i zmarszczył brwi, jakby nie słyszał pytania. - Technika, oto co chcę znać. Procedura. Czy mówisz Sezamie, a może wypijasz coś naprawdę wstrętne albo stajesz bez ruchu i myślisz o Egilu w jakiś specjalny sposób? Powiedz mi, Ben.

Psy kręciły się gorączkowo za ogrodzeniem, skamłając z ponurą natarczywością. Pachniały Farrellowi krwią, końskim nawozem i czekoladą, a on zastanawiał się czy wyczuwały Egila, choćby jako nieprawidłowość, nieus-

tanny niepokojący dreszcz ich dzikiej logiki. Ben spojrział na nie w milczeniu. Farrell spostrzegł, że w ich kierunku lawiruje jego przełożony pod pozorem inspekcji koszy na śmiecie.

- Liga. Czy od tego to się zaczęło, od bycia Egilem w Lidze? Czy to się z tym wiąże?

Ben powoli opuścił ramiona, obserwując je cały czas, niczym świeżo naoliwiony Cynowy Drwal.

- Liga to ułatwiła. Jak coś w rodzaju baru dla samotnych. - Teraz Farrell z kolei zamrugał oczami, a Ben roześmiał się chrapliwie. - Ogólne zrozumienie. Życzliwa atmosfera. Luksus pewności, że tylko pewne pytania będą zadawane. Tylko, że ty to opacznie rozumiesz, Joe. Właśnie ja musiałem dla nich wymyślić Egila, jako postać, wizerunek, by mieć pewność, że cokolwiek zrobię, dla nich będę nadal sobą w przebraniu wikinga. Widzisz, Liga zapewniała miejsce spotkań, miejsce gdzie nikt nigdy nie posądzi mnie o szaleństwo. Bez względu na to, co zrobi Egil.

Farrell cofnął się, by przepuścić tęgą kobietę z chodzikiem, która spojrzała spod oka na psy i zmarszczyła nos.

- Czemu ich czasami nie wykąpicie? - zapytała Farrella. - Nikt nie lubi śmierdzieć, nie przyszło wam to do głowy?

Za nią szło dwoje objętych podlotków. Ciągnęli za sobą zapach pizma i szałwii. Za nimi zaś przełożony Farrella, który znacząco spojrział na zegarek, ugiął lekko kolana i zapytał:

- Puff - puff, ciuchciuch, dzyńdzyń?

- Z araz będzie dzyńdzyń - oświadczał z powagą Farrell. - Muszę tylko odprowadzić przyjaciela do samochodu. - A gdy przełożony zaczął przejawiać ochotę do dyskusji, Farrell wyjaśnił: - Ma zawroty głowy, chyba po tym, co zjadł w Cmentarzysku Słoni - i odszedł. Przełożony patrzył z lękiem w ślad za nimi. Już widział się przed sądem. Kiedyś pracował w lepszych ogrodach zoologicznych niż Barton Park i od jakiegoś czasu wykazywał nadmierne napięcie.

- Przyjechałeś tutaj? - zapytał Farrell. Ben zawahał się, po czym skinął głową. Farrell ujął go pod ramię i poprowadził w kierunku parkingu. - Czy dobrze byś prowadził? Egil chyba nie przejmie pałeczki na środku skrzyżowania, co? - Próbując obrócić to w żart, dodał: - Wiesz jak w Kalifornii podchodzą do wygasłych praw jazdy?

- On nie bierze mnie w posiadanie. Mówiłem ci, to bardziej jak wymiana.

Cierpliwy ton instruktora wywołał tak gorący rumieniec na twarzy Farrella, że aż poczuł mrowienie w skórze.

- Gumowe Wargi, w dupie mam to, co mi powiedziałeś. Widziałem go już trzy razy i zawsze ciebie nie było, byłeś zajęty w dziewiątym wieku. - Ben zatrzymał się i otworzył usta, by zaprotestować, ale Farrell pociągnął go dalej. - Nadal nie wiem, co ty naprawdę robisz ani jak to robisz, tak jak nie wie tego ten biedny frajer, Egil, ale znam strach, rozumiesz mnie? I naprawdę mi za ciebie wstyd, po raz pierwszy w życiu, ponieważ nigdy nie widziałem nikogo tak wystraszonego jak ten człowiek. - Z wyjątkiem jednego, zótkookiego mężczyzny, który przyszedł do domu Sii. ~ Powinieneś się wstydić.

- Ty dupku, nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz! - Wydawało się, że sprzeczali się o zasady gry na bocznej uliczce Manhattanu. - Ja go nie krzywdzę. Nie mógłbym go skrzywdzić. Kocham go.

- Nikt z nim tego nie konsultował. Czy kiedykolwiek poprosił, by go wykochano z jego własnego życia? - Farrell drżał, potrząsając ramieniem Bena, zaglądając mu w oczy, by odszukać niepojętą udrękę Egila. - On nie ma pojęcia, co się z nim dzieje, musi sobie myśleć, że wariuje, i wariuje tysiąc lat temu. To ma być wymiana? To jest miłość? Po prostu pieprzony rozbój, Ben.

- Nie przeklinaj. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Doszli do parkingu. Ben kiwał się na piętach, tocząc błędnym wzrokiem po ościstych szeregach miejsc parkingowych.

- Czemu mnie szukałeś? - zapytał Farrell.

- Nie pamiętam. - Ben ruszył wzdłuż najbliższego szeregu z pełnym zaufaniem człowieka podążającego za rózdką.

Farrell poszedł za nim. Jego własny głos kłuł go w uszy jak moskity.

- Daj temu spokój. Musisz dać mu spokój. - Ponownie dotknął ramienia Bena i zaskoczyło go wrażenie kruchości przyjaciela.. - Ben, dla ciebie to również nie jest dobre. To wszystko, czego się dowiadujesz, te cudowne rzeczy, to nie jest za darmo. Nie możesz tego dalej robić, rozlecisz się, po prostu roztopisz się, jak on, zobaczysz. Ben, ja to wiem.

- Nie mogę znaleźć mojego cholernego samochodu - powiedział Ben. Odwrócił się i spojrział tam, skąd przyszli. Zrobił to tak nagle, że Farrell musiał uskoczyć na bok, by na niego nie wpaść. Twarz miał odwróconą, ale Farrell widział, że jeden koniec ust był wykrzywiony, zadarty do góry, odsłaniający zęby. - Zostawiłem go tutaj, patrzę prosto na niego. Skurwiel.

Nie rozmawiali, dopóki nie zlokalizowali samochodu, na drugim końcu parkingu. Ben podszedł do niego ostrożnie, jakby byli obcymi sobie dzikimi zwierzętami. Widząc, że ledwie powłóczy nogami, Farrell o mało nie wybuchnął płaczem.

- Lepiej odwożę cię do domu. Was obu - powiedział.

Ben pokręcił głową i wsiadł do samochodu. Farrell schwycił się otwartego okna, gdy jego przyjaciel włączył silnik.

- A co z Sią? - dopytywał się. - Co ona sądzi o tym wszystkim, o tym, co robisz? Ona nie jest tak głupia jak ja, by uwierzyć, że to napady. Może powinienem z nią porozmawiać, Ben? Ponieważ nie myślę, żeby znała całą historię. Nie myślę, by pozwoliła ci zabijać Egila z miłości, gdyby znała całą prawdę.

Ben spojrzał na niego, a potem odwrócił wzrok. Jego wolna lewa ręka powędrowała z szyi do ust, zaciśnięta w pięść, jakby starał się zaczipować śmiertelną ranę.

- Nie rozumiesz. Napady są drogą, napady otwierają drogę. Nie miałem ich, dopóki jej nie było. One są rezultatem mieszkania w jej domu, dzielenia z nią łóżka, obecności w jej myślach. Ludzie nie powinni tego robić, Joe. Dar jest zbyt wielki, nie potrafimy go pomieścić, rozdieramy się. Ale to dar, błogosławieństwo, jak można powiedzieć nie błogosławieństwu, nawet jeśli nie było pomyślane dla ciebie? Nie martw się o Egila, Joe. Egil od tego nie umrze. W końcu to moje błogosławieństwo. - Samochód wysliznęła się Farrellowi z rąk i odjechała.

14.

Nogi jastrzębia były zdumiewająco gorące. Farrell stęzał pod kościotrupim uściskiem na swej pięści, nawet pomimo nieprawdopodobnie miękkich piór na piersi, pachnących najpierw gałką muszkatolową i świeżą słomą, a potem starymi, czystymi kośćmi w słońcu. Wielkie czarne oczy przyglądały mu się, jakby odpowiedział na dziwne ogłoszenie - spojrz trochę w bok, radził Frederik, żeby się nie wpatrywać. Ale on wyobrażał sobie siłę i ostrość szponów, nigdy zaś gorąco płynące przez pożyczoną rękawicę z koziej skóry, pulsujące, jakby trzymał na gołej dłoni jastrzębie serce. W końcu wypuścił powietrze i lady Criseyde przysunęła swe ramię ptakowi, ponaglając go delikatnie, by ptak z powrotem przeszedł na jej rękawicę.

- Jaka piękna - powiedział Farrell.

- Prawdę powiedziawszy, nie jest teraz w najlepszej kondycji - odparła lady Criseyde. - Wcześniej tego roku zaczęła się pierzyć, jakby na przekór, a jest już tak stara i nie w formie, że pewnie nie potrafiłaby poderwać się na zawołanie. Potrafiłabyś, Strega? - W odpowiedzi krogulec zaskrzeczał w zamyśleniu, nadal zastanawiając się, czy wziąć Farrella w jasyr.

Książę Frederik odpowiedział za nią.

- Łaskawa pani, stawiam pięć dolców, że ona złapie królika szybciej niż Micaela zbliży się do kuropatwy. - Poprawiał skórzane postronki przy kapturku wielkiego, ciemnego ptaka, wyższego i o szerszej piersi niż Strega, o przyciężkawym, złowrogim dostojenstwie, które przywodziło Farrellowi na myśl motocykle Julii. Ciemny sokół był podenerwowany, przestępował z nogi na nogę, nagle stroszył pióra z klekotem weneckiego ślepca. Frederik uspokoił ją szeptem i nuceniem, po czym oznajmił:

- Myślę, że powinniśmy ruszać, lord Garth i lady Aiffe chyba nie przyjdą, a psy już bzikują. W imię króla Bohemonda i św. Walenia, ruszajmy.

Było ich dziewięcioro. Wszyscy w kostiumach. Towarzyszyły im dwa psy i sześć ptaków. Tylko Farrell, Julia i Hamid ibn Shanfara nie mieli żadnego. Po lewej, za osłaniającą od wiatru ścianą eukaliptusów, mruzczała i buczała nadbrzeżna autostrada. Przed nimi, aż po niewyraźny horyzont, rozciągały się upstrzone pniakami łąki w szarobure łąty. Członkowie Gildii Sokolników szli pojedynczo, pogrążeni we wspólnym milczeniu z zakapturzonymi stworzeniami przycupniętymi na ich dłoniach. Jedynie Frederik pozostał wesoło rozgadany, nie zdradzając w ogóle widocznego zainteresowania Micaela, poza tym, że od czasu do czasu gładził jej nogi.

- To kanadyjski sokół - mówił do Farrella i Julii. - Są największe wśród sokołów i najszybsze. Nie potrafi pikować jak sokoły wędrownie, ale na płaskim nic mu nie umknie.

- Czyż nie są one zarezerwowane dla cesarzy? - zapytała Julia. Frederik pokręcił głową.

- Dla królów. Dla cesarzy i papieży są orły. Kiedyś miałem orła, ale straciłem go. - Na chwilę jego ciemna, asymetryczna twarz przybrała równie nieobecny wyraz jak oblicza innych. - Nazywał się Saladin. Nie miałem z niego pożytku. Hamid pamięta.

- Będziesz mi teraz mówił co pamiętam? - zapytał słodko Hamid. Cały był w fałdzistej bieli, od turbana po sandały. Wyjątek stanowił sztylet o czerwonej rękojeści, wsunięty za białą szarfę. - Pamiętam to, że nie straciłem tego orła. Pozwoliłeś mu odlecieć.

Frederik nie odpowiedział.

- W istocie to zupełnie to samo - powiedziała cicho lady Criseyde. - Zawsze żegnamy się z jastrzębiami. Za każdym razem, gdy wypuszcza się go z ręki, trzeba się z nim pożegnać. Nie ma znaczenia, jak dobrze się go zna, nigdy nie jest na tyle nasz, by go stracić czy pozwolić mu odejść. Wróci, jeśli będzie miał na to ochotę. To zawsze jednak jest ich wybór.

Dwa psy myśliwskie biegły spokojnie, ku zaskoczeniu Farrella, który nigdy nie widział prawdziwych myśliwskich psów przy pracy. Sucha trawa wplątywała mu się w sznurówki tenisówek. Spojrzał na swych towarzyszy w płaszczach, kaftanach i bufiastych spodniach, trzymających na ramieniu sokoły, a w drugiej ręce

ostro zakończone berła. Poczut się tak, jakby uczestniczył w religijnej procesji mającej przywrócić moc jakiejś mgliście złowieszczej pasji, której utracone znaczenie teraz tylko znał Hamid. Wrażenie to było rym silniejsze, że Hamid opowiadał legendę o św. Waleniu, patronie Ligi, który wyszedł z morza i chodził jak człowiek.

- I św. Waleń wędrował, wielkie cuda czyniąc na ziemi - Hamid recytował śpiewnie ochryptym półgłosem, jakiego zwykle używał przy recytowaniu legendy Ligi. - Albowiem uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, przemawiał do wulkanów i uciszał je. I pocieszał zagubionych, i bezradnych, i był ich obrońcą. Chwała tobie św. Waleniu, chodzący na swym ogonie. - Ostatnie zdanie powtarzał niczym refren.

- Nie pamiętam tego kawałka o wulkanach - powiedziała Julia. Jej przebranie było ledwie zaznaczone, miała na sobie obcisłe trykoty, o wiele za dużą bluzę przypominającą chałat i absurdalny purpurowy beret, wielkości średniej pizzy, który kiedyś należał do Farrella. Lady Criseyde pozwoliła jej nieść Stregę i Julia trzymała ją tuż przy twarzy, co niepokoiło Farrella.

- Właśnie go dodałem - wyjaśnił Hamid swym normalnym głosem. - Zmęczyło mnie już opowiadanie o sadzeniu jabłoni i wynalezieniu tofu - dodał, po czym wrócił do rytualnego rytmu legendy. - Lecz oto patrzcie, wielcy zebrali się razem i tak powiadali między, sobą: Azali dalej tak ma być? Azali morska bestia bez zrozumienia ma mieć imię czyniącego cuda i odciągać miłość naszych poddanych ku sobie? Nie, nie, w żadnym razie. Ale ludzie powiedzieli: Chwała ci św. Waleniu, chodzący na swym ogonie.

Z zarośli wyskoczył królik. Przez chwilę pędził przerażony równolegle do idących, po czym zniknął, nie niepokojony w norze pod dębem. To była pierwsza oznaka życia, jaką Farrell zauważył na tych chrześzczących pod nogami potach. Zaczynał się właśnie zastanawiać, na co sokoły będą polowały.

- Jest ich tu zatrzęsienie - powiedział książę Frederik, wskazując królika. - A także przepiórek i kuropatw. Przed laty jeden gość zasiedlił to miejsce bazantami, usiłując przyciągnąć myśliwych. Ale ten interes nigdy na dobre mu się nie rozkręcił. Myślę, że my jako jedyni tu polujemy, ale to prawdziwa spizarnia, jeśli się jest sokołem. - Podsunął delikatnie swą gołą pięść pod dziób Micaeli. Dziobnęła ją, ale potem potarła dziobem o jego kłykcie z dziwną, przewrotną pieszczotliwością.

- A zatem wielcy rozkazali, by każdy rycerz w kraju wyruszył przeciwko św. Waleniowi. Wszyscy stosownie do tego rozkazu ruszyli, z wyjątkiem trzech rycerzy, którzy tego uczynić nie chcieli ku wielkiemu wstydu. I ci zostali zabici. I wezwali wielcy cały oręż w kraju, każdy miecz i włócznię, sztylet, topór i pikę, każdą pałkę i sierp do zadania śmiertelnego ciosu św. Waleniowi. I tak się stało, z wyjątkiem siedmiu mieczy, które nie były użyte w ten sposób i które ze swej własnej woli pochyliły ostrza. One też zostały jedynymi mieczami w historii ludzkości zamienionymi w lemiesz. Chwalmy św. Walenia, chodzącego na swym ogonie. - Hamid uśmiechnął się do Farrella, pokazując jedynie koniuszki zębów.

Książę Frederik zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu. Wbił berło w ziemię, jakby obejmował w posiadanie nowe terytorium dla króla. Posadził na nim Micaelę, ale nie zdjął jej kaptura. Psy po raz pierwszy zaczęły wykazywać podniecenie, napinając smycze i cicho skomlać. Farrell odwrócił się. Pozostali sokolnicy szybko sadzali swe ptaki na berłach. Dzwoneczki u nóg sokołów drżały w lekkich podmuchach ciepłego wiatru, dźwięcząc jak dzwonki odległej karawany.

Hamid, niepomny na nic, dalej ciągnął swoją opowieść.

- A tam, gdzie św. Waleń padł, jego męczennicza krew wsiąkała w ziemię i w jednej chwili wyrosły z niej dziwne kwiaty, jakich nigdy nie widziano. A kwitły one szkarłatnie i płatki miały podwójne niczym ogon zdrowego wieloryba. Rozkwitają nadal na tym świętym miejscu, każdego roku w dniu turnieju ku czci św. Walenia. Każdy rycerz, który się w nim potyka, przypina sobie kwiat do swego znaku dla upamiętnienia i uczczenia św. Walenia. - Kilku sokolników razem z nim zanuciło półgłosem refren. - Wszyscy stawia św. Walenia, chodzącego na swym ogonie.

Sokoły wzbijały się w powietrze wedle porządku ustalonego przez księcia Frederika. Każda runda trwała, dopóki ptak nie upolował zdobyczy. Dwa z sześciu, sympatyczną Stregę i nerwowego jastrzębia gołębiarza, puszczano z rękawicy prosto za uciekającymi królikami i przepiórkami. Pozostałe były prawdziwym sokołami, o dłuższych skrzydłach i rozbijającymi zaokrąglonych obliczach, ćwiczone do „wyczekiwania”; kołowały prawie poza zasięgiem wzroku swych opiekunów.

- Gdy psy wypłoszą zwierzynę, co nazywamy „wystawieniem” - powiedział Frederik - sokoły pikują.

Farrell czytał, że sokół wędrowny potrafi pikować z prędkością dwustu mil na godzinę, gdy spada na zdobycz. Ale ta cyfra nabrała dla niego znaczenia dopiero, gdy po raz pierwszy usłyszał nieprawdopodobnie świergotliwe zawodzenie dzwoneczków prujących powietrze z tą prędkością. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że kuropatwa eksplodowała od uderzenia, niczym śnieżna kula. Sokół wędrowny wylądował zgrabnie pomiędzy wirującym pierzem. Uśmiechnięty chłopak zadarł swój mnisi habit i pognał, by go zabrać. Sokół potulnie dał się podnieść, co Farrellowi wydało się cudem, podobnie jak widok spadającego z jasnego nieba ptaka. Jeden z psów już puścił się ochoczo za świeżym zapachem. Tymczasem w górę poszybował sokół hiszpańskiego czarodzieja. Wznosił się, kołując na wietrze, niczym żeglarz wspinający się po drabince sznurowej na wanty. Farrell stracił

jego ślad w chmurach, ale czarodziej zdjął z ramienia lornetkę i dalej spokojnie śledził lot ptaka. Potem zdjął rękawicę i zamachał nią, by przywołać go niżej. Książę Frederik zdjął kapturek Micaeli. Sokół przez chwilę miał oczy zamknięte. Potem otworzył je tak nagle, że Farrell cofnął się przed mroczną pustką w jego wzroku.

- Spójrz na nią - powiedział Frederik. - Balansuje pomiędzy przyzwyczajeniem i tym, co nazywamy szaleństwem, dla niej nie ma czegoś takiego, jak przyszłość. Nie sądzę, aby była też jakaś terażniejszość, jest tylko niekończąca się przeszłość, przepływająca wokół niej, obok niej i przez nią. Gdy trzymam ją na rękawicy... - wskazał na skórzane pęta na nogach sokoła - jest przyczepiona do mej terażniejszości, ale w chwili gdy ją puszczam wolno, kołuje w swój prawdziwy czas. Jej prawdziwy czas, gdzie ja nigdy nie istniałem i gdzie nic nie wyginęło.

- I gdzie nie wynaleziono jeszcze pieczonych zeberek - dodała lady Criseyde. - Ptak nie odleci tam, gdzie nie mają pieczonych zeberek.

Julia siedziała na ziemi. Szkicowała Micaelę z rozłożonym prawym skrzydłem i wyciągniętą nogą. Farrell stanął za nią, podglądając jak wydobywa cień wielkich kości skrzydła, precyzyjnie odtwarza brązowe prążki na puchu i schludną czerń piór.

- Powinni tu być - odezwała się, nie oglądając się na niego. - Bardzo mnie niepokoi to, że ich tu nie ma.

- Aiffe - domyślił się Farrell. Julia kiwnęła głową.

- I jej ojciec. To on zapoczątkował Gildię Sokolników, nigdy nie opuszczał żadnej imprezy z sokołami. To nie daje mi spokoju. - Jej dwóm ołówkom, zamieniającym się szybko miejscami, udało się właśnie wyczarować osobliwy, szarawy meszek na upierzeniu Micaeli.

- Pewnie szykują coś paskudnego na wojnę. Czy przypadkiem nie on ma być jednym z kapitanów w tym roku?

- Teoretycznie. To, co mnie jeszcze denerwuje, to ludzie przyglądający się, jak pracuję. Farrell odsunął się urażony na bok, dalej niż trzeba było. Od czasu ich nocnego spotkania z Micahem, Julia trzymała go na dystans, na co on, urażony, odpowiadał rozdrażnieniem.

- Nie myślisz chyba, że Aiffe będzie prawdziwym kapitanem, ona nie może ruszyć na wojnę - powiedział. - Nawet ja to wiem.

Julia nie odpowiedziała. Hamid z wdziękiem przerwał ciszę.

- No cóż. To właśnie, między innymi, powód tegorocznej wojny. - Hiszpański czarodziej, nadal gestykułując w kierunku, zdawało się, pustego nieba, wdepnął w króliczą norę i stukł sobie lornetkę. - Wojna zostanie stoczona o to - mówił dalej Hamid - czy córka Gartha de Montfaucona może iść na wojnę. Garth rzucił wyzwanie w zeszłym tygodniu i Bohemond upoważnił Simona Widefarera do jego przyjęcia. Królowie nie walczą na wojnach, ale muszą zatwierdzić termin, miejsce, zasady i przyczyny ich prowadzenia. Bohemond wybrał na miejsce tegorocznej wojny wyspę Cazador, a jej czas ustalił na pierwszy tydzień sierpnia.

Sokół czarodzieja w końcu spadł z nieba, żeby rzucić się na przepiórkę. Teraz lady Criseyde wysunęła się naprzód ze Stregą na rękę.

- Ale nie na tę wojnę - odezwał się z wahaniem Farrell. - Jeśli jej strona wygra, to będzie mogła pójść na następną. Jeśli wygra.

Hamid wzruszył ramieniem.

- Zważywszy, że pokazała się na dwóch ostatnich, to kwestia dość delikatnej natury. - Julia odwróciła się do niego szybko, płosząc Micaelę, która wystraszona zeskoczyła z ręki Frederika. Zaraz jednak wdrapała się na nią z powrotem, sycząc i trzepocząc skrzydłami. - Jeśli tylko będzie dalej grzecznie pilnować własnego przebrania, to z ochotą jej na to pozwolę. Tak jak poprzednio. - Uśmiechnął się swym wąskim, niepokojącym uśmiechem. - Aiffe co innego chodzi po głowie. Nie jest może Heleną Trojańską, ale z całą pewnością to jedyny podłotek, o którego zostanie stoczona wojna. Sądzisz, że ją opuści? Ja bym tego nie opuścił.

Strega, usprawiedliwiając wcześniejszy cynizm lady Criseyde, kompletnie ignorowała króliki, które dla niej wypłoszono. Nie wykazywała też najmniejszej skłonności do tak wyczerpującego zajęcia, jakim było latanie i chwytywanie zdobyczy. Trzeba było strząsać ją z ręki, a ona za każdym razem podfruwała nie dalej niż na trzydzieści jardów, po czym opadała ciężko, strosząc pióra i skrzecząc.

Lady Criseyde w końcu podniosła ją.

- Spróbuję jeszcze raz na końcu, po Micaeli. Niektórzy rozpuszczeni są nieprawdopodobnie. Farrell spostrzegł przez ramię trzy zbliżające się postacie.

Nicholas Bonner niósł ptaka. Berłem prawie tak długim jak on sam, wymachiwał niczym pochodnią. Farrell początkowo wziął ptaka za jastrzębia, cholernie wielkiego jastrzębia, nawet z tej odległości. Julia pisnęła i wówczas do Farrella dotarło, że ptak miał krągłe, wklęsłe oblicze, oczy wielkie jak mosiężne guziki przy wojskowym mundurze i pędzelki nad nimi, które przypominały bardziej rozwichrzone, teatralnie uniesione brwi niż uszy czy rogi. Ptaszysko siedziało nieruchomo, ani razu nie zahukało, nie rozpostarło skrzydeł, ale Micaela na rękawicy księcia Frederika nagle zaskrzeczała, jakby ktoś pociągnął paznokciem po tablicy.



Farrell rozejrzał się. Wszystkim ptakom właściciele pospiesznie zakładali kapturki, by zachowały spokój w obecności sowy uszatej. Wyjątkiem była tylko Micaela. Książę Frederik przytulił ją delikatnie do piersi, mrucząc coś uspokajająco i obserwując nadejście Aiffe, Nicholasa i Gartha de Montfaucona.

- Z nimi się nie poluje - odezwał się ktoś z niezadowoleniem. - Nigdy nie słyszałem, by ktoś z nimi polował.

Julia zamknęła szkiełko i stanęła obok Farrella. Grzbiet jej dłoni, tak przejmująco zimny, jak gorące były nogi ptaka, otarł się o jego rękę.

Ostatnie kilkanaście jardów Aiffe niemal przetańczyła, wysuwając się przed swych towarzyszy, by skłonić się głęboko księciu Frederikowi i lady Criseyde.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - wołała swym słodkim, dźwięcznym głosikiem. - Spóźnienie to wielki nam wstyd przynosi, jednak nie z naszej winy wynikło. Te wielkie leśne czarty niełatwo poddają się woli biednej czarownicy. - Jak na letni dzień była ciepło ubrana. Miała na sobie aksamitną suknię w kolorze burgunda, która na jej drobnej figurze wisała jak flaga reklamowa. Pomimo tego poruszała się z pełną pewnością gracji. Uniósł się zgrabnie i zatoczyła ręką szeroki łuk, by wskazać zakapturzoną sowę, siedzącą nieruchomo na berle Nicholasa Bonnera. - Panie i wy wszyscy szlachetni tu zebrani, czy przyjmiecie mnie teraz do waszego szacownego grona? Czyż nie mam ptaka?

Nicholas Bonner uśmiechnął się do Farrella, jak do starego przyjaciela. Micaela ponownie zaskrzeczała na sowę i Frederik otulił ją połą płaszczą.

- Lady Aiffe, to więcej niż cud. - Jedyłą wyczuwalną zmianą w jego spokojnym głosie było obniżenie tonu i lekkie zachrypnięcie. - Posiadanie stworzenia takiego jak to...

- Bez pęt - przerwała mu głośno Aiffe. - Zważcie wszyscy, nic mojego leśnego czarta nie trzyma tu w pełnym blasku dnia pomiędzy jego wrogami poza naszym porozumieniem. - Dostojeństwem pobrzmiwającym w jej głosie targał śmiech złośliwej rozkoszy, niczym sztorm szarpący żagle. Gdy znowu się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała niepewność, nikły ślad słabości, który zaskoczył Farrella. - Teraz pójdziemy z wami zapolować. - Jakże straszliwie chciała być przyjęta w poczet sokolników.

- Jesteśmy Gildią Sokolników - powiedział książę Frederik. - Nawet gdyby za sprawą czarów twój ptak nauczył się latać z ręki, albowiem nie urodziła się jeszcze taka sowa, która nauczyłaby się czekać na...

- Który bądź sposób - rzuciła mu wesoło wyzwanie. - Którykolwiek wybieriecie. A jeśli sprawię, by krążyła nad moją głową cały dzień, na milę wysoko lub na wyciągnięcie ręki, dopóki nie zawołam stop i bierz, to co chcielibyście, panowie, by zrobiła? Jesteśmy na wasze rozkazy, ona i ja.

W ciszy, która potem zapanowała, zakapturzona sowa po raz pierwszy zahukała. Trwała w bezruchu, zamknęła jedynie oczy. W tej samej chwili wiatr zmienił kierunek, przynosząc Farrellowi powiew zimnego, sowiego zapachu miejsc, w których chowa się rzeczy, o jakich nie chce się myśleć.

- Wedle wszelkich zasad i praw naszego stowarzyszenia... - zaczęła lady Criseyde. Głos Gartha de Montfaucona przeciął jej zdanie niczym smagnięcie gałązką jeżyny.

- Prawo? To ja założyłem tę zaśloną gildię, a wy mi tu będziecie cytować jej zasady? W prawie nie ma nic takiego, co zabraniałoby ptakowi mojej córki polować z waszymi ptakami, i pan dobrze o tym wie, mój panie księciu. - Stał przed Aiffe i wpatrywał się we Frederika, świdrując go swą wychudzoną, zaciśniętą twarzą niczym wiertłem. - Jedynym wymogiem, jedynym, jest, by ptak był w wieku i kondycji do pochycenia zdobyczy. Nie ma ani słowa na temat jego rodzaju.

Mogłaby polować z kaczką, gdyby zechciała i gdyby jej ptak miał do tego żyłkę i nikt nie mógłby jej w tym przeszkodzić. Wiesz o tym.

Nicholas Bonner dotknął ramienia Aiffe i dziewczyna odwróciła się do niego. Farrell nie słyszał, co mówili, ale Nicholas skinął na sowę z uśmiechem przyklejonym do ust, podczas gdy Aiffe odsuwała się od niego poirytowana.

- Jesteśmy Gildią Sokolników - powtórzył książę Frederik, jeszcze wolniej i bardziej zachrypniętym głosem. - Nazwa każe się domyślać zasad, tak jak zawsze.

Ktoś popchnął Farrella z tyłu. Joe odwrócił się i stwierdził, że wszyscy zbili się w ciasną gromadkę. Nie patrzyli na siebie, każdy tulił do piersi swego sokoła niczym okaleczone ramię. Nawet Hamid podszedł na tyle blisko, że Farrell mógł dostrzec brązową strunę żyły pulsującą na jego szyi. Nicholas Bonner uniósł bęko z zakapturzoną sową nieco wyżej. Ptak ponownie zahukał, rozkładając skrzydła tak czarne i siwe, jak włosy Sii, skrzydła tak rozłożyste, że krągłe ciało pomiędzy nimi wydawało się mniejsze niż było, niemal kruche w porównaniu z tężyzną Micaeli.

- Domyślać? - zapytał Garth de Montfaucon. - Nie, czegoż można domyślać się po takich stworzeniach poza tym, co robią? Co arystokratycznego jest w bractwie zabójców i lokajów zabójców? - Książę Frederik chciał odpowiedzieć, ale Garth odwrócił się i strzelił palcami na Nicholasa Bonnera. - Leśna bestia mojej pani córki zapoluje, teraz!

Żaden z członków Gildii Sokolników nigdy nie podał tego samego opisu następnych dziesięciu sekund. Lady Criseyde zaklinała się, że Nicholas Bonner wyrzucił gwałtownie sowę w powietrze, z rozmysłem strasząc ją i rozwścieczając, podczas gdy Julia była przekonana, że widziała jak sama Aiffe spokojnie wydała rozkaz ptakowi, tak jak czynią to sokolnicy, za pomocą spojrzenia czy krótkiego gestu. Hiszpański czarodziej i chłopiec z wędrownym sokołem utrzymywali, że sowa wzbiła się w powietrze z własnej woli, nim jeszcze Garth skończył mówić, choć chłopiec upierał się, iż ptak zawisł na ułamek sekundy zanim mrozący okrzyk Nicholasa Bonnera posłał go do ataku.

- Czary nie przesłonią głupoty - powiedział tylko Hamid ibn Shanfara. - Nie trzeba być wiedźmą, by domyślić się, do czego może doprowadzić wystawienie sowy przed oblicze sokoła. Czary nic do tego nie mają.

Farrell natomiast zapamiętał ręce Aiffe. Jeszcze długo potem, jak czas wymazał takie szczegóły, jak podmorską ciszę ataku sowy, brązowe oczy, które nigdy nie otworzyły się szeroko w pełnym blasku słońca, nawet gdy Micaela podniosła wrzask pomimo desperackiego tulenia jej przez księcia Frederika i mignięcie rozczapierzonych szponów na chwilę przedtem, nim pochwyciły kark Micaeli, Farrell pamiętał triumf i niedolę rąk Aiffe. Zostały wyrzucone do góry razem z sową w zachwyconym geście pełnej kontroli, ale gdy opadły, zatrzymały się przy ustach dłońmi na zewnątrz, z palcami zamykającymi się powoli i pozostały tak, dopóki lady Criseyde w końcu nie wstała, mając krew sokoła na policzkach i sukni. Wówczas ręce Aiffe opadły na dół, a ona trzymała je płasko przy bokach, uśmiechając się niczym królowa z obrazu, podczas gdy lady Criseyde miotła w nią przekleństwami. W pamięci Farrella w tamtej chwili nie było żadnego innego dźwięku poza późniejszym, gdy sowa zaczęła nawoływać spośród drzew.

15.

Pewnego ranka zwierznik Farrella został znaleziony w pomieszczeniach noclegowych dla zwierząt. Siedział skulony pomiędzy parą rozspanych i roześlonych szopów amerykańskich. Nikt nie okazał specjalnego zaskoczenia tym faktem. Zwierznik dostał bezterminowy urlop, a każdego, kto choćby luźno był z nim powiązany, zwolniono w przeciągu tygodnia, jakby jego zachowanie było zaraźliwe. Farrell uznał za szczęście, iż nie opryskano go pestycydami. Jaime, sprzedawca orzeszków, powiedział mu o wolnej posiadzie w warsztacie remontującym stare samochody i Farrell zgłosił się tam. Płacili mniej niż zoo i więcej czasu trzeba było spędzać w pomieszczeniu, ale od pierwszego dnia polubił to niezbyt wyczerpujące, dziwnie uspokajające zajęcie. Warsztat znajdował się w pobliżu uniwersytetu, więc zwykle jadał z Julią lunch.

- To nic wielkiego - opowiadał jej czwartego wieczoru po pracy w warsztacie. - Przeważnie wyszukuję części i wkładam je na miejsce, właściciel wykonuje bardziej skomplikowane prace. Ale powietrze wewnątrz tych samochodów ma po sześćdziesiąt lat. Otwierasz drzwi i uderza cię zapach lata spędzonego na grze w krykieta. Teddy Roosevelt. Lydia Pinkham.

- To zawsze kwestia zapachu - powiedziała Julia. - Te obicia wchłaniały wszystko, blask słońca, papierosowy dym, spocone nogi. Teraz, gdy tylko pocznę zapach starego pontiac, zaraz przychodzi mi na myśl mój wuj Mashi, ale gdy byłam mała, zawsze myślałam, że to wujek Mashi pachnie jak stary pontiac.

- Być może tak było - kiwnął głową Farrell. - Jedno miesza się z drugim. Ludzie przywożący swoje samochody do warsztatu, wielu z nich, przypominają wyglądem tych, którzy po raz pierwszy kupili owe auta. Po części to kwestia ubioru, ponieważ dobierają ubranie do samochodu, ale bardziej do ich twarzy. Zdają się przybywać prosto z tych minionych dawno wakacji, tych pożółkłych rodzinnych fotografii. Podobnie jak członkowie Ligi przypominają postacie z obrazów. Wciąż ich widuję.

- To typowe dla każdej grupy ludzi - powiedziała. - Ludzie, których łączy wspólne hobby lub pasja zaczynają upodabniać się w pewien sposób. Wodniacy, kulturyści, fani science fiction, kolekcjonerzy komiksów. Nawet krótkofalowców poznasz po wyglądzie.

- Nie to miałem na myśli - odparł wolno Farrell. - Zdaje mi się, że ci ludzie zaplątali się w czasie, wiedząc o tym lub nie. Jest tak jak powiedział Frederik, może rzeczywiście nie ma teraźniejszości, tylko przeszłość wijąca się dalej i dalej. Wczoraj musiałem usunąć część oryginalnego lakieru z drzwi samochodu z 1912 roku. Skrobałem, zdzierając i szlifując ten piękny, twardy stary lakier i cały czas, przysięgam, czułem jak ktoś inny go nakładał. Ręcznie, w stajni zamienionej na warsztat. Wiem, co czuje Frederik, obserwując te sokoły wzbijające się w czasie. Wszystko jest tak bliskie wszystkiemu innemu.

Przerwał, pozostawiając wyszczerbioną dziurę w ich konwersacji, przez - którą Julia przyglądała mu się spokojnie i bezlitośnie. Po raz pierwszy zauważył malutką, złocistą plamkę na jednej z jej brązowych tęczówek. W tym świetle jej włosy nie są tak czarne jak zwykle. Czy tak było zawsze?

- Nawet jeśli ja wypiszę się z Ligi, ty nie musisz - powiedziała. - To w zupełności twoja sprawa.

- Wierz albo nie, ale ona naprawdę nie chciała zabić Micaeli - odezwał się Farrell. - Popisywała się. - Członkowie Gildii Sokolników rozpięchli się na widok śmierci sokoła, zostawiając Aiffe, jej ojca i jego regulamin oraz pole zasłane rozdartymi na strzępy królikami i przepiórkami. - Po prostu nie sądzę, aby naprawdę to chciała zrobić - powtórzył. - Jaki, u licha, miałyby w tym cel?

- Dyskutowaliśmy już o tym poprzednio - odparła głośno i szorstko Julia. Wstała, z rozmachem odsuwając krzesło i uderzając nim o drugie, stojące za nią. Wylała sok marchwiowy Farrella i pomagała wycierać, cały czas burząc pod nosem: - Nie chciała? Ona niczego nie robi niechcący, nigdy tak nie było, odkąd nauczyła się, jak zmusić chłopaka, który w piątej klasie pociągnął ją za warkocze, by sam sobie wyrwał wszystkie włosy. - Stoliki stały równie blisko i były równie stłoczone jak jej słowa, Farrell słyszał szuranie krzesła, gdy goście odwracali się, by spojrzeć na Julię. - Naprawdę myślisz, że ci jej żal. Biedna Aiffe, biedna chudzina, tak bardzo starająca się żyć w zgodzie z tym absurdalnym, źle ulokowanym talentem, który ciągle wymyka się jej spod kontroli. To nie jest nawet litość, to pogarda, a pogarda zabija ludzi, słyszysz mnie, Joe? Ona robi z tobą dokładnie to samo, co z sokołem, z tego samego powodu. Byś traktował ją poważnie.

- Ja traktuję ją bardzo poważnie - zaprotestował.

Ale Julia była w swoim żywiole, nie zostawiając mu nawet chwili na schwycenie się korzenia retoryki.

- Istota rzeczy? Istota rzeczy tkwi w tym, czego ciągle nie dostrzegasz. Istota rzeczy tkwi we władzy. Władza nie musi się tłumaczyć, władza polega na nietłumaczeniu. Władza po prostu czyni, bo może.

Farrell zostawił sowity napiwek uśmiechniętemu kelnerowi z młodym zarostem i wyszedł za Julią na chodnik, gdzie ludzie jeden drugiemu cierpliwie kreślili przejrzystą logikę wszechświata. Julia kroczyła przed nim. Jej przewieszona przez ramię torebka trzepotała niczym targany wicherem sygnalizator. Ramiona zadzierała wyżej niż brodę. Sprzedawcy ceramicznych wielorybów i biżuterii z kolorowego szkła uskakiwali jej z drogi, ale uliczny mim w surducie podrygiwał obok niej, przedrzeźniając jej pełen wściekłości przemarsz. Julia dała mu sółkę w bok, gdy zanadto się zbliżył.

W końcu Farrell ją dogonił. Osobliwie wściekłe rozdrażnienie już zdawało się jej minąć i szła spokojnie obok niego w kierunku swej pracowni. Frisbee ociężałe wzbijały się nad głowę i zawisały na chwilę w powietrzu. Rowery śmigały cicho, bez ostrzeżenia, niczym srebrzyste barakudy. Ich pasażerowie wydawali się niemal iluzoryczni, przypadkowi, niema jacy nic wspólnego ze złośliwą rozmyślnością rowerów.

- Nie rozumiem - odezwał się w końcu Farrell. - Ja nawet nie wiem, czego nie rozumiem. Powiedz mi.

Julia odwróciła się, by pozdrowić spokojnie biegnącego pracownika ochrony i nakarmiła starymi ciasteczkami Buddy Holly, krzykliwą gęś z uniwersyteckiego parku, nim mu odpowiedziała.

- Aiffe jest o wiele niebezpieczniejsza niż jej ambicje. Lekceważysz ją, ponieważ wszystko, czego na razie pragnie, to królować nad Ligą Archaicznych Przyjemności. Ale najważniejsze jest to, Joe, jak bardzo tego pragnie. - Stała do niego twarzą, ściskając go za rękę tuż poniżej ramion, wpijając się w nie tak mocno, że zakotłosała się, tracąc nieco równowagę. - Wiesz, jak ludzie mówią: "Za takie nogi gotów bym zabić", "Zabiłbym, by dostać taką pracę, by być przy nim". No cóż, Aiffe rozumie to dosłownie. By włożyć koronę, która przypomina cholerny zamek z piasku, by poprowadzić galliardę, by wchodzić do sali biesiadnej na czele gromady poprzebieranych głupców, Rosanna Berry naprawdę gotowa jest zabić. Być może jutro zabije, by zostać doroczną królową.

- Nie wierzę - odparł stanowczo Farrell. - On, tak, jej ojciec, bez dwóch zdań, co do tego nie mam wątpliwości. Ale ona, przykro mi, widziałem jak robiła z siebie durnia, widziałem jak wprawiała ludzi w zakłopotanie i jak zmusiała sowę do postuszeństwa. Do tego prowadzi się z kimś, kogo sobie skądś sprowadziła i kogo zdecydowanie tu być nie powinno. Skłonny jestem uwierzyć, że potrafi zrobić o wiele więcej, ale nigdy nie widziałem, by choćby próbowała kogoś zabić. A jeśli ty widziałas, to lepiej mi o tym powiedz. - Podniósł głos i strząsnął jej rękę, cofając się.

- Wciąż ci powtarzam - odpowiedziała Julia. - Ludzie wciąż ci powtarzają, to doprawdy zdumiewające.

Szła w kierunku budynków wydziału medycyny, a Farrell ciągnął za nią, poburkując:

- Dobra, dobra, oni tak zawsze. Dziwne tylko, że nikt nigdy nie odpowiedział mi wprost. Zapytaj o porę dnia, a całkiem możliwe, że okaże się, iż księżę Ministrone zabrał ją z sobą, gdy zamknął się w kiblu dziesięć lat temu. Zapytaj o przystanek autobusowy, a dostaniesz mapę ze skarbami zaginionego królestwa. - Doskonale wiedział, że reaguje jak urażony wyrostek, ale nie przestał narzekać, dopóki nie doszli do jej pracowni.

Wówczas Julia ponownie odwróciła się i nagle uśmiechnęła tak wielkodusznie, że aż zaparło mu oddech. Nie znam jej. Przyjaźnimy się tyle lat, a lepiej potrafię odgadnąć, co dzieje się w duszy Sii, Egila Eyvindssona, czy, na Boga, Nicholasa Bonnera, niż jej. Kim ona jest i jak niememu cudzoziemcowi udało się z nią spotkać?

- Po pierwsze - powiedziała - opacznie pojmujesz sprawę Gartha i Aiffe. On może cię jedynie posiniaczyć drewnianym mieczem, ale ona... Pewnego razu widziałam, jak robiła coś straszniejszego od zabicia i nigdy jej tego nie wybaczę. Po drugie, mój kochany, dostaniesz odpowiedź wprost, jeśli wprost zapytasz. A nie wiem, czy w ciągu całego życia choć raz zapytałeś o coś wprost.

Zostawiła go z oburzonym zaprzeczeniem na ustach i paniką w sercu. Skoro ja jej nie znam, to skąd ona zna mnie? - dziwił się. - Kto powiedział, że to w porządku, by mnie znała? Nigdy się na to nie zgodziłem. - A potem pomyślał: - Teraz już chyba za późno. Na moją zgodę. Chyba.

Julia nie wystąpiła z Ligi, ale brała udział w tak niewielu spotkaniach, że Farrell był lekko zaskoczony, gdy zgodziła się towarzyszyć mu na tańcach zorganizowanych z okazji przyjazdu króla i królowej Hyperborea, grupy z Sacramento. Wieczór minął bez szczególnych wydarzeń, jeśli nie liczyć nadwerężonych pleców króla Bohemonda

z powodu podnoszenia królowej Hyperborea w czasie la volty. Aiffe i Nicholas nie pokazali się. Farrell i Julia wrócili do domu później niż planowali, po raz pierwszy od bardzo dawna śpiewając razem stare kawałki rhythm-and-bluesowe.

Ulica Parnell wydawała się dziwnie spokojna, niczym plaża nocą przy odplywie. Wysoki, czarny mężczyzna, kołyszący się na przejściu dla pieszych, gdzie Farrell widział go po raz pierwszy, przypominał w swojej poplamionej djellabie plażowy parasol po zimie. Bez wątpienia przewróciłby się, nawet bez pomocy dwóch cieni, które ciągnęły go w dół. Jeden bujał mu się na szyi, a drugi kopał go zajadle w nogi. Samochód nadjeżdżający z przeciwka objechał ich szerokim łukiem, aby nikogo nie potrącić.

Farrell zatrzymał Madame Schumann-Heink. Wsiadając z samochodu, każde z nich chwyciło co mu wpadło pod rękę. Napastnicy Micaha Willowsa spostrzegli dwie szarżujące na nich postacie. Były w rozwianych płaszczach, wysokich butach chrzęszczących i stukoczących po bruku, w kapeluszach z piórami na wpół zakrywającymi szalone twarze. Wymachiwały łyzką do zmiany opon i kluczem nasadowym. Napastnicy mieli już dość kłopotu z afrykańskim burnusem swej ofiary, który oplatał im ręce niczym morskie wodorosty. Nagle tego wszystkiego zrobiło się jak dla nich za wiele. Julia cisnęła za nimi najlepszym kluczem, którego Farrell już nigdy nie odnalazł.

Zadrapanie na lewym policzku Micaha Willowsa krwawiło, poza tym nic mu nie było. Leżał na plecach, nie próbując się podnieść. Walił rękoma w chodnik, jakby powolnie odmierzał rytm. Farrell, równie łatwo jak napastnicy, uznał go za pijanego, ale nie czuło się od niego alkoholu. Julia próbowała unieść mu głowę. Wówczas Micah uniósł się na jednym łokciu i uśmiechnął z przerażającym triumfem, jakby wpadła właśnie w jego pułapkę.

- Dłoń, która dotyka Mansa Musę - zaintonował tajemniczo. Wybuch śmiechu nie pozwolił mu dokończyć zdania. Machając z powolną, niedbałą, królewską wyniosłością, opadł z powrotem na chodnik i leżał prychając. - Jesteście pieprzonymi straceńcami.

Julia powtarzała w kółko bezradnie jego imię.

- Możesz wstać? - zapytał go Farrell. - Spróbuj się podnieść, dobra? - Ale on pozostawał jedynie chichoczącym bezwładnym ciężarem, niemożliwym do dźwignięcia, nie mówiąc już o zachowaniu wyprostowanej postawy. Julia zachęcała go i szlochała, a Farrell przeklinał ich oboje, zazdrosny o jej zatroskanie i wściekły na własną zazdrość. W pewnym momencie, gdy mężczyzna przewrócił się po raz trzeci, a wraz z nim Julia, skutkiem czego na chwilę straciła przytomność, Farrell dał za wygraną i odszedł. Odwrócił się, gdy Julia zawołała za nim.

- Wiem, wiem, nie możemy go tu tak zostawić - powiedział, uprzedzając jej protest. - Ale on nie chce naszej pomocy, do diabła z nim. Idę zadzwonić po pogotowie.

- Micah - nalegała Julia - chcesz byśmy kogoś sprowadzili? Chcesz lekarza, czy ktoś może ci pomóc? Rodney Micah, powiedz nam, kogo wezwać.

Micah Willows leżał na boku z zamkniętymi oczyma. Farrell pomyślał, że zasnął. Ale gdy Julia delikatnie poruszyła jego ramieniem, zwinął się i poderwał na nogi w jednej chwili, niczym załamująca się fala lub podrywający się do ataku kot. Jego brązowe oczy zamieniły się w okna z widokiem na cierpienie, dla którego Farrell nie potrafił znaleźć słów.

- Yoro Keita - wyszeptał czarnoskóry mężczyzna. - Yoro Keita, który dowodzi moimi jeźdźcami. Samory, Askia al.-Kati, Modibo Toure, który przemawiał za mną i słabo znał moją duszę. Al.-Haji Umar, który nawet nie był z mego ludu, tylko z Tukulorów. Och, Al.-Haji Umar! - Głos stawał się coraz bardziej wyrazisty, niczym słaby, stary, palący wiatr, strząsający zagubione imiona. - Alfa Hasan ibn Mahmud, uczony w prawie, Moussa śpiewak, Moussa głupiec, Sheik Utman edDukkali, ten, który opowiadał mi o Mekce, gdy nie mogłem spać, Sekkou Diakite, Okoro mój steward, który kiedyś był niewolnikiem i potrafił grać na guimbri, Bakary z Walaty, mój dobry kapitan, Hamani, Kango, Sangoule Mossi... - Imiona opadały wokół Farrella, aż w końcu zdawało się, że wraz z Julią stoją na wpół pogrzebani w zaspie wyczelowanych, błyszczących sylab, znikając powoli w królewskim smutku.

- To moi przyjaciele - powiedział Micah Willows. - Oni przybędą po mnie.

Farrell myślał, że mężczyzna znowu się przewróci, ale on stał nieruchomo, z zamkniętymi ustami i oczami, z całkowicie pozbawioną wyrazu twarzą, kołysząc lekko swym chudym ciałem w poszarpanej szacie.

- Mansa Kankan Musa, sir - powiedział cicho Farrell. - Zabierzemy cię do domu, jeśli nam się uda. Powiedz, dokąd chcesz jechać.

Przez chwilę z zaciśniętego gardła Micaha dobywał się nerwowy gulgot, potem wydostał się dźwięk, jaki wydaje łamiące się drzewo - niezgłębione, wstrząsające nie. Czarnoskóry mężczyzna zaczął wykrzykiwać pojedynczą frazę, zaciskając pięści i odchylając coraz bardziej do tyłu głowę, aż w końcu widać było, jak ryk przedzierał się przez niego, usiłując wyszarpać się ze stawów, tętnic, obojczyka.

- Pani pomóż mi, Pani pomóż mi, Pani pomóż mi!

Jego słowa były tak pełne pasji i udręki, że początkowo Farrell wziął je za arabskie. Micah Willows odwrócił się od niego i ruszył wolno ulicą, nadal wołając i krzycząc przeraźliwie. Ciężki rytm słów wybijał na odkrytym szata ciele, jak wszyscy nawiedzeni i bezradni prorocy.

- Proszę - powiedziała Julia.

Farrell poszedł za Micahem, ujął go pod rękę i zawrócił ku Madame Schumann-Heink. Z pomocą Julii na wpół zaciągnął, na wpół zaniósł go do samochodu, wpełznął na siedzenie dla pasażera i zamknął drzwi. Julia wdrapała się do tyłu, uklękła na składanym siedzeniu i schwyciła Micaha za ramiona, przytrzymując mu plecy.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Ja znam tylko jedną Panią - odparł Farrell.

Pojechali więc przez niskie wzgórza do domu Sii z Micahem Willowsem drzemającym pomiędzy nimi, śniącym arabskie sny, sądząc po wydawanych od czasu do czasu pomrukach. Farrell powiedział Julii, co wie o Mansie Kankan Musie.

- Cesarz Mali, pierwsza połowa czternastego wieku. Wówczas było to najbogatsze królestwo w Afryce, a Timbuktu było największym miastem. Poeci, filozofowie, matematycy, naukowcy przybywali z całego świata, by studiować na dworze Mansa Musy. Gdy wyruszył na pielgrzymkę do Mekki, zabrał z sobą tyle złota, że przez całe pokolenie rynek nie mógł odzyskać równowagi. Niektórzy uważają, że stamtąd wzięła początek legenda o Presterze Johnie, czarnoskórym chrześcijańskim władcy, który byłby idealnym sprzymierzeńcem przeciwko Turkom, jeśli tylko dałoby się go znaleźć. Tyle że on był muzulmaninem i wówczas już dawno nie żył, a jego potomek pozwolił, by kraj zszedł na psy. Nadal jednak wysyłało się wyprawy w jego poszukiwaniu.

- Na potrzeby Ligi Micah przybrał imię Prester John - powiedziała Julia. - Był jednym z założycieli Ligi.

Micah Willows otworzył oczy, uśmiechnął się do nich i wyszeptał:

- Przeklęty straceniec - po czym ponownie pograżył się w wymarłych snach.

- Tak, to już znam - odezwał się Farrell. - Domyślam się, że pewnego miłego popołudnia Aiffe wygłupiała się, próbując przywołać kogoś poprzez czas, kogokolwiek, i trafiła na Mansa Musę zupełnie przypadkowo. Ale sprowadziła jedynie zjawę, duszę, czy jak to nazwać, a ona weszła w ciało Micaha, znowu zupełnie przypadkowo. Czy jak na razie mam rację?

Julia odpowiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

- To miało miejsce podczas turnieju ku pamięci św. Walenia, dwa lata temu. Gdy Garth był jeszcze królem. Micah wyzwał go i choć Garth nie przebierał w środkach, Micah wygrywał. I wtedy ona to zrobiła. Wcale nie wygłupiała się. - Farrell sięgnął za siebie, by dotknąć jej ręki, ale ta cofnęła się przed nim, mocniej zaciskając się na ramieniu Willowsa.

- Widziałaś, jak to się stało - powiedział.

Julia wydał dźwięk podobny do rozdzierania grubego płótna.

- To była walka o koronę, wszyscy ją widzieli. Wszyscy w Lidze wiedzą, co się wydarzyło.

- I nikt nie chce wiedzieć. Moja specjalność. - Julia nie odpowiedziała. - Tak jakby wtedy w ogóle nic się nie wydarzyło.

- On już wówczas był zupełnie szalony. Zapytaj kogokolwiek. - Farrellowi zaschło w gardle i zdusiło oddech na dźwięk goryczy w jej głosie.

- On nigdy nie był szalony, przenigdy. Teraz też nie jest szalony. Zaryzykował, był - jest - ciekawy wszystkiego i czasami rzeczywiście balansował na krawędzi prawdziwego wariactwa. Bałam się o niego, wrzeszczałam na niego i wybuchały kłótnie, jakie nam się nigdy nie zdarzyły. - Farrell chciał jej przerwać, ale zmienił zdanie. Julia teraz krzyczała. - Ale on nie jest szalony. W tym mieście pełnym szaleńców, być może on jeden nim nie jest.

Gdy zaparkowali przy krawężniku przed zarośniętym domem, Micah Willows wysiadł bez niczyjej pomocy, delikatnie wciągnął nosem nocne powietrze i uśmiechnął się z osobliwą ospałą pogodą.

- Och, tutaj - powiedział cicho i ruszył w kierunku domu, płynąc w trawie niczym żyrafa, stwór w całości zrobiony z cieni. Idącemu za nim wraz z Julią Farrellowi wydało się, że drzwi domu otworzyły się nim jeszcze zapukał.

Sia miała na sobie brązowy strój, równie bezkształtny jak uniform Farrella z ogrodu zoologicznego, tyle że mniej twarzowy: wyglądała w nim na grubszą, miała krótsze nogi niż w rzeczywistości, a jej piersi i brzuch przypominały wałek ziemniaczanego puree. Farrell zauważył jednak, że Sia stała w drzwiach z milczącą akceptacją swego ciała, jaką znał jedynie u kilku kobiet, którym przez całe życie nawet przez myśl nie przeszło, że mogą nie być piękne, nawet w bólu czy rozpacznie nie dopuścili do siebie takiej myśli. Micah Willows ukląkł u jej stóp i przemówił do niej w średniowiecznym arabskim, a ona odpowiedziała mu w tym samym języku, uspokajająco i przekonująco.

- Czemu przyprowadziliście go do mnie? - zapytała, a w jej głosie było coś zdumiewająco bliskiego lęku.

Pytanie było zaadresowane do Farrella, ale odpowiedziała Julia.

- Podobno jesteś uzdrowicielką. On potrzebuje uzdrowienia.

- Możliwe, że jego nie da się uzdrowić - powiedziała Sia. - Wiele przypadków nie daje się uzdrowić. - Pochyliła się nad Micahem. Widok jej zgiętego karku przypawił Farrella o mrowienie w okolicy serca, które ustąpiło dopiero, gdy podniosła bez wysiłku czarnoskórego mężczyznę i zaniósła go domu. - Joe, przywołaj Briseis - powiedziała, nie odwracając się. - A ty, jeśli się o niego troszczysz, wejdź do środka.

Julia spojrzała na Farrella i weszła za nią, a Farrell poszedł za dom, by wywabić psa z jego ulubionego miejsca za przymą kompostową Bena.

Briseis była bardziej niż zwykle wylękniona. Skulona weszła za nim do domu. Tymczasem Sia i Julia ułożyły Micaha na wytartym dywaniku przed kominkiem. Julia, zgodnie ze wskazówkami Sii, chodziła po pokoju, zapalając kadzidełka tylko w niektórych miejscach. Sia kuciała przy Micahu, dotykała jego twarzy, piersi i spoconych włosów, podczas gdy on trzymał jej lewą rękę. Patrzył szeroko otwartymi oczami i uśmiechał się do niej.

- Rozpal ogień, Joe - powiedziała Sia.

Pokój wydawał się duszny i przegrzany, ale Farrell przyniósł polana, gazety i bez dyskusji rozpalił w kominku. Potem równie posłusznie wrzucił w ogień dziwne zawiniątka, które mu podała Sia. Większość z nich brzydko pachniała, gdy je trzymał w dłoni, a jeszcze gorzej, gdy wrzucił w ogień; każde z nich zmieniało kolor płomieni, z żółtego na niebieski, niebieski na krwiste czerwony, czerwony na zieleń o zachodzie słońca, zielony na różne odcienie purpury, szarości i bieli, jakich nie widział w żadnym kominku w żadnym domu. Ostatnie zawiniątko i słowo, które wymówiła, sprawiły, że płomienie poczerniały i odpowiedziały jej. Sia nadal kucając, odwróciła się ociężale, by spojrzeć w twarz Julii i Farrella.

- Żadna z tych sztuczek mu nie pomoże - powiedziała. - Nie mogę uwolnić go od tego, kto jest w nim uwięziony. To wszystko babranina wiedźmy, to właśnie zrobiłaby ta g łupia mała, ale ja nie jestem wiedźmą i to nie pomoże. - Wyglądała na bardzo zmęczoną, wilgotne policzki lśniły, górną wargę znaczyły drobne, białe linie. Nagle zachichotała, wydając świszczący, trzaskający dźwięk, jak szczotkowane włosy. - To wszystko jedynie po to, by mnie uspokoić i zyskać na czasie, ponieważ się boję - powiedziała. - Gdy tylko uda mi się go uzdrowić przez wyobrazenie sobie tego, wówczas to, co mu się przydarzyło, nigdy więcej nie będzie dozwolone, tak jak liściowi nie wolno wskakiwać z powrotem na drzewo. Ale teraz boję się i odwlekam chwilę, w której będę musiała dowiedzieć się, dlaczego powinnam się bać. Więc jeśli ktośś z was zna jakieś drobne zaklęcie, to możemy je wypróbować. Potrzebuję przyjaciół i nie mam dumy. - Mówiąc to, patrzyła prosto na Julię.

- Gdzie jest Ben? - zapytał Farrell. - Jak to się stało, że nie spisz jeszcze o tak późnej porze? Wiedziałaś, że przyjdziemy?

Sia zignorowała go kompletnie.

Julia, opanowując nagłe podniecenie, szukała słów.

- Gdybym znała jakieś cholerne czary, które by go uleczyły, to nawet pięciu minut nie byłby w tym stanie. - Odwróciła wzrok od Sii, trąc zapuchnięte oczy.

- Och, wielu ludzi zna jakieś czary - powiedziała niecierpliwie stara kobieta. - Po prostu o nich zapomnieli. Dzieci posługują się nimi cały czas. W końcu czym są wyliczanki, gry słowne z piłką lub kocie kotyski? Jak myślisz, skąd ta dziewczyna, ta Aiffe, czerpie swą moc? Stąd, że odmówiła zapomnienia, to wszystko. - Nagle Sia westchnęła i podniosła się, wspierając się na udach z głośnym kłapnięciem. - Ale to nie jest już kwestia czarów. Nawiedzony, głupi dzieciak wypróbował na waszym przyjacielu wyliczankę i teraz tylko cud może mu pomóc. Na tym właśnie polega cholerny problem z amatorami. - Przywołała do siebie Briseis i kazała ociągającemu się psu stanąć po przeciwnej stronie spokojnie uśmiechającego się Micaha Willowsa. - No cóż, być może Briseis potrafi dokonać cudu - powiedziała i zaczęła rozplatać włosy.

Wydawało się, że to trwa wieczność, jakby rozplatała góry, wieże, nie włosy, a z każdym rozplecionym i rozczesanym pasmem salon wydawał się rosnać, ściany bledły i cofały się, sufit rozpływał się w gwiazdnym blasku. Czarne płomienie skuliły się, ale nie wygasły. Sia nadal rozplatała i rozplatała swe włosy, a osobliwy gwiazdny blask wypełnił pokój, srebrząc twarze, połyskując niebiesko w futrze Briseis, czyniąc wszystko zapierającym dech w piersiach jasnym i nierealnym. Świetlista poświata otoczyła Się, która zaczęła błyszczeć niczym śniegowa rzeźba, a szeroko otwarte oczy Micaha wypełniła poranna zorzą.

Farrell w dzieciństwie chodził do kościoła, mimo że religijny nie był, co wszyscy zainteresowani uznali za kompromis wystarczająco zadowalający. Nigdy nie brakowało mu Boga czy nadziei na niebo, ale z całego serca pragnął spowiedzi dla uspokojenia swego umysłu i komunii, która pozwalała mu dotknąć czegoś poza suchą, drżącą dłonią ojca Kronego i święconej wody smakującej jak blask gwiazd. A teraz, w pokoju rozjaśnianym prawdziwym cudem, zachwyconemu do granic wytrzymałości, udało się pomyśleć, a może powiedzieć, a może wszystko naraz: och, jak mimo wszystko łaskawie, jak łaskawie. Wtem Sia potrząsnęła głową i włosy rozsypały się jej luźno na ramiona. Micah Willows krzyknął.

Farrell od razu poznał, że ten krzyk był wołaniem lęku, nie bólu i że, choć wydany przez Micaha, nie był jego krzykiem. Mimo wszystko dreszcz wstrząsnął nawet najmniejszą z jego kości. Ruszył do przodu równie od-ruchowo jak Julia. Musieliby jednak minąć Się, a tego nie byli w stanie zrobić. Stała pomiędzy nimi i Micahem, odwrócona do nich plecami niczym bezgraniczny, błyszczący spokój, zniekształcony przez siłę, nikt im znajomy, nikt im przyjazny. Briseis podniosła się na tylnych łapach, ogromna niczym tygrys. Objęły się nad ciałem Micaha, wtulając się w siebie, tak że Sia zdawała się w miejsce swojej, mieć spiczastą, szczerzącą białe zęby, głowę Briseis. Wówczas Farrell przypomniał sobie odbicie w szybie, które widział podczas swego pierwszego spotkania z Sia i

przytulił Julię mocniej, czekając na mające się wydarzyć cuda. Cuda, o których zawsze wiedział, że muszą się wydarzyć.

Ale nic się nie stało. Sia nie wykonała żadnych czarodziejskich gestów, nie wypowiedziała zaklęć, nie przywołała błyskawicy, ale stała nieruchomo z łapami psa na ramionach i czarnoskórą mężczyzną, któremu każde kolejne wycie przeraźliwiej wyginało plecy. Blask gwiazd w pokoju zaczął słabnąć, a w jego miejsce nie powróciła dobra ciemność, ale palące, rozbiegane cienie, zaaferowane jak chomiki. Maską nad kominkiem klekotała swymi szczękami z brązu.

- No i widzicie? - Sia zepchnęła Briseis na dół i odwróciła się do Farrella i Julii. - Każdej akcji odpowiada reakcja, ta zasada jest równie słuszna w przypadku bogów czy demonów, jak w przypadku rakiet. Jeśli zakrzywisz wszechświat w niewłaściwy sposób, nawet na najmniejszą chwilę, co nazwalibyście cudem, dostaniesz coś, o co nie prosisz. Raz już mnie tak ukarano. - Jej głos był równie pogodnie rozbawiony jak zawsze.

Farrell nie mógł sobie przypomnieć, jak się mówi. Krzyki Micaha rozszarpały mu głowę, a na jego oczach Sia kurczyła się, nie tylko do swych zwykłych rozmiarów, lecz jednocześnie jakby traciła strukturę, tak że zdawało mu się, iż widzi przez jej ciało czarne płomienie i wyszczerzoną maskę z brązu. Kobieta uspokoiła dotknięciem skamlałą Briseis i jeszcze raz ukłękła przy Micahu, mrucząc słowa, które nie były ani po angielsku, ani po staroarabsku. Mężczyzna zastygł w przeraźliwym bezruchu, tylko jego oddech telepał się w piersi.

- Wybacz mi - wyszeptła Sia.

- McManus - odezwał się Farrell. Cień wielkości świni prześliznął mu się pomiędzy nogami, po czym zawrócił i zaczął go obwąchiwać. - "McManus, gdy przyszedł do domu z pistoletem - powiedział. - Pamiętam, co zrobiłaś. Widziałem cię.

Zaskoczony śmiech Sii przypominał oddech Micaha.

- To nie był cud, to był tylko strach. Wzbudzenie lęku w istocie ludzkiej jest najłatwiejsze, nikt z nas nigdy nie potrafił się temu oprzeć. Zrobią wszystko za ciebie, a potem nazwą cię bogiem. Ale nikt nie potrafi wzbudzić lęku we wszechświecie. - Druga maska, jej ulubiona, z Nowej Gwinei, zaczęła kłapać kłami i rekinimi zębami. Sia uciszyła ją machnięciem ręki, a ona kłapnęła na nią wzgardliwie.

- Wybaczcie mi - powiedziała Sia do Farrella i Julii. - Nie powinnam was w ogóle wpuścić, udawać, że mogę coś zrobić dla waszego przyjaciela. To była próżność, nie współczucie i jest mi bardzo przykro z tego powodu. Idźcie już. Myślę, że jeszcze potraficie.

Do cienia świni dołączył inny, większy, ze zbyt dużą liczbą nóg. Cisnęły się wokół Farrella, ocierając się niczym Briseis, grube jak kloce, pachnące psim jedzeniem. W oddali, po drugiej stronie cieni, usłyszał słowa Julii.

- Joe, pomóż mi podnieść Micaha na nogi. Zabieramy się stąd.

- Nie - powiedział najgłośniej, jak potrafił. - On ją przyzywał, wie, że ona jest jedyną osobą, która może mu pomóc. Ty go kochasz... - Smak w jego ustach wydał mu się równie zjętcały jak zapach cieni. - Chcesz, żeby na zawsze taki pozostał? Nawet w Avicennie zamkną go gdzieś, dadzą coś na uspokojenie i on umrze. Ona musi spróbować jeszcze raz i koniec.

- Nie rozumiesz. - Sia gwałtownie potrząsnęła głową, otrzepując włosy z ostatnich pozostałości gwiazdnego blasku. - Nie rozumiesz. Podpuściłam was, ponieważ się bałam, ponieważ wiedziałam, że mi się nie uda, a wiem co to znaczy, gdy cud się nie uda. Moja moc jest jedynie wspomnieniem tego, czym była, ale nie ośmielę się użyć nawet jej połowy, nie ośmielę się. Zabierzcie go i odejdźcie, odejdźcie szybko.

Julia pochyliła się nad Micahem, usiłując wsunąć mu ręce pod plecy. Wyprostowała się powoli, spoglądając na Się z pełnym oburzenia respektem.

- Ponieważ wszechświat odskoczy - powiedziała przyciszonym głosem.

- Dokładnie tak mocno, jak go nagniesz. - Sia zatoczyła wokół siebie ręką, wskazując na rojące się cienie, wiszące maski, z których wszystkie z wyjątkiem jednej klekotały i zawodziły pożądliwie, rzucając się na hakach. - To jest nic, ponieważ ja próbowałam nic. Gdybym użyła całej mocy, którą posiadam, to i tak nie wystarczyłoby na uwolnienie Mansy Kankana Musy z tego czasu, ale odskok, jeśli tak wolicie to nazwać, odskok mógłby przerzucić nas wszystkich w środek przyszłego tygodnia. - Jej uśmiech przeciął ciemności, niczym nagłe pojawienie się żagla. - Nie spodobałby się wam środek przyszłego tygodnia. Micah Willows usiadł, zawodząc cicho.

- Al.-Haji Umar! Al.-Haji Umar, tum jest! Okoro, Bakary, Yoro Keita, tu czekam, przybądźcie i odszukajcie mnie! - Julia przykucnęła przy nim, podtrzymując, gdy zaczął się osuwać, ale on wyrwał jej się słabo, bełkocząc i pomrukując. - Ręka, która dotyka Mansa Musy. - Julia spojrzała w milczeniu na Się. Cienie przyćmiły i skurczyły ich twarze, pomimo tego Farrell dostrzegł przeciągłe spojrzenie, które wymieniły, głębsze niż potwierdzenie współudziału, bardziej szczere niż poczucie kobiecej solidarności, niemal wstydlive.

- Proszę, spróbujesz raz jeszcze? - zapytała Julia. - Pomogę ci.

- Ty mi pomożesz? - Odpowiedź Sii przyszła tak szybko i była tak stanowcza, że Farrell wierzył, iż miała ją gotową nim jeszcze Micah Willows zapukał do jej drzwi. - Dziecko, nikt nie może mi pomóc, nikt z wyjątkiem Briseis, a ona może tylko to, co może. Jesteś niesamowicie głupia, samolubna i bardzo odważna, a teraz powinnaś iść do domu, w tej chwili. W niektórych sprawach nie można pomóc, po prostu idź do domu.

- Powiedziałaś, że pewni ludzie znają przynajmniej trochę magii. - Jej głos lekko drżał, gdy odpowiedziała, ale słowa padały szybko i wyraźnie. - Moja, jeśli jakąś mam, pochodzi od mojej babci. Ona urodziła się na wyspie zwanej Hachijojima i nigdy nie nauczyła się angielskiego, ale ja rozmawiałam z nią po japońsku, gdy byłam mała. Nie wiedziałam, że to był japoński, to był po prostu sposób, w jaki rozmawiałam z babcią. Pamiętam, że doprowadzała moich rodziców do szaleństwa, ponieważ opowiadała mi naprawdę straszne historie o różnych duchach, shirei i muenbotoke i głodnych duchach, gaki. I ikiryo, te były najgorsze, to są dusze żywych i można je wystać, by zabijały ludzi, jeśli się jest dostatecznie niegodziwym. Uwielbiałam opowieści o ikiryo. Miałam po nich takie wspaniałe senne koszmary.

Sia kiwała się, śpiąca stara kobieta przed dopalającym się ogniem.

- I boginie, Marishiten, Sengen z Fujiyamy. Czy twoja babcia opowiadała ci o Sengen?

- Ko-no-hara-saku-ya-hime - zanuciła cicho Julia. - Mówiła, że to znaczy, iż Sengen była promienna, niczym kwiaty na drzewach. I YukiOnna, Pani Śniegu. Uważałam, że była cudowna, mimo tego, że była Śmiercią. - Umilkła na chwilę, ale Sia nic nie powiedziała, więc Julia wzięła głęboki oddech i dodała: - I Kannon. Szczególnie Kannon.

- KuanYin - szepnęła Sia. - Avalokitesvara. O jedenastu obliczach, końskiej głowie, tysiącu rąk. Kannon Mitosierna.

- Tak - powiedziała Julia. Łeb Briseis ciężko opadł Farrellowi na kolana. Poklepał ją, znajdując liche, żalotne pocieszenie w tym, że go potrzebowała. - Nic z tego w ogóle nie pamiętam - mówiła Julia - ale babci udało się zawierzyć mnie Kannon. To była mała, prywatna ceremonia, byliśmy tylko my dwie. Mój ojciec nas przy tym zastał i zdaje się, że o mała nie wyskoczył z siebie. Nie wiem. Nie miałam więcej niż pięć czy sześć lat.

Czarne płomienie wygasły niemal zupełnie. Jedyne światło w wypełnionym cieniami pokoju zdawało się emanować z gniewnych masek i, co dziwne, ze zniszczonej, pokiereszowanej twarzy Micaha Willowsa.

- Na pewno wiem tylko to, że potem nie przebywałam już wiele z babcią - ciągnęła Julia. -Więc dość szybko straciłam cały japoński i babcię również. Umarła, gdy miałam osiem lat. Została pochowana na Hachijojimie.

Dwa cienie musnęły kostki Farrella jednocześnie lodowatymi, drobnymi zębami, które nie pozostawiły śladu. Odegnął je, ale zbliżyły się następne, bezkształtnie agresywne niczym japońskie duchy Julii.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, czemu to zrobiła? - zapytała Sia. - Czemu zawierzyła cię Kannon?

- Nie wiem. Może miała nadzieję, że zostanę buddyjską mniszką. Sia kręciła głową, nim jeszcze Julia skończyła mówić.

- Twoja babcia była bardzo mądra. Nie wiedziała, jakim darem cię obdarzyć na życie w tym kraju, który zaczynał cię od niej odrywać, ale wiedziała, że wszędzie istotom ludzkim najbardziej ze wszystkiego potrzebne jest miłosierdzie. - Odwróciła się i przez chwilę spoglądała na Micaha, po czym powiedziała coś do niego bardzo cicho po arabsku. Farrell nie miał wątpliwości, że powtarzała swe ostatnie słowa: najbardziej ze wszystkiego potrzebne jest miłosierdzie.

- No cóż - powiedziała, po czym wstała, klasnęła w dłonie, by odgonić cienie i warknęła: -Bądźcie w końcu cicho! - do masek, które i tak nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Obróciła się uroczyście trzy razy, niczym Briseis układająca się do snu. Farrell i Julia patrzyli na nią zdumieni, a ona roześmiała się.

- Żadnej magii, żadnych cudów - powiedziała. - Jedyne staruszka próbująca opanować własne trzęsienie. To, co teraz mamy zamiar zrobić, jest szalone i szaleńczo niebezpieczne, dlatego wszyscy powinniśmy pewnie trzymać się na nogach.

- Joe, lepiej idź - rzekła Julia. - Nie musisz tu być.

- Odchrząń się, skarbie - odparł, urażony i wściekły. Jego głos na krótko uciszył maski.

- Przepraszam - powiedziała Julia, dotykając go.

- Zrozumcie mnie - odezwała się staruszka, a jej ochrypy głos nagle zabrzmiał tak strasznie, że z pokoju natychmiast zniknęły cienie i Farrell dostrzegł odległe, błogosławione zarysy krzesel i figur szachowych. - Nie robię tego dla żadnego z was - mówiła Sia - a nawet tak naprawdę nie dla niego - dla nich - ani z próżności, jak wam poprzednio powiedziałam. Robię to ze wstydu, ponieważ wiedziałam, co się stało w chwili, gdy to się stało i nic nie zrobiłam. Nie śmiałam opuścić swego domu. Mogłam przywołać go tu do mnie, ale lękałam się własnego zniweczenia, jeśli nie udałoby mi się go uwolnić. Więc niczego nie zrobiłam przez dwa lata, aż do dzisiejszej nocy.

Farrell nie był pewny, czy wyraził głośno swój delikatny protest, nim ucięła mu zapalczywie.

- Oczywiście, że na mnie spoczywała odpowiedzialność! Na mnie spoczywa odpowiedzialność za dopilnowanie, by pewne prawa były przestrzegane, a pewne wrota otwierały się tylko w jedną stronę. Bez względu jak zmęczona, słaba czy przestraszona jestem, to należy do moich obowiązków. Jeśli nadal upieracie się na pomaganiu mi, to robicie to z czystej ignorancji, ponieważ nie potraficie sobie nawet wyobrazić, czym ryzykujecie. Ale ja to robię ze wstydu.

- Sądziś, że Kannon przybędzie? - zapytała Julia. - Co powinnam zrobić? Jak mam ją przywołać?

- Zapomnij o Kannon - odparła Sia. - Spróbuj przywołać swoją babcię.



Dobrze wiedziała, co mówi na temat równowagi, polecając Julii i Farrellowi, by stali tak ostrożnie w ciemnym pokoju, jakby znajdowali się w jadącym metrze. Nawet Micaha, jak mogła najlepiej, wsparła o kominiek, nim odwróciła się i powiedziała po raz drugi: - No cóż. - Cała trójka ustawiła się wokół Micaha, obok którego dygotała Briseis. Sia trzymała rękę na karku psa. Micah Willows przytulił się do nogi psa, spojrzął na nich i powiedział:

- Pieprzony przeklęty. Prester John wie. Przez długą chwilę nic się nie wydarzyło.

Pierwszy powrócił gwiazdny blask, ku wielkiej radości Farrella. Tym razem miał zamiar przyjrzeć się mu uważnie, aby przekonać się, czy rzeczywiście splatał się z włosami Sii, czy też emanował skądś spoza pokoju. Ale gdy już się pojawił, to po prostu był, sprawiając, że cały pokój chwiał się w posadach, a Farrell był zbyt szczęśliwy, by zrobić cokolwiek poza wyszeptaniem powitania i ściśnięciem dłoni Julii. Zapach kwiatów robił się coraz intensywniejszy w miarę jak wokół rozlewał się blask. Plumeria, bogowie pachną jak Hawaiian plumeria. To przywodziło mu na myśl Sengen, piękną jak kwitnące drzewa. Micah Willows lub król wewnątrz niego zaczął ponownie cicho jęczeć w niepojętym straszliwym oczekiwaniu. Czy to tak czuje się Egil Eyvindsson za każdym razem? - pomyślał Farrell. Wysoko ponad nimi twarz Sii wznosiła się niczym księżyc: złocista i znużona, wbita w ludzkie piękno przez nieustanne kamienowanie. Farrell nie mógł znieść patrzenia na nią.

Wtem Sia powiedziała coś w języku podobnym do mydlanych baniek, coś co mogło oznaczać jedynie, nie, cholera, niech to jasna cholera i, jakby jakaś niebiańska brygada rozbiórkowa zabrała się do pracy, wyszczerbione kawałki nocy zaczęły wpadać przez ściany i sufit salonu. To, czego nie udało się dokonać wspólnie Aiffe i Nicholasowi Bonnerowi, teraz działo się w przeciągu sekund. Pokój rozpadł się na kawałki, niczym latawiec szarpany wichurą. Ale solidne stare domy, swobodnie rosnące ogrody ulicy Scotia Street i światła Avicenny również zniknęły, pozostawiając poza poszarpaną sugestią domu Sii jedynie niebo usiane dziwnymi, pędzącymi gwiazdami i ciemnościami, które również poruszały się. Trwało tak na zawsze, bez żadnej nadziei na rano. To była jedyna wizja, jakiej Farrell kiedykolwiek doświadczył, surowej, nieobliczalnej przestrzeni. Nie mógł utrzymać się na nogach. Skulił się pomiędzy spadającymi gwiazdami, zakrył oczy i zwymiotował, myśląc absurdalnie: Nigdy nie skończę teraz piaskowania tego starego essexu, nigdy nie pójde do domu, by to skończyć.

W jakiś oderwany sposób świadom był tego, że Julia krzyczała gdzieś w pobliżu.

- Kannon! ShoKannon, ju - ichi - men Kannon! Senju Kannon, ba - to Kannon, nyo - i - rin Kannon! Och, Kannon, proszę przybądź, Kannon, proszę! Sho - Kannon, senju Kannon! - Powtarzała tak w kółko i Farrell chciał jej powiedzieć, by się zamknęła, ponieważ przyprawia go o ból głowy. Ale właśnie wówczas przybyła do nich złocista Kannon, więc tego nie zrobił.

Potem Julia opowiadała, że bogini po prostu przeszła przez dziurę w przestrzeni, odsuwając na boki niekończącą się, nic nieznaczącą noc, setką ze swego tysiąca rąk, a potem pozwoliła, by zamknęła się za nią. Julii udało się dostrzec zielononiebieskie brzegi niebios i smoki. Ale Farrellowi wydawało się, że bogini powoli wyłoniła się z długiego korytarza, a do miejsca, w którym byli, dostała się przez jedną z masek Sii, tą, która nigdy nie ożywała w ten paskudny sposób, ale wisiała doskonale spokojna na ścianie, pod którą powinien być kominiek. To była maska kabuki, biała jak gips. Na oczach Farrella zaczęła stopniowo przepływać w Kannon, rozmywając się i przelewając w jej okrągłą brązową twarz, wiotkie ramiona, szaty niby obłoki i podłużne bursztynowe oczy. Jej obraz nieustannie pulsował i falował, przybierając postacie i rozmiary niemieszczące się w wyobraźni Farrella. Zobaczył, że skłoniła się lekko Julii, pozdrawiając ją i wyrażając jej swe uznanie. Gdy spojrzała na niego, otarł omdlałym ruchem twarz, zawstydzony, że musi go takim oglądać, ale Kannon uśmiechnęła się. Farrell zaszlochał, nie wtedy, ale potem, ponieważ uśmiech

Kannon pozwolił mu na to, tak jak pozwolił mu wybaczyć samemu sobie kilka bardzo paskudnych spraw.

Później Farrell zawsze upierał się przy tym, że słyszał jak Kannon rozmawiała z Sia w języku przypominającym pękające mydlane banki i że rozumiał każde ich słowo.

- Stara przyjaciółko...

- Stara przyjaciółko...

- Nie mogę mu pomóc. Jestem zbyt zmęczona...

- Ja mu pomogę...

- Jesteś młodsza i masz większą moc. Masz wielu czcicieli, ja żadnego...

- Pozory. My nie istniejemy...

- Być może. Ale dziecko cię przywołało i ty przybyłaś...

- Oczywiście. Jak mogłabym nie? Znam jej babkę...

- Tak. Dziękuję, stara przyjaciółko...

Ale Sia zaklinała się, że w ogóle nie rozmawiały, że nie było potrzeby rozmowy pomiędzy nimi; Julia doprowadzała go do szaleństwa opisami, jak to Kannon pochyliła się nad Micahem i dotknęła jego oczu, faktycznie ich dotknęła, a on zamrugnął i powiedział:

- Julia - głosem, który pamiętała i natychmiast stracił przytomność.

Farrell przegapił całą tę część, uprzytomniając sobie, że Ben wisiał w nocnej oddali, niczym maska kabuki Sii, przypatrując się sennie rozgrywającej się poniżej scenie. Potem Kannon ponownie skłoniła się Julii, która była zbyt zajęta nadal nieprzytomnym Micahem, by to zauważyć, następnie, niczym zorza polarna, pokłoniła się Sii i odeszła wraz z gwiazdnym blaskiem. A Ben zszedł po zrekonstruowanych schodach i przeszedł skrzypiącą podłogą salonu do Sii. Objął ją ramionami i przytulił jak mógł najmocniej do siebie.

Micah Willows otworzył oczy.

- Julio? - powiedział. - Rety, kim są ci ludzie?

Farrell stał bez ruchu, przysłuchując się pierwszym ptakom i spryskiwaczom uruchomionym przed domem obok, całkowicie pochłonięty myślami o uśmiechu Kannon.

16.

Prawie od każdego rycerza Ligi, z wyjątkiem mistrza sztuk walki, Johna Erne, i króla oczekiwano, że weźmie udział w wojnie, choć pozostawiono im wybór sposobu walki. Farrell wiedział tylko, że jego miejsce jest po stronie Simona Widefarera i że będzie robił coś humanitarnego i podtrzymującego na duchu. Zapytał Simona, czy robienie kanapek i improwizowanie z Hamidem ibn Shanfara podnoszących morale pieśni daje prawo do statusu żołnierza nieliniowego. Simon niczego nie gwarantował, ale doradził wspiąć się na drzewo.

Obowiązywały proste zasady wojny i było ich niewiele. Poro śniętą zaroślami, trzynastoakrową wyspę na środku jeziora Vallejo corocznie odstępowano Lidze przez ostatnie kilka lat, dzięki powiązaniom przyjaciół z rozsądnymi władzami i brakowi zainteresowania turystów terenami opanowanymi przez sumaka jadowitego. Na tydzień przed ich odświtudozmierzchu okupacją wyspy stronie obrońców wolno było wznieść na niej sieć barbakanów i zewnętrznych umocnień, jak również rozlicznych symbolicznych okopów, pułapek i potrzasków. Wszystkie były skupione wokół prymitywnej twierdzy, niewiele różniącej się od zwykłej palisady na szczycie hałdy ziemi. Ten właśnie zamek miały zdobyć siły Gartha de Montfaucona, by wygrać wojnę.

Zasady walki były takie jak w czasie każdego turnieju. Wyniki zaś zależały głównie od honoru i zdania ośmiu sędziów, po czterech z każdej strony. Jedyne odstępstwo od zwykłych zasad Ligi pozwalało każdej ze stron na użycie broni normalnie zabronionej. Simon Widefarer wybrał tuk,

Garth morgenstern. W praktyce, jak wytknął William the Dubious, zawsze kończyło się na mieczach, ale wybór Simona zmusił najeźdźców do przywdziania hełmów i solidnych zbroi, pomimo specjalnie stępionych strzał.

- Szybko da im się to we znaki, szczególnie w upalny dzień. Nigdy o tym nie pisano, ale zwykłe wyczerpanie musiało zbierać równie obfite żniwo wśród rycerzy, jak sama walka. Spodziewam się, że zaczną padać o drugiej, no może o trzeciej.

- Czy zdołamy opierać się im tak długo?

William rozpromienił się. Pomagali przy wznoszeniu drewnianego zamku całe popołudnie, wspomagani przez godne oblężenia zapasy meksykańskiego piwa.

- To najłatwiejsze z tego wszystkiego. Rzecz w tym, Joe, że obrońcy zawsze mają przewagę. Na całej wyspie są tylko trzy dobre miejsca do wylądowania. Było ich więcej, ale jednego roku Garth przez cały tydzień zasypywał głazami każde, które choćby trochę przypominało plażę. Samo zajęcie pozycji na brzegu zajmie im całe przedpołudnie i stracą przy tym wielu ludzi. Mają czas tylko do zachodu słońca, a my możemy utrzymać ich z dala od zamku do popołudnia, przy odrobinie szczęścia.

- Niezłe szansę - powiedział Farrell. Chciał dodać, jeśli nie brać pod uwagę Aif f e, ale zamiast tego zapytał: - Ty naprawdę nie możesz się tego doczekać, prawda?

- To będzie moja piąta wojna - odparł, kiwając z powagą głową William the Dubious. - Myślę, że jest ona wspaniałym ujściem dla tylu złych spraw, całej agresji, przemocy, fałszywych zachowań, wszystkich tych spraw związanych z wyborem stron, wygraniami. Wkrótce wszystkie wojny będą właśnie takie, jak nasze. Nikt nie może sobie już pozwolić na prawdziwe, ale ludzie nadal muszą je toczyć. - Przerwał, śmiejąc się z zakłopotaniem, po czym dodał: - No dobrze, mężczyźni muszą je toczyć. Widzisz, przygotowałem się.

W wieczór poprzedzający wojnę Farrell udał się z Hamidem na spotkanie w domu Williama, by omówić plany na Wojnę Czarownicy, jak już ją nazywano. Simon Widefarer i jego najsilniejsi wojownicy, niczym piłkarscy kibice, dyskutowali o minionych turniejach i legendarnych czynach w czasie walk wręcz, a także, niczym znawcy dywanów czy najnowszej mody, rozprawiali o technice pracy tarczą i innowacjach w pojedynku na topory bojowe. Było zaprawione korzeniami wino i domowe piwo, a konwersacja toczyła się na przemian w języku potocznym i głupim, uprzykrzonym języku z czasów Ivanhoe.

Farrell zasnął i Hamid obudził go kuksańcem, gdy spotkanie dobiegło końca.

- Na czym stanęło? - zapytał zaspany. - Mamy plan walki?

- Najlepszy plan na świecie - odparł Hamid. - Wal ich po głowach, trzymaj się z dala od sumaków jadowitych i uciekaj co tchu, gdy pojawi się Aiffe. Zgrabny plan gry.

Farrell przyszedł na spotkanie w stroju wykonanym przez Julię, w obcisłych spodniach, tunice i sznurowanej bluzie, podobnie jak wszyscy pozostali z wyjątkiem Hamida, który przybył prosto z biura, ubrany w brązowe, luźne spodnie, białą koszulę z krótkimi rękawami i - pomimo upału - miał wąski, czerwony krawat, szykowny niczym wąż. Przechodnie odwracali się i gapili na nich, gdy mijali ich w ten rozkosznie pogodny wieczór.

- Muszę przestać pić to cholerne piwo Williamsa. Modele mogłyby na nim latać.

- Jak rozumiem, on dba o aprowizację na wojnie - powiedział Farrell. - Nadal sądzisz, że Aiffe się pokaże?

Simon zaklinał się, że obiecała...

- Człowieku, ja wiem, że ona się pokaże! - Hamid zatrzymał się. - Simon po prostu usiłował odciągnąć ich myśli od tego planu bitwy, który Garth rozesał. Mamy nad nimi blisko dwukrotną przewagę liczebną. Myślisz, że stary Garth tego nie zauważył? Myślisz, że pozwoliliby nam na zdobycie takiej przewagi, gdyby nie miał w zanadrzu jakiegoś własnego planiku? - Jego głos wznosił się i opadał w rytm śpiewnego mamrotania sagi o św. Waleniu. - To będzie fantazja na jedną kobietę, na żywo z Las Vegas, a gdy się skończy, nie będzie już więcej zastanawiania się i wątpliwości co do tego, kto jest pierwszą gwiazdą Ligi. I będzie śmierć.

Przeszli dwie przecznice, nim Farrell na tyle uwierzył w ostatnie słowa Hamida, by je powtórzyć.

- Ja tak powiedziałem? - zapytał, mrugając z niedowierzaniem Hamid. - Mówiłem, że muszę skończyć z tym piwem, ono budzi we mnie barda, a ja nawet tego nie zauważam. - Milczał, dopóki nie doszli do następnej przecznicy, a potem powiedział cicho: - Nie, to nie jest prawda. To po prostu zdarza się co jakiś czas bardom.

- Śmierć - powiedział Farrell. - Czyja śmierć? Jak?

Ale Hamid szedł dalej, krocząc szybciej niż Farrell kiedykolwiek widział, z czerwonym krawatem przerzuconym przez ramię.

- Po prostu wyrwało mi się na głos. Nie zwracaj na to uwagi.

Nie odezwał się ponownie, dopóki nie zblizyli się do rogu Parnell, gdzie Farrell miał skręcić w kierunku domu Julii.

- Wieść niesie, że pewien nasz wspólny królewski przyjaciel nie szwenda się już dłużej po ulicy. Miło mi to słyszeć - powiedział w zamyśleniu.

- Przebywa w szpitalu - odparł Farrell. - Jest niedożywiony, ma kłopoty z nerkami, lekką anemię i jeszcze kilka chorób, na które zapadasz, żywiąc się odpadkami. Jego zęby dawno już nie oglądały dentysty, a on sam jest teraz pod tak zwaną obserwacją, ponieważ szwankuje mu pamięć. Ale poza tym ma się świetnie.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci o nim prawdy - usprawiedliwił się Hamid. - Będę szczery, miałem wątpliwości, czy potrafisz uwierzyć. - Uciał krótko oburzoną odpowiedź Farrella. - Tak, wiem, przy robieniu czego widzieliśmy obaj Aiffe, ale musisz zrozumieć, że widziałem również ponad stu inteligentnych ludzi wytrwale zaprzeczających temu, co ona na ich oczach zrobiła. Uznać to za niebyłe, słyszysz, co mówię? Zmienić go, zmienić Micaha, by pasował do opowieści, widziałem jak to robili. Człowieku, on pomógł założyć i zorganizować tę całą cholerną Ligę, a po kilku tygodniach został po prostu jeszcze jednym czarnym szaleńcem, nieobecnym bez odejścia, tubylcem, zgodnie z ich godną pożałowania skłonnością do takiego załatwiania spraw. - Głos drżał mu równie mocno, jak ręka ściskająca przedramię Farrella. - Jeśli kiedykolwiek chciałbyś zobaczyć prawdziwe czary, to obserwuj ludzi broniących swego dobrego samopoczucia, swych przekonania. Tam je znajdziesz.

- Czemu zostałeś w Lidze? - zapytał Farrell.

- Potrzebowali kronikarza, a ja potrzebowałem czegoś, czego kronikę mógłbym prowadzić - odpowiedział. Hamid prawie całkowicie odzyskał już panowanie nad sobą. - Muszę dbać o własne dobre samopoczucie.

Na rogu pożegnał się nagle, odwrócił, zawahał, po czym dodał:

- Inny powód, dla którego było mi trochę trudno rozmawiać z tobą o Micahu... wiesz, domyślasz się, że Julia i Micah byli parą, gdy to się stało. - Farrell kiwnął głową. - Nie brałbym sobie tego do serca - powiedział Hamid. - Ale powiedziałbym, że łączy ich kilka niedokończonych spraw.

- To ich sprawy - odparł Farrell. - Z drugiej strony, ten twój głos, ta jutrzejsza śmierć, myślę, że to jest nasza sprawa. Uważam, że powinniśmy mieć się na baczności.

Hamid prychnął.

- Ten głos nic nie powie, on gównu wie. - Ale w jego oczach nie było kpiny, gdy poklepał Farrella po ramieniu. - No dobrze, będziemy się mieć na baczności, zrobimy, co będziemy mogli. Tak to już jest z tym cholernym głosem barda, nigdy nie pojawia się z instrukcją, którą można by przeczytać. Gorzej niż bezużyteczny. Do zobaczenia na wyspie.

Julia już smacznie spała, gdy Farrell wszedł do domu. Nastawił sobie jej budzik na trzecią rano, z gorką pewnością, że cały wieczór spędziła w szpitalnym pokoju Micaha. Ale gdy wstał z łóżka, Julia przewróciła się, szybko pozbywając się resztek senności i wyciągnęła do niego ręce.

- Baw się dobrze - powiedziała. - W razie czego po prostu się poddaj. Wykupię cię. Farrell pocałował ją.

- Wiem, że to głupie, chłopcy bawiący się w wojnę. Chciałbym tylko zobaczyć raz, jak to jest.

- Nie obwiniaj się, na litość boską. Tylko pamiętaj, nie każdy tam będzie się tylko bawił. Nie wychylaj się.

Julia zasnęła ponownie, nim do drzwi zapukał zbrojny mężczyzna. Farrell otworzył i ujrzał Williama the Dubious i dwóch innych. Cała trójka od szyi po kostki otulona była płaszczami, ale podzwaniali cicho przy każdym ruchu. Mikrobus, większy i nowszy niż jego własny, stał na podjeździe. Farrell skoczył z powrotem do domu, schwycił lutnię i koleczugi, przy której zabraniu obstawała Julia i wyszedł na dwór.

Ben siedział w mikrobusie, w pełnym bojowym rynsztunku wikinga, cały w nabijanej ówiekami skórze i malowanej stali, z ciężkimi obręczami na ramionach i naszyjnikiem z niedźwiedzich pazurów. Z całego ubioru Farrellowi znajomy był tylko rogaty hełm i zatknięty za pas topór. Przez chwilę czuł się bardzo nieswojo, niepewny kogo ma przed sobą, ale Ben uśmiechnął się do niego i wykonał wyjątkowo obsceniczny gest, którego obaj nauczyli się od sycylijskiego kolegi z klasy.

- Co, do licha, tu robisz? - dopytywał się Farrell. - Mówiłeś, że więcej nie pójdziesz na wojnę.

- Nie drzyj się - odparł pogodnie Ben. - Ludzie śpią. Trochę szacunku.

- Masz te wszystkie prace do oceny. Tyle było o to hałasu, miliony papierów... nie ma czasu, nie ma czasu, pracowałeś, odkąd wróciłeś z placu zabaw, Joe. Nawet się krępowiałem zapytać cię...

- Poprawianie prac jest nudne. Wojna jest zabawna. Wsiadaj, musimy jeszcze zabrać dwóch innych rycerzy.

Farrell zajął siedzenie obok niego.

- Czy Simon wie? - zapytał. - Zeszłego wieczoru szczególnie głośno utyskiwał nad tym, że nie wybierasz się z nami. Czy Sia wie?

- Sia wysłała mnie, abym pilnował, żebyś nie napytał sobie biedy - odparł Ben. - Zadowolony? Zamknij się i włoż koleczugi, będzie ci potrzebna.

Droga do jeziora Vallejo zajęła nieco ponad godzinę i niebo blade już, gdy zaparkowali mikrobus w pobliżu betonowego budynku toalety. Resztę drogi na brzeg jeziora przeszli pieszo. Farrell zauważył kilkanaście innych samochodów i półciężarówek zaparkowanych pomiędzy topolami i łódź wiostową płynącą ku wyspie z czterema rycerzami na pokładzie. Ich płaszcze powiewały w porannym wietrze, a broje miały kolor wody jeziora. Nad nimi łopotała złocista chorągiew z dwoma czarnymi łabędziami.

Do wyspy nie było daleko, ale łódź musiała obracać trzy razy, nim przyszła kolej na Farrella, Bena, Williama i ich towarzyszy. W rezultacie przybili do brzegu, gdy właśnie Simon Widefarer kończył pełną pasji i ognia przemowę podnoszącą na duchu jego, sprawiających wrażenie sennych i zniechęconych, oddziałów. Przerwał i wznosił wraz z innymi powitalne okrzyki na widok Bena, który wraz z Farrellem pospiesznie zajmował miejsce w szeregu przeróżnie odzianych i uzbrojonych mężczyzn, zgrupowanych wokół swoich chorągwi. Farrell dołączył do Hamida pod znakiem Mathgamhaina z Cliodhny. Simon Widefarer wykorzystał przywilej, jaki dawała mu pozycja kapitana i osobiście wezwał Bena do swego boku. Ben odszedł z dziwną niechęcią, a oglądając się na Farrella upomniał go podobnie jak Julia:

- Bądź ostrożny. Słyszysz mnie, Joe? Naprawdę bądź ostrożny. Mathgamhain z Cliodhny bardzo ucieszył się, że obaj, Farrell i Hamid ibn Shanfara, znaleźli się w jego szeregach.

- Żaden z irlandzkich panów nie ruszy do walki bez swego barda i harfisty, to pewne - powiedział. - Czy moglibyście zagrać nam "The Silkies in the Green Sea"?

- Możemy sfalszować - odparł Hamid.

- I tylko tchórzem podszyty łachmyta potrzebuje bać się dziewczyny - powiedział Simon Widefarer. - Po dwakroć, jednak jako wiedźmie i kobiecie, zabronionym jej jest dziś postawienie stopy na wyspie, a wszyscy wiedzą, że jej moc nie może pokonać wody. Toteż wyrzucicie ją ze swych obaw i dostrójcie swe dusze do zwycięstwa. Za Bohemonda i św. Walenia!

- To się odnosi do bieżącej wody - odezwał się cicho Farrell - nie do jeziora - a Hamid przytaknął mu kiwnięciem głowy.

Ostatnie słowa wzbudziły wśród rycerzy głośny okrzyk aprobaty, choć nie tak triumfalny, jak na widok Bena, i wszyscy rozeszli się na wyznaczone pozycje z weso łością i animuszem. Wschodzące słońce ślizgało się po ich zbrojach niczym po wodzie, spływając purpurą, gasnąc do srebra i czerni. Trzech z ludzi z zapalem podśpiewywało razem "Hymn spod Azincourt\*", [\* Azincourt - wioska w Północnej Francji, w pobliżu Calais, miejsce zwycięstwa Anglików nad Francuzami w 1415 roku.] Farrell nadal słyszał wyraźnie ich mocne, surowe głosy, gdy zniknęli w olchowych zaroślach.

Gdy na Normandię się wyprawił Król wiodąc swe rycerstwo, Bóg jego miecz pobłogosławił I zesał mu zwycięstwo. "Deo gratias" - Wołał naród - Niechaj żyje Anglia".

Pierwsi żołnierze z atakujących oddziałów pojawili się na przeciwległym brzegu dopiero po wschodzie słońca. Farrell siedział na drzewie i obserwował, jak rycerze przeciwnika wdrapują się do kilku wiostowych łodzi, które gołonodzy giermkowie spychali na wodę. Słońce migoczące w pióropuszcach i przyłbicach upodobało ich do stworzeń bez twarzy o płonących głowach, do płonących strzał na cięciwie.

- Dwudziestu sześciu - zawołał Farrell do czekającego w dole Hamida - policzyłem - dodał, a Hamid odwrócił się, by donieść o tym zastępcy hrabiego Mathgamhaina.

Łodzie skierowały się po dwie do każdego z dostępnych miejsc lądowania. Farrell, jako nieuzbrojony muzyk, początkowo miał zamiar trzymać się na uboczu, ale wycofał się tylko za pierwszy i najmarniejszy z barbakanów, ledwie sięgający ramion drewniany płot, pośpiesznie wzniesiony między kilkoma drzewami. Przycupnęło już za nim trzech rycerzy. Ich hełmy leżały obok na ziemi. Każdy z mężczyzn trzymał łuk. Farrell zauważył, że łuki dwóch z nich były drewniane, fachowo wykonane, podczas gdy łuk trzeciego był z włókna szklanego, z celownikiem optycznym i opał ciem dla strzały. Ale to właśnie rycerz z drewnianym łukiem żuł gumę.

Dwie łodzie, śledzone nieruchomymi spojrzeniami obrońców, prześliznęły się przez lukę w sztucznej rafie Gartha, by osiąść na plaży pomiędzy pnączami. Farrell usłyszał stukot dulek i ciężkie szuranie łodzi o brzeg. Rycerze zaczęli gramolić się z łodzi. Poruszali się niezgrabnie, zasłaniając się wysoko trzymanymi tarczami. Kilku miało wyciągnięte miecze. Większość była uzbrojona w morgensterny, zatknięte za pasy, z ciężkimi kulami dyn-dającymi na łańcuchach i drutach. Kule powinny być zrobione z piłeczek tenisowych, okręconych płótnem, gumą i skórą, ale według Farrella ich ruch przypominał bardziej kule śnieżne z kamieniami w środku. Jaskrawa, ruda czupryna zdradzała w jednym z nich Briana des Reves, najbliższego przyjaciela Gartha. Farrell słyszał jego przyciszone rozkazy, wydawane pracemu do przodu oddziałowi. Trzech czekających obrońców wybrało strzały z kołczanów.

Brian, prawdopodobnie ostrzeżony grzechotem kołczanów, skrzyknął nagle, krzyżąc do swych rycerzy, by się rozproszyli, nim trójka obrońców zdążyła jednocześnie wstać i niemal jednym ruchem wypuścić strzały ponad barykadą. Tępe strzały odbijały się z klekotem od drewnianych tarczy, podzwaniały głucho, gdy trafiały w zbroję. Farrell spodziewał się przynajmniej pięciu oficjalnych rannych wśród dziewięciu atakujących, ale tylko jeden człowiek padł, trafiony prosto w gardło, co w domyśle znaczyło przeszyty na wylot, a potem jeszcze w bok, gdy się przewracał. Jeden z rycerzy zawrócił, by mu pomóc, ale trafiony w prawe ramię czmychnął w krzaki, poza zasięg strzał. Pozostali zniknęli im z oczu. Farrell słyszał, jak przedzierali się przez splątane zarośla, by obejść barbakan. Obrońcy odłożyli łuki i wyciągnęli ratanowe miecze, choć niewyrośnięty jęczmień pozwalał im na spokojne trzymanie straż. Farrell zaczął się przezornie wycofywać. Pomyślał, że lord Mathgamhain może miałby ochotę ponowić wysłuchać "The Silkies in the Green Sea".

Drobny mężczyzna w czarnej koszuli i czarnych obcisłych spodniach przecisnął się obok niego w kierunku rycerza, który nadal leżał rozciągnięty przed barbakanem. Człowiek w czerni niósł żółty notatnik i donośnie obwieszczał po drodze:

- Ramon z Navarry, ranne ramię. MacRae, ramię i noga. Olivier le Setois, ranne ramię. Sforza z Lombardii, zabity. - Rycerz usiadł, po czym wstał. - Idź pod Dąb Glendowera, wiesz gdzie to jest? - zapytał człowiek w czerni. - Mają tam piwo i kanapki, tylko najpierw skreśl się z listy -dodał, po czym zawrócił z wawo w stronę, skąd dochodził klekot mieczy i hałas młóconych cepami pojemników na śmieci, jaki nagle wybuchł za barykadą. Farrell, oddalając się dyskretnie w gęstwinę drzew, dostrzegł jeszcze jak dwaj obrońcy, zwrócenici plecami do siebie, od-pierali ataki przynajmniej po dwóch rycerzy na każdego z nich. Sforza z Lombardii przeszedł obok, jako zabity w walce kierował się na terytorium neutralne, gdzie pozostanie do końca wojny. Pogwizdywał cicho i pstrykał palcami.

Z tyłu za Farrellem Hamid mlasnął z dezaprobatą językiem.

- Widzisz, ten człowiek nie traktuje tego poważnie. Gdyby podchodził do tego poważnie, leżałby tam, gdzie padł przez cały dzień.

Na wszystkich trzech plażowych przyczółkach rozgorzała walka. Rycerze z armii Simona Widefarera minęli pędem Farrella, wymachując mieczami. Spieszyli, by wesprzeć obleganych na zewnętrznych umocnieni-ach. Plan walki Simona zakładał, że łucznicy możliwie jak najdłużej wstrzymają lądujące oddziały, a potem powoli będą ustępować pola, broniąc każdej fortyfikacji, dopóki nie nadejdzie czas ostatecznego starcia w zamku i nadzieja na zachód słońca.

Hamid ibn Shanfara przemierzał niestrudzenie wyspę w swych białych szatach i turbanie, zawodząc mau-retańskie i celtyckie pieśni wojenne, na oczekaniu układając rymowany opis rozgrywających się na jego oczach wydarzeń. Farrell trzymał się bliżej Mathgamhaina z Cliodhny, sumiennie zagrzewając irlandzkiego szlachcica do każdej utarczki, przynosząc wiadomości jemu i jego przybocznym, rzucając przy tym coraz bardziej tęskne spojrzenia na stół z przekąskami ilekroć przechodził obok. Oto gdzie mój posterunek, chłopie. Pogrzebicie mnie pod girlandami wątrobianki.

Wszystko to przypominało nieustanny turniej Ligi, bez tańców czy kuglarzy. W pewnym stopniu zmagania toczyły się wedle nieuchwytnych rytmów prawdziwej kampanii, przesuając się tam i z powrotem pomiędzy umocnieniami zewnętrznymi i wybrzeżem, ale nieustannie rozpadając się na niezliczone zrytualizowane i oderwane od reszty pojedynki osobiste. Wszelkie działania natychmiast ustawały na okrzyk, że Brian des Reves stanął przeciwko Olałowi Holmquistowi, lub że Raoul z Carcassonne i Ronin Benkei, każdy z mieczem w jednej i pałką w drugiej dłoni, trzymają sześciu rycerzy w parowie porośniętym sumakiem jadowitym w pobliżu plaży. Reszta była kurzem, szczypiącym potem, nudą przycajonego wyczekiwania, bezcelową bieganiną i kryciem się w za-

roślach, sporadycznymi przepychankami i zamieszaniem, krzątaniem czarno ubranych sędziów i odwiecznie idiotycznych okrzyków: "Poddaj się, tchórze!" i "Do mnie! Do mnie! Herbu Niedźwiedź, do mnie". Taktyka Gartha nie wydawała się bardziej wymyślna niż

Simona Wifarera, ale oczywiście było, że nikt tak naprawdę nie dbał o to, która ze stron zdobywała lub traciła pole, liczyła się tylko walka i Farrell dziwił się, że kiedykolwiek oczekiwał, iż będzie inaczej.

Po Aiffe i Nicholasie Bonnerze nie było śladu i Farrell czuł się niemal zawiedziony. Ben również, pomimo swej reputacji, nie bardzo rzucał się w oczy. Od czasu do czasu wpadał gdzieś w oddali Farrellowi w oko, podczas końcówki ataku z flanki czy manewrów oczyszczających pole, ale jak dotąd nie znalazł się w rosnącej kronicy Hamida Wojny Czarownicy. Mathgamhain poległ wczesnym popołudniem, nie w bitwie, ale z powodu, jak się okazało, ostrej niestrawności. W krótkim czasie w jego ślady poszło czterech następnych rycerzy, a trzech doznało udaru słonecznego. Farrell pamiętał przewidywania Williama the Dubious i to by go zastanowiło, ale zaczęli napływać ranni. Dwóch najwyraźniej wpadło w głębokie doły, które otworzyły się im pod nogami; trzech innych było półprzytomnych po uderzeniu w głowy przez gałęzie spadające z ogromnych sekwoi.

- Coś mi się zdaje, chłopie - powiedział Hamid, spoglądając na Farrella ponad rannym, którego z wprawą bandażował.

- Mnie też - odparł Farrell. Ale było mu zbyt gorąco, był brudny i niezdolny, by myśleć o czymkolwiek innym poza piwem.

Ludzie Mathgamhaina wybierali pomiędzy siebie nowego kapitana. Farrell powłókł się więc pomiędzy drzewa, aż do ścieżki, która, jak mu się zdawało, wiodła do Dębu Glendowera, dokąd udawali się zarówno zabici, jak i pojmani, i gdzie pewnie można było znaleźć coś innego poza lepko niebezpiecznym miodem Williama. Las wydawał się tutaj bardziej gęsty i dziki, poprzecinany świetlistymi alejami, a w powietrzu czuło się prastarą ciszę. Farrell zaczął cicho grać łacińską pieśń biesiadną i zatrzymał się, by przestroić lutnię. Gdyby nie ten przystanek, mógłby nie usłyszeć głosu Aiffe dobiegającego z przodu i nie miałby czasu przywrzeć do ziemi obok ścieżki, pomiędzy korzeniami i wysoką trawą. Nie widział jej, ponieważ policzek przyciskał mocno do porowatej kory, a oczy miał zamknięte. Absurdalnie wydawało mu się, że dziewczyna zobaczy go, gdy tylko otworzy oczy.

- Nie, to jest moje - mówiła - to jest mój triumf i niczyj więcej. Ale z powodu jego bzdurnej formy, stawię im czoło samotnie, bez rycerzy za plecami czy ojca, który by mnie osłonił i wspomógł radą. Ani też Nicholasa Bonnera, który powiedziałby mi, co mogę i czego nie mogę zrobić. Tylko ja, Aiffe, Boże, ale to cudowne. - Jej dzikie parsknięcie wpadło w rezonans z lutnią i Farrell szybko zdusił jej cichą odpowiedź, przyciskając instrument do brzucha.

Jedwabisty śmiech odpowiedział jej podobnie jak lutnia.

- Co, bez słodkiego Nicholasa Bonnera, by podsyć twą chwałę? Koniec wakacyjnej praktyki, poslesz mnie na emeryturę i dalej pójdziesz własną drogą? Zachłanny, niewdzięczny dzieciaku, ranisz mi serce.

- Nigdy nie byłam twoją głupią uczennicą - odparła gniewnie. - Jesteś na tym świecie dzięki mej mocy, ale własnej nie masz wcale, to w każdym razie wiem na pewno. I myślę, że właśnie nauczyłam się wszystkiego, czego miałeś mnie nauczyć, co ty na to? - Głosy przestały się przybliżać i Farrell uchylił nieco jedno oko.

Dziewczyna stała nie dalej niż pięćdziesiąt stóp od niego, twarzą zwrócona ku Nicholasowi Bonnerowi stojącemu na ścieżce. Oboje byli przebrani za giermków, w takich samych wysokich butach, spodniach i spłowiałych kaftanach. Włosy Aiffe skrywał kaptur peleryny, podczas gdy Nicholas miał na głowie jedynie sowie pióro zatknięte w złotawą czuprynę.

- A co w tej drobnej kwestii staruchy, która zrobiła z ciebie błazna? Poradzisz sobie z nią beze mnie? - zapytał ze złośliwą pobłażliwością.

Aiffe prychnęła zarazem z szyderstwem i zakłopotaniem.

- Być może tak, być może nie. Ona jest twoją staruchą, twoją wielką kwestią, ty sobie z nią radź. Dla mnie ona nie stanowi problemu, poza tym, że jest zbyt silna. Nie lubię, gdy ludzie są tak silni.

- No cóż, jesteśmy tutaj, aby dowiedzieć się, jak silna ty jesteś, moja słodka - głos Nicholasa Bonnera był kojący niczym rozświetlona słońcem mgła. - Ich zabawa w wojnę jest twoim polem walki, twoim poligonem, zobaczmy zatem, co potrafisz. Drobne plagi były ćwiczeniami. Potrafiłabyś to zrobić nawet przez sen i prawdę powiedziaławszy, zrobiłaś. - Głaskał ją, wsunawszy ręce pod pelerynę. - Teraz czas na coś bardziej ambitnego.

Aiffe westchnęła i zachichotała, pozwalając pelerynie osunąć się na ziemię.

- Czemu ty zawsze chcesz to robić? To ci nic nie daje, myślisz, że o tym nie wiem? Czemu tego chcesz?

Nicholas Bonner odpowiedział jej szczerze i niemal z godnością.

- Kochanie, znajduję przyjemność w tym, co tobie sprawia przyjemność, a to jest zmysłowe poczucie mocy. Innych rozkoszy nie potrafię odczuć, nawet gdybym chciał. Za każdym razem, gdy współzjemy, ty i ja, coś drga, coś się rodzi, tak jak to bywa z prawdziwymi ludźmi. Jestem zdecydowanie zadowolony.

Położył ją na pelerynie, a piersi Aiffe wyskoczyły ku niemu niczym kocięta.

Farrell powoli odczołgiwał się od ścieżki, ale przebył jedynie kilka jardów, gdy przygniotło go czyjeś ciężkie ciało, a czyjaś dłoń zakryła mu usta.

- Nie ruszaj się - szepnął Ben.

Farrell odchylił głowę na bok i zobaczył jego pociemniałą od potu i kurzu twarz, przekrzywiony hełm z jednym rogiem paskudnie wyszczerbionym. Aiffe nucila, słowa ulatywały z niej z cichym kwileniem w tym samym rytmie, w jakim Nicholas w nią wnikał. Farrell przyglądał się im, urzeczony i zawstydzony, dopóki Ben nie szturchnął go i obaj nie odczołgali się za bezpieczną osłonę jezyn. Gdy Farrell obejrzał się, miał wrażenie, że powietrze drży i faluje w miejscu, gdzie leżeli Aiffe i Nicholas, jak powietrze nad piecykiem w klasie, tej pierwszej szkolnej zimy. Pomyślałeś, że ślepniesz w wieku siedmiu lat.

- Jak oni się tu dostali? - zapytał. - Ludzie Simona patrolowali wybrzeże cały dzień.

Ben pokręcił głową i natychmiast przybrał profesorski ton, pomimo niedźwiedzich pazurów na szyi.

- Simon kazał obserwować jedynie te trzy miejsca, gdzie mogły lądować łodzie wiosłowe. To nie jest patrolowanie. Patrolowanie jest wówczas, gdy wypatrujesz również takich rzeczy, jak kajaki. Po prostu prześliznęli się od strony Marin County, nic łatwiejszego. Po co tu magia? Liście furkotały im cicho nad głowami niczym pedały roweru, gdy szli z powrotem przez wyspę. Jastrząb runął w dół, spadając na coś niemal u ich stóp, po czym podfrunął na jesion, gdzie przysiadł, ciężko dysząc i wpatrując się w nich z wściekłością.

- To nie jest ogrodowy teatrzyk, to co się tam dzieje. To jest maszyna.

- Tantryczne czary. Magia wykorzystująca seks. Rzeczywiście skuteczna, jeśli wiesz co robisz, dynamit jeśli zerwie się z uwięzi. Można z jej pomocą zrobić kupę naprawdę niemiłych rzeczy. Sia mówiła, że posługują się tym.

- Co jeszcze ci powiedziała?

Ben wzruszył ramionami i uśmiechnął się słabo.

- Trudno spamiętać. Obudziła mnie, wyrzuciła z łóżka, niemal ubrała i wepchnęła do tego mikrobusu. Powtarzała, że wydarzy się coś okropnego i mam być przy tobie cały dzień. Jednoczesne pilnowanie ciebie i walka to robota głupiego. Ani jednego, ani drugiego nie robiłem dobrze.

Ich głosy wydawały się Farrellowi kruche i bardzo odległe, niczym widmowe pająki wspinające się noga za nogą na pylistych kolumnach światła. Powiedział Benowi o ostrzeżeniu Hamida i jego okolicznościach.

- Czy właśnie o tym mówiła Sia? Powiedz mi.

Ben nie odpowiadał przez chwilę, wystarczająco długo, by Farrell uświadomił sobie, że koleczuga Julii otarła go w kilku miejscach.

- Ona nie zawsze ma rację - powiedział w końcu Ben. - A czasami, gdy ma rację, to w sposób dla nas niewyobrazalny. Kto wie, co Sia rozumie przez śmierć?

Pierwsza przesyłka gwałtownie nabrała kształtów w chwili, gdy informowali Simona Widefarera o tym, że Aiffe i Nicholas Bonner byli na wyspie. Wyglądała jak surowy, krwisty żołądek z krokodylą głową, który frunął ku nim na skrzydłach zakończonych malutkimi ustami. Ben, Farrell i Simon krzyknęli i padli na ziemię. Stwór zionął w nich cuchnącym ogniem i nawrócił do kolejnego szturm, wydając przy tym dźwięk mlaskającego błota. Miał idiotycznie jasne, niebieskie oczy.

Połowa sił Widefarera wycofała się już do zamku ze sklejki. Pozostali, między nimi Hamid, przeprowadzali zwiad, brali udział w potyczkach lub pomagali przy wzmocnieniu nadwerżonych murów zewnętrznych. Przy tym właśnie zastali Simona. Budowla była o wiele solidniejsza niż na to wyglądała. Dowiodła tego, gdy drugi i trzeci potwór - jeden pół ropucha, pół kogut, drugi przypominał papkowaty grzyb z baletu "Dziadek do orzechów" z żółtymi ludzkimi zębami i węzowym językiem - przypuściły atak, kołując nad zamkiem. Rycerze rzucili się tłumnie do głównego wejścia i bram wypadowych, pchali się tak, że cały zamek powinni zgnieść niczym kartonik po mleku, ale ściany nadal stały, co było wygodne dla przesyłek, korę na nich przysiadły. Z hukiem pojawiało ich się coraz więcej: trzewia o kozich nogach, kaktusy z kłami, ogromne, nagie ślimaki o psich mordach, stwory przypominające pluszowe zabawki, z których wyciekały nieczystości, stwory przypominające wysokie ptasie szkielety z ogniem pulsującym pomiędzy zebrami. Wszystkie bez wyjątku cuchnęły odchodami. Przybywały dalej, niezmordowane potwory z sennych koszmarów, skrzeczące jak papugi, sapiące jak niedźwiedzie. Pikowały na uciekających, nadlatywały nisko kłapiąc i szydząc z rozhisteryzowanych rycerzy tarzających się po ziemi. Przesłoniły czerwone zachodzące słońce, które ledwie przez nie przeświecało. Dzieci Aiffe, pomyślał Farrell, a ona zapewne śmieje się w zdeptaną trawę.

- Chrzanić to - mruknął obok niego Ben i wstał, opędzając się od wysłańców jak od komarów. - Absolutnie niegroźne - oznajmił głośno. - Tanie efekty specjalne, to tak jakby bać się pokazu slajdów. - Ruszył zwawo w kierunku zamku, biorąc po drodze młotek i garść gwoździ, by naprawić nadwerżoną konstrukcję. Farrell poszedł za nim, przepychając się przez gorące kłębowisko zjaw. Przysięgał potem, że jedna z nich siadła mu na chwilę na ramieniu, a jego tunika na zawsze przeszła jej smrodem. Nigdy potem nie nałożył tej tuniki i w końcu spalił ją pewnego wieczoru, rok później, gdy był pijany.

- Jest bardzo dobra - powiedział cicho Ben. - Jeśli nie naciskałby na nią odrobinę za mocno, to mielibyśmy duże kłopoty.

- Te stwory nie są prawdziwe - ostrożnie domyślił się Farrell. Ben pokręcił z irytacją głową, przybijając wspornik.

- Niezupetnie, jeszcze nie. Ale będą. Za miesiąc, tydzień. Wymagają jedynie odrobiny ćwiczeń, to wszystko.  
- Zdawało się, że mówi o biegu długodystansowym. - Ciekaw jestem, czego spróbuje teraz.

Wysłańcy Aiffe jeszcze jakiś czas wisieli w powietrzu. Potwory były coraz bardziej raczej rozdrażnione niż niebezpieczne, zmuszając rycerzy Simona do uwagi, gdy wracali do zamku zawstydzonymi dwójkami i trójkami. Wydawało się jednak, że od rzeczywistego świata odgradza ich coraz grubsza zasłona, a w chwili gdy nadciągnął Hamid ibn Shanfara, stopniały niemal do niekształtnych gołębi zebrzących wokół parkowych ławek. Potem nagle wszystkie w jednej chwili przestały istnieć, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Cienie w blasku chylącego się ku zachodowi słońca zrobiły się zielone i złote, pokazując, że do zachodu została jeszcze dobra godzina.

- Co teraz? - zapytał Ben.

- A co do tego - wymruczał Hamid głosem bazarza - być może ktoś podglądał dwójkę urodziwych dzieciaków w lesie, nie dalej jak dwadzieścia minut temu, i być może jedno z nich powiedziało do drugiego: Nie, tego nie zrobisz, zabraniam ci tego. I zdaje mi się, że dziewczyna kłam mu zadała, mówiąc w odpowiedzi: Zabroń sam sobie, pyszałku. To gównu jest nudne, jeszcze trochę i przegram tę cholerną wojnę, zabawiając się głupstwami, gdy słońce zachodzi. Cofnij się i patrz, albowiem zaraz sprowadzę sobie prawdziwą pomoc. Chłopak jednak był zdumiewająco gniewny, gdy odpowiedział: Na twe życie, nie ośmielisz się! To nie dla ciebie, to za wiele, byś mogła sobie poradzić, daję me słowo, siostrzyczko, daję me słowo. I mogło być tak, że ona wyśmiała go i ktoś być może usłyszał, jak potem oznajmiła: Ty nie masz słowa, a ja powiedziałam ci, gdy przywołałam cię po raz pierwszy, że potrafię poradzić sobie ze wszystkim, co przywołam. I potrafię, Jack, z tobą albo bez ciebie, tak postanowiłam! I mówi się, że zlorzeczył jej potem jak głupi, ale być może tak nie było. Bard mówi tylko o tym, co wie. - Skłonił się nieznacznie przed Benem i Farrellem, po czym zaczął przewijać sobie turban, zdumiewająco nieskazitelny. Wewnątrz zamku Simon Wiefarer rozstawiał swych ludzi wzdłuż murów, by stawili czoło atakowi o zachodzie słońca. Farrell z zaskoczeniem zdał sobie sprawę jak bardzo ich liczba stopniała. Po stratach w walce i kilkunastu podejrzanych niedomaganiach Simon był kapitanem jedynie dla szesnastu wyczerpanych rycerzy. Początkowo nie chciał pozbyć się nawet jednego z nich, gdy Ben i Farrell powtórzyli mu opowieść Hamida i nalegali na wysłanie zwiadu.

- Nawet jeśli idzie ku nam ze wszystkimi paladynami Karola Wielkiego. Co nam po wiedzy o tym teraz? - Ben jednak upierał się zażarcie i w końcu Simon ustąpił. - Niech on zatem pójdzie - wskazał na Farrella - i on - wskazał szkockiego dziedzica, za którego przebrany był Crof Grant, w szkockiej kracie, z beretem niczym świąteczne ciasto na głowie, spowity w czerwone i zielone barwy klanowe oraz pióra, których wystarczyłoby dla okrycia całego strusia. - Nie mogę nas pozbawić Egila Eyvindssona, ale dwóch takich jak oni niewiele nas osłabi - powiedział Simon. Farrell poczuł się tak, jakby znowu wybrano go ostatniego do palanta.

Przemykanie się przez zarośla z Crofem Graniem bardzo przypominało próbę wyniesienia bez użycia windy stołu bilardowego z czwartego piętra w środku nocy. Po pierwsze, kostium Granta absolutnie nie dawał się ukryć, zaczepiał o wszystko, co robiło hałas, włączając w to Farrella. Po drugie, ten człowiek nigdy nie przestawał ba j durzyć, w nieprzerwanym potoku sławit dokonania swego wiernego miecza. Uciszanie go nie miało sensu, ponieważ mówił głośniejsz niż Farrell ośmielał się podnieść głos. Był właśnie w środku opowieści o samotnej walce przeciwko trzem nieprzyjaciołom uzbrojonym w morgensterny i miazdzącą młodość:

- Chłopcze, jeśli dodać by ich lata to i tak nie mieliby więcej ode mnie... - przy tych słowach wyszli na polankę i ujrzeli czekających na nich w milczeniu ludzi Gartha.

Trzeba oddać Crofowi sprawiedliwość, że powiedział jedynie:

- A niech to - nim zaczął uciekać.

Farrell zwlekał morderczo długą chwilę, nie z powodu zaskoczenia czy paraliżu, ale z powodu pięciu mężczyzn stojących tuż za Aiffe i jej ojcem. Na pierwszy rzut oka nie można ich było odróżnić od pozostałych sił Gartha, byli jednak ponurzy ze zmęczenia, ale Farrell widział złotookiego człowieka w domu Sii i zrozumiał wyzwanie, jakie dziewczyna rzuciła Nicholasowi Bonnerowi. O mój Boże, ona rzeczywiście ich ściągnęła. Wtem Aiffe zauważyła go, roześmiała się i wskazała na niego. Jeden z dziwnych rycerzy wycelował do niego z łuku tak szybko, że Farrell nawet tego nie zauważył. Strzała świsnęła mu przy lewym uchu, ginąc z oczu w krzakach jałowców.

Wówczas jednak Farrell już uciekał, kuląc się, zastaniając rękoma twarz, przedzierając się przez jeżyny, cykutę i dziki bez. Przewrócił się i sprawdzając czy lutni nic się nie stało, usłyszał własne ciche posapywania, podobne do tych, jakie wydaje wąż ogrodowy lub nie zamknięty dokładnie kaloryfer. Z jednej strony dobiegał przeraźliwy zgrzyt i podzwanianie oraz tupot ciężkich kroków, co z pewnością oznaczało uciekającego Crofa Granta, z tyłu zaś słyszał jedynie przyprawiający o dreszcze śmiech Aiffe. Wiedział, kto go goni równie dobrze jak nagle zrozumiał, kim byli: byli prawdziwi, prawdziwi zabijacy z prawdziwego średniowiecza, z czasów krucjat, hiszpańskich Niderlandów, Wojny Róż. Prości, niemcy, bezlitośni - prawdziwi, gotowi na wszystko. O Kannon, zlituj się. Farrell przeskakiwał od drzewa do drzewa, w pewnym momencie obrócił się za szybko i uderzył w pień poprzedniego. Osuwając się po nim, nadal usiłował osłonić lutnię.



Na chwilę pociemniało mu w oczach. Gdy zdołał wstać, trzy szare postacie już go prawie dopadły. Najbliższy osobnik mógł być pielgrzymem, zmienionym w najemnika lub normandzkim najeźdźcą Sycylii. Spod stalowego nakrycia wyglądała kwadratowa, spalona słońcem twarz o płaskich kościach policzkowych i krzaczastych brwiach, a w jego wyglądzie było tyle spokoju i pogody, że można go było wziąć za szaleńca. Farrell podniósł suchą gałąź, obserwując z odrętwiałą, cierpliwą ciekawością zbliżającego się mężczyznę. Nic nie mogło się równać z lekkim ugięciem kolana, pozornie niedbałym trzymaniem miecza i łupieżem w jasnych brwiach i wąsach. Miecz nie był zbyt dokładnie wykończony, w pobliżu końca błyskało nacięcie, a gałka na końcu rękojeści przypominała starą, mosiężną gałkę od drzwi. Farrell zastanawiał się, czy padające na jego twarz światło pochodziło z zachodzącego słońca Avicenny czy Palestyny.

Na widok odchylanego do tyłu miecza, uniósł swój konar. Miecz poruszał się nienaturalnie wolno, usta rycerza wykrzywiła ta sama powściągliwość, jego ciało ustawiało się do zadania ciosu z boku. Wtem Crof Grant rzucił się pomiędzy nich, nieustraszenie sięgając po miecz.

- Fe, azali hańbą okryć chcesz miecz swój? To bezbronny muzykant, człeku - grzmiał - skrzywdzić byś chciał ulizanego, kruchego, bojaźliwego minstrela? - Nie miał już na sobie straszego beretu, a białe włosy spadały mu na oczy. Rycerz mruknął cicho i odsunął się, by zejść Farrella z drugiej strony. Grant jednak poszedł za nim, przestaniając Farrella swym ciałem. - Nie, powiadam, wstydź się! Rzekłem: wstrzymaj się! Nie znasz zasad Ligi, chłopie?

Miecz zatopił się w jego gardle. Crof schwycił się za ranę, nim osunął się na ziemię. Widok jego krwi sprowadził na Farrella otrzeźwienie.

Nie pamiętał, jak dostał się do zamku. Pamiętał jedynie, że nikt go nie gonił i że wrzeszczał, gdy się tam dostał. Ben podtrzymywał go na nogach i niemal dosłownie tłumaczył jego rozhisteryzowaną relację Simonowi, ale nikt poza Hamidem nie brał go poważnie. Ze wszystkich stron zapewniano go, że Crof Grant nie może być martwy, że stalowe miecze nigdy nie były dozwolone w ligowych walkach i że żadnemu kapitanowi nawet przez myśl by nie przeszło zwerbowanie nowych wojowników, gdy wojna była już w toku. Zaś potwornych postaćów Aiffe większość wołała uważać za wytwór zbiorowej halucynacji spowodowanej słonecznym udarem. Tymczasem należało się przygotować do decydującego starcia i bardziej potrzebna była dodająca otuchy muzyka. Hamid spojrział na niego z rozhuśtanego pomostu, nic nie mówiąc.

Atak nastąpił dwadzieścia minut przed zachodem słońca. Nie próbowano ich zaskoczyć. Ocalali rycerze Gartha de Montfaucona nadal byli mniej liczni niż sił Widefarera i wydawali się jeszcze bardziej wyczerpani. Zbliżali się do zamku śmiało, krocząc w powolnym, groźnym rytmie i nucąc ponury refren dla zachowania kroku. Sam Garth buńczucznie maszerował na przedzie, ale Aiffe i Nicholas szli skromnie z boku w swych anonimowych giermkowskich strojach, a za nimi postępowało pięciu rycerzy przez nią wezwanych.

- To ten - powiedział Farrell do Hamida. - Drugi z lewej, ten krępy facet. - Pomyślał, że Aiffe wyglądała na pokonaną i niespokojną.

- Nie chcę by był martwy - rzekł Hamid głosem bez wyrazu. - Nie chcę przewidywać niczyjej śmierci.

- On już jest martwy - odparł Farrell.

Garth podprowadził swe siły pod zewnętrzne mury, wystąpił i zawołał:

- Odsuńcie się, z taski swojej, żeby nikt nie został ranny, gdy mury runą.

Farrell wiedział, że torowanie sobie drogi taranem było rodzajem tradycji w wojnach Ligi, podobnie jak okupy czy uczyty ku czci zwycięstwa, ale pomiędzy atakującymi nie widać było taranu. Pomimo tego niektórzy rycerze na murach zaczęli się wycofywać.

- Zachować spokój - zakrzyknął Simon. - Nie zważajcie na nich, pilnujcie lepiej swych cęciw. Aiffe pocałowała głośno obie dłonie i zdmuchnęła pocałunki w kierunku zamku, szeroko rozkładając ręce. Wewnętrzne i zewnętrzne bramy runęły płasko i ludzie Gartha rzucili się hurmem do środka przez tumany wzbitego kurzu.

Simon Widefarer i jego łucznicy strzelali z zapamiętaniem do atakujących. Powalili kilku, gdy gramolili się przez bramy. Potem nie było już miejsca na swobodną walkę, nawet z morgensternami, ani dla sędziów. Zamek roił się i kołysał, jak wagon metra w godzinach szczytu. Walczących rycerzy roztrącano i nie mogli ponownie znaleźć swoich przeciwników lub wpychano pomiędzy walczące strony, co często kończyło się ścięciem przez własnych towarzyszy. Tym, którzy padli, groziło prawdziwe niebezpieczeństwo stratowania i Farrell z Hamidem odciągnęli kilku z nich najdalej, jak mogli. Zaszyli się w najdalszym rogu, Farrell kulił się, ostaniając lutnię, a Hamid z beztrasko skrzyżowanymi nogami nadal na głos prowadził kronikę wydarzeń. Kurz wisiał nad sceną walki w eleganckiej pomarańczowoszarej chmurze, jak oddechy walczących.

- Tam są - powiedział cicho Hamid. Farrell spojrział i zobaczył jak pięciu rycerzy Aiffe przechodzi przez po-gruchotaną bramę. Trzech ramię w ramię, dwóch pojedynczo, ruszyło do walki równie ostrożnie, jak kot podchodzący do kąpiących się ptaków. Farrell przyglądał się zafascynowany tym, jak bardzo przypominali przebranych dyrektorów banków, pomimo tego, co już o nich wiedział. - Wszyscy mniej więcej z tego samego okresu - powiedział Hamid. - Jednego uznałbym za Normana, drugiego za Wenecjanina, dwóch z wczesnego okresu krucjat, ale nie wiem, kim jest ten twój chłopak, z wyjątkiem tego, że jest paskudny. - Wstali obaj. - Ciekaw jes-

tem, jak ona poradziła sobie z szokiem - zastanawiał się. - Wyglądają całkiem spokojnie, biorąc pod uwagę to, że pewnie mieli inne plany na to popołudnie.

- Prawdziwi! - wrzasnął Farrell ile tchu w płucach pierwsze słowo, jakie przyszło mu na myśl. - Prawdziwi!  
- Hamid wybuchnął śmiechem, ale nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Prawdziwe miecze, kolczugi, uważajcie, oni mają prawdziwe miecze! - krzyczał.

Pięciu ludzi rozdzieliło się, każdy wybrał sobie inny cel. Wenecjanin ruszył na Simona Widefarera, a ten, który zabił Crofa Granta, ruszył prostu ku Farrellowi i Hamidowi.

- Któregoś dnia będziemy musieli porozmawiać o tym, czy naprawdę koniecznie musiałeś to zrobić.

Norman zaskoczył Williama the Dubious cięciem w bok, które zgięło go wpół, po czym wycelował ostateczny cios, mający zgruchotać mu hełm. Zabójca Crofa przesłonił Farrellowi widok. Wyglądał na zadowolonego i pełnego animuszu, jakby spotkał ulubionego przyjaciela na lotnisku.

- Nie cierpię mówić o twojej mamie, to poczciwa dusza - zanucił głośno Hamid, gdy miecz zaczął się wznosić i odskoczył na lewo od Farrella.

Miecz śmignął za nim, a Farrell zdzielił męczyzną lutnią prosto w twarz, strącając metalowy hełm. Wszystko w nim krzychało przeciwko użyciu instrumentu jako broni, ale pomyślał o próżnym, grzmiącym, śmieszonym Crofie Grancie, usiłującym go osłonić i dzielił lutnią jego zabójcę z całej siły w głowę. Piękne eliptyczne pudło zapadło się, gdy męczyzna runął na kolana. Farrell zdążył uderzyć go raz jeszcze, nim Hamid go stamtąd odciągnął.

Bitwa osiągnęła stan kompletnego chaosu. Bez względu na to czy Aiffe w ogóle rozumiała, że swych przyzwanych rycerzy nie będzie mogła zmusić, by udawali zabijanie, gdyż to nie leżało w ich naturze, było jasne, że nigdy nie wzięta pod uwagę ich wpływu na ludzi Gartha. Niektórzy z jego najdzielniejszych wojowników najwyraźniej oszaleli ze strachu i wydawało się, że z wdzięcznością przyjmowali wczesne wyłączenie z gry. Inni byli zadziwiająco oburzeni, zwracając się przeciwko swym przerażającym sprzymierzeńcom, by bronić rycerzy Simona Widefarera. Postać Aiffe natarłi bez wahania i prawdziwe miecze utoczyły prawdziwą krew, zostawiając na polu walki ludzi z obu drużyn z ranami na głowie, z bezradnie zwisającymi prawicami i paskudnie pociętymi nogami. Farrell sam przyjął cios w piersi, który wtłoczył mu kolczugę Julii głęboko w ciało, zostawiając wyraźny ślad po ogniach i sprawiając, że oddychanie nie było łatwą czynnością przez ponad tydzień. Ich pięciu może zabić nas wszystkich.

Później obaj z Hamidem przyznali, że John Erne mógł być dumny ze swych uczniów, a oni z kolei zawdzięczali mu swoje życie, choć większość z nich nigdy o tym nie wiedziała. Pomimo tego, że dwunastowieczni zawodowcy nieprawdopodobnie nad nimi górowali, rycerze Ligi dzięki unikom i obronie, której ich nauczył, ustrzegli się przynajmniej przed natychmiastowym poćwiartowaniem. Farrell widział jak pulchny chłopak, z rzadkim, jasnym wąsikiem grubym od krwi, zwodził Normana ruchami bioder, niczym koszykarz. Widział również jak jeden z krzyżowców zamachnął się znad głowy na Konina Benkei, by zadać cios, który rozplątałby drewnianą tarczę i ciało pod nią, ale Ronin uskoczył i z takim rozmachem sparował cios swą okrągłą stalową tarczą, że wytrącił krzyżowcowi miecz, który poszybował aż do zwałonej bramy. Przybysz nigdy go nie odzyskał, ale potem robił wiele wstrętnych rzeczy swoim sztyletem. Farrell był pewien, że Garth de Montfaucon zatrzymał miecz.

Wtem skądś dobiegły gromkie okrzyki, rzeźbiąc w pylistym zmierzchu wciąż na nowo jedno imię:

- Eyvindsson! Eyvindsson!

Ben stał w pobliżu bramy, ryczał i wymachiwał toporem tak długim jak jeden z obusiecznych mieczy. Jego twarz miała wyraz, który Farrell już kiedyś u niego widział. Była przeraźliwie blada, wykrzywiona wściekłością człowieka nie z tego czasu i płonąca rozkoszą z wściekłości, dla której Farrell znał kilka dosadnych słów. Topór śmigał mu nad głową, wydając dźwięk dyszącego zwierza, a Ben z wyciem powtarzał imię, jakby w swoistym lamentcie.

- Eyvindsson! Eyvindsson! Eyvindsson!

Pięciu rycerzy Aiffe skierowało się prosto ku niemu, a on stawał przeciwko nim tak jak nadciągali, w parach lub pojedynczo, czasami wykorzystując trzonek topora niczym drąg do rozbijania im głów i łamania żeber, czasami zmuszając ich do cofania się przed pojękującym półksiężycem ostrza, nie dając im ani chwili na pozbieranie się i prowadzenie walki w sposób, który znali. Okładał ich nieustannie zabawką, która nigdy nie mogła zadrasnąć skóry. Później Farrell doszedł do wniosku, że oni w swoich czasach z pewnością musieli znać przerażenie, jakie wzbudzał ogarnięty bojowym szałem wojownik skandynawski i to nimi kierowało, bardziej niż fakt, że Ben pozbawił na krótko przytomności Wenec Janina uderzeniem końcem topora, po czym drugim końcem schwycił Normana wpół i wyrzucił przez bramę niczym piłeczkę do krykieta. To był prawdziwy koniec Wojny Czarownicy. Pozostali czterej po prostu ruszyli za wyrzuconym, jak na uznających swoją porażkę zawodowców przystało. Aiffe pobiegła za nimi z krzykiem, ale oni zdążyli już odejść w gęstniejący mrok, najwyraźniej szukając miejsca, w którym przeszli ze swego rozsądnego świata do tego. Farrellowi zdawało się, że widział, jak je znaleźli, tuż zanim skryły ich drzewa.

Z przerażeniem jednak wyobrażał sobie, że pozostawiono ich tutaj jak Mansa Musę, biedaków wyrzucanych z czasu na ulicę Parnell, by włożyli się jak szaleńcy pomiędzy udającymi szaleńców i na pół szaleńcami. Może całkiem dobrze by sobie poradzili, skąd mogą wiedzieć? Może to się zdarza o wiele częściej niż myślę. Pewnie kończą w Ameryce Środkowej. Nigdy ich już nie zobaczył i nigdy za tym nie tęsknił, ale nigdy też nie przestał ich wypatrywać.

Ostateczne natarcie Simona, zamykające w pułapce Gartha i jego ocalałych rycerzy pomiędzy jego mieczem i toporem Bena, było zupełnie pozbawione wzniosłości ostatecznego starcia. Gdy główny sędzia zakrzyknął: - Słońce zaszło, wstrzymać walkę!, zamek, choć rozpadał się na rogach, a dwie ściany chwiały się, pozostawał w posiadaniu kilkunastu brudnych, roześmianych mężczyzn, siedzących na ziemi. Wzniesli okrzyk, słaby, zduszony i sztuczny. Ben w końcu się uspokoił. Rozglądał się wokół bez najmniejszego zdziwienia, pozwalając, by topór ciągnął się po ziemi. Ostrze było wykręcone na rozłupanym trzonku. Farrell dostrzegł porozrywane skórzane opaski i spadające strzępki plastikowej pianki.

Nie było wielkiego świętowania. Martwi podnieśli się, otrzepali z kurzu, gawędząc na temat broni ze swymi zdyszanyimi zabójcami, podczas gdy dwóch studentów medycyny, pełniących funkcję sanitariuszy, opatrywało prawdziwe, coraz trudniej dające się wyjaśnić, rany. Nadciągnęli jeńcy w gęstniejącym zmroku, by omówić warunki wykupu. Trochę posprzątano, a nawet odbyło się obowiązkowe picie piwa i zwycięskie śpiewy. Aiffe i Nicholas Bonner zniknęli wraz ze słońcem.

Na ciele nie było żadnego śladu, ani krwi na trawie w miejscu, gdzie leżało. Ben i Farrell stali razem na stromym brzegu wyspy, przyglądając się jak pierwsza łódź wiosłowa odpływała w kierunku świateł. W pobliżu Hamid ibn Shanfara nucił elegię dla wszystkich, którzy padli, tak jak to czynił co roku.

- Z radością powędrowali do bogów, druhowie z tego ranka.

- Miałem nadzieję, że ktoś z innego czasu nie może naprawdę nikogo zabić w naszym czasie - odezwał się Farrell. Ben nie odpowiedział i Farrell poczuł się zmuszony, by mówić dalej. - No cóż, w końcu Sia to przywołała - dodał. - Sia i Hamid.

Ben odwrócił się, jego twarz wyglądała jak twarz piętnastolatka, skorupa pełna bólu.

- Oni przywołali dwie różne śmierci - powiedział. - Egil odszedł. Farrell spojrzał na niego zdumiony.

- On nie żyje. Egil nie żyje. Czuję, jak umierał. Farrell dotknął jego ramienia, ale Ben się odsunął.

- Chcesz powiedzieć, że straciłeś z nim kontakt, że połączenie zostało zerwane. Czy o to chodzi? - Oczywiście, Farrell, że o to chodzi, dodał w myślach. Chciał go objąć, jak Ben obejmował Się, ale obawiał się to zrobić.

- Chcę powiedzieć, że on jest martwy - rzekł Ben. - W swoim czasie, w swoim prawdziwym czasie, w wieku trzydziestu dziewięciu lat. - Farrell otworzył usta, ale pozwolił mu mówić dalej, uprzedzając pytanie. - Nie wiem, na co umarł. Ludzie umierali cały czas w dziewiątym wieku. Zaczął trzydziesty dziewiąty rok. Ale zawsze będę myślał, że umarł przeze mnie. Przez to, co mu zrobiłem, do robienia czego zmuszałem. Być może wyczerpałem go, nabawiłem wrzodów, osłabiłem serce, przyprowadziłem o napady. - Nagle twarz wykrzywił mu grymas, ale łzy się nie pojawiły. - Czuję, jak umierał, Joe. Usiłowałem utrzymać bramę, a on umarł.

- To dlatego tak wołałeś jego imię. - Ben z zapamiętaniem tarł usta pięścią, oczyszczając je ze smaku śmierci. - Nie wiesz, czy go zabiłeś. Nie wiesz, Ben.

Twarz piętnastolatka ponownie odwróciła się ku niemu, dziwnie nabrzmiała i bryłowata w przyćmionym świetle, jakby przełknięty smutek spowodował reakcję alergiczną. Ben uśmiechał się nieznacznie.

- Widzisz, jeśli nie wiem, to będę nad tym rozmyślał przez resztę swego życia - powiedział. - Jeśli zaś zaakceptuję fakt, że rzeczywiście go zabiłem, zabiłem tysiąc lat temu, wówczas być może uda mi się pewnego dnia przestać o tym myśleć. Nie bardzo wydaje się to prawdopodobne, ale może.

- Czy rozplączesz się w końcu, na litość boską? - dopytywał się Farrell. - Będziesz ranił samego siebie, jeśli się nie wypłaczesz.

Ale Ben pokręcił głową i odszedł w kierunku drugiej łodzi, która właśnie miała odbić od brzegu. Farrell stał wpatrzony w wodę, wyobrażając sobie Aiffe i Nicholasa sunących zwinnie kajakiem, chowającym się pomiędzy drobnymi falami. Duża mewa frunęła za łodzią większość drogi, szybując nisko, jakby chciała pochwycić ostatnie jasne odbłyśki dziennego światła w śladzie pozostawionym na wodzie przez łódź.

17.

Za przyczynę śmierci Crofa Granta uznano atak serca. Jego dolegliwości wieńcowe nie były co prawda bardzo poważne, ale zalecano mu unikanie nadmiernych wzruszeń. Całe wydarzenie doskonale nadawało się do prasy i pozostawało na łamach lokalnych gazet przez kilka dni, nie tyle z powodu policyjnego dochodzenia, co gróźb wdowy po Crofie, że zaskarzy Ligę Archaicznych Przyjemności i zażąda trzydziestu pięciu milionów dolarów. Z tego, co pisała prasa wynikało, że obwiniła Ligę nie tylko za śmierć swego męża, ale również za zmarowanie przez niego większości życia, począwszy od utraty zawodowej reputacji po ataki podagry, narastające zaniki pamięci, odrzucanie ofert pracy gdzie indziej i całkowity rozkład ich małżeństwa.

"Nigdzie nie mogliśmy pójść! Często nie mogłam nawet zrozumieć tego, co mówił, a potem nagle wyzwał szefa kelnerów na pojedynek za to, że sympatyzował z Anglikami. Dzieci nie chciały nas odwiedzać. Ci przekłeci ludzie zmienili idealnego męża i ojca w cholernego Pana z Ballantrae".

Nigdy nie złożyła formalnego pozwu, ale wynajęła prywatnego detektywa, który bardzo poważnie podszedł do sprawy. Widywano go jeszcze długo po zniknięciu reporterów, jak cierpliwie węszył i przepytował niemal każdego, kto był na wyspie w czasie Wojny Czarownicy. W pewnym sensie marnował tylko czas i energię, ponieważ jedyni, którzy oprócz Farrella widzieli śmierć Crofa Granta, przypuszczalnie wrócili już z powrotem do wczesnego średniowiecza. Działał jednak ludziom na nerwy i niektórzy postanowili opuścić Ligę. Po tej wojnie wrócono do domu ze zbyt wieloma dziwnymi i poważnymi ranami. Zbyt wielu ludzi dręczyły zbyt do siebie podobne senne koszmary o fruujących zębatych jelitach. Zbyt wielu próbowało rozmawiać o bitwie o zachodzie słońca i pięciu obliczach, równie bezlitosnych jak sam zachód słońca, a potem przerywało z tym samym wzdrygnięciem, na pół błagalnym wzruszeniem ramion. Detektyw powiedział wdowie po Grancie, że ma poważne podejrzenia co do udziału narkotyków w tej sprawie. Odparła, że tego się spodziewała i kazała mu dalej grzebać w poszukiwaniu tych cholernych ludzi, odpowiedzialnych za śmierć jej męża.

"Sześćdziesiąt jeden lat, a rozumu tyle co w kapuścianym głąbie i zabili go tymi cholernymi narkotykami. To wszystko wyjaśnia".

Reporterzy przyszli na pogrzeb, jako że licznie w nim uczestniczyli - zgodnie z ostatnią wolą Crofa - oddelegowani członkowie Ligi w pełnych kostiumach. Farrell stał z Julią i kilkoma kolegami Granta z wydziału sztuki, przyglądając się piórom, pelerynom, kitlom, płaszczom, szerokim sukniom błyskającym w woskowym powietrzu pogrzebowej kaplicy i kłaniającym się zamasyżycie przed trumną. Liga zdobyła czternastu nowych członków w ciągu tygodnia, więcej niż zrezygnowało.

Okazało się również, że Farrell był jedyną osobą, która widziała Aiffe na wyspie w czasie wojny. Ludzie Gartha kategorycznie zaprzeczyli, by kiedykolwiek im przewodziła czy wspomagała czarami. Dwóch świadków, poza jej ojcem, przysięgło, że cały weekend spędziła w odwiedzinach u kuzynki w Cupertino. Farrell opowiedział Julii o wszystkim, co widział, począwszy od zbliżenia Aiffe i Nicholasasa, po szaleńczą rozpacz Bena po śmierci Egila Eyvindssona, mniej więcej około 880 roku. Julia wysłuchała go w milczeniu, po czym zapytała:

- Co zamierzasz?

Zaskoczyła Farrella tym, jak mocno opłakiwała Crofa Granta. Nie widział, by ktokolwiek jeszcze to robił.

- No cóż, porozmawiam z facetem, którego zatrudniła zona Granta - odparł. - Nie mam zamiaru go szukać, ale gdy się u mnie zjawi, powiem mu, co wiem. W porządku? - Julia wydawała się tym wystarczająco usatysfakcjonowana, co sprawiło Farrellowi przyjemność. W przypiływie szczerości dodał: - Mam nadzieję, że się nie pokaze, ale spróbuję mu o tym opowiedzieć. - Naprawdę chciał dotrzymać słowa.

Ale detektyw zjawił się u niego w pracy i Farrell mu skłamał, jak inni.

- Skarbie, to nie zrobiłoby i tak najmniejszej różnicy. Po pierwsze, nie uwierzyłby ani w jedno słowo, tak jak policja, to znaczy jestem o tym przekonany, a po drugie... Postuchaj mnie. Po drugie, jaka to różnica, gdyby mi jednak uwierzył? Facet, który zabił Granta, jest o osiemset lat stąd, za granicą. Nie mamy żadnych umów o ekstradycję z dwunastym wiekiem.

Jak zawsze, gdy była naprawdę zła, Julia wyglądała, jakby zaraz miała wybuchnąć śmiechem.

- Osoba, która go zabiła, ogląda telewizję, dorabia sobie pilnowaniem dzieci i rozpiera ją duma z samej siebie. Udało jej się wykręcić z morderstwa i teraz wie, że zawsze może liczyć na bezkarność, ponieważ nikt nigdy nie powie nawet słowa, bez względu na to, co zobaczy. Ty osobiście oddałeś w jej ręce tę całą cholerną Ligę, z której ja właśnie występuję. - Farrell chciał zaprotestować, ale ona powiedziała: - Joe, wynoś się stąd. Naprawdę chcę, abyś przez jakiś czas zostawił mnie w spokoju. Zadzwoń, gdy będę miała ochotę znowu z tobą rozmawiać. Idź sobie, Joe.

Farrell odszedł, nie oglądając się i opanował nerwy na tyle, że nie trzasnął drzwiami.

Wściekły, zawzięcie broniąc się, po kilkanaście razy dziennie usiłował odeprzeć jej zarzuty i za każdym razem uniewinnił siebie, co wcale nie łagodziło jego smutku. Następne dwa tygodnie spędził na pracy i ćwiczeniu z Bazyliškami do turnieju - pudło lutni poddał kosztownej reperacji i każdy mówił, że brzmi równie dobrze jak zawsze, ale tak nie było - lub na zakupach i wypełnianiu poleceń Sii. Ben chorował przez kilka dni po zakończeniu wojny - Sia mówiła, że to grypa - ale szybko wrócił do prowadzenia seminarium magisterskiego z Haraldskvaeoi, które prowadził całe lato.

Wydawał się całkowicie sprawny - i zupełnie bez wigoru, nie tyle apatyczny, co jakby wyobcowany, dziki lokator w swym własnym ciele, uchodźca cierpliwie znoszący jeszcze jeden obóz. Student, którego Farrell spotkał, gdy po raz trzydziesty szósty oglądał La Belle Et La Betę, powiedział mu, że Benowi ostatnio zdarzało się przerywać wykład i wpatrywać się w słuchaczy oczyma pełnymi tępego przestachu, do końca wykładu nie odzywając się już ani słowem.

- Czasami wydaje osobliwe dźwięki z głębi klatki piersiowej lub zaczyna śpiewać w środku dyskusji owe stare pieśni norweskich rybaków. W końcu to wyjdzie na jaw.

Farrell opowiedział o tym Sii, która odparła, że wie.

Ona, może nawet bardziej niż Ben, osuwała się w mrozącą samotność, zaniedbując swą pracę, tkanie, rzeźbienie, by chodzić po domu w ciężkim milczeniu, któremu zawsze towarzyszył stukot pazurów psa. Jej łowieckie wyprawy nie były bezcelowe. Farrell był absolutnie pewny, że poszukiwała czegoś realnego, ściśle określonego, i bardzo tego potrzebowała, ale wiedział, że nie było to coś, w czego poszukiwaniu mógłby jej pomóc. Pewnego razu obudził się ze świadomością, że ona stoi pod drzwiami pokoju gościnnego, ale gdy je otworzył, zobaczył, jak stoi zwrócona plecami do niego z takim napięciem wpatrując się w pustą ścianę, że nawet nie usłyszała, jak się do niej odezwał.

- Co to jest, w co się wpatrujesz? Sia, co mogę zrobić?

Odpowiedziała, nie odwracając się, ale w żadnym ze znanych mu języków. Po chwili Farrell wrócił do łóżka. Przez resztę nocy leżał na nim, nie mogąc zasnąć, a jeśli ona w ogóle ruszyła się stamtąd, to nic nie słyszał.

Nie stała się niemową czy autystką. Gdy chciała, nadal potrafiła wieść z nim rozmowy przy stole, pod warunkiem, że nie wspominał o Lidze Archaicznych Przyjemności czy Wojnie Czarownicy. Ich spotkanie z wielką boginią Kannon pod obcymi, trudnymi do zniesienia gwiazdami, również nie wchodziło w rachubę, choć zaskoczyła go pytaniem o Micaha Willowsa, a w jej słowach pobrzmiwały echa dawnego dowcipu.

- Nie chciałam dowiedzieć się, że już wynajął pokój po Mansie Musie. Nie powinien brać więcej żadnych lokatorów, proszę.

- Nie bierze - zapewnił ją Farrell, dodając choć tego nie planował: - Myślę, że sam wkrótce zostanie lokatorem. Wydaje mi się, że Julia chce, by z nią jakiś czas zamieszkała po wyjściu ze szpitala. - Nigdy mu tego nie sugerowała, ale nagle wiedział, że to prawda.

Te dwa tygodnie były złym czasem. Tęsknił za Julią i tak bardzo martwił się o Bena i Się, jakby byli jego starzejącymi się rodzicami. Oprócz Hamida ibn Shanfary nie miał z kim rozmawiać. Hamid współczuł mu, ale miał własne problemy.

- Turniej zbliża się niczym Concorde, a ja nie jestem gotów. Zwykle miałem już opracowany cały zarys opowieści o wojnie, pełny bohaterkich śmierci i drzew genealogicznych, wygodny do wypełnienia. Ale ta wojna była trudna do uchwycenia w słowa, pewnie to zauważyłeś. - Farrell kiwnął głową. - A ty lepiej zacznij ćwiczyć granie - poradził mu delikatnie. - Obaj będziemy mieli kupę roboty na turnieju. Dojdzie do koronacji nowego króla, co do tego nie ma wątpliwości. Gromadka giermków zostanie pasowana na rycerzy i mnóstwo będzie śpiewów i tańców, a wieczorem pewnie wystąpią komedianci, wiesz chyba, że do tego potrzeba muzykantów. Będziemy mieć pełne ręce roboty, a po tym wszystkim możemy wystąpić z Ligi. - Farrell milczał przez chwilę, potem ponownie kiwnął głową. - Będzie już czas - powiedział Hamid.

Na terenach targowych odbywał się zlot miłośników starych pojazdów mechanicznych. Farrell wybrał się z nimi na piknik w packardzie z 1904 roku swego szefa. Uczestnicy zlotu ubrani byli w płócienne czapki, długie prochowce, ukwiecone berety i kapelusze ze strusimi piórami, rękawice, wysokie buty zapinane na guziki i długie szaliki. Byli przyjaźni i rozmowni, równie czysti jak ich małe pająkowane pojazdy i wielu spośród nich, tak starych jak młodych, wydawało się odświeżonych, oczyszczonych z brudnych osadów codziennego pośpiechu. Farrell zauważył, że nigdy nie oddalali się zbyt daleko od swych pojazdów, lecz wręcz fizycznie do nich lgnęli, jak do siedzeń w poświęconym wagonie kolejowym. Śmiał się z tego pod nosem, ale gdy cała karawana ruszyła w podróż po bocznych drogach i małych miasteczkach, powietrze zaczęło smakować bardziej oszałamiająco i młodo, a okolica wydawała się coraz mniej rzeczywista i pewna. Farrell widział jelenia, czarną wiewiórkę i - na błotnistych terenach, gdy samochody pokonywały w bród mały strumień - ślady bardzo dużego kota. Po jakimś czasie uprzytomnił sobie, że wypatruje śladów samolotów na niebie i telewizyjnych anten nad drzewami.

Na terenach piknikowych czekała już Briseis, skrajnie pokorna, ale zdecydowana. Początkowo Farrell udawał, że jej nie zna, potem zabrał ją na bok i nakrzyczał na nią, na koniec próbował odciągnąć ją od jej obowiązków, przekupując przysmażonymi jajkami i winogronami. Briseis merdała, łaściła się i odskakiwała. Ostatecznie pojechali razem do Avicenny w Citroënie z 1898 roku hodowczynie kotów, której beeper dał o sobie znać.

- Absolutnie ostatni raz mi to robisz - szepnął Farrell do Briseis po drodze. - Co ty sobie myślisz, jak to wygląda? - Miał nadzieję, że hodowczynie kotów go nie słyszy, ale ona słyszała. Frontowe drzwi domu Sii nie były zamknięte. Pomimo letniego upału w pokojach na dole panował chłód, jakby nikt w nich nie mieszkał. Farrell poczuł dziwny, bolesny ucisk w skroniach zaraz po przekroczeniu progu. Chodził z pokoju do pokoju, nawołując Się, potem wspiął się po schodach, a

za nim wgramoliła się Briseis. Nawet nie mógł wyczuć Sii w jej sypialni, łazience, pracowni czy gabinecie, a znał ten zapach niemal tak dobrze, jak znał zapach Julii. Ponownie zszedł na dół i wrócił na górę, sprawdzając każdy pokój dwa, trzy razy, bo wiedział, jak nieruchomo potrafiła siedzieć i jak łatwo mógł przejść obok nie zauważając jej. W końcu odwrócił się do Briseis.

- Dobra. W tym domu są miejsca, których nigdy nie widziałem - powiedział do niej głośno. Briseis spojrzała na niego śmiało i spokojnie, tak jak poprzednio, w ogrodzie zoologicznym. - Ty znasz tu wszystkie kąty, pokaż mi.

Briseis przepchnęła się obok niego i pobiegła przez hol, prowadząc go do schowka na bieliznę. Był zdecydowanie dłuższy niż Farrell pamiętał.

Dawno już pogodził się z tym, że nigdy naprawdę nie będzie wiedział, ile pokoi i okien było w domu Sii, ani dokąd prowadziły niektóre korytarze. Farrell znajdował fałszywe ściany i przejścia po dźwięku, jaki wydawały w czasie opukiwania. I to nie była kwestia pustki, ale obfitości alternatyw kwitnących w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Ten fakt nie przerażał go, dopóki dostrzegał to jedynie kątem oka, ale sama myśl przyprawiała go o zawrót głowy, szczególnie na poddaszu.

- Hej, nie idziemy chyba na poddasze, co? - zawołał do Briseis.

Briseis nie obejrzała się. Poprowadziła go prosto do schowka na bieliznę - który rozciągał się wokół niczym podwórzec, pachniał starymi, mokrymi od deszczu kamieniami, zamiast świeżymi powłoczkami na poduszki - skręciła w prawo, przeszła przez pokój bez okien, który bardzo ją niepokoił i ruszyła schodami w górę. Farrell zaśmiał się, gdyż Sia kiedyś wspominała o schodach dla służby i szukał ich, początkowo zwyczajnie, potem obsesyjnie, jakby tropił jakiegoś legendarnego potwora, który przed nim umykał. Muszą zaczynać się w kuchni, gdzieś za spiżarnią. Nie, szukałem tam, cholera. Niech to lichu, ten pies zdecydowanie prowadzi mnie na poddasze.

Ale schody prowadziły w dół i trochę w bok równie często, jak do góry. Były wąskie jak kładka, niepokojąco wilgotne i niepewne pod jego stopami. Dał sobie spokój z próbami zorientowania się względem domu, który znał. Jedno było pewne, niepokojące uczucie ucisku w skroniach robiło się coraz mocniejsze, niezależnie od tego, czy wspinał się, czy schodził. Początkowo narastające poczucie bliskości w jego umyśle teraz wydawało się koncentrować na samym domu, zaciskając metodycznie, aż w końcu Farrell ledwie mógł się posuwać naprzód przez ciszę dźwięcząca jak dzwon. Jeśli zbyt długo trwał w bezruchu, Briseis wracała po niego. Warcząc popychała go nosem, zmuszając, by szedł po schodach ku czemuś, co początkowo wyglądało jak odległe światło uliczne, potem jak księżyc, a w końcu jak drzwi, za którymi paliło się światło, czym zresztą było. Otworzyły się na skamlanie Briseis i oboje wpadli przez nie w popołudnie, oddech i obecność Sii, która powiedziała:

- Dziękuję, Briseis. Bardzo dobrze się spisałaś.

Siedziała na środku miłego, nienaganego pokoju, w fotelu, który związał się i kulił wokół niej i pod nią, a jego kontury zmieniały się, gdy tylko ona przybrała inną pozycję. Miała na sobie szatę, której nigdy przedtem nie widział. Niebieska jak noc, srebrzysta jak noc, spływała po jej ciele niczym cień chmury, dotykając jakby ją znała. Niczego nie spłaszczła, wyraźnie zaznaczała jej gruby brzuch i nogi, ale Farrell skłonił się przed nią, jak pokłonił się Kannon. Głos, który jedynie dawno zgrzybiały ojciec Krone mógłby rozpoznać, powiedział gdzieś:

- Wielka Królowa Niebios.

- Nie bądź niemądry - odpowiedziała mu niecierpliwie. - Nie jestem królową, już nie, nigdy więcej, a tu nie są niebiosy, nie w takim znaczeniu, jak myślisz. A co do wielkości... - Gdy uśmiechnęła się, jej twarz zdawała się pękać i spływać światłem. - Posłałam po ciebie Briseis, ponieważ byłam samotna. Bardzo zmęczona, również, i bardzo przerażona, ale głównie samotna. Sądziś, że wielka królowa by tak postąpiła?

- Nie wiem - odparł Farrell. - Nigdy przedtem żadnej nie znałem. - Pokój mógł być salonem w wiejskim zajezdzie, bez głowy łosia i pianina. Zauważył kilka regałów na książki, kilka zakurzonych stalorytów, zniszczony, ale prawdziwy turecki dywan, tapety w kolorze sepii w syreny i szarych marynarzy. - Co to za miejsce? - zapytał. - Gdzie my teraz jesteśmy?

- To pokój, w którym kiedyś byłam szczęśliwa - odparła. - Oczywiście nie ten sam pokój, tamtego już nie ma, ale odtworzyłam go, najlepiej jak potrafiłam. Czasami jest wszystkim, co mam.

- To nie jest część domu - powiedział Farrell.

Jej szybkie potrząśnięcie głową zakończyło wzruszenie ramion.

- No cóż, jest i nie jest. Nie znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, co mój dom, ale jest tak samo jego częścią, jak wszystko inne. Tylko że trudno go znaleźć, nawet mnie. Ostatnim razem tydzień zajęło mi przypomnienie sobie drogi powrotnej. Briseis była bardzo sprytna i ty też.

- Czy Ben był tu kiedyś? - Nie odpowiedziała i Farrell podszedł do okien, znajdujących się po obu stronach martwej natury z jabłkami i butelkami wina.

- Bądź ostrożny - odezwała się za nim Sia. - Te okna są moimi oczami, w pewnym sensie, i nie potrafię obronić cię przed widzeniem tego, co ja widzę. Może nie powinieneś przez nie wyglądać. Na falującym od gorąca horyzoncie był zamek, bardzo daleko za rozległymi polami jęczmienia i kukurydzy, poprzecinanymi pozótkowymi koleinami po wozach zaprzęgniętych w woły. Z tej odległości zamek wydawał się przezroczysty i przypominał mydlaną bańkę. Farrell cofnął się, mrugając oczyma, i wizja zniknęła, a w jej miejsce pojawiło się wspaniałe bursztynowe miasto, którego budowle przyprawiały go o zawrót głowy, te z kolei zastąpiła malusieńka trójkątna chata pochylona nad rzeką, w której odbijała się i drżała w promieniach świtu.

- Och - powiedział. - Jakie urocze. - Dom, świt i rzeka zniknęły, jakby spłoszone jego oddechem i znowu spoglądał na pola jęczmienia, ślady stóp i strumienie płynące zakolami pod niebem jak jasnozłocisty płatek. Tym razem nie zobaczył zamku ani wielkich dóbr ziemskich. Z łatwością przegapiłby czerwone i kryte darnią dachy małych chat o glinianych ścianach, gdyby nie to, że na jego oczach jedna po drugiej zajmowały się ogniem, rozkładającym skrzydła niczym budzący się ptak. Pomiędzy chatami galopowali jeźdźcy i biegali ludzie z pochodniami.

Farrell otworzył oczy szeroko aż do bólu, by scena zniknęła, ale ona stawała się coraz bardziej realistyczna. Tam, gdzie przejechali jeźdźcy, to co brał za popołudniowe cienie, było poczerniałymi i zniszczonymi polami. Pierścienie jaskrawych kwiatów zmieniły się w żarzące węgle domów. A wszystkie prawdziwe cienie kryły nagie dzieci kołyszące rozplątane, porozcinane, podziurawione ciała innych dzieci. Farrell zobaczył krowę ciągnącą za sobą wnętrzności i kobietę szaleńczo gryzącą się w ramię, podczas gdy starzec wpatrzony prosto w jej twarz czy ona mnie nie widzi? otwierał usta coraz szerzej i szerzej. Mężczyzna odwrócił się powoli, po czym opuścił spodnie i pochylił się, wystawiając plamiste, zapadnięte pośladki na widok Farrella. Ponownie się odwrócił, teraz już z zamkniętymi ustami, schwycił swego penisa w obie dłonie i posiał drżący strumień uryny prosto w złocistą pustkę niebios. Wiatr zwiął krople z powrotem na niego i spływały mu po policzkach, mieszając się z jego brudnymi łzami.

Zatrzymaj to - szepnął Farrell i dzięki Bogu wizja zaczęła powoli niknąć. Ostatnim, co widział w krainie daleko w dole była uciekająca kobieta, z kotem i rozdartą poduszką z pierza w ramionach. Goniący ją jeździec śpiewał piosenkę, którą Farrell znał.

- Kim ty jesteś? - zawołał do Sii i usłyszał jej odpowiedź wewnątrz siebie.

- Jestem czarnym kamieniem wielkości kuchennego pieca. Obmywają mnie w strumieniu każdego lata i śpiewają nade mną. Jestem czaszkami i snopkami, wiosennym deszczem i krwią byka. Dziewice w mym imieniu zlegają z obcymi, a młodzi kapłani strącają nasienie u mych kamiennych stóp. Jestem białą kukurydzą i wiatrem w kukurydzy i ziemią, z której kukurydza wyrasta i ślepymi robakami zwiniętymi w wilgotną kulkę miłości w korzeniach kukurydzy. Jestem rują, powodzią i pszczołami miodonośnymi. Skoro o to pytasz.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane głośno, a gdy Farrell mógł już na nią spojrzeć, Sia śmiała się. To była Sia z pierwszego poranka, dyniowate pulchna i szybka jak pantera, jej szare oczy błyszczały prastarym spustoszeniem. Ale to nie był pierwszy ranek i Farrell dopytywał się zawzięcie:

- Kim jesteś? By pokazywać mi coś takiego i śmiać się, sądziłem, że jesteś cudowna, sądziłem, że jesteś jak ona. Czuł jej śmiech w podłodze saloniku pod swymi stopami.

- Jak Kannon? Myślałeś, że byłam boginią miłosierdzia o tysiącu rąk, by każdą z nich ratować świat? Nie, nie, Kannon naprawdę jest królową, a ja naprawdę jestem tylko czarnym kamieniem. To była moja pierwotna natura i wiele się nie zmieniałam. - Ale kpina w jej głosie zanikła, gdy przyjrzała mu się i dodała: - Nie tyle, ile bym być może chciała. Jestem kamieniem, który mył naczynia, sypiał w ludzkich łózkach, widział za dużo filmów, ale nadal jestem kamieniem. Kamień nigdy nie może być cudowny, obawiam się.

- C zy to, co widziałem, wydarzyło się naprawdę? Gdzie to było? - Nie trudziła się odpowiedzią. - Tam była uciekająca kobieta - powiedział. - Mogłaś przynajmniej jej pomóc. Było tam tak wiele dzieci.

- Powiedziałam ci, nie jestem Kannon. - Srebrny pierścień zbierający włosy ocierał się o jej policzek, potyskując niczym łza. - Wszystko, co zrobiłam dla waszego przyjaciela, zrobiłam dlatego, że to, co się mu przydarzyło, było wbrew pewnym prawom, a to, co widziałeś za mym oknem, nie. A nawet do tego potrzebowałam pomocy, której nie mogłam wezwać bez tej dziewczyny, Julii. Nie mam mocy poza tym domem, a teraz prawdopodobnie poza tym pokojem. Briseis zaskomlała i podkrađła się bliżej Sii, najwyraźniej nie śmiać ani domagać się pocieszenia, ani samej go zaoferować, ale na wszelki wypadek ułożyła się ponownie w uspokajającej bliskości.

- Żałuję, że nie widziałem cię, gdy byłaś czarnym kamieniem - powiedział Farrell.

- O tak, z pewnością było na co popatrzeć. - Choć sardoniczny ton nie zniknął z jej głosu, to brzmiał teraz delikatniej. - Myślę, że to było miłe, flety, czarni od dymu p ątnicy i krzyki, dawno, dawno temu musiało mi to sprawiać przyjemność. Wtrącałam się wszędzie, absolutnie wszędzie i we wszystko, robiłam to po prostu dlatego, że mogłam. - Jej gorzki chichot przyprowadził go o mrowienie skóry, podobnie jak jego własna muzyka. - Byłabym bardziej użyteczna dla tych dzieci, gdybym pozostała kamieniem.

- Nie rozumiem - odparł. - Nie rozumiem, jak bogini może stracić swą moc. Cofnęła się nieco, przyglądając mu się z niebezpiecznym zdumieniem, nim uśmiechnęła się.

- Bardzo dobrze. Nigdy nie myślałam, że użyjesz tego słowa. No cóż, z mocą już tak jest, jeśli jej wystarczająco nie pragnąć, po prostu cię opuszcza. Bogowie zawsze tracą swą moc, ponieważ przestają czerpać przyjemność z jej posiadania, wszyscy po pewnym czasie pragniemy czegoś innego, wcześniej lub później. Tym się różnimy od ludzi.

- Czego ty pragniesz? - zapytał Farrell. - Czego pragnęłaś bardziej od bycia boginią?

Sia zsunęła srebrny pierścień i zaczęła powoli rozplatać swój gruby, luźno spleciony warkocz, tak jak robiła to tej nocy, gdy próbowała nagiąć wszechświat dla Micaha Willowsa. Farrell pomyślał: To przeciwieństwo

tego, co robią fińscy żeglarze. Oni próbują uwięzić wiatr kawałkami sznurka, uwięzić moc w supłach. Ona zaś rozplata, a ja się temu przyglądam.

- Proszę, wyszczotkuj mi włosy - powiedziała. - Ben zapomniał o tym zeszłego wieczoru. Szczotka leży na tamtym stoliczku.

Farrell stanął za jej osobliwym, płynnie zmieniającym kształty, fotelem, w pokoju, który nie istniał i zaczął szczotkować jej włosy, tak jak zawsze pragnął to uczynić. Czuł, jak przelewają mu się w dłoniach szemrzącym, czarnosiwym potokiem, czuł oswobodzone wiatry przeciągające się, jak koty ruszające na łowy. Raz, pokazując jak prawidłowo posługiwać się szczotką, Sia dotknęła jego twarzy, budząc tym wspomnienie letniego dnia, który cały przeleżał na łące, obserwując narodziny motyla.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała cicho. - Ze wszystkich światów, ten był stworzony dla mnie, ze swą bezmyślnością i swym okrucieństwem i swymi wspaniałymi drzewami. Nic się nigdy nie zmienia. Każdemu zrozumieniu towarzyszy nowe przerażenie, każdej, w końcu przewyciężonej, głupocie wyrastają trzy nowe szaleństwa. Taki nieład, takie piękno, taka beznadziejność. Rozmawiam ze swymi klientami, ale nigdy nie rozumiem, jak oni potrafią rano wstać, jak wy wszyscy potraficie choćby wstać z łóżka. Pewnego dnia nikt się nie będzie tym martwił. - Odchyliła głowę bardziej do tyłu, zamykając oczy, a tymczasem Farrell dalej szczotkował jej włosy. Spozrzegł jak, z lekką kokieteryą, żyły na szyi kobiety raz miękkie raz pęczniały, niczym brzegi strumieni podczas pierwszej ulewy. Jej włosy oddychały teraz spokojnie w jego dłoniach.

- A mimo to pragniecie jedno drugiego - powiedziała. - A mimo to wymyślacie i zmyślacie, fabrykujecie cały wszechświat, równie realny i zgubny, jak ten. A wszystko po to, by na chwilę wymówić się od potknięcia jeden o drugiego. Znam bogów, którzy narodzili się tylko z tego powodu, że dwoje z was szukało uzasadnienia dla tego, co chciało zrobić pewnego popołudnia. Posłuchaj, mówię ci, oni w gwiazdach potrafią wyczuć wasze pragnienia, są uszy, dla których kształtu nie macie słów, by wysłuchiwać waszych marzeń i kłamstw, szlochów i mruknięć. Zdawałeś sobie sprawę, że czegoś takiego jak wy nie ma na całym usianym kamieniami niebie? Jesteście cudem kosmosu, być może dla zenujących powodów, ale pomimo tego cudem. Jesteście legowiskiem głodu i nudy, a ja tarzam się w was niczym pies.

Nagle odwróciła się, schwyciła go mocno za ramiona i pocałowała w usta, jednocześnie wstając. Farrell, który często zastanawiał się, jakby to mogło być i wzdrygał się lekko w swych marzeniach przed cielesnym kontaktem, stwierdził, że oddech kobiety był hałaśliwy, osobliwy i pełen zapachu kwiatów, i że całowanie jej było równie szokującym i zgubnym odkryciem, jak pierwsza czekolada. Fotel mruczał pod nimi zadowolony, przelewając się po podłodze. Farrell zanurzył się w sukni koloru nocy, by pływać przy całkowitym przyzwoleniu Sii z przerażającą łatwością i zapałem czworonożnego, lądowego stworzonka, które pamiętało morze i stało się dziadkiem wielorybów. Jej piersi były tak międko niekształtne, a brzuch pokryty plamami tak, jak się tego spodziewał. Całował ją i penetrował, zaślepiony jej szczodrością, dopóki nie objęła go za szyję i nie powiedziała:

- Teraz spójrz na mnie, nie przestawaj na mnie patrzeć.

Szybko stało się to bardzo trudne, ale byli mocno do siebie przytuleni i on nie odwrócił od niej wzroku, nawet gdy ujrzał czarny kamień i to co przed nim leżało. Jedynie na koniec zamknął oczy, gdy widok jej twarzy zbyt pięknej i smutnej stał się dla niego nie do zniesienia. Ale Sia uśmiechnęła się w głowie Farrella jak ktoś inny i wszystkie jego gości uniosły się w blasku słońca.

- Nicholas Bonner jest twoim synem - odezwał się, gdy tylko mógł mówić. Nadal byli złączeni, nadal drżeli, rozciągnięci jak ukrzyżowani. Sia milczała tak długo, że zdążył się zdrzemnąć, nim mu odpowiedziała.

- Prześpij się ze śmiertelnikiem, a pozbędziesz się swych tajemnic. Ben budził się każdego ranka, wiedząc o jedną rzecz więcej, której mu nie powiedziałam.

- O, Panie - westchnął Farrell. - Ben. Och, Ben. Nic dziwnego, że tak wyglądał. Zaczai obmacywać sobie twarz i oglądać się od góry do dołu, podczas gdy Sia śmiała się.

- Nie bądź głupcem - powiedziała.

Proszę, pozwól mi to zapamiętać, gdy wszystko inne zniknie, pozwól mi pamiętać boginię śmiejącą się po miłości.

- Nie zmieniłeś się - powiedziała. - Nie jestem wirusem, nie zaraziłeś się mną. Musiałbyś wejść w moje życie, tak jak Ben, wtedy byłbyś narażony. - Odsunęła się od niego i usiadła, obejmując kolana. - Nicholas Bonner jest moim synem, tak, a przynajmniej taki był pomysł. Nie, nie ma ojca, nikogo innego. Czy coś jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- Bardzo bym chciał wiedzieć, dlaczego ty masz nadal na sobie ubranie, a ja nie. -Błękitnosrebrna szata nie miała guzików, zamków ani żadnych zatrzasków czy wiązań. - Nie widziałem, byś się ubierała.

- Nigdy się nie rozebrałam. Śmiertelnicy nie powinni oglądać bogów nago, to bardzo niebezpieczne. Nie, ty mnie nie widziałeś, byłeś zbyt podniecony. Ale ucisz się i słuchaj. - Fotel wstał razem z nią, zrzucając Farrella na podłogę, gdy zaczynał zbierać swoje rzeczy. Pocałował jej stopę, gdy przechodziła obok niego do okna. Briseis podeszła i obwąchała go, nie skamłając ani nie merdając.

- Porozmawiamy o tym później - powiedział do niej.



- Byłam samotna - powiedziała Sia. - To nasze ryzyko zawodowe i różnie sobie z nim radzimy. Niektórzy bogowie tworzą światy, całe galaktyki, tylko po to, by móc porozmawiać z kimś inteligentnym i życzliwym. Zwykle byli rozczarowani. Inni zdecydowali się na posiadanie dzieci. Parzyli się między sobą, z ludźmi, zwierzętami, drzewami, oceanami, nawet pierwiastkami. To wszystko jest bardzo wyczerpujące i pochłania im mnóstwo czasu. Ale w końcu mają dzieci. Niektórzy z nich mają ich tysiące.

- I dasz wiarę, że żaden z tych bękartów nigdy nie napisał? - Sia spojrzała na niego i Farrell zmieszany dodał: - Przepraszam. Nie wiem, jaki Ben jest w takich chwilach, ale ja czuję się jak Central Park, kąpielisko dla ptaków czy coś w tym rodzaju. Tak więc, chciałaś mieć dziecko.

- Nie jestem już pewna, czego chciałam. To było dawno temu, a ja byłam inna. Pamiętam, że twój świat już istniał, ale wówczas był pełny ognia i wody, nic poza tym nie było. Nie miałam pojęcia, że kiedykolwiek tak bardzo go pokocham. - Przerwała na chwilę. - Nie mieliśmy słowa na miłość. Pożądanie, różne stopnie pożądania, to odzwierciedlało najbliższe temu uczucie. Gdybyś był bogiem, to razem zaspokajalibyśmy nasze pożądanie.

- Tak więc miałaś Nicholasa Bonnera - powiedział cicho Farrell. - Poczęty w pożądaniu z samotności. Czy on wie, że jest twoim synem?

- On wie, że go nie urodziłam - powiedziała. - Wie, że go zrobiłam. Rozumiesz? - Jej głos był smutny i srogi, jak wiatr skradający się za rogami domu. - Wie, że zrobiłam go w sobie, sama, tak naprawdę nie z samotności, ale z pogardy, takiej pogardy dla tajemnic, wyroczni, świątyni, tego całego mrowia pół i ćwierćbogów, tych bezradnych wampirzych potrzeb adoracji. Miałam zamiar zrobić dziecko, które mogło istnieć bez oszukaństwa, które będzie bogiem, jeśli niczego we wszechświecie nigdy nie będzie czcić. Wzgarda i próżność. Nawet jak na boginię zawsze byłam próżna.

Farrell miał ochotę podejść do niej, gdy tak stała pod oknem odwrócona do niego plecami, ale, podobnie jak Briseis, nie ośmielił się przekroczyć granicy jej bólu.

- Piekielnie mnie wystraszył, ale nie jest bogiem - powiedział w końcu. - Nie, jeśli ty nim jesteś.

- On jest niczym. Nie można stworzyć niczego użytecznego z pogardy i próżności, bez względu na to, kim jesteś. Nicholas Bonner nie jest bogiem, nie jest człowiekiem, nie jest duchem mocy, jest niczym, niczym, ale nieśmiertelnym i wiecznie na mnie rozwścieżonym niczym. Tak jak być powinien. Potrafisz sobie wyobrazić, co mu zrobiłam? - Odwróciła się, by spojrzeć na Farrella. Jej twarz była szara i mała. - Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest mieć absolutną pewność, że nie masz po co żyć, że nie ma dla ciebie miejsca między jednym końcem wszechświata a drugim? Potrafisz sobie wyobrazić, jakie to uczucie, Joe? Wiedzieć, że nigdy nawet nie będziesz mógł umrzeć i uwolnić się od tego strasznego niezycia? Oto, co zrobiłam memu synowi, Nicholasowi Bonnerowi.

- Musiałaś próbować - powiedział Farrell. - Próbować jakoś to odczynić. Byłaś wtedy mocniejsza, musiałaś próbować.

- Nie mogłam tego zrobić, nigdy nie byłam wystarczająco silna - odparła Sia, kręcąc niecierpliwie głową. - Byłam dokładnie jak twoja mała wiedźma, po prostu bawiłam się mocą przy byle okazji i przypadkowo natknęłam się na coś, co tylko cud mógł odczynić. Mogłam jedynie odesłać go bardzo daleko, w miejsce zwane limbo. Nie chcę o tym rozmawiać. Tam można jedynie usiłować spać i czekać, aż ktoś przypadkowo cię przywoła. Zawsze znajdzie się ktoś taki. - Nagle zachichotała ponuro i dodała: - Zawsze tak to wygląda. Moje ciało wydaje się starsze i brzydsze za każdym razem, ale Nicholas Bonner na zawsze jest czternastolatkiem.

- Nie znosi być tutaj - powiedział Farrell, przypominając sobie ów pierwszy przeciągły krzyk przerażenia w sekwojowym zagajniku: Tutaj zatem, chyzo, albowiem zimno mi, zimno mi. Sia kiwnęła głową, nie patrząc na niego. - Coś ściska ten dom niczym dziadek do orzechów - powiedział Farrell. - Tutaj tego nie czuję, ale wszędzie indziej tak. Co się dzieje?

- Zaczęło się. - Jej głos był spokojny, niemal obojętny. - Za jakiś czas, może za kilka dni, spróbują ponownie wejść do mego domu i on spróbuje odesłać mnie w to miejsce, gdzie ja odsyłałam go poprzednio. Ciekawa jestem, czy ta dziewczyna jest dostatecznie silna, by wejść do tego pokoju. Do domu, tak, myślę, że tak, ale być może nie tutaj. - Ujęła dłoń Farrella w swe kwadratowe ręce o serdelkowa tych palcach i uśmiechnęła się do niego, ale nie przeciągnęła go poza niewidzialną linię. - Joe, na Boga, nie patrz tak. Nicholas Bonner nie może nic zrobić, poza zniszczeniem mnie w imię pewnej sprawiedliwości. Straszne jest to, że to wszystko, co może. Farrell dalej na nią patrzył w milczeniu. Kobieta westchnęła i odsunęła jego dłoń.

- Teraz możesz odejść, Joe. Potrzebowałam trochę towarzystwa na jakiś czas. Nic mi tu nie będzie, dziękuję. - Wyglądała przy tym jak dziewczynka drżąca przy swym pierwszym poważniejszym kłamstwie. Farrell chciał ją przytulić, lecz ona odwróciła się ponownie, a on dochodząc już do drzwi, obejrzał się. Usłyszał jakieś ciche, smętne dźwięki. Uznał, że to Briseis, ale potem zdał sobie sprawę, że dźwięki wydawał on sam.

Otwierał drzwi, czując jak powoli zamykają się na nim szczęki powietrza, gdy Sia powiedziała:

- Zostań, Joe. Nie czuję się dobrze. Zostań ze mną, dopóki Ben nie wróci do domu.

Farrell stał więc z nią przy oknie i trzymali się za ręce, a dom tymczasem skomlał, śpiewał i jęczał wokół wyimaginowanej bańki jej pokoju. Nie chciał ponownie wyjrzeć przez okno, ale ona powiedziała:

- W porządku, teraz jest tam tylko Avicenna, przyrzekam. - I dotrzymała słowa. Wysokie okna wyglądały na zapamiętane dachy i ulice, zaparkowane samochody, jasną mgiełkę nad zatoką. Ludzie pracujący w swych ogrodach wydawali się zastygli w bezruchu niczym fale widziane z oddali. - Tak bardzo będę za tym tęsknić. Cholerne miejsce, ale będę za nim tęsknić. To tłuste ciało, chodząca kupa błota, zwodziona wszystkim, ten niemożliwy, zrujnowany przypadek świata, ci ludzie, którzy wolą raczej skrzywdzić siebie wzajemnie niż zjeść... ale zrobiłabym wszystko, by zostać tu dziesięć minut dłużej. Zostawię ślady pazurów, pociągnę pod paznokciami góry i lasy, gdy będą mnie stąd odciągać. Jakież to głupie uczucie. Będę cała brudna od kurczowego trzymania się tej planety i bogowie będą się ze mnie śmiać.

- Gdy się kochaliśmy, to nie byłem naprawdę ja, prawda? - zapytał Farrell. - Nie odpowiedziała, ale przytuliła jego dłoń do swej piersi. - Kurczowo trzymać się tej całej głupiej planety? - Sia kiwnęła głową. - Jestem zaszczycony - dodał, a potem czekali w milczeniu, dopóki Ben nie wrócił do domu.

18.

Julia nie zadzwoniła, zamiast tego przyszła pewnego późnego popołudnia do warsztatu. Farrell wyczuł ją, nim jeszcze ujrzał i wygramolił się z tylnego siedzenia samochodu, w którym zmieniał tapicerkę, starając się wyglądać na umiarkowanie zadowolonego.

- N adal jestem na ciebie wkurzona, ale za tobą tęsknię - oznajmiła, stojąc o długość samochodu od niego. - Musimy pogadać; sadzę, że powinieneś pójść ze mną do domu i ugotować nam małże. Z młodymi ziemniaczkami i tą pyszną zieloną fasolką w groszkowym sosie, proszę. Ale nadal jestem wkurzona.

- Uważam, że jesteś przewrażliwiona i nierozsądna. I myślę, że to głupie uczesanie. Daj mi dziesięć minut.

Dla sprawiedliwości trzeba przyznać, że nim zaczął gotować, powiedziała mu o Micahu Willowsie. On zaś nie zaprzestał przygotowywania kolacji i dołożył jeszcze sałatkę owocową z cytryną i sosem jogurtowym. Postawił przed nią talerz z małżami podskakującymi jak popcorn i nie potrafił się powstrzymać przed powiedzeniem:

- Tylko nie każ mu dzwonić po przepisy, to wszystko.

- To zaledwie kilka tygodni - powiedziała. - Najwyżej dwa tygodnie. Powinieneś wiedzieć, że dłużej niż dwa tygodnie nie zniosę nieustannej obecności kogokolwiek. - Farrell rzucił jej na talerz ziemniaki niczym oskarżenie. - Joe, lekarz powiedział, że on powinien przebywać w otoczeniu ludzi, których zna, kogoś komu ufa, dopóki ponownie nie nabierze wiary w siebie. W tej chwili ma tylko mnie. Jego rodzina wróciła do Columbus, niemal każdego dnia rozmawiałam z nimi przez telefon. Pokryją wszystkie rachunki za szpital, przysła mu tyle pieniędzy, ile będzie potrzebował, byleby tylko nie wracał do domu. On nie ma gdzie się podziąć.

- Prawdziwy remittance-men\* [\* Remittancemen - człowiek wysłany do kolonii angielskich, utrzymujący się z funduszków przekazywanych mu z domu.] - powiedział Farrell. - Nicholas Bonner ma ten sam problem. Do bra. Zaraz zabiorę swoje rzeczy z łazienki.

Odwrócił się, ale Julia złapała go za ramię i obróciła do siebie.

- Joe, do cholery, Micah i ja musimy uregulować pewne sprawy. Nigdy z sobą nie zerwaliśmy, on po prostu został opętany. - Wbrew samemu sobie Farrell roześmiał się z obłądności jej oświadczenia i ona także wybuchnęła śmiechem, potrząsając głową i zakrywając usta dłonią, jak uczyła ją babcia. - Nie wiem, czym było to, co do niego czułam - powiedziała po chwili. - I muszę się tego dowiedzieć, ponieważ nie znoszę niedokończonych spraw. A ty i ja mamy jeszcze razem masę rzeczy do zrobienia, ponieważ nasz szczególnie związek opiera się na niedokończonych sprawach i ponieważ razem byliśmy świadkami rzeczy, w które nikt poza nami nigdy nie uwierzy. Musimy więc bardzo uważać, by nigdy siebie nie stracić, bez względu na to, co się stanie. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć, Joe?

- Każdy mnie o to pyta - odparł. - Skarbie, od dnia naszego spotkania ani razu nie musiałaś mi niczego dwa razy tłumaczyć. Nie zaczynaj więc teraz, bo pomyślę, że się starzejesz. Bądź tylko ostrożna i zadzwoń, jeśli będę ci potrzebny, włączając w to przepisy. Jedz te swoje cholerne małże, tyle robiłaś wokół nich hałasu.

- Starzeję się - powiedziała cicho Julia. Gdy opuszczał jej dom, zatrzymała go w drzwiach, patrząc na niego z dziwnym, gniewnym błaganiem w oczach. - Joe, nie będę ci mówić, byś nie szedł na turniej, ale uważaj na siebie. Crof nie żyje, Micah też ucierpiał, a ja nie chcę tracić więcej ludzi, na których mi zależy. Naprawdę mam uczucie, jakbym się starzała, jakbym marniała, czuję jak moje zmysły kurczą się jeden po drugim. Jesteś równie dziwny jak Aiffe, na swój sposób, ale nie chcę, aby przydarzyło ci się coś złego. - Na chwilę oparła głowę o jego ramię, a potem cofnęła się do mieszkania i zamknęła drzwi.

Na ostatnie dziesięć dni przed turniejem wydawało się, że Liga Archaicznych Przyjemności zniknęła. Nie było już więcej zajęć, uczt czy tańców, wieczornych spotkań przy muzyce i starych opowieści. Farrell widywał jedynie kobiety z Ligi na ulicach lub w kilku specjalistycznych sklepach z materiałami. Panowie pozostawali w domach, polerowali broń i zbroję, układali z ponurą zawziętością manekiny na podwórkach i pospiesznie umawiali się na prywatne lekcje z Johnem Erne. Na próbach Bazyliisków Farrell dowiedział się, że muzycy stawiają dwadzieścia do jednego na to, że król Bohemond nie zatrzyma korony, dając równe szansę, jak trzy do jednego,

Benedictisowi de Griffinowi i Raoulowi z Carcassonne oraz największe, jak dziesięć do jednego, dla Gartha de Montfaucona. Zrozumiałe było, że wszystkie zakłady wezmą w tęb, jeśli Egil Eyvindsson znajdzie się na liście.

- Trudno nie interesować się tym - powiedział Farrell do Hamida i Lovity. Byli na niemy filmie, a po drodze do domu wstąpili na lody. - Gdy chodzi o ludzi, których znasz. Mogę postawić sześć i pół do jednego na Simona Widefarera.

- Te szansę nie mają żadnego uzasadnienia - powiedział Hamid. - Nie w tym turnieju. - Farrell zdziwiony uniósł brew. - Nie powiedzieli ci o tak zwanej dzikiej karcie? Na turnieju ku czci św. Walenia kolejność walk nie jest ustalana, nie ma eliminacji. Każdy może wyzwąć każdego i trzeba to wyzwanie przyjąć.

- Cudownie - powiedział Farrell. - Jakiś zaściankowy baron poczuje bojowego ducha i całe kalkulacje diabli wezmą. Domyślam się, że Bohemond tak zwyciężył w ubiegłym roku.

Lovita potrząsnęła głową, czyniąc drobną etiudę baletową z prostej czynności zlizania lodów z górnej wargi.

- Ta dziewczyna była wściekła na swego ojca, ponieważ zabronił jej wychodzić z domu i otoczyła Bohemonda jakimś rodzajem ochrony. Byłam tam. Ludzie zaczęli mieć mdłości, zdarzały się wypadki tuż przed walką z nim. Frederik, stary Garth, nie byli w stanie go tknąć, ich miecze po prostu ześlizgiwały się po powietrzu. Byłam tam, widziałam to.

Hamid kiwnął głową.

- Potem Aiffe była przez cały czas.

W ciągu tych dni osobiwy uścisk domu Sii często rozluźniał się na dłuższe okresy, choć nigdy całkowicie nie zniknął. Farrell zdumiony był tym, jak łatwo przyzwyczał się do zmiany nacisku, choć przechodzenie przez wejściowe drzwi przypominało nurkowanie w morskie głębiny, a głowa nie przestawała go boleć, gdy znajdował się we wnętrzu. Ale w krótkim czasie stało się to zaledwie jeszcze jedną cechą owego szczególnego domu, podobnie jak złośliwie ruchome okna i pokój wysoko nad schodami, gdzie Sia czekała na swego syna. Zawsze po okresie osłabienia uścisk wracał z gwałtowną zajadliwością, która sprawiała, że ściany skrzypiały, a cegły kominka jęczały, podczas gdy Briseis jednym susem wypadała na podwórko. W takich chwilach w domu unosił się silny zapach pioruna i stabszy gnijących owoców.

Sia rzadko opuszczała pokój na górze. Farrell kilka razy wyruszał na jej poszukiwanie, ale Briseis nie chciała go już zaprowadzić i nigdy nie udało mu się dotrzeć dalej niż do schodów dla służby. A gdy w końcu zeszła na dół, poruszała się po domu jak niedźwiedź na wpół rozbudzony z zimowego snu, nie zwracając uwagi na nikogo z żywych, objijając się o meble, jeśli się jej uważnie nie pilnowało. Suzy McManus nie mogła znieść tego widoku, za każdym razem, gdy Sia mijala ją nie zauważając, wybuchała płaczem. W końcu przestała przychodzić do domu, zarówno jako klientka, jak i pomoc domowa, telefonowała jednak każdego dnia, pytając o Się.

Farrellowi wydawało się, że Sia go rozpoznawała ilekroć się spotykali, ale nie dostrzegł najmniejszego śladu potwierdzenia wspólnej tajemnicy czy czułej zażyłości. Jej oczy były przerażająco żywe, przepętnione do ślepoty wspomnieniami czarnego kamienia i Farrell nie mógł zbyt długo w nie patrzeć. W myślach powtarzał jej: Nie zapomnę, ty zapomnisz, nim ja zapomnę. Raz wydawało mu się, że kiwnęła mu głową, gdy wspinała się po schodach, z wysiłkiem wracając do swego bezpiecznego miejsca, które nigdzie nie istniało.

Wraz z Benem wypracowali sobie schemat postępowania pozwalający im na pewność, że Sia nigdy nie będzie w domu sama. Farrell poruszył ten temat w czasie kolejnej milczącej kolacji i zaskoczyło go podejście Bena do sprawy o wiele bardziej realistyczne niż jego.

- To nie robi najmniejszej różnicy, wiesz o tym, Joe. To nie jest to samo co pilnowanie babci, żeby się nie przewróciła w łazience. My nie możemy jej ochronić, nic nie możemy dla niej zrobić. Robimy to, by uspokoić samych siebie, z żadnego innego powodu. Przecież o tym wiesz.

- Wiem - odparł poirytowany Farrell. - Wiem, kto na nią nastaje i dlaczego. Przy okazji, zauważyłeś, że to cholernie przypomina zakłócenia odbioru telewizji? Ostatnio nie byłem pewny, co myślisz.

- S ądzę, że to wszystko wymaga piekielnie dużej koncentracji, nawet od Aiffe. Nie wiem jak ona potrafi jednocześnie myśleć o turnieju i Sii.

- Nie przypuszczam, aby to miało wielkie znaczenie. Nicholas Bonner potrafi. - Wstając, by pozmywać naczynia, powiedział przez ramię: - Czujesz się już lepiej, prawda? To znaczy w kwestii Egila.

Ben milczał niemal tyle czasu, ile potrzeba było, by ucichło w głowie Farrella echo tego idiotycznego pytania.

- Ja nie wiem, co czuję w kwestii czegokolwiek, Joe - powiedział w końcu. - Natomiast wiem, co czuje Egil Eyvindsson. Może być martwy, ale go znam, jestem nim, on nadal jest prawdziwy, a Ben Kassoy jest kimś, o kim muszę myśleć i kogo muszę grać. Na przykład teraz, siedząc tutaj, gram, usiłuję przypomnieć sobie, jakie miny powinien robić Ben w czasie rozmowy i co robił ze swymi dłońmi. - Roześmiał się nagle. - Może przyznaliby mi pieniądze na projekt badawczy -dodał. - Już raz mi dali, gdy po raz pierwszy prowadziłem studia nad Egilem. - Przez okno nad zlewem Farrell zobaczył dwoje malców usiłujących namówić Briseis do wspólnej zabawy. Drep-tali za nią w lawendowej poświacie zachodu.

- Egil był stanem mojej psychicznej normalności - powiedział Ben. - Prawdziwi szaleńcy chodzą na spotkania, nauczają tego, co kochają ludzi, którzy niczego nie kochają i przez lata wystają na przyjęciach z innymi szaleńcami, których gównem obchodzą. I niczego tak naprawdę nie wiedzą, poza tym, co wszyscy o tym myślą. Egil wie - wiedział, Egil wiedział czym jest poezja, Bóg, wiedział, czym jest śmierć. Wolałbym raczej być Egilem, a będę szefem wydziału literatury w przyszłym roku. - Farrell odwrócił się, by na niego spojrzeć. W jego twarzy zobaczył tę samą straceńczą tęsknotę, jaką sam czuł za letnimi zmierzchami i widokiem ojców wyglądających z okien. Ben powiedział: - Dobrze się bawiłem, Joe. Nigdy nie będę się już tak dobrze bawił. Po prostu będę miał stałą posadę.

Plan postępowania był łatwy w realizacji i nie zakłócony żadnymi wypadkami. Aiffe i Nicholas Bonner nie zblizyli się do domu, choć Ben i Farrell na zmianę trzymali nocną wartę, zdawali sobie wzajemnie szczegółowe relacje ze wszystkiego i spali w ubraniach jak strażacy. Wydawało się, że Sia zauważyła ich nowy styl życia nie bardziej niż wszystko inne, co dotyczyło ludzi. Tym większym zaskoczeniem było, gdy zaczęła nalegać, by Ben towarzyszył Farrellowi na turnieju. Ten próbował wykręcić się żartem, mówiąc:

- Zmusiłaś mnie, bym włożył się za nim przez tę całą głupią wojnę na wyspie, a on nawet nie był łaskaw dać się zabić. On naprawdę potrafił się już sam o siebie zatroszczyć.

Ale nie dała się przekonać.

- Muszę pobyć sama, a jestem zbyt zmęczona, by wymyślać ci dobre kłamstwo - powiedziała tylko. - Obserwuj tych dwoje na turnieju, jeśli chcesz, a jeśli opuszczą go przed końcem, wówczas i ty możesz tu wrócić. W przeciwnym razie zostaniesz tam do końca wieczoru. - Mamrotała z oddali, brzmiąc niemal przeproszająco w obliczu gniewu i strapienia Bena, ale nie było z nią dyskusji. Turnieje zaczynały się zawsze w południe na trawniku przed hotelem Waverly. Farrell włożył niebieskie spodnie przed kolana i turkusowy kubrak. Ben, w geście protestu, znoszone trampki, dzinsy, filcowy kapelusz rybacki i wyświechtaną bluzę dzinsową zarzuconą na podkoszulek z portretem rodzinnym Borgiów.

- Ja już się nie przebieram. To jest turniej ku czci św. Walenia, mogę się ubrać w co mi się żywnie podoba. - Patrząc na dom, gdy Madame Schumann-Heink odjeżdżała pomrukując dostojnie w dół ulicy, rzucił od niechcenia: - Podobają mi się jednak twoje portki. Wczesny Burt Lancaster, bardzo bogaty okres. Bardzo szykowne.

- Julia mi je dała - odparł Farrell. - Ben, wiem, że bez nas nie będzie jej dobrze, ale ona tego chce. Musimy to uszanować, dla własnego spokoju ducha.

- Farrell, jeśli będę tęsknił za kalifornijskim ciepłem rodzinnym, to do ciebie pierwszego się zwrócę. - Resztę drogi przejechali w milczeniu. Dopiero gdy dojeżdżali do Waverly, zadał pytanie na zupełnie inny temat. - A jak sobie radzi Julia? - zapytał raczej delikatnie. - Czy w ogóle ze sobą rozmawiacie?

- Dzwonimy do siebie - powiedział Farrell. - Micah dużo śpi. Czasami dręczą go potworne senne koszmary, po których całymi godzinami płacze. Ale wie, kim jest i w jakim wieku naprawdę się znajduje. Robimy postępy.

- Z całą pewnością. Już ma kwalifikacje na prezydenta. Czy ona przyjdzie na turniej? Farrell pokręcił głową.

- Ona jest jak ty, trzeba by Sii, by zmusić ją do przyścia. Poza tym opiekuje się drugą osobą, a ja potrafię to zrozumieć i uszanować. Az nie chce mi się wierzyć, że jestem taki cywilizowany.

- Um. Egil nie zastanawiał się wiele nad naszą cywilizacją, tą odrobiną, z którą się zetknął. Uważał pewnie, że jest w porządku dla ludzi, którzy o nic wiele nie dbają.

Pod hotelem nie było wolnych miejsc do zaparkowania i mogli mówić o szczęściu, że znaleźli miejsce kilka przecznic dalej. Ogromny trawnik przed głównym wejściem był usiany namiotami, których barwne gromadki ciągnęły się aż na dziedziniec, mijaly fontannę i docierały na tyły hotelu, przelewały się przez ozdobne podjazdy dla powozów aż na parking. Sztandary i herby szlachty -dziewięciu książąt i kilku pomniejszych - ozdabiały wielki łuk stojący przed szrankami - pasem murawy ograniczonej jedynie namiotami rycerzy i połączanym, podwójnym tronem naprzeciw łuku. Tron przypominał trochę ganek, trochę palankin, w którym mieli zasiąść król Bohemond i królowa Leonora. Oczywiście były też stragany rzemieślników i kupców oraz mała estrada dla muzyków. Jaskrawe proporce i sztandary powiewały aż do markiz i parapetów Waverly, tak że turniej wydawał się być częścią samego zamku, letnim zmierzwionym strojem, niedbatym przybraniem surowych wieżyc. Sztandar Ligi - złoty strzelec w koronie na granatowym polu -powiewał z najwyższej wieży Waverly.

Przepychanie się przez tłumy gapiów na pole turniejowe było dla Farrella całkiem nowym doświadczeniem. Tylko na nieliczne imprezy Ligi publiczność miała wstęp. Odpowiednio ubrani widzowie byli zwykle wpuszczani na jarmarki i biesiady, ale tylko na targach rzemiosła lub pokazie tańca renesansowego czy średniowiecznych sztuk walki Farrell widział zwykłych gapiów.

"Nie jesteśmy meczem piłki nożnej - odparła zwięźle lady Criseyde, gdy zapytał ją kiedyś o publiczność. - Jesteśmy nastrojem, atmosferą. Nie sprzedaje się biletów na atmosferę". Teraz przytoczył jej słowa - Być może - mruknął Ben. - Wiem tyle, że przez pierwsze kilka lat musieli wynajmować miejsce. Teraz dostają je za darmo i wszelką pomoc, jakiej im trzeba do urządzenia tego wszystkiego. Hotel reklamuje imprezę trzy miesiące naprzód. Jako część ich oferty na majowe święta.

Młodzi rycerze już wyzywali się wzajemnie, uderzając w tarcze wiszące przed namiotami, a dzieci harcowały w szrankach niczym gnane wiatrem konie. Aiffe im przewodziła, skacząc i wirując z innymi, a gdy Farrell schwycił jej spojrzenie, roześmiała się milcząco i zakręciła młynka.

- Niech mnie diabli - powiedział cicho Farrell. - Spójrz, ona naprawdę to potrafi. - Szranki usiane były gęsto drobnymi, szkarłatnymi kwiatuskami, przypominającymi kształtem uniesiony ogon wieloryba. Farrell pochylił się, by dotknąć jednego z nich i przekonał się, że był prawdziwy i rósł, nie był wetknięty w ziemię na tę okazję, jak przypuszczał.

- Tak jest każdego roku - powiedział Ben. - Nie mam pojęcia, jak to robią.

Ustalili, że spotkają się za określonym namiotem po ceremonii otwarcia i Farrell odszedł, by razem z zespołem zająć miejsce na estradzie dla muzyków. Zerwał jeden ze szkarłatnych kwiatków i ostrożnie wetknął go za beret, przypominając sobie opowieść o św. Waleniu.

Para kornetów, dźwiękiem zimnym, słodkim i dostojnym, uciszyła pole turniejowe dokładnie w południe, odprowadzając Bohemonda i Leonorę do tronu. Potem Bazyliżki zagrały pawanę na wejście dziewięciu książąt i osób im towarzyszących. Wyszła dziwnie źle, ześlizgując się ze starych instrumentów, odrywając się ze strun lutni Farrella, zgrzytając jak kreda o tablicę. Hamid ibn Shanfara stał w pobliżu, przeglądając zwój z zapisem nutowym.

- Co to jest? - zapytał szeptem Farrell. - Ćwiczyliśmy ten utwór do upadłego, nie ma powodu, by tak brzmiał. Nieprawdopodobne.

Hamid potrząsnął głową.

- Turniej ku czci św. Walenia to coś niesamowitego, chłopie. Może to kwestia obecności publiczności, wyzywania króla, zakładów, nie wiem. Zawsze tak jest, przez cały dzień wszystko jest nerwową szarpaniną. - Hamid był równie bogato odziany, jak inni szlachcice. Spowijały go zwiewne czernie i złoto, turban też miał czarny. Skłonił się nagle w kierunku podwójnego tronu, po którego obu stronach stali teraz trębacze. - Spójrz na Bohemonda.

Król Bohemond zamiast swej bizantyjsko skrojonej szaty miał na sobie zbroję, okrytą lekkim błękitnym płaszczem. Na kolanach trzymał wielki hełm. Jego okrągła, zawsze za duża i zbyt goła do korony twarz była bez wyrazu, gdy spoglądał na Benedictisa de Griffina, Raoula z Carcassonne i Simona Wiefarera. Nauczycielka gimnastyki, królowa Leonora, wpatrywała się w rycerzy odrętwiałym wzrokiem. Usta jej nerwowo drgały. Kornety odezwały się ponownie. Królowa położyła dłoń na zbrojnym ramieniu swego męża. Bohemond nawet na chwilę nie odwrócił głowy.

- Naprawdę się przejmuję - powiedział Farrell w zamyśleniu. - Jakby on rzeczywiście miał zostać zabity, a ona wzięta w niewolę. Hekabe i Priam, na miłość boską.

Hamid zwinął zwój i wetknął go sobie za szarfę.

- Ty nadal nie rozumiesz - powiedział, nie patrząc na Farrella. Odszedł i stanął plecami do tronu, by zaśpiewać w trzech językach błogosławieństwo św. Walenia dla tego dnia i turnieju. Gdy skończył, w szrankach pojawili się pierwsi walczący.

Żadna z początkowych prób sił nie dotyczyła króla Bohemonda. Walczyli chłopcy nowo pasowani na rycerzy lub giermkowie próbujący w polu zdobyć rycerskie ostrogi. Krążyli wokół siebie, robili wypady, wystawiali się na ciosy niczym ćwiczebne słupki na podwórku i często przewracali jeden drugiego, a potem tarzali się po ziemi, gubiąc hełmy. Tylko nieliczne z ich walk trwały dłużej niż trzy minuty, a sędzia - sir Roric the Uncouth, ubrany w niedźwiedzią skórę i szorty w szkocką kratę - śmiał się i sypał dowcipami do krzywiącego się Johna Erne, gdy wymieniał zwycięzców. Wokół szranków i na zatłoczonych hotelowych balkonach ludzie w dresach i strojach tenisowych dopingowali, klaszcząc wszystkim bez wyjątku, starali się także zrobić sobie zdjęcie z kimś w zbroi.

Po pierwszych pojedynkach wkroczył Ronin Benkei, sprawiający wrażenie wątlęgo, student Johna Erne, w zbroi niczym klejnot - metalowe i skórzane płytki ozdobione bursztynem, ametystem, srebrem i szmaragdem umocowane były do skóry połyskującej i twardej jak skóra smoka. Skórzane płytki pokrywał złoty lakier, a metal połyskiwał siateczką tęczy odbłasków, jakby był misternie inkrustowany. Dwie pochwy wykonane z lakirowanego drewna, jedna długa, druga krótka, miał zatknięte za czerwony, jedwabny pas. Nie nosił hełmu, ale żelazną półmaskę, podobną do paszczy smoka, która zakrywała mu twarz od grzbietu nosa w dół, wystawiając oczy na pokaz, niczym czarne inkrustacje w jego bladej skórze. Swe wyzwania rzucał w milczeniu, wskazując długim mieczem, który ścisnął oburącz w czasie walki. Szlachta z głośnym pomrukiem przyglądała się jak Ronin Benkei skosił trzech młodych rycerzy pod rząd, grzmocąc ich ze wszystkich stron niczym górski wichur.

- Kiedy on nabrał takiej wprawy? - powiedział głośno, ledwie zdając sobie z tego sprawę Farrell, po tym jak padł trzeci rycerz, by przez resztę dnia dyszeć, jak astmatyk po potężnym ciosie w zębra.

- Hej, odezwał się pierwszy - powiedziała obok niego Aiffe z chichotem. - Nowa era w naszych stosunkach. - Była ubrana w aksamitną suknię, która na pierwszy rzut oka wydawała się brązowa, ale w podmuchach wiatru i zmiennym oświetleniu połyskiwała rudawą złocistością;

suknia nosiła ślady złotych rysunków lilii i liści winogron a tuż pod piersiami biegł złocisty pas. Włosy miała upięte przesadnie skromnie nad skroniami i osłonięte siateczką z białymi paciorkami. - Może nabrał takiej wprawy tego lata - powiedziała. - A może to było tysiąc lat temu, gdy praktykował zeń w górach Japonii. Tego nie wiesz. - Farrell wytrzeszczył na nią zdumione oczy. -Ty nie wiesz - dodała. - Nie możesz mieć absolutnej pewności, że za tą idiotyczną maską naprawdę jest on. To może być ktokolwiek. To może być nawet jeden z moich.

Ronin Benkei wiódł powoli wzrokiem wokół szranków, by wybrać następnego przeciwnika, zgodnie z prawem przysługującym mu na turnieju. Na chwilę zatrzymał spojrzenie na napiętej twarzy Gartha de Montfaucon, a potem na królu Bohemondzie, który skinął mu głową i uniósł się lekko z fotela, podczas gdy królowa Leonora siedziała ze spuszczoneymi oczyma, ściskając uda. Ale Ronin Benkei tylko wsunął miecz do połyskującej pochwy, skłonił się głęboko królowi i królowej, po czym opuścił szranki. Farrell zobaczył, jak wchodził do małego namiotu bez herbu i sztandaru.

- W każdym razie wiem, kim ty jesteś - zwrócił się do Aiffe. - Jesteś Rosanna Berry, musisz powtarzać algebrę w tym roku i za bardzo się do wszystkiego wtrącasz, a do tego dostajesz pryszczki po zjedzeniu jednego batonika i nadal obgryzasz paznokcie. Poza tym przez ciebie umarł człowiek, a ty sądzisz, że jesteś obdarzona magiczną mocą.

Jej oczy zmieniły kolor. Gdy mówiła, były niezmaczenie błękitnozielone, z ciemniejszymi plamkami, ale teraz coraz jaśniej przebijała w nich rudawa złocistość, zupełnie jak w jej sukni, choć skóra wokół nich napięta się i pobrała.

- Nie mylisz się, do cholery, mam magiczną moc - szepnęła. - Poczekaj, tylko poczekaj, zobaczysz, jaką posiadam magiczną moc. - Zagryzła palec i odbiegła.

Farrell widział, jak stanęła przy ojcu, który wyzywał właśnie na pojedynek hiszpańskiego rycerza don Claudio. Podmuchy wiatru otulały Gartha jego krótkim błękitnym płaszczem, by po chwili ponownie go rozwiać, tak że jego koleczuga połyskiwała w słońcu niczym płynąca woda.

Farrell spotkał się z Benem i razem chodzili po terenie turnieju, starając się dyskretnie śledzić Aiffe i Nicholasa Bonnera. Okazało się to wyjątkowo trudne, ponieważ ścieżki Aiffe i Nicholasa, najwyraźniej zgodnie z planem, rzadko przecinały się tego popołudnia. Cywilne ubranie zapewniało Benowi brak zainteresowania ze strony gapiów, ale Farrell co krok wpadał w sidła turystów i musiał pozować do zdjęć, często dając swą lutnię do potrzymania jakiemś rozanielonemu dziecku. Przez to wszystko o mało nie zgubił Bena, nie mówiąc o celu ich polowania, i zmuszony był skradać się za każdym kapeluszem z piórami i aksamitną, brązową suknią, nim ponownie ich wysledził. Nicholas Bonner przyszedł na turniej w przebraniu kuglarza i czasami można go było wypatrzyć po ogonku podążających za nim dzieci, wpatrzonych w cztery pomarańcze, którymi zonglował przed swoją twarzą. Na policzkach miał wymalowane diamenty, a pod oczami malutkie sztyleciki.

W szrankach pojedynek gonił pojedynek przy wtórze zagrzewających okrzyków, śmiechów, nieustannego szczęką broni i dźwięcznego podzwaniania zbrojnych ciał walących się na ziemię. Tego dnia pięciu giermków zdobyło rycerskie ostrogi, jedno zebro zostało złamane w walce na miecze, a irlandzki lord, Mathgamhain, złamał sobie prawą rękę przy pokonywaniu tokańskiego księcia, Cesare ii Diavolo. Kilku rycerzy różnej sławy wyzywało króla Bohemonda. Ku zaskoczeniu nie tylko Farrella, król za każdym razem podnosił się z tronu, podawał koronę Leonorze i walczył jak tygrys, pełen desperackiej woli zwycięstwa. Powalił nie tylko Raoula z Carcassonne, ale również księcia Benedictisa, rzucając się na nich nim jeszcze na dobre zajęli pozycje, nie zostawiając im czasu na zrozumienie jego szaleńczej odwagi. Królowa Leonora przyglądała się temu z oczyma pełnymi łez, jakby wiał jej w twarz silny wiatr.

Ronin Benkei nie rzucił mu wyzwania. Chował się i wychodził ze swego małego namiotu niczym prastara figura zegarowa. Wydawało się, że równie przypadkowo staczał zwycięskie walki ze szlachecami, co z giermkami. Ben i Farrell podskubywali kornwalijskie specjały, paszteciki z wołowiną i ziołowy placek, wpatrzeni w dwa sokoły krążące nad najwyższymi wieżami hotelu. Ptaki co jakiś czas majestatycznie opuszczały się niżej, po czym ponownie wzbijały się wysoko ponad turniejowy plac.

Ostatecznie to Garth de Montfaucon pokonał króla Bohemonda. Pojedynek był krótki i niewart pamiętania, gdyby nie fakt, że Bohemond wyraźnie podchodził do niego bez większej nadziei. Aiffe i Nicholas Bonner dopingowali Gartha radośnie ochrypłymi głosami. Wydawało się, że Bohemond skupiał swoją uwagę bardziej na nich, niż na swoim niebezpiecznie zwinnym przeciwniku. Gdy ze smutkiem atakował Gartha, Farrell zrozumiał, o czym mówiła Lovita, gdyż drewniane ostrze obróciło się w powietrzu, a Garth uskoczył ze śmiechem. To samo powtarzało się przy kolejnych atakach, aż do finalnej wymiany ciosów, w której wyniku hełm króla Bohemonda poszybował na ziemię, podczas gdy on sam powoli przewrócił się na bok. Gdy się podniósł, skłonił się przed Garthem zmęczony, ale z gracją i ujął jego rękę w geście poddaństwa.

Nim jeszcze zagrzmiały okrzyki na trybunach, Aiffe już była przy tronie, wrywając koronę z rąk królowej Leonory. Następnie odwróciła się i zawołała z niemiłosiernym rozradowaniem:

- Król nie żyje, niech żyje król! Niech żyje król Garth de Montfaucon!

Farrell na zawsze zapamiętał ten obraz, niczym witraż, na którym Aiffe o twarzy panny młodej pochylała się, by koronować swego ojca, z sokołami wiszącymi tuż nad nimi i Leonora wspierającą swego pokonanego pana. W tle szlachta Ligi Archaicznych Przyjemności oddana w zapomnianych barwach przyglądała się temu, a wszystkie osoby miały nieprzenikniony wyraz twarzy. Wielu z tych ludzi nie zobaczyło już nigdy.

Ronin Benkei zupełnie nie pasował do tego witrażowego świata. Stał na zewnątrz, intruz z zupełnie innej sztuki w swej smoczyczej zbroi, i wskazywał długim, lekko zakrzywionym mieczem prosto na dopiero co koronowanego króla Gartha. Jakiś czas nikt go nie zauważał, a potem zrobiła się wielka wrzawa i posypały się archaiczne przekleństwa, nigdy jeszcze bowiem nie rzucono wyzwania królowi w kilka minut po objęciu tronu. Poplecznicy Gartha domagali się natychmiastowego zwołania Kolegium Heraldycznego, ale ku powszechnemu zaskoczeniu sprzeciw pojawił się z najmniej oczekiwanej strony: Garth wystąpił w całej okazałości, oznajmiając przyjęcie wyzwania. Przekazał koronę z powrotem w ręce Aiffe, ponownie założył swój słynny czarny hełm i ledwie zdążył wejść w szranki, gdy Ronin Benkei ze zgrzytem pociągowych kół natarł na niego.

Dłoń Julii znalazła się w dłoni Farrella, co do tego nie było wątpliwości. Prawy palec wskazujący i kciuk były lekko stwardniałe od lat rysowania, dłoń niemal tak szeroka jak jego, silna i zimna.

- Gdzie jest Micah? - zapytał Farrell.

- Na rybach. W tym tygodniu rozpoznaje już trzech ludzi więcej i dziś oni zabrali go nad zatokę. Myślę, że już prawie całkowicie powrócił do siebie.

- To miło.

Julia wbiła mu paznokcie głęboko w grzbiet dłoni.

- Sądziłam, że złość już ci przeszła. Przyszłam cię szukać, ponieważ pomyślałam, że może przyda ci się pewna pomoc. Wszystkie ćwiczenia laboratoryjne Aiffe zawsze wypróbuję w czasie turnieju. Ten się jeszcze nie skończył.

- Racja, cholera, jeszcze się nie skończył - powiedział bardzo cicho Ben za plecami Farrella. Farrell nigdy jeszcze nie widział Gartha de Montfaucona pokonanego w zbrojnym pojedynku. Prawdę powiedziawszy, nigdy jeszcze nie widział, by mężczyzna o kościstej twarzy zmuszony był do walki obronnej. Tym razem jednak cała praca Gartha polegała na obronie od pierwszego momentu, w którym zetknął się z uderzającą, wymachującą, krzyczącą furią o smoczym obliczu, która robiła wszystko, jedynie nie koziołkując mu nad głową na wzór japońskich demonów. Finta, zamieszanie i po chwili klęczał już za swą tarczą. Kolejny wypad, niemal zgięcie w pół i jego miecz upadł pod nogi Leonory. Ronin Benkei krzyknął triumfalnie, okładając tarczę Gartha, aż w końcu zważyła się z głuchym łoskotem na jego czarny hełm.

- To niemożliwe - powiedział Ben. - Aiffe nigdy nie pozwoliłaby Garthowi tak przegrać.

- Pozwoliła w zeszłym roku - przypomniała mu Julia, ale Ben pokręcił głową, stając na palcach i wyciągając szyję. - To było co innego. Czemu pozwolił mu na zdobycie korony, a pięć minut później pokonał go? Nie widziałem, by ona maczała w tym palce.

- Możliwe, że w ogóle jej nie widzisz - powiedział Farrell. Aiffe tuliła się do Nicholas Bonnera za linią boczną, wrzeszcząc jak zawsze piskliwie, gdy jej ojciec pełznął na kolanach po miecz. Koniec jego tarczy zostawił w ziemi bruzdę aż do stóp Leonory. Ronin Benkei tańczył i szydził z niego, ale pozwolił mu odzyskać broń. - Z jej uszami jest coś nie tak - stwierdził Farrell. A gdy Ben i Julia spojrzeli na niego, dodał: - Naprawdę. W ciągu ostatniej godziny zrobili się spiczaste jak u elfów, bardzo ładne, naprawdę, ale to nie jej uszy. Z jego uszami też jest coś nie w porządku. Przestańcie się tak na mnie gapić. Ja tylko to zauważyłem.

Podobnie jak przedtem Bohemond, Garth wydawał się niezdolny do koncentracji na swym przeciwniku. Przypatrywał się z niemym niedowierzaniem postaciom Aiffe i Nicholas Bonnera. Ronin Benkei sparował desperacki cios końcem swego miecza, odtrącił tarczę Gartha de Montfaucona i przewrócił go uderzeniem, od którego czarny hełm zadźwięczał tak, jakby w środku nie było żadnej głowy. Mściwy okrzyk Leonory dawał się słyszeć nawet ponad donośnym rykiem Ronina Benkei.

Ben ruszył, zanim Garth uderzył o ziemię. Traktując szkarłatne kwiatki św. Walenia, torował sobie drogę przez szranki. Farrell i Julia podążali za nim, trzymając się za ręce. Nie zważając ani na wiwaty widzów, ani na hałaśliwą cizbę rycerzy tłoczących się, by oddać rytualny hołd drugiemu nowemu królowi - Farrell widział, jak Hamid ibn Shanfara na podium dla muzyków spokojnie improwizował całkowicie inny pean od tego, jaki się spodziewał wykonać - Ben maszerował prosto ku chłopakowi i dziewczynie, przyglądającym się wstającemu Garthowi.

- Jezu Chryste - powiedział, gdy obrócił ich ku sobie - skurczybyk, wynośmy się stąd. - Jego twarz miała kolor starego chodnika.

Z bliska niewiele przypominali Aiffe i Nicholas Bonnera. Z bliska wszystko - ich wiek, rysy, ubiór, płęć - rozmazywało się w migotliwy obraz, niczym nieostre zdjęcie z gazety. Uśmiechali się, poruszali ustami i wydawali ludzkie dźwięki. Nikt zdawał się nie zauważać, że w równym stopniu byli ludźmi, co topiony serek. Od dłuższego patrzenia na nich Farrell dostawał zawrotów głowy i mdłości. Przyszło mu na myśl, że umarłby, gdyby tylko go dotknęli.

- Ułudy - powiedział Ben bezbarwnym głosem. - Dawni czarodzieje wikingów robili takie rzeczy. Egil wiedział o tym. Dość łatwo je stworzyć, ale szybko się psują. Te rozpląną się w powietrzu o zachodzie słońca. Były jej potrzebne dlatego, by nas tu zatrzymać na jakiś czas. Całkiem dobrze jej się to udało. - Ścisnął Farrella i Julię niczym parę młotów, wykorzystując ich do przebijania się przez tłum na polu turniejowym. Farrell osłaniał swoją lutnię i oglądał się, usiłując jeszcze raz rzucić okiem na uludy, choć drżał na myśl, że ich delikatne, uśmiechnięte, bezkrwiste wizerunki mogłyby przykleić się do jego siatkówek. Wydostali się na ulicę. Stali, dysząc przy spuszczonej kratownicy parkingu.

- Zaparkowałam swój motocykl przy Escalona - powiedziała Julia. - Spotkamy się w domu. Ale Ben przytrzymał ją za ramię.

- Spotkamy się dokładnie tutaj. Nie pojedziesz sama do domu. - Jego głos był równie szary, jak jego twarz, tak cichy, że zagłuszył go wieczorny szum ulicy, ale Julia spojrzała na niego i kiwnęła głową. Ben pozwolił jej odejść.

Czekała już na swym motocyklu, gdy podjechali Madame Schumann-Heink. Ben wychylił się przez okno i zawołał do niej:

- Jedź boczną drogą, wokół wzgórza.

Motocykl zawarczał jak głodny czort i skoczył naprzód, mijając namioty, proporce i wozy telewizyjne stojące na hotelowym trawniku. Dwa sokoły nadal krążyły nad hotelem i Farrell widział je we wstecznym lusterku długo jeszcze potem, jak stracił z oczu błękitnozłoty proporzec Ligi Archaicznych Przyjemności.

- Dlaczego tą drogą? Nie jest szybsza.

Motocykl mknął przed nimi pozbawioną poboczy drogą u podnóża wzgórz, wyskakując tam i z powrotem ze sznura pojazdów niczym igła do cerowania, zmuszając Farrella do ciągłego łamania przepisów, by nie stracić Julii z oczu.

- Rzeczywiście - powiedział tylko Ben. Siedział skulony przy przedniej szybie, a przyciśnięta do ust pięść tłumiła jego słowa. Drugą ręką, bez względu na to, ile razy Farrell ją odtrącał, chwycił ciągle za dźwignię zmiany biegów, ściskając ją tak mocno, że zardzewiały drążek skrzypiał jak napięta lina.

- To coś, te sobowtóry, całkiem jej się udały - powiedział Farrell, byleby coś powiedzieć. - Gdyby nie próbowała się trochę ulepszać...

- Mówiłem ci, że to gówniana łatwizna. - Głos Bena był gniewny i ubliżający, jak same uludy. - Uczniowskie sztuczki, cholerne ćwiczenia ucznia czarodzieja. Wyprzedzisz w końcu tego zgrzybiałego kretyna, na litość boską?

- A oddasz mi w końcu mój cholerny drążek zmiany biegów? - Farrell wyprzedził długie kombi, którego kierowca właśnie w tej chwili przyspieszył, robiąc sobie trzypasmową autostradę ze zwykłej drogi na krótką, ale straszliwą chwilę.

- Ona nie jest taka dobra, ona wcale nie jest taka dobra - mruczał Ben, zbyt przerażony, by zwracać uwagę na grożącą im lada chwila śmierć. - Sia może wysmarować nią ściany.

Farrell minął ciężarówkę i autobus szkolny na ostrym zakręcie, ponieważ Madame Schumann-Heink, zjeżdżając z górki była w swej najlepszej formie.

Długi sznur matowosrebrzystych chmur ruszył nagle cały, jakby ciągnął go pociąg. To było jedyne ostrzeżenie, jakie Farrell otrzymał, nim wiatr uderzył. Volkswagen zaczął trząść się i buczeć, jak wtedy, gdy niedźwiedź wywąchał jego tuńczyka w Yosemite. Madame Schumann-Heink prawie zatrzymała się, dopóki nie udało mu się wrzucić dwójki i samochód z wysiłkiem ruszył w dół zbocza, a on całym sobą skoncentrował się na utrzymaniu jej na drodze. Deszcz uprzejmie wstrzymał się na wystarczająco długo, by zjechać na dół i zaczęli wjeżdżać na drugie zbocze. Wówczas drzewa rozstały się i przednia szyba zamieniła się w cement. Reflektory mikrobusu działały jedynie na najwyższym biegu, a wycieraczki dały się pokonać ciężkim kroplom ulewy. Farrell rozpląszczył się nad kierownicą, odnajdując drogę po światłach nadjeżdżających z przeciwnika i w duchu przypominał Kannon, że zna jej przyjaciółkę.

Od chwili kiedy zaczęło lać Ben wściekał się, wymyślając jednako Aiffe i Farrellowi, podczas gdy Madame Schumann-Heink toczyła się, parskając i zgrzytała skrzynią biegów, ale jechała dalej. Farrell przegapiłby motocykl, gdyby nie wyłowiły go światła jadących naprzeciwko pojazdów. Leżał wywrócony w krzakach obok drogi, a Julia usiłowała wyciągnąć spod niego nogi. Joe nacisnął na hamulce, które szybciej sięgnęły podłogi niż kiedykolwiek zdarzyło się pedałowi gazu. Samochodem zarzuciło na tyle groźnie, by Ben oprzytomniał. Zatrzymał się z jednym kołem w rowie, a za plecami miał rzeszę nieznanomych żądnych widoku jego krwi. W tym momencie rozpoczęło się gradobicie.

Julia była przemoczona, oszołomiona i wściekła, ale cała. Klęła po japońsku tak, jak Farrell nigdy jeszcze nie słyszał, podczas gdy nieśli ją razem z Benem do samochodu, a potem wycierali prześcieradłami i szmatami do oleju.

- Czarny lód - warczała - czarny lód w pieprzonym wrznięciu i oba widelce diabli wzięli. Dobra, teraz więdźmo zginiesz.



Nawet nie wspomnieli o ratowaniu motocykla. Zostawili go i ruszyli dalej, a tymczasem grad wielkości piłeczek odzierał mikrobus z pozostałości napisów. Boczne okienka wyleciały, ale przednia szyba się trzymała, choć Farrell bardziej obawiał się o wibracje silnika, które wyczuwał przez podwozie. Wystarczająco długo jeździł prastarym volkswagenem, po drzeniu fotela wiedział, co się dzieje z samochodem.

Boczna droga mijła wschodni kraniec uniwersytetu, zastępując chwilowo autostradę, jako dogodne połączenie pomiędzy Avicenną a centrami handlowymi za wzgórzami, potem zakosami schodziła w ukwieconą senność ulicy Scotia. Grad przestał padać, ale wiatr nadal wyciągał pazury z nieba koloru flegmy.

- Myślałem, że nie będzie wypatrywać nas na tej drodze - powiedział Ben ciężkim głosem. - Nigdy nie widziałem, by robiła coś z pogodą, nie przypuszczałem. - Ostatnie słowa uniosło pełne wyczerpania westchnienie i Julia ujęła jego dłoń w swoje ręce.

Za nim rozległ się huk wybuchu, a potem następny.

- Z silnikami też sobie radzi - powiedział Farrell. - Właśnie dwa pierścienie diabli wzięli. Zgasił silnik, głęboko westchnął i pozwolił Madame Schumann-Heink stoczyć się ostatnie trzy przecznice do domu Sii, a potem zahamował przy poszarpanym żywopłocie z rozmarynu i sekwojowym chodniku, który niczym ślady stóp zapraszająco biegł ku miejscu, gdzie znajdowały się frontowe drzwi. Rzeźba, nad którą Sia pracowała tego ranka, stała wsparta o oparcie kanapy. Farrell zaciągnął hamulec i patrzył na rzeźbę przez dziurę w domu.

19.

Farrell nie wiedział, czemu zabrał ze sobą lutnię. Nie zdawał sobie nawet z tego sprawy, dopóki nie zaczęli wspinać się po schodach. Z wyjątkiem drzwi niczego nie brakowało i nic nie było zniszczone, ale wszystkie pokoje wydawały się skurczone. Unosił się w nich nikły zapach wilgotnego kurzu, jak w zamkniętym przez lata domu. Farrell nie słyszał żadnych dźwięków, poza szuraniem butów i cichym pobrzękiwaniem lutni, choć i te odgłosy wydawały się dziwnie przytłumione, jakby nie było powietrza, które mogłoby je przenieść. Wszystko jest w tym pokoju razem z nią, wszystko - nie tylko jej syn i jego wiedźma, ale całe światło, wszystek dźwięk i cała energia, jakie kiedykolwiek były w tym domu. Nie potrafimy dostrzec ich resztek, ponieważ nie istnieją bez jej uwagi. A teraz cała jej uwaga jest skupiona gdzie indziej, w małym, tanim pokoiku do wynajęcia, którego zapewne nie uda mi się ponownie odnaleźć. Na wschód od słońca, na zachód od księżyca, z telefonem bez numeru w książce telefonicznej.

Liczył na to, że Briseis, tak jak poprzednio, zaprowadzi ich do Sii, ale pies zniknął tak jak frontowe drzwi. Podobnie zresztą jak schówek na bieliznę, nie pozostawiając nawet najmniejszego śladu sugerującego, że w ogóle kiedyś tu był. Tym razem to Farrell wściekał się z powodu swej bezsilności.

- Jest tyle dróg - powiedział Ben i sprowadził ich z powrotem na dół. Potem poszli na tyły domu, weszli do środka przez jedno z niezliczonych okien i ruszyli na górę schodami, które rozpyływały się w gmatwaninie korytarzy niknących we wszystkich kierunkach. Farrell i Julia szli za nim korytarzami, których nie widzieli, wokół budzących wątpliwości rogów, które trzeba było najpierw dogonić, by przy nich skręcić i przez wysokie, przejrzyste kontury, koloru porzuconych pajęczyn, przyprowadzające o dreszcz zgrozy. Wiem co to jest - to duchy zapomnianych przez nią pokojów, puszczonej w niepamięć, gdy nie potrzebowała już sobie ich wyobrażać. Pośród tych nibyścianami zupełnie zatracił poczucie równowagi, które ustąpiło miejsca mdłościom i bólowi serca, zmuszając go do trzymania się Julii. Jakie to okropne być zapomnianym przez boga, który cię stworzył, nawet jeśli jest się tylko pokojem. Jak można kochać kogoś, kto może to zrobić w każdej chwili?

Czasami myślał, że nigdy nie znaleźli tego ostatniego pokoju na szczycie domu. To on znalazł ich. Otwarte drzwi zdawały się z rykiem pędzić ku nim, wyraźnie zwalniając, by zatrzymać się tuż przed nimi. Nie czekał za nimi hotelowy salon, ale gęsta zasłona winorośli, kłębiących się we framudze drzwi, zapraszających i przestrzegających z jednaką zieloną zachłannością. Musieli schylić głowy i pchać się na oślep, przedzierając się przez gęstwinę liści i łodyg, depcząc kwiaty niczym niesympatyczne ludzkie twarze, dopóki nie wydostali się na wolną przestrzeń, na której nie było nic poza piaskiem, kamieniami i tańczącą Aiffe. Farrell nigdy nie potrafił znaleźć innego słowa na określenie tego, co robiła, choć zawsze wiedział, że takie było.

Jej ruchy w niczym nie przypominały tego, jak z nim tańczyła, czy galliardy, z którą zawsze występowała na imprezach Ligi. Tutaj cała była wirującą, filigranową zniewągą. Tutaj, tańcząc samotnie, była niemal dwuwymiarowa, sztywna i cienka niczym ostrze noża. Poruszała się w przód i w tył, trzymając się małego miejsca, zawsze wędrując po linii prostej, za każdym razem obracając się szybko niczym śmigłowiec nożem, zakręcając pod kątem prostym do poprzedniego toru. Jej ciało stopniowo zakreślało precyzyjny kształt w powietrzu, jakby podłoga była inkrustowana gorejącymi gwiazdami i pentagramami. Jeśli wyczuła obecność widzów - a Farrell uważał, że tak było - nie dała tego po sobie poznać, tylko tańczyła dalej.

Nikt, także Aiffe, nie zauważył pojawienia się Sii. Nagle wydawało się, że nawet na chwilę nie opuszczała tego miejsca, od zawsze z trudem posuwała się w kierunku dziewczyny, która przywoływała ją z ukrycia. Miała na sobie tę niepokojąco płynną szatę, którą Farrell pamiętał, ale tym razem szemrała wokół ciała, którego nie znał, dorosłego ciała niemożliwie przygarbionego i zwiędniętego. Jej ramiona niemal dotykały wyniszczonej piersi.

Pod suknią brzuch i uda wydawały się stopnieć niczym wosk w żalosne fałdy skóry. Szare oczy nabrały koloru łożu w skurczonej twarzy, a gdy do siebie mamrotała, Farrell zauważył, że jej zęby spleśniały niczym ser. Odwrócić się i ujrzał łzy płynące Julii po twarzy i uprzytomnił sobie, że sam również płacze.

Aiffe nie przestawała tańczyć ani nie odezwała się nawet słowem do wyniszczonej, starej kobiety stojącej przed nią. To anielski śmiech Nicholasa Bonnera owiał ją pieśczośliwie, gdy ten wyłonił się z wilgotnego, tropikalnego powietrza. Gdzie my teraz naprawdę jesteśmy? W jakim widmowym ogrodzie z jej snów?

- Czy dotarło to od razu do ciebie, wielka matko? Cały ten majestatycznie zniszczony dół, wszystkie te grzmoty i błyskawice skurczone do kichnięcia? Czyż tak świetlana mądrość przewidziała, że musi do tego dojść? - Stała obok Aiffe, z rękoma na biodrach, dzieciak w rajtuzach z twarzą przebierańca i głosem, który zaprzeczał jego ludzkiej naturze, jak tygrys wyskakujący z ukrycia. Nawet jego język przechodził stopniowo w ledwie zrozumiałe, radosne tygrysię pojękiwania. - Jaka piękna, jaka piękna teraz jesteś, jak cudownie widzieć cię taką. Mój skarbie, moje serce, moja nagroda, moja matko, jaka jesteś piękna. - Wyciągnął rękę, by odwrócić do siebie zniszczoną twarz Sii, ale w ostatniej chwili ją cofnął.

Aiffe zaczęła powoli krążyć wokół Sii, nie po okręgach, ale po sześciokątach, ośmiokątach, dwunastokątach, splatając wzór, który czynił powietrze szklistym, przyćmiewając Farrellowi widok Sii.

- Ale teraz musisz odejść tam, gdzie ja już więcej nie wrócę - śpiewał Nicholas Bonner - by spocząć w tym straszliwym miejscu, które stworzyłaś, tym miejscu, do którego mnie wciąż odsyłałaś, i będziesz musiała czekać, aż ktoś cię przyzwie z powrotem do światła, ciepła i współczucia, i nikt tego nie uczyni, nikt, nigdy. A to jest jedynie akt bożej sprawiedliwości i ty, poza twoim synem, wiesz to najlepiej. - Stara kobieta przestąpiła z nogi na nogę, nie patrząc na niego.

- Żegnaj, matko - powiedział Nicholas Bonner. Aiffe odtańczyła ostatnią figurę splotu i uniosła ramiona w sposób, jakiego Farrell nigdy sobie nie wyobrażał. Ben skoczył z krzykiem do ataku. Winorośl złapała go za goleń, przewracając twarzą do ziemi. Nicholas Bonner odwrócił się na odgłos uderzenia, a jego śmiech wzbił się w powietrze, gdy Aiffe opuściła ramiona. Ale z przeciwnej strony polany, w dwóch gigantycznych susach, skamłąc w desperackim skoku, nadleciała Briseis, szybując w powietrzu niczym spadający samolot bez ogona. Z wyprostowanymi łapami wpadła na Nicholasa Bonnera, który rąbnął o ziemię mocniej niż Ben i leżał bez ruchu. Kamienia pod jego głową jeszcze sekundę temu nie było. Briseis, na wpół oszołomiona, odeszła chwiejnym krokiem w zarośla. Aiffe zawahała się tylko na chwilę w dokończeniu skazującego na banicję gestu, ale Farrell przegapił go, ponieważ tulił twarz do mokrego policzka Julii. Stał tak, dopóki Sia nie zaczęła się śmiać.

Rozpoznałby ten dźwięk wszędzie, w każdym gardle. Młodzieńczy i ochryply, był tak bardzo ziemski, jak śmiech Nicholasa Bonnera był częścią wszechświata, gdzie kończyły się gwiazdy, wstrząsnął zielonymi pędami winorośli niczym dziki wiatr i poderwał świergoczące ptaki tam, gdzie nie było śladu żadnego innego życia na polance.

- Boska sprawiedliwość. Taki duży i jeszcze w to wierzy. Farrellowi wydawało się, że usłyszał zawodzenie Briseis, ale to była Aiffe.

Gdy otworzył oczy i odwrócił się, zobaczył, że dziewczyna i Sia stały tak blisko siebie, iż niemal się dotykały, a powietrze wokół nich ponownie było przejrzyste. Aiffe usiłowała się cofnąć, ale najwyraźniej nie mogła, gdyż stara kobieta chichotała cicho.

- Nie, nie, dziecko, to twoje czary mnie z tobą związały. Bardzo miłe zakłęcie, nawet piękne, ale dałaś się rozproszyć. Czary łatwo naruszyć. - Farrell, Julia i Ben z zakrwawionym nosem, gapili się oniemiałi, a tymczasem ciało Sii zaczęło ponownie nabierać kształtów, jej oczy odzyskiwały wyrazistość spojrzenia, a skóra gładkość. - Widzisz - tłumaczyła uprzejmie Sia - nigdy nie pozwoliłabyś podejść mi tak blisko siebie, gdybym choć trochę groźnie wyglądała. A ja w tych czasach naprawdę dobra jestem z bardzo bliskiej odległości. Chyba potrzebne mi szkła kontaktowe. Farrell zdał sobie sprawę, że ona także tańczyła, że jej jawnie bezcelowe wykrety wodziły ją po kóteczeniu z Aiffe w środku. Dziewczyna, otrząsając się z chwilowego paraliżu wywołanego szokiem, spojrzała na Nicholasa Bonnera, który lekko się poruszył. Wymówiła dwa słowa w słodkim, osobliwym języku, wykonała szpetny gest trzema palcami splecionymi razem i z łatwością odsunęła się od Sii.

- Żalosna - powiedziała drwiąco, wskazując na nią. - Myślisz, że taka z ciebie osobistość, ale ty jesteś tylko żalosna. Nie potrzebuję nikogo do pomocy przy tobie.

Przez kilka minut krążyły wokół siebie. Aiffe poruszała się w szybkich, ubliżająco dziarskich podskokach, podczas gdy Sia sunęła wokół niej z płynną oszczędnością, wydając się jej partnerować raczej niż pojedynkować z nią. Dziewczyna nie przestawała drwiąco paplać:

- Stara, stara, stara. Nie jesteś nieśmiertelna, jesteś naprawdę, naprawdę stara, a to różnica. Sia roześmiała się, skinęła z uznaniem głową, ale nic nie powiedziała.

- Ale ona przecież stoi w miejscu - szepnęła Julia. - Ona w ogóle się nie rusza.

Farrell zamrugnął, wyciągając szyję i zrozumiał, równie nagle jak Aiffe, że w całej postaci Sii nic nie tańczyło z wyjątkiem oczu i jednej stopy. Oczy wodziły za Aiffe, utrzymując ją w ruchu, zmuszając, by dotrzymywała jej

kroku, którego sama w rzeczywistości nie robiła. Jak ona to robi? Co my tu, u licha, oglądamy? Aiffe potrząsała słabo głową, zdając sobie sprawę z tego, co się z nią działo i usiłowała uwolnić się. Sia zaczęła śpiewać.

Ta pieśń nie miała słów, a usta kobiety nie otwierały się. Pomimo tego Farrell stwierdził, że on mruczy razem z nią, choć nigdy nie słyszał owej melodii. Pieśń nie była podobna do tej, jaką śpiewała Benowi, ale napełniała go tą samą dziecinną, pozbawioną słów, tęsknotą. Prawa stopa Sii, odziana w sandał, kiwała się leniwie tam i z powrotem, a cała postawa i gruby warkocz upodabniały ją do nudzącej się uczennicy. Aiffe stała bez ruchu. Głowa podskakiwała jej nieznacznie w rytm wahadłowego ruchu stopy, podobnie jak głowy Julii, Bena i Farrella, jednak zahipnotyzowanych. W miejscu, gdzie sandał zamiatał ziemię, kamyczki zaczęły rozpuszczać się w błoto, zakopcone błoto, a potem w białozłote szaleństwo lawy, co było równie nie na miejscu, jak oglądanie własnych odartych ze skóry żeber czy pęcherzyków płucnych. Otwarta, mętna rana pod jej szurającą stopą robiła się coraz szersza, rozlewając się pomiędzy nią i Aiffe z rosnącą szybkością. Farrell czuł teraz jej zapach, podobny do nieprawdopodobnie rozgrzanych cegieł.

Powoli, lunatycznym ruchem, z odstoniętymi po dziąsła zębami, Aiffe uniosła jedną rękę najwyżej, jak mogła i zaczęło się z niej wylewać błękitne światło. Wydała ochrypty, płaczący krzyk, który był ostatnim dźwiękiem, jaki Farrell przez jakiś czas wyraźnie słyszał. Błękitne światło odskoczyło od jej ręki i eksplodowało, nadając wszystkiemu kolor lawy. Wzrok wrócił Farrellowi przed słuchem, ukazując Bena i Julię rozciągniętych na ziemi. Sama Aiffe klęczała, przecierając oczy.

Sia stała obok, wyciągając do niej rękę.

- To jest broń na duże odległości, najstarsza ze wszystkich - mówiła, gdy już słowa znalazły ponownie drogę do głowy Farrella. - Czy mój syn nauczył cię posługiwania się gromem z bliskiej odległości? Nie powinnaś brać go tak poważnie, moja droga, on ma pewne braki w rozumieniu tych spraw. - Odwróciła się, z zadumą przyglądając się miejscu, w którym ziemia całkowicie się zagoiła, a nieliczne kępy trawy nawet nie były osmalone. - Ale dobrze się spisałaś, naprawdę. Nie powinnaś się wstydzić.

Sia zaczęła obracać się, tańczyć, rozplatać włosy, tak jak wtedy, gdy próbowała pomóc Micahowi. Szorstkie, posiwiaste włosy tym razem opadły inaczej. Wydawały się w nieskończoność, spowijając jej ciało migotliwą mgiełką, wewnątrz której obracała się, wirując jak poczwarka światła. Grube ciało wydawało się wyciągać razem z jej włosami, biodra kołysały rytmicznie, a kłocowa te nogi robiły się coraz szczuplejsze i zgrabniejsze.

Aiffe tańczyła, kreśląc zygzyki, strzały, wzory podobne do rozbitego zwierciadła. Jej proste linie zapuszczały się w płomienną spiralę Sii, która teraz przesuwała się ku wzniesieniu gruntu tuż za polanką. Piaszczysty grunt wyginał się i falował pod nimi. Drzewa przewracały się bezgłośnie, a wzniesienie zrobiło się niskim wzgórzem z jednym z powalonych drzew na szczycie. Ciekawe, dlaczego zmieniła je z sekwoi na wierzbę. Może tak według niej wygląda przesadzanie.

- Nędzna starucho, wstrętne staro suko - powiedziała Aiffe i cisnęła czymś, co Farrell uważał za kolejny grom, w Się. Ale ta garść jasności wykipiła w powietrzu, skropliła się i połączyła, zmieniając się w węża wielkości kija bilardowego, którego czaszka niemal wyskakiwała ze skóry, rwąc się do zaatakowania. Zniknął we włosach Sii i nigdy już się nie pojawił.

Sia sunęła dalej, nadal wirując, podczas gdy Aiffe tańczyła wokół i przed nią, by w końcu, założywszy ręce, oprzeć się zuchwale o wierzbę.

- Naprawdę fantastycznie radzę sobie z drzewami, mówię to, by oszczędzić ci czasu. Staram się być uczciwa. - Sia minęła ją, wślizgując się prosto w wierzbę niczym promień słońca. Aiffe próbowała ją pochwycić i cofnęła się z cichym okrzykiem bólu, gdy szorstka kora zaczęła błyszczeć i dygotać. Nawet z tej odległości Farrell potrafił dostrzec, jak Sia porusza się w wierzbie, mógł śledzić jej przesuwanie się od korzeni po koronę, wzdłuż każdej kołyszącej się gałęzi po koniuszek każdego długiego liścia, gdy drzewo piło ją zachłannie. To cholerstwo nawet wygląda teraz jak ona. Jest nią.

- Ostrzegłam cię - powiedziała głośno Aiffe, ale Farrell zauważył, że rzuciła kolejne szybkie spojrzenie Nicholasowi Bonnerowi, który właśnie próbował usiąść. - Prezent dla mnie - dodała i nagłym ruchem sięgnęła pod aksamitną suknię, wsuwając rękę pomiędzy nogi. Wypowiedziała kilka słów, niesłyszalnych dla Farrella, po czym odwinęła rękawy sukni, zatarła ręce, schwyciła z obu stron wierzbę i rozdarła ją. Drzewo jęczało, piszcząc i szarpało się w jej uścisku, wymachując bezsilnie gałęziami. Aiffe rozłamała je niczym kość szpikową, wybebeszyła swymi długimi, szczupłymi palcami, jak niedźwiedź grzebiący w pojemniku na śmieci.

- Poczekaj - powiedział Farrell, powstrzymując Bena. - Nas nawet tam nie ma. Poczekaj, Ben. Po kilku minutach - czy jeszcze były minuty? - zbocze wzgórza przypominało plażę po odpływie, zasłane połamanymi gałęziami, wilgotnymi pasmami kory i bezkształtnymi kawałkami drewna, nie większymi od polan do kominka. Zakłęcie dodające Aiffe siły najwyraźniej wyczerpało jej własne siły. Dziewczyna oparła się na rozerwanym pnium wierzby. Jej suknia była ciężka od potu, a oddech przypominał odgłosy wydawane przez mordowane drzewo.

Gdy Sia z chichotem rozwinęła się z kawałka kory wielkości hamburgera, Aiffe nawet się nie odwróciła.

- Dziecko, dość, daj spokój. - Głos Sii był rozwścieczające uprzejmy i rozbawiony, nawet jak dla uszu Farrella. - Ty i ja nie mamy ze sobą na pieńku, jakże mogłybyśmy mieć? Ty jesteś wiedźmą, technikiem magii, zresztą

bardzo dobrym. Ale to, czym ja jestem, ma nie więcej wspólnego z magią niż jedzenie lodów czy zapalenie zapalki. To, czym jestem, nie umiera, nie potrafi nienawidzić, nie można temu ufać i nie ma to nic wspólnego z twoimi umiejętnościami. Jestem zwaśniona z moim synem, który wykorzystuje cię jako kij do bicia mnie. Gdy się załamiesz, wyrzuci cię. Daj temu spokój, a zostanę twoją przyjaciółką, na tyle, na ile nieśmiertelny może być czyjś przyjacielem. Daj mi spokój.

Aiffe obróciła się do Sii nim jeszcze w pełni odzyskała kontrolę nad swym oddechem, więc słowa z jej wilgotnych ust wyleciały w pełnym wściekłej nienawiści bełkocie.

- Nieśmiertelna? Nadal myślisz, że jesteś nieśmiertelna? Ty tłusta suko, ty tłusty morsie, już jesteś martwa, stoję tutaj, przyglądając się jak gnijesz. - Ślina się niekontrolowanie, opluwając twarz Sii. - Chcesz wiedzieć, kto jest nieśmiertelny? Weszłam do twego domu, odnalazłam twe tajemne miejsce i weszłam tam. A nikt przede mną tego nigdy nie zrobił, nie wypłoszył twego zasmakowanego, tłustego dupska. Ciebie już nie ma, ciebie już nie ma, nie pozwolę ci nigdzie zostać. Nick powiedział mi, pokazał, jak mogę odebrać ci nieśmiertelność w każdej chwili, gdy będę gotowa. Może i jestem zwykłym pieprzonym technikiem, ale jestem gotowa, a ty właśnie znikniesz.

Sii nie przeraził błuznierczy prysznic. Odchyliła głowę i zakręciła się na palcach, niczym dziecko bawiące się pod otwartym hydrantem. Ślina Aiffe zamieniła się w tęczową mgiełkę kropelek o jaśminowym zapachu, unosząc się łukiem pomiędzy nią i Sia, nawet wówczas gdy zakryła usta dłońmi. Mgła gęstniała, skrywając Sii kompletnie, otulając i zamazując ruiny wierzby. Aiffe wbiegła prosto w nią, wymachując rękoma, jakby płoszyła ptaki. Jej wysiłki rozproszyły mgłę, ale Sia i wierzba zniknęły. Aiffe wrzasnęła tak głośno, że całe zbocze zapadło się.

Farrell staniał się na nogach, wspierając się na Julii i trzymając się pleców Bena. Wyimaginowane miejsce, w którym się znajdowali, wariowało wokół nich. Niebo było szwargotem kolorów, wyjąca tęczę. Krajobraz pulsował od dżungli przez pustynię po krowie pastwisko przy każdej zmianie koloru. Nadal jest tu pokój w którym się kochaliśmy, tu żyją jej oczy. Tam, gdzie było zniszczone wzgórze, zaczęła się formować głęboka grotta, z sadzawką jak tania zabawka mrugająca w jej sercu. Aiffe bez wahania wdrapała się na brzeg" rzuciła aksamitną suknię i wskoczyła do wody. Pływała z teatralną giętkością wydry, nieustannie nurkując, szukając Sii w każdym cieniu.

Niedorzeczne stare piosenki i przysłowia cisnęły się Farrellowi do głowy, gdy ją obserwował.

- Cóż za chwilę spędziłem z Aiffe syrenką na dnia morza - zanucił, po czym oznajmił z powagą Benowi: - Co to ma znaczyć, dlaczego park Neptuna został pozebrowany i pogrodzony kamieniami nie do zdobycia i ryczącą wodą? - Ben spojrział na niego twarzą Egila Eyvindssona.

- Boże, ona nigdy nie mogła oprzeć się pokusie powrotu do kamienia - szepnął.

Pomimo całej wrzawy, z którą spadały, kawałki kamienia nie wzbity najmniejszej piany ani nie spowodowały najlżejszego przypiływu. Aiffe rozpryskiwała wodę i popisowała się triumfalnie, a tymczasem w stawie począł się powoli tworzyć głęboki wir, daleko pod jej wesoło pluskającymi stopami, nadając wodzie nasycony zielony kolor, potem czerwony, następnie pomarańczowy, rozlewający się stopniowo, nabierający szybkości aż cała grotta zaczęła mruczeć, śpiewać i drzeć w tonie, który trójka patrzących mogła wyczuwać jedynie w swych kościach i zębach. Aiffe zrozumiała za późno. Uczepiła się kamienia i wrzeszczała, ale trąba wodna zmiotła ją, gdy nabrała pełnej wysokości, wirując teraz tak szybko, że ogromny wicher wyrwał białe dziury w oszalałym niebie i wyrzucił Aiffe z sadzawki. Na szczycie trąby Sia tańczyła na jednej nodze, wirując w przeciwną stronę do cyklonu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Farrell wiedział, że znowu śpiewała, ale nie słyszał jej.

Naga, ociekająca wodą, na wpół ogłuszona, Aiffe już była na czworakach, pełzając zaciekle w kółko przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, mamrocąc niczym bezdomna żebraczka i wydrapując niewyraźne znaki na każdym skrawku miękkiej ziemi. Nie odwróciła się, gdy długie, skórzaste płetwy i wielki, chropowaty grzbiet zaczął się wynurzać z powierzchni stawu. Nie ruszyła się nawet wówczas, gdy pomarszczona szyja pokryta łuskami wielkości cegieł uniosła paszczę, która niemal wyróciła się na lewą stronę, usiłując pochwycić Sii. Dopiero gdy wir zajął się ogniem, strzelając syczącymi płomieniami jak gazeta, wstała i rozejrzała się, podnosząc wolno w geście pozdrowienia pięści na widok nieprawdopodobnej góry płomieni, które raz jeszcze uderzyły w Sii.

- W drogę, stara suko! - Jej krzyk był niezmordowanie nieprzejednany. - Powiedziałam, że nigdzie nie pozwolę ci spocząć! W drogę, ruszaj się!

Na dźwięk jej głosu wir wzburzył się, przybierając na chwilę ludzkie kształty, nakreślone sztucznymi ogniami, iskrzące się biodra i brzuch niczym słońce, nim zapadł się w ciszy i zniknął, zabierając z sobą ogień. Tylko wicher pozostał, ale był to całkiem inny wiatr, nęcąco figlarny jak oczy Sii, swawolny jak Briseis ze swym ręcznikiem kąpielowym. Podobnie jak Briseis, wicher miał swą zabawkę, ostatnią drobinę żaru, nie większą niż grosik, która pieszczona i rozdmuchiwana jego podmuchami zmieniła się w małą gwiazdkę, błyszczącą wysoko nad zdruzgotaną grotą. Podrzucona, opadająca swobodnie, ponownie chwyтана, jaśniała coraz bardziej, a blask jej małego życia był równie bolesny do oglądania, jak wrzask wściekłości Aiffe do słuchania.

Daleko w dole dziewczyna stała teraz spokojnie, obserwując długo tańczącą iskierkę, nim sama zaczęła ponownie tańczyć, bardzo wolno, wykonując dziwnie niezdarne ruchy, zniekształcone groźbą. W czasie tańca przechylała głowę na prawe ramię, kłapiąc szczękami.

Farrell w swym życiu często widywał zmiany postaci. Za każdym razem znosił to doświadczenie gorzej. Zawsze czuł się tak wymięty i zdezorientowany, jakby to właśnie on przeszedł przez oblewające potem, przyprowadzające o mdłości dygotanie molekuł, by stanąć w księżycowej poświacie na czterech łapach. Odwrócił wzrok, jak zawsze, gdy to działo się z Aiffe, ale nie dość szybko. Barki dziewczyny zgarbiły się i napęczniały, szyja i nogi tak szybko się kurczyły, że wydawało się, iż pada na kolana. Najbardziej przerażająca była metamorfoza jej głowy. Kości robiły się wklęsłe i opływowe, ale sama twarz wyciągała się nie w zakrzywiony dziób drapieżnego ptaszyska, ale pokrytą piórami mordę o zaślinionych szarych ustach. Najgorsze były ramiona. Podrygiwały i wyciągały się spazmatycznie, ustawiając się pod dziwacznymi kątami. Farrell słyszał, jak chrzęściły w stawach, gdy poderwały Aiffe z ziemi, nim jeszcze w pełni uformowały się pióra koloru rdzawych porostów. Jej nogi zmieniły się w ogromne, szarozółte szpony, artretycznie powyręcane przez własną masywność. Nawet łuski na nich przypominały miniaturowe szpony.

Ustyszał śmiech Bena, ale ledwo go rozpoznał. Aiffeptak nabierała wysokości niczym helikopter, ale siła podmuchu przy każdej próbie zbliżenia się nieustannie odrzucała błyszczącą zdobycz poza jej zasięg. Nawet jaskółka nie zmieniałaby wdzięczniej kierunku w pogoni za komarem, ale odrobina tłącego się żaru umykała dalej, teraz rozszarżona niemal do białości wściekłymi podmuchami wiatru z tyłu. Wielkie szpony zaciskały się na próżno, zaślinione usta kłapały.

- Głupia - szepnął niemal z litością Ben.

- Spójrz w dół - szepnęła w tej samej chwili Julia, ściskając nadgarstek Farrella.

Farrell zdał sobie sprawę, że gdy gapili się na Aiffe-ptaka, grota i jej otoczenie zmieniło się w północnoeuropską puszcę. Panował w niej prastary mrok za sprawą ogromnych dębów, wiązów, jesionów i klonów. Las rozciągał się jak okiem sięgnąć, aż po śnieżną pustkę, na którą spojrzął tylko raz i więcej nie mógł. Tam nie ma horyzontu. Tylko dotąd pozwala sięgnąć wzrokiem.

Niedaleko miejsca, w którym stali Ben i Julia, łucznik w czerwieni przyczajony za wiązem układał strzałę na cięciwie. Gdy wstał, Farrell ujrzał, że jego twarz była taką samą białą nicością, z wyjątkiem dwóch pulsujących bursztynowo otworów stanowiących jego oczy. Aiffe-ptak próbowała uchylić się przed strzałą, ale ona tańczyła w ślad za nią, naśladując trwożne próby uwolnienia się od niej. W końcu dziewczynie nie pozostało nic innego jak zmienić postać w powietrzu. Strzała błysnęła pomiędzy jej ludzką szyją i ramieniem, gdy Aiffe spadała na ziemię.

Julia zakrzuszyła się, a Ben krzyknął: Sia!, jakby to nie było imię, ale błogosławieństwo dla wojsk. Farrell zaś majaczącym głosem podśpiewywał fragmenty bardzo starej ballady o królu, który uczył się latać:

I frunął wysoko aż po szczyt wieży,

I słońce połyskiwało złociście w jego złotej koronie,

I f runął wysoko jak jastrząb,

Dopóki jego własny łowczy go nie zestrzelił.

Aiffe spadała, wierząc i młóćąc przez chwilę rękoma i nogami, po czym wyprostowała się i przemówiła ostrym głosem do ziemi pod sobą. Gałęzie rozsunęły się i pozwoliły przelecieć jej nagiemu ciału, a ziemia spiętrzyła się i pofałdowała z troskliwością bitej śmietany, by przyjąć ją czule na wybaczące zielone łono.

Płomyczek podążył za nią w dół, mrugając raczej ze znużeniem. Zniknął niczym płatek śniegu, zanim jeszcze dotarł do ziemi.

Aiffe natychmiast poderwała się na nogi, jak bokser gotowy pokazać, że to było poślizgnięcie, a nie nokaut. Ten ruch najwyraźniej pochłonął całą szaloną energię, jaką miała tego popołudnia, tworząc iluzoryczne stwory i prawdziwe burze, miotając gromami, rozrywając skały i drzewa na kawałki i wdzierając się do nieba bogini, gdzie Aiffe fruwała wysoko jak wszystkie jastrzębie. Teraz z trudem posuwała się przez poronione zakłęcia, sprowadzone do chwytania pełnych garści ziemi i ciskania nią w powietrze, kopania kamieni i piasku na wszystkie strony. Za nią powoli, niemal leniwie, Sia materializowała się z deszczu spadającej ziemi w sposób, w jaki dawno temu wyłoniła się z krwi i czarnego kamienia. Tańczyła, gdy nabrała kształtów, ale tym razem był to inny taniec i ona była inna.

- Więcej nie - powiedziała w głowie Farrella, a wraz z tymi słowami wielki las rozpieczętował się i znowu byli w miłym pokoiku, który Farrell pamiętał, za którego oknami widać było tylko Avicenne o zmierzchu i parę śmiejących się staruszków na rogu ulicy. Sia siedziała spokojnie na swoim fotelu o nieuchwytnych kształtach. Aiffe gapiała się na nią ze środka pokoju, z nieprzytomną miną szarpnąć aksamitną suknię, która została jej zwrócona. Farrell, Ben i Julia skulili się za zakurzonymi regałami. W najdalszym kącie pokoju drżąca Briseis trzymała straż przy Nicholasie Bonnerze. Chłopak stał całkowicie bez ruchu, z ramionami opuszczonymi wzdłuż boków, nie odrywając oczu od Sii. Farrell poczuł wówczas przyptyk okropnej litości i ten jeden raz nie potrafił odwrócić wzroku. Czymże on może być, jak nie tym, czym jest, jedynie skórą i duchem rozciągniętymi do granic wytrzymałości na czarnej dziurze? Czymże on może być, jak nie tym, czym uczyniła go, gdy była młoda?

- Więcej nie - powiedziała ponownie Sia. Nawet siedząc, nadal tańczyła, poruszając tylko stopą, ociężale kreśląc wzory podobne alchemicznym równaniom. A tymczasem Aiffe ruszała się coraz wolniej. Sia otworzyła dłoń, by pokazać, że trzymała w nich trochę piaszczystej ziemi, którą Aiffe wyrzuciła. W prawej dłoni sypkie

niebieskobiałe kryształki, a w lewej czerwonozłote. Uniosła ręce i pozwoliła kryształkom opaść na ziemię. Aiffe krzyknęła, a krzyk wzbudził przerażenie z powodu nieruchomości jej twarzy. Julia ruszyła ku niej, ale Ben zagroził jej drogę. Sia uśmiechnęła się. Nagłym ruchem wyrzuciła złote kryształki prosto do góry, chwytając je lewą dłonią, podczas gdy niebieskobiałe kamyczki wylądowały miękko w jej prawej ręce. Wydawało się, że po prostu bawi się kryształkami, nie zongluje nimi, ale pozwala im przeskakiwać dowolnie z ręki do ręki. Za każdym razem Aiffe zataczała się i staniała kilka kroków w jej kierunku, po czym ponownie zastygała, jakby bawiły się razem w jakąś grę. Sia zaśpiewała raz jeszcze i tym razem Farrell rozumiał każde ze straszliwie delikatnych słów.

Dumna siostrze, nic, w co wierzyłaś, nie jest prawdą,  
 Dumna siostrze, wszystko, co znasz, zdradziło cię,  
 Głowa i serce, nie ma dla ciebie nic poza cieniem,  
 nic tylko cieniem,  
 nie masz przyjaciela tylko cień,  
 Siostrze, siostrzyczko, cienie czekają, by zabawić cię,  
 idź do nich,  
 idź do nich,  
 idź do nich....

Przy każdym powtórzeniu kryształki wirowały ku górze, mieszały się na szmaragdową chwilę tuż przed oczami Aiffe, po czym opadały kaskadami w pierwotne miejsce, co było równie nieprawdopodobne, jak wir zajmujący się ogniem. Ani jeden kamyczek nie spadł nigdy na ziemię ani do niewłaściwej dłoni. Wirowały coraz szybciej i sporo czasu zajęło Farrellowi wydzielenie momentu, w którym wszystkie zniknęły, a potem powróciły zbyt szybko, by zauważyć ich całkowitą nieobecność. Nawet wówczas, gdy zdał sobie sprawę, że kryształki tańczyły przez głowę Aiffe w drodze z jednej ręki do drugiej, nawet wówczas nie chciał uwierzyć w to, co widział, poza wyrazem jej oczu. Sia śpiewała:

Twa moc jest cieniem, ale cień litości Uratowałby cię, Twa wiedza jest tylko cieniem, Ale cień zrozumienia Uratowałby cię,

Twa duma jest dumą cienia, ma siostrze, Ale cień cienia szacunku dla bogów Uratowałby cię, Uratowałby cię, Uratowałby cię, Przed cieniami...

Kryształki rozbłyskiwały jaśniej po każdym nieprawdopodobnie króciutkim zniknięciu i za każdym razem Aiffe tyleż samo ubywało, jakby błyszczące odrobiny wysącały z niej całe ciało, opróżniając ją z blasku, koloru i woli. Pomimo tego wydawała dźwięk, pozbawiony słów, owadzi jęk, który mógł wydać tylko niedorostek postawiony wobec niewzruszonego wszechświata. Kryształki zaczęły tworzyć błyszczące obrazy: migoczące, ale wyraźne obrazy koni, plaż, zbrojnego mężczyzny zderzającego się z płonąca pochodnią - nie, to reflektory samochodów, walczą pod tą cholerną autostradą - pudełek płatków śniadaniowych, porozdzieranych na rogach kartonów z tajemniczymi, ręcznie opisanymi stoikami i paczuszkami, autobusowe i telewizyjne reklamy i kartki wyrwane ze szkolnego notatnika, pokryte magicznymi symbolami i diagramami, narysowanymi kolorowymi mazakami. Wzory wyglądały dokładnie tak samo, jak kreslone przez Aiffe w tańcu.

To całe jej życie, tam wypala się życie Rosanny Berry, chwila po chwili. Wypala się, całe się wypala. Rozumiał doskonale, jak nigdy dotąd, że każdy obraz stworzony przez kryształki był całkowicie rzeczywisty, wyrwany z umysłu Aiffe - to jest Nicholas Bonner, domyślam się, że to jej matka, to wygląda jak dziecięcy rysunek drzew i może psa - i że blask obrazów był dosłownie światłem faktycznych chwil na zawsze strawionym. To tak jakby ktoś patroszył i ciskać jego trzewia w ogień przed nim. By wypalić w ten sposób całe życie. Scena z nagimi ludźmi spótkującymi na polu pod sierpem księżycy zniknęła z sykiem. Na jej miejsce pojawił się Garth de Montfaucon czytający na głos książkę dr Seussa. Farrell miał ochotę potrząsnąć Aiffe, by w końcu przerwać jej zawołanie.

- Nie rób tego. Nie rób tego, Sia, nie rób - powiedział głośno.

Nigdy nie dowiedział się, czy naprawdę przerwał koncentrację Sii, tak absolutnie skupionej na Aiffe, że w pewnym sensie nic poza dziewczyną nie wydawało się rzeczywiste. Nigdy jednak nie pozwolił sobie na złudzenia, że miał jakiś wpływ na losy Aiffe. Ale wirujący kryształ rzeczywiście na moment zachwiał się, Sia odwróciła się nieznacznie w jego stronę i w tym momencie Nicholas Bonner wykonał jedyny ruch, jaki mu pozostał. Kopniakiem usunął Briseis z drogi, skoczył przez pół pokoju - śmiejąca się złocista żabka przycupnięta w sekwojowym zagajniku tego pierwszego wieczoru - wrzeszcząc:

- Teraz, słodka więdźmo, teraz, uratuj mnie, jak ja uratowałem ciebie, teraz, teraz! - waląc jak oszalały w maleńkie światełka wirujące wokół głowy Aiffe. Niektóre z tych dzikich ciosów trafiły w dziewczynę, która zatoczyła się na bok, ale to Sia krzyknęła.

Kryształki rozbłysły tak jasno, że nawet Sia cofnęła się. Farrell otwierał oczy, jak mógł najszerzej, mimo że przez następne dni widział świat w bolesnych, zlewających się cieniach. Kolory zlały się w wielobarwną bańkę migoczącą wokół Nicholasa Bonnera. Farrell nie słyszał jego krzyku, ale czuł go, niczym piłę wrzynającą się mu w kości. Nicholas Bonner walił pięściami w turkusową, zimną, przyćmioną purpurę i pasma dryfującego bursztynu, ale równie dobrze mógł być jeszcze jednym milczącym obrazem, wypalającym się na popiół z resztkami pamięci

Aiffe. Ściany bańki wokół niego grubiały. Nicholas przewrócił się, zaczął się podnosić, po czym nagle upadł, zwinął w pozycję embrionalną, z kolanami przyciągniętymi do piersi, z głową schowaną pomiędzy rękoma, z szeroko otwartymi oczami jak u martwego człowieka. Osłabłe wargi powtarzały pojedyncze słowo: matko.

Sia wstała z fotela. To nie miało nic wspólnego z ruchem, oddechem, mięśniami i dźwiganiem się. To było powolne, fantastyczne powstawanie w wolności od wszystkiego, co śmiertelne. Farrell usiłował patrzeć prosto na nią, by zobaczyć, jaka była naprawdę, ale potwór byłby bardziej zrozumiały, a czarny kamień ludzki. To, co pojawiło się w odpowiedzi na rozpacz syna, było kształtem, którego zmysły Farrella nie potrafiły objąć, blaskiem, którego jego dusza nie potrafiła znieść. To dlatego nigdy nie wolno oglądać bogów nagich. Spojrzał więc na Julię i Bena, a Julia spojrzała na niego, lecz Ben był daleko, zmierzając ku światłu.

Całą wieczność zajęło Sii dotarcie do kryształowej bańki, ale w wieczności w ogóle nie było czasu. Jakkolwiek naprawdę długo trwała jej wędrówka, była tam, podczas gdy zmalretowane i absolutnie odmawiające posłuszeństwa oczy Farrella nadal informowały go, że przemierza właśnie pokój, wyciąga ramiona i zaczyna wymawiać słowo, które musiało być prawdziwym imieniem Nicholas Bonnera. Bańka czekała na nią, dorównując jej blaskiem, ale za pełzającymi płomieniami jej ścianki zrobiły się już grube i nieprzezroczyste, prawie skrywając Nicholasa Bonnera. Sia schwyciła to.

Czy może raczej schwyciła to, co było w środku, jej ręce przeszły przez ogień kryształu i zniknęły wewnątrz bańki - jak daleko jest, jak daleko tam wniknęła, którym ona jest, którym ona jest? Przez chwilę Sia i bańka były jednością - pojedynczą oslepiającą ciszą niczym bez końca wchłaniająca się gwiazda. Ben znajdował się tak blisko, na ile pozwalało mu jego ciało, i krzyczał w języku, jakiego Farrell nigdy nie słyszał. Mignął mu obraz Aiffe z odrzuconą do tyłu głową i szczupłymi ramionami machającymi bezładnie. Nie był pewny, czy usiłowała złapać równowagę, spleść ostatnie zwrotne zakłęcie w chwili, gdy Sia o niej nie myślała, czy też jedno i drugie po trosze. Julia skrzepowała ją i trzymała mocno, nie chcąc ryzykować.

Potem Sia ponownie się pojawiła w postaci, jaką znali, z pustymi rękoma, ustami otwartymi do krzyku z bezsilnego bólu, który z pewnością wstrząsnąłby kursami prawdziwych gwiazd i strząsnąłby bogów z niebios niczym uciekające karaluchy. Ale krzyk nie rozległ się i Farrell nie mógł schwycić oddechu z powodu straszliwej niewłaściwości tej sytuacji. Bańka zniknęła. W odróżnieniu od innych obrazów stworzonych przez kryształ, za tym nie pojawiły się kolejne jasne wizje. Po prostu zniknęła, a bardzo stara kobieta osuwała się niemal nieważka na podłogę niewiele solidniejszą od niej samej. Okna zaś mówiły, że było wcześniej niż było, nawet jeszcze nie zmierzchało.

Ben podniósł się i zaniósł ją na fotel, który zmienił swój kształt, by z niego nie spadła. Nadal mówił do niej w języku, który brzmiał jak burza siląca się na delikatność. Sia miała oczy zamknięte, ale jej zduszony śmiech był pełen czutej złośliwości, jak zawsze.

- Wierz, albo nie, Ben - powiedziała - mój najlepszy Benie, jesteś jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek nauczył się aż tyle z mojego języka. Mów w nim czasami do siebie, przez pamięć o mnie.

Ben przyłożył sobie jej palce do ust i wyszeptał coś przez nie.

- Co się stało z Nicholasem Bonnerem? - zapytał Farrell. - Po tym, co chciał zrobić, po tym wszystkim, ty walczyłaś z tą bańką, z tym kryształem, o niego.

- Kryształowy Czasu - odpowiedziała Sia z nadal zamkniętymi oczami. - Zrobiłam głupią rzecz. Chciałam ukarać tę dziewczynę w sposób, jaki my karzemy, w jaki musimy ukarać taką dumę. Chciałam odrzeć ją ze wszystkich wspomnień z wyjątkiem tego, że obraziła bogów i musi pokutować za to po wsze czasy. - spojrzała na Farrella, zobaczył raz jeszcze ogromną kamienną kobietę z głową psa. Uśmiechnęła się i kiwnęła mu lekko głową. - Nie mam kontroli nad Czasem. - Mogę jedynie trochę się z mm podrażnić. Czas jest wrogiem wszystkich, szczególnie bogów. I syn wszedł Czasowi w drogę, to wszystko, jak dziecko, któi gło na jezdnię za piłką. Więcej nic, to wszystko, naprawdę.

- Ale ty poszłaś za nim - nie ustępował Farrell. - Próbowałaś sprowadzić go z powrotem, ty także weszłaś w drogę.

Sia oparła głowę na rękę Bena, pozwalając swym oczom, by ponownie się zamknęły.

- D ałam się ponieść własnej próżności - odpowiedziała zbyt wyczerpana, by okazać zniecierpliwienie. - Nie było nadziei od chwili gdy dotknął tych kryształów. Ale jest moim synem, sama sobie z nim radzę, sama go skazuję na wygnanie, to sprawa między nami, tylko między nami. Zrobiłam więc, co mogłam, ale on nigdy już nie powróci. Czas w końcu go pochwycił.

Okna pokoju zaczęły znikać i Farrell zobaczył kłębiącą się za nimi znajomą białą nicość.

- Musicie odejść - powiedziała Sia - wszyscy, szybko. Utrzymam dla was przejście, jak będę mogła najdłużej.

- Sia, ja nie idę - oznajmił Ben. Odpowiedziała mu w innym języku. Ben odwrócił się i stanął wpatrzony w znikające ściany.

Sia odwróciła głowę, by odszukać w mroku Julię.

- Jesteś bardzo dzielna i miłosierna - powiedziała do niej. - Kannon zawsze przyjdzie do ciebie w potrzebie. - Aiffe stała spokojnie w objęciach Julii. Oczy dziewczyny były straszliwie spokojne, zmarszczone jakby w chybi-onym pytaniu. Jedyne usta trochę drżały, niczym żyłka u wędki naciągnięta przez coś o wiele za ciężkiego jak na jej wytrzymałość.

- Nie chcę jej - odparła Julia. - Nie chcę więcej pomocy żadnych bogów. Nienawidzę bogów. Sia skinęła poważnie, nawet aprobująco, głową.

- Oczywiście, to jedyne rozsądne odczucie. Okropna z nas banda, pozbawiona uczciwości, honoru, wycucia stosowności. Jakże mogłabyś nas nie nienawidzić? - Julia odwróciła spojrzenie i Sia uśmiechnęła się, momentalnie pełna młodzieńczej kpiny. - Ale nie jesteśmy pozbawieni uroku, a wielu z nas potrafi być duszą towarzystwa. - Julia nie odpowiedziała. - Czasami spełniamy życzenia, o których wyrażeniu ludzie nie mieli pojęcia - ciągnęła staruszka. Zdjęła pierścień z palca i podała go Farrellowi. Był złoty, koloru świeżego chleba, w kształcie grubych, miękkich, ospałych zwojów węża z zarysem kobiecych piersi. Jedno widoczne oko było podłużne i puste, szpara ciemności, którą już przedtem widział. - Nie jest magiczny, nie ma żadnej użytecznej mocy. Będzie ci jedynie o mnie przypominał.

- Dziękuję - powiedział Farrell. Wsunął ostrożnie złotego węża na lewy palec wskazujący, na który idealnie pasował. Sia po raz drugi powiedziała coś do Bena w swym języku, ale on nadal stał odwrócony do niej plecami. Skinęła na Aiffe, która zachwiała się, gdy Julia ją puściła, ale potem posłusznie podeszła do staruszki. Kobieta ujęła jej pustą, pozbawioną lęku twarz w swe dłoń.

- No cóż, zobaczymy - powiedziała. - Spiskowałaś przeciwko mnie z moim synem, dwa razy usiłowałaś mnie zniszczyć, za drugim razem marzyła ci się kradzież mojej nieśmiertelności, co prawdopodobnie okaże się najgorszym rodzajem bluźnierstwa, gdy się nad tym zastanowię. W dodatku wykorzystywałaś swój śliczny mały dar tylko na głupie złośliwości. Jesteś winna śmierci jednego człowieka, szaleństwa i opętania następnego i straszliwych krzywd, wyrządzonych ludziom, których ciągałaś tam i z powrotem przez Czas dla zaspokojenia własnej dumy, dla zabawy i zemsty. Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. A ode mnie oczekuje się, iż ci wybaczę, by popisać się przed przyjaciółką, która w ramach wstawiennictwa oświadczyła mi, że nienawidzi bogów. - Ponownie zaczęła się śmiać, cicho, bezradnie, ogarnięta śmiertelną wesołością. - I na co mi przyszło? To ma być mój ostatni akt na tym świecie?

Briseis zatrzęsała się przy nodze Farrella. Odwrócił się i zobaczył, że kąt, w którym się schowała, już nie istniał. Drzwi były nadal widoczne, ale biały rozkład grasował już po drugiej stronie. Głos Sii coraz bardziej zdawał się dochodzić z tej samej próżni.

- Dom się rozpada, nie macie tu czego szukać. Nie mogę was ochronić. Jeśli zginiecie przed wydostaniem się stąd, to naprawdę będziecie martwi. Idźcie, odejdźcie w tej chwili.

Julia chciała coś powiedzieć, ale Sia jej nie pozwoliła,

- Dziewczyna zostanie ze mną, zrobię co będę mogła. Na co czekacie, na pocałunek na do widzenia? Skończyłam już z dzień dobry i do widzenia, skończyłam z tym miejscem, skończyłam z wami. Wyoście się z mego domu natychmiast!

Każde z nich obejrzało się raz za siebie. Julia powiedziała później, że słyszała, jak Sia wymawiała imię Bena. Farrell, gdy stanął w drzwiach, ledwie dostrzegł Aiffe w pokoju, z którego nawet ciemności uciekały. Zobaczył dwa staloryty, jak razem mignęły i przemknęła mu absurdalna myśl, jaka szkoda, tak je lubił. Potem, zataczając się, podążył za Benem i Julią korytarzem, który zniknął szybciej niż mogli biec, z mglistym przeświadczeniem, że nigdy nie znajdą drogi na czas.

Briseis przejęła przewodnictwo, w przeciwnym razie nigdy nie znaleźliby drogi. Podążali za jej machającym ogonem, nawołując się głośno dla utrzymania kontaktu. A choć pies biegł przed nimi z wyjątkową pewnością, to zmuszony był wciąż nawracać, gdy milczący wicher zapomnienia zmiatał im spod stóp podłogę i schody. Raz Julia przytrzymała Farrella, gdy zatoczył się w nicość, innym razem on musiał podtrzymać Bena na stroniźnie.

Wężowy pierścień migotał na jego palcu własnym światłem, ale na nic się nie zdał, gdy skierował go na zapomnienie wirujące ze wszystkich stron i zaskomlał:

- Precz, wyoście się, pozwólcie nam być.

Och, Sia, pamiętaj o nas jeszcze chwilę, zatrzymaj nas w sobie jeszcze trochę. W końcu każde z nich biegło na własną rękę, nie nawoływali się już, oddalili od siebie, jakby naprawdę zniknęli. Będziemy wiedzieć? Jak będziemy wiedzieć?

Nigdy nie potrafili zgodzić się co do miejsca, w którym przeszli z prawdziwego domu Sii do domu, który znali. Wiedzieli jedynie, że znaleźli się na chodniku, kiedy przebiegli przez korytarz, kuchnię, salon i jak nurkowie nie mogąc złapać tchu z krzykiem padli na wilgotną trawę. Leżeli jakiś czas, tuląc się do siebie pod zdziwionymi spojrzeniami sąsiadów, którzy wyszli, by cieszyć się spokojnym wieczorem po nawałnicy Aiffe. Julia pierwsza wstała, chcąc spojrzeć na osobliwy dom o dziwacznym dachu i brakujących wejściowych drzwiach.



Farrell doskonale wiedział, że to nie widzialny dom walił się wokół nich. Wiedział również, iż głupotą było spodziewać się, iż cegły zaczną wrzeć, a drewno i gonty skręcać się z lamentu nad zmaganiem i przemijaniem, które miało miejsce tak daleko od nich. Pomimo tego zdał sobie sprawę, że był daremnie, bezsensownie wściekły na dom, tak jak nigdy nie był wściekły na Aiffe czy Nicholasa Bonnera.

- Jaki mamy dzień? - zapytał niewyraźnie i nie słyszał, czy ktoś mu odpowiedział, ale dalej gapił się na dom, czekając uparcie, aż choć trochę oklapnie, osiadzie w cienistej zwykłości, którą od teraz przywdzieje, gdy bogini już go opuści.

20.

Prawdziwym problemem był pies.

Okazało się, że Aiffe w ogóle nie opuściła turniejowego placu. Towarzyszyła ojcu na tradycyjnej uczcie i tańcach. Członkowie Ligi gotowi byli ręczyć za jej obecność, jak również za to, że cały wieczór przewodziła tańcom, a następnego dnia dostała grypy i leżała z gorączką w łóżku.

- Czy sobowtór może złapać grypę? - zapytał Farrell Julię. - Kto zatem był w pokoju z Sią?

- Powiedziała, że zrobi, co będzie mogła - odparła jedynie Julia.

W ciągu kolejnych, zdumiewająco ciepłych dni, które bywały wczesną jesienią w Avicennie, wiele się wydarzyło. Madame Schumann-Heink dostała nowy silnik, okna i pierwszy lakier od dziesięciu lat, a mniej więcej wszystko zdobyte na cmentarzysku o północy. Motocykl Julii dostał nowe widelce, lutnia Farrella dostała komplet nowych strun i progów jako nagrodę za podróż w miejsce nieprzyjazne instrumentom strunowym. Sam Farrell dostał Briseis.

To miało miejsce później, tuż po tym, jak wystąpił z Ligi Archaicznych Przyjemności. Wyrażono pewne ubolewanie z powodu jego decyzji. Ubolewali głównie członkowie Bazyliżków i hrabina Elizabeth Bathory. Hamid ibn Shanfara i Lovita Bird byli wyrozumiali i lekko zakłopotani, gdyż sami w końcu nie zrezygnowali.

- Kochany, nie masz pojęcia, ile jestem w stanie znieść w imię posiadania miejsca, w którym mogę się przebierać. Przykro mi, ale muszę kimś być poza tym cholernym kierowcą autobusu - tłumaczyła się.

- To trochę uzależniające - powiedział z kwaśną miną Hamid. - W urzędzie pocztowym nie ma zbyt wiele miejsca dla kogoś, kto chce być pamięcią całej grupy.

- Jednostki mają wspomnienia. Grupy zapomnienia - powiedział Farrell.

- Pokaż mi różnicę - roześmiał się Hamid. - Żadne prawo nie obejmuje tego, co zrobił ten dzieciak, nie ma sposobu, by dowieść tego, co widzieliśmy, a na pewno już nie ma żadnego sposobu, by cofnąć wszystko, co się stało. Można by napisać poemat, jak stary Crof Grant poległ w bitwie z milionem trolli, opowiadać historyjki o Presterze Johnie wziętym do nieba przez św. Walenia. Równie dobrze, jak opowiadać o tym, co naprawdę się wydarzyło.

- Ale wszyscy znają prawdę - powiedział Farrell. Czuł, że grzęźnie w kołtuństwie i zmarszczone brwi Lovity nic mu nie pomogły.

- Po to jest Liga, dziecino - powiedział Hamid.

Prawniczka Sii, niska, dziarska kobieta z kilkoma za bardzo ostrymi zębami, wezwała Bena i Farrella do swego biura, by odczytać im testament Sii. Został napisany na kilka lat przedtem, nim Ben ją spotkał. Nie było w nim mowy o śmierci, a jedynie o możliwości zniknięcia. Na jego mocy wszystko przechodziło na Bena, z wyjątkiem Briseis. Nie tylko, że pies został powierzony opiece Farrella, ale zostało to jeszcze obwarowane kilkoma zastrzeżeniami. Wynikało z nich jasno, że jeśli Farrell odmówi przyjęcia Briseis lub kiedykolwiek spróbuje się jej pozbyć, to cały spadek Bena ma zostać przekazany na rzecz fundacji dokarmiającej kaczkę w Barton Park.

- Ona potrafi zobaczyć przyszłość - krzyknął Farrell, pełen osobliwie złych przeczuć. - Jeśli potrafisz zobaczyć przyszłość, po prostu nie robisz pewnych rzeczy.

- Ona widziała fragmenty przyszłości fragmentów Czasu - powiedział Ben. - Myślę, że podobał jej się ten sposób.

Przez pierwsze dni po odejściu Sii Farrell nie odstępował Bena na krok, próbując pomóc mu w zniesieniu straty, której on nie potrafił z nim dzielić ani sobie w pełni wyobrazić. Faktycznie jednak wraz z mijającą jesienią Ben wiódł dalej swe życie ze spokojną stanowczością. Prowadził wykłady, pilnował godzin konsultacji, chodził na zebrania, gdy nie nadarzała się okazja do wymówki, w czasie weekendów pracował nad swoją książką o poezji skaldów, a nawet raz czy dwa razy w tygodniu chodził popływać z Farrellem. Czasami mówił o Sii, ostrożnie i z uczuciem, jakby wspominał dawną ukochaną, szczęśliwie poślubioną okuliście. Farrell wiedział dostatecznie dużo o smutku, by się niepokoić.

Pewnego wieczoru wracali piechotą z uniwersytetu, korzystając z ostatnich ciepłych dni. Wesóło dyskutowali o walkach pomiędzy Seattle i Atlantą w zbliżających się Mistrzostwach Świata. Nagle Ben przerwał dyskusję, by zapytać:

- Czemu mi się tak wciąż przyglądasz? Coś mi odpada?

- Nic - powiedział Farrell. - Przepraszam, nie wiedziałem, że się gapię.

- Już od tygodni, każdej choleryjnej minuty. To nie wyspa doktora Moreau. Nie przepoczwarzę się, nie zacznę nagle biegać na czterech.

- Wiem, przepraszam. Zdaje się, że czekam, kiedy zaczniesz rozbijać meble. - Jakiś czas szli w milczeniu, przysłuchując się muzyce płynącej z oświetlonych okien, wreszcie Farrell powiedział: - W końcu to nie moja sprawa...

- Oczywiście, że to twoja sprawa. A czyja ma to być sprawa, do cholery? Przestań się tak korzyć przede mną - przerwał na chwilę, po czym dodał spokojniejszym tonem: - Pamiętasz, jak zdała sobie sprawę, że nie może uratować Nicholasa Bonnera? To znaczy, dokładnie ten moment?

- Gdy otworzyła usta myślałem, że zaraz rozwali wszystko krzykiem na kawałki, po prostu rozniesie wszystko swoim krzykiem. Ale ona nie wydała żadnego dźwięku.

- Nie, nie wydała ani jednego dźwięku. Gdyby wydała, gdyby wypuściła z siebie choćby odrobinę tego smutku, to mielibyśmy szczęście, gdybyśmy oszaleli. Najprawdopodobniej jednak obrócilibyśmy się w coś, co potrafiłoby znieść jej krzyk, w kamienie, w powietrze. Ona pochłonęła ten ból, by nas ratować. To ją zniszczyło.

- Nie wiedziałem tego. Niczego o niej nie wiedziałem, poza tym, że jest boginią i nieśmiertelną, a ty nie. Ty powinienesz krzyczeć.

- Będę. Ale jeszcze przez jakiś czas nie. - Uśmiechnął się do Farrella, po czym dotknął jego ramienia. - Wiesz, jak to jest z małymi dziećmi, gdy skaleczą się lub porządnie zdenerwują? Ta długa, paskudna chwila, nim wybuchną wrzaskiem? - Farrell kiwnął głową. - Ja właśnie jestem w tym punkcie. Nie potrafię nawet wziąć oddechu, by krzyknąć, ale mimo tego muszę żyć dalej.

Briseis wyszła im na spotkanie. Kompletnie zignorowała Bena, obszczekując za to Farrella tak hałaśliwie, jakby była o wiele mniejszym psem. Biegała mu pomiędzy nogami, o mało nie gryząc go w kostki.

- Niektórzy od razu wiedzą, kto tu rządzi - zauważył Ben.

- To nie jest śmieszne. Nie zachęcaj jej. Odkąd powiedzieliśmy jej o testamencie, bzikuje coraz bardziej. Odczep się, Briseis - rozkazał, ale suka jedynie podskoczyła do niego. - Widzisz? To nie jest łaszenie się, ona nigdy nie liże mi twarzy, po prostu gapi się na mnie, jakbym wiedział, gdzie są jej szczeniaki. Budzisz się w nocy, a ona stoi przy łóżku, czeka. Z przykrością muszę ci powiedzieć, że jeśli tego nie zaprzestanie, to kaczki dostaną twój dom. Briseis, do cholery!

Przez kilka minut stali na dworze, obserwując jak wyłącznik czasowy gasi i zapalał lampy.

- Ty nadal mówisz o Sii w czasie teraźniejszym - odezwał się w końcu Ben. - Zauważyłem to.

- Bo tak o niej myślę. Do diabła, śnię o niej większość nocy. W tych snach dziwne jest to, że zawsze jesteśmy poza domem, robimy zakupy, pracujemy w ogrodzie lub po prostu spacerujemy ulicą. A ty nie miewasz o niej snów?

Ben pokręcił głową.

- Nie mogę sobie na to pozwolić, Joe. Czasami myślę, że ona naprawdę umarła, czasami myślę, że poszła w miejsce, którego sobie nawet nie mogę wyobrazić. Ale nawet gdybym mógł, to nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Bez względu na to, gdzie jest, skończyła ze mną, podobnie jak z Nicholasem Bonnerem. Właśnie on był prawdziwym powodem, dla którego trzymała się ludzkiej postaci, była za niego odpowiedzialna, ale jego już nie ma, a ona skończyła z nami wszystkimi, mówiła to poważnie. A ja mimo wszystko muszę żyć.

Niepokój Farrella pogłębił się wraz z jesienią, sprawiając, że wciąż o wszystko się sprzeczał. Jego sny o Sii trwały dalej. Same w sobie były miłe i bez wyrzutów, ale zostawiały w nim poczucie coraz większego osierocenia za każdym razem, gdy po przebudzeniu spoglądał w niemądre, niecierpliwie oczy Briseis. Chodziła za nim do pracy, co było jeszcze do zniesienia. Ludzie w warsztacie ją lubili i dokarmiali resztkami ze swoich śniadań. Ale gdy po raz drugi ściągnęła z niego prześcieradło w domu Julii o trzeciej nad ranem, rzucił się jej do gardła i sporo wysiłku kosztowało Julię skłonienie go, by przestał wrzeszczeć i dusić Briseis. O wiele więcej czasu potrzebował, by opanować drzenie, choć Julia trzymała go w objęciach.

- Nie rozповідаłabym tego - powiedziała - ale podejrzewam, że otrzymujesz wiadomość. - Farrell skulił się na krześle, patrząc roziskrzonymi oczyma na Briseis. - Myślę, że nasza przyjaciółka chce z tobą rozmawiać.

- Nie ze mną. Zdecydowanie nie ze mną. Ben jest jej mężczyzną, ty jesteś jej przyjaciółką, praktycznie krewniaczką. Ja jestem zwykłym facetem, bałwanem. Jestem Briseis, jeśli się nad tym zastanowić. Nie prowadzi się rozmów zamiejscowych z Briseis.

- Wszyscy jesteśmy jej Briseisami. Czymże innym moglibyśmy być? Podrzędny materiał, tani styropian, przeznaczony do pakowania w kartonach, a nie do tego, by bogini od niego zależała. Ale ona nie miała wyboru, utknęła tu z nami i, do cholery, mogła o wiele gorzej postąpić ze znajomymi. Być może nie było z nas wielkiego pożytku, ale jakiś być musiał, skoro ponownie po ciebie poszła. A skoro chce cię widzieć, powinienesz iść.

- Iść? Dokąd? - Farrell usiadł. Briseis pognęła do łazienki, podrywając białego Mushy, który wygrał w drugiej rundzie przez techniczny nokaut. - Skarbie, ja nawet nie mam zielonego pojęcia, czy ona jeszcze jest na tej

cholernej planecie. A problem nie w tym gdzie, tylko czym jest. Mogła wrócić jako Pocatello National Bank lub pokrywa wjazdu w Kuala Lumpur. Nie będą tego wiedziały.

- Briseis będzie wiedziała. Zostawiła ci ją nie bez powodu. - Farrell warknął. - Podobnie jak pierścień. Spójrz, jak teraz błyszczy.

- On po prostu tak już błyszczy. Do niczego się specjalnie nie nadaje, ma mi po prostu o niej przypominać. - Julia uśmiechnęła się i rozłożyła ręce. - Nawet jeśli - westchnął ciężko Farrell - nawet jeśli zwolnię się z pracy, kolejny raz spakuję rzeczy do samochodu i posadzę Briseis na tablicy rozdzielczej, by mogła wskazywać dokąd mam jechać. Nawet jeśli byłbym na tyle szalony. To co stanie się z nami?

- To, co zawsze - odparła Julia. - Tym razem po prostu to potrwa dłużej, z czego bardzo się cieszę. - Poklepała brzeg łóżka i Farrell usiadł obok niej. Milczeli oboje długą chwilę. - Już ci mówiłam, jesteście skazani na siebie, ponieważ łączy nas coś, czego nigdy nie będziemy w stanie dzielić z nikim innym, a nasi kochankowie zawsze będą o to zazdrośni. Ale żadne z nas z nikim nie chce żyć na stałe. Wiesz, że to prawda, Joe. To nas właśnie łączy.

- Za długo czekaliśmy - powiedział Farrell. - Dawno temu mieliśmy swój czas, pamiętam to. Teraz moglibyśmy już być starym małżeństwem.

- Nieśmiertelny wzywa cię na poszukiwania, a ty tu siedzisz i bredzisz. Wracam do łóżka. Farrell objął ją.

- Przyjedziesz po mnie, jeśli zamkną mnie za włóczęgostwo i bredzenie w Pocatello?

- Pod warunkiem, że powiesz mi, gdy znajdziesz Się. Znajdziesz ją, stary. Nikt inny tego nie potrafi, tylko ty.

Ranek, gdy zebrał się do odjazdu, był rześki. Mgła nie rozmywała kształtów, a chłodne powietrze przy głębszym oddechu zmusiło go do kichania. Ben pomógł mu zapakować ostatnie rzeczy do Madame Schumann-Heink, w której Briseis uparła się spędzić całą noc. Prawie się nie odzywał, więc w końcu Farrell przejął inicjatywę.

- Czuję się osamotniony. Nigdy przedtem odjazd nie wzbudzał we mnie uczucia osamotnienia. Będę za tobą tęsknił.

- Bardzo będzie mi ciebie brakowało - odparł Ben. - Wiem, że wyruszasz na moją wyprawę i czuję się nieswojo. Ale nie mogę z tobą jechać.

- Oczywiście, że nie możesz. Musisz chodzić do pracy, masz w końcu całe życie, o które musisz zadbać, jak Julia. Przysłała po mnie, ponieważ tylko ja nigdzie nie mogę zagrazać miejsca.

- To nie jest powód. - Ben poklepał Briseis i zwrócił się wprost do niej: - Powiedz swojej pani, że będę kochał ją całe życie i mam za złe, że zostawiła mnie, gdy jej potrzebowałem. Powiedz jej, że jestem zły. - Briseis polizała jego rękę, a Ben dodał niemal bezgłośnie: - Powiedz jej, że mówię do siebie w jej języku.

Farrell po raz ostatni odwiózł Julię do pracy. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Całą drogę trzymali się za ręce, nawet gdy Farrell zmieniał bieg. Gdy zaparkował w pobliżu jej pracowni, Julia wysiadła, podeszła do okna od strony kierowcy, wyciągnęła go z samochodu i pocałowała.

- Uważaj - powiedziała. - Jesteś jedynym, jakiego kiedykolwiek miałam.

- Jedynym co? - To pytanie samo cisnęło się na usta i oboje wybuchnęli śmiechem, gdy mu odpowiedziała.

- Och, gdybyśmy tylko to wiedzieli. Gdzie byśmy wtedy byli? - Pocałowała go jeszcze raz i odeszła, nie mówiąc do widzenia. Farrell uznał to za dziwnie obiecujące i uspokajające, ponieważ Julia nigdy nie mówiła do widzenia i zawsze potem spotykali się ponownie.

- Pilot do nawigatora - zwrócił się do Briseis. - Którędy, do diabła?

Briseis pacnęła łapami po kokpicie i zaskomlała ogólnie w kierunku zatoki. Farrell odczekał aż Julia zniknęła mu z oczu, po czym wrzucił bieg.

Przy wyjeździe z terenu uniwersytetu zauważył rudowłosego gościa w trzyczęściowym garniturze, który przypominał wyglądem prowadzącego teleturniej. Facet stał przy wózku z gorącymi preclami i obwieszcział nadejście antychrysta.

- Spójrz na niego - powiedział Farrell do Briseis. - Są wszędzie, prawia kazania naiwniakom na deszczu, nawracają hydranty, kompletne czubki. Ale oni muszą to robić, muszą przekazywać ludziom to, co powiedział im Bóg, oni także mają swoje posłannictwo. A ja mijam sobie ich spokojnie, jak każdy cywilizowany człowiek i nikt się nie domyśla, że proszę psa, by powiedział mi, gdzie mam skręcić, by znaleźć naszą boginię. Nadzwyczajna sprawa.

Przejeżdżając obok średniej szkoły, która przypominała mauretańską bazę lotniczą, zwolnił, burcząc na podlotki, które wchodziły mu w drogę nawet się nie oglądając, najwyraźniej pewne, że walkmany gwarantują im nietykalność. W jego kierunku szły obok siebie cztery dziewczynki w długich spódniczkach. Zbliżyły się niczym kurtyna deszczu. Jedną z dziewcząt była Aiffe. Szła w środku, chichocząc i wygłupiając się. Na jednej z koleżanek wsparła się, by poprawić sandał, na drugiej, by stroić miny i wymachiwać rękoma, dusząc się przy tym ze śmiechu. Farrell usłyszał jej krzyk:

- Ale to prawdziwy palant! Myśli, że rozpali cię, gdy wpadnie na ciebie w kolejce po lunch! - Złociście brązowa grzywa migotała cały czas przed twarzami jej towarzyszek.

- Lady Aiffe! - zawołał Farrell kilka razy, ale ona nie obejrzała się, dopóki nie krzyknął jej prawdziwego imienia. Wówczas odwróciła się, zmarszczyła brwi, zawahała się, powiedziała coś do przyjaciółek i podeszła do krawężnika, przy którym zaparkował, blokując wyjazd. Briseis zaskomlała niecierpliwie, ale on wysiadł z samochodu. Stał, czekając aż dziewczynka podejdzie.

- Hej - powitał ją. - Stary Rycerz Czegośćam. Duchy i Smoki. - Była może trochę bledsza od dziecka, które zmieniło się w ptaka, poza tym niczym się nie różniła. - Słyszałem, że rozchorowałaś się po turnieju. Już wyzdrowiałaś?

Aiffe przez chwilę wyglądała na zakłopotaną, po czym kiwnęła głową.

- Byłam chora. Teraz już czuję się dobrze. Byłam naprawdę chora. - Wydawała się nie pamiętać nic więcej poza jego twarzą. Nic nie wskazywało na to, by wiązała go z jakimkolwiek wydarzeniem poza turniejem. - Bardzo majaczyłam. Nie pamiętam zbyt wiele.

- A pamiętasz Nicholasa Bonnera?

Jej twarz przybrała wyraz zupełnej obojętności, kompletnej pustki. Nigdy przedtem nie słyszała tego imienia.

- Prawdę mówiąc, wielu ludzi z Ligi już nie znam. Nie tkwię w tym tak mocno, jak dawniej.

- Ale twój ojciec tak.

Dziewczyna roześmiała się, przyciskając do siebie torbę z książkami i opierając się o samochód.

- Dorosli mają czas na takie rzeczy. Nie muszą odrabiać lekcji z informatyki i chodzić na próby. Będziemy wystawiać "Arszenik i stare koronki". Będę jedną ze starych dam. - Paplała dalej, a tymczasem jej koleżanki denrowowały się już, a Briseis ziewała i wzdychała w samochodzie. W końcu Farrell jej przerwał.

- Nie chcę cię zatrzymywać - powiedział. - Chciałbym cię tylko o jedno spytać. - Aiffe czekała, jej uśmiech zdradzał lekki niepokój. - Co ona ci powiedziała? W tamtym pokoju, gdy zbierała twe zmysły do kupy, gdy wszystko inne rozpadało się, co ona powiedziała? - Nie chciał swoim tonem wzbudzać w niej strachu, ale Aiffe cofnęła się o krok. - Przecież musisz chociaż tyle pamiętać - zachęcał ją. - Nawet jeśli nie pamiętasz, jak się tam dostałaś, musisz pamiętać, że byłaś tam razem z nią, musiała z tobą rozmawiać. Czy powiedziała, dokąd się udaje, co się z nią dzieje? Powiesz mi, do cholery, co ci powiedziała?

Przez chwilę był absolutnie pewny, że jakaś jej część, jakaś czerwonożłota plamka w jej oczach, doskonale rozumiała, co mówił i śmiała się z niego, jak Nicholas Banner w sekwojowym zagajniku. Potem jej oczy wypełniły tży zakłopotania i dziewczynka odbiegła do swych przyjaciółek. Natomiast w jego kierunku ruszył ktoś w mundurze, więc Farrell wskoczył do samochodu i odjechał razem z Briseis. Trzy koleżanki uspokajały i tuliły Aiffe, gdy widział ją po raz ostatni. Jedna nawet próbowała uczesać jej włosy.

Wężowy pierścień błyszczał na kółku kierownicy. Madame Schumann-Heink zbliżała się do autostrady. Briseis wystawiła łeb za okno, najwyraźniej obserwując żaglówki na zatoce.

- Pilot do nawigatora. Na południu jest Meksyk, na północy Kanada. Dokąd? - Nos i ogon Briseis wskazywały, że musi zawrócić.